

NORA ROBERTS

KLUCZ ODWAGI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zoe McCourt wychowała się w górach Zachodniej Wirginii wraz z trójką młodszego rodzeństwa. Miała szesnaście lat, kiedy poznała chłopaka, który odmienił jej życie. Cztery lata wcześniej ojciec uciekł z żoną innego mężczyzny.

Zoe nie rozpaczała zbytnio z tego powodu. Tata był poryw - czym, nieobliczalnym facetem, który wolał pić piwo z kumplami albo posuwać żonę sąsiada niż zatroszczyć się o własną rodzinę.

Było im teraz ciężko, bo dopóki z nimi mieszkał, prawie co tydzień przynosił wypłatę.

Matka - szczupła, nerwowa kobieta, pałająca papierosa za papierosem - rekompensowała sobie ucieczkę męża, zastępując go systematycznie kochankami ulepionymi z tej samej gliny, co Bobby Lee McCourt. Na krótką metę zapewniali jej szczęście, na dłuższą - gniew i smutek, lecz tak czy inaczej nie potrafiła wytrzymać bez mężczyzny dłużej niż miesiąc.

Crystal McCourt wychowała potomstwo w podwójnej przyczepie ustawionej na parceli w Hillside Trailer Park. Gdy mąż dał nogę, pijana w sztok - powierzwszy Zoe opiekę nad gospodarstwem - wskoczyła do swego wysłużonego camaro i wyruszyła w pościg za, jak to ujęła, „tym blagierem i jego taną dziwką”.

Eskapada trwała trzy dni. Crystal nie znalazła Bobby'ego, lecz wróciła trzeźwa. W pościgu straciła część szacunku dla samej siebie oraz pracę w salonie piękności Debbie. Daleko mu było do luksusu, jako że znajdował się w baraku, ale utrata stałej pensji oznaczała dla rodziny brak środków do życia.

To doświadczenie w znacznym stopniu zahartowało Crystal. Zebrała dzieci, kazała im usiąść i oświadczyła, że teraz będzie ciężko, bo sprawy idą niezbyt dobrze, ale znajdzie się jakieś wyjście.

Powiesiła na ścianie w kuchni swój dyplom kosmetyczki i otworzyła własny salon piękności. Podcinała Debbie ceny, a była naprawdę niezłą fryzjerką.

Przyczepa przesiąkła wonią dymu, utleniaczy i płynu do trwałości, ale dawali sobie radę.

Najstarsza córka myła klientkom głowy, zamiatała obcięte włosy i pilnowała młodszego rodzeństwa. Gdy się okazało, że ma zdolności, matka zaczęła jej powierzać czesanie, a niekiedy strzyżenie. Zoe marzyła o czymś lepszym, o czymś więcej, o świecie poza szeregiem przyczep.

Uczyła się dobrze, lubiła zwłaszcza matematykę. Ponieważ biegle dokonywała obliczeń, przejęła odpowiedzialność za księgę przychodów, podatki, rachunki.

Była już dorosła, nim ukończyła czternaście lat, a jednocześnie wzbierała w niej dziecięca tęsknota, by wydarzyło się coś niezwykłego, coś, co odmieniłoby jej życie. Nic dziwnego, że James Marshall zawrócił dziewczynie w głowie.

Bardzo się różnił od chłopców, których знаła. Nie tylko z racji wieku - miał dziewiętnaście lat, podczas gdy ona zaledwie szesnaście - ale także dlatego, że jeździł po świecie i wiele widział. Poza tym, Boże, jaki on był przystojny! Po prostu księżę z bajki.

Co prawda jego dziadek, górnik, pracował w tutejszych kopalniach, lecz dzielące ich pokolenia strząsnęły z siebie węglowy pył, nabierając stopniowo koloru i blasku.

Rodzina Jamesa miała pieniądze, dostatecznie duże, by zapewniły odpowiednią pozycję społeczną, wykształcenie i podróże do Europy. Mieszkali w największym domu w mieście, białym i szykownym jak suknia ślubna, a James oraz jego siostra uczyli się w prywatnych szkołach.

Marshallowie lubili wydawać duże wystawne przyjęcia z muzyką na żywo i delikatesowymi potrawami dostarczanymi na zamówienie. Pani Marshall zawsze wzywała Crystal, by ułożyła jej włosy, a Zoe często towarzyszyła matce i zajmowała się paznokciami szacownej klientki.

Śniła o tym domu, czystym, pełnym kwiatów i gustownych przedmiotów. Wspaniale było wiedzieć, że ludzie mogą tak żyć. Że nie wszyscy tłoczą się w przyczepach śmierdzących chemikaliami i zastarzałym papierosowym dymem.

Przyrzekła sobie, że kiedyś zamieszka w domu. Nie musi być tak imponujący, jak rezydencja Marshallów, ale to będzie prawdziwy dom, z ogródkiem, choćby niewielkim. I kiedyś odwiedzi miasta, o których wspominała pani Marshall - Nowy Jork, Paryż, Rzym.

Dlatego odkładała drobne pieniądze z napiwków i dorywczych prac. Tylko część oddawała mamie na opędzenie najpilniejszych wydatków.

Miała dobrą rękę do pieniędzy. Do szesnastego roku życia udało jej się zaoszczędzić czterysta czternaście dolarów, które trzymała na potajemnym koncie.

W kwietniu, kiedy skończyła szesnaście lat, zarobiła dodatkowe pieniądze, obsługując gości na jednym z przyjęć u Marshallów. Nieźle się prezentowała i była chętna do pracy. Nosila wówczas długie włosy, opadające czarną kaskadą na plecy. Zawsze była szczupła, a gdy wyrosła i rozkwitła, zaczęła budzić zainteresowanie chłopców. Nie znajdowała czasu dla nich - w każdym razie niewiele.

Miała złocistobrązowe oczy o migdałowym wykroju, które nieustannie obserwowały, szukały, pytały; i pełne usta, nieskłonne do śmiechu. Ostre, nieco kanciaste rysy nadawały twarzy egzotyczny wyraz, kontrastujący z wrodzoną nieśmiałością Zoe.

Słuchała poleceń i wykonywała je dobrze - a przy tym starała się nie narzucać.

Nie wiadomo, czy to urocza dziewczęca nieśmiałość, czy rozmarzone oczy, czy może zręczność i dyskrecja zwróciły uwagę Jamesa. Tak czy inaczej zaczął z nią flirtować owego wiosennego wieczoru, czym najpierw wprawił dziewczynę w zakłopotanie, a potem pochlebił jej próżności. I poprosił o następne spotkanie.

Spotkali się po kryjomu, co wzbudziło dodatkowy dreszcz emocji. Fakt, że interesuje się nią taki chłopak jak James, nappełnił Zoe romantycznym uniesieniem. Potrafił słuchać, więc zapomniała o nieśmiałości i opowiedziała mu o swoich marzeniach, nadziejach, otworzyła swe serce.

Był dla niej miły i ilekroć mogła wymknąć się z domu, wybierali się na długie przejażdżki samochodem albo przysiadali w jakimś zakątku i rozmawiali, spoglądając w gwiazdy.

Rzecz jasna, już niebawem przestali się ograniczać do samej rozmowy.

Powiedział, że ją kocha. Że jej potrzebuje.

Pewnej ciepłej czerwcowej nocy rozłożyli czerwony koc w lesie przesyconym zapachami lata i Zoe oddała się Jamesowi z optymistyczną żarliwością młodej, niewinnej istoty. Nadal był miły i czuły, przyrzekał, że nigdy się nie rozstaną. Zapewne w to wierzył. Bo ona uwierzyła bez zastrzeżeń.

Ale młodzieńcze zauroczenie miało swoją cenę. Zoe ją zapłaciła. I on - jak sądziła - również. Być może zapłacił cenę o wiele, wiele wyższą niż ona. Ponieważ Zoe straciła niewinność, on natomiast stracił znacznie cenniejszy, skarb.

Zerknęła teraz na ten skarb. Na swojego syna.

James odmienił jej życie, Simon natomiast sprawił, że nabrało nowego sensu. W innym wymiarze, w innym miejscu. Pierwszy chłopak pozwolił jej zakosztować przedsmaku kobiecości. Dziecko uczyniło ją kobietą.

Dorobiła się domu - małego domku z niewielkim podwórkiem - i dorobiła się go bez niczyjej pomocy. Nie zwiedziła przepięknych miejsc, o których marzyła, lecz za to oglądała w oczach syna wszelkie cuda świata.

A teraz, gdy upłynęło prawie dziesięć lat od chwili, gdy po raz pierwszy przytuliła Simona i obiecała, że nigdy go nie zawiedzie, wspinali się razem o stopień wyżej. Zamierzała dać mu coś więcej.

Zoe McCourt, nieśmiała dziewczyna z Zachodniej Wirginii, zakładała własne przedsiębiorstwo w uroczym miasteczku Pleasant Valley w stanie Pensylwania, do spółki z dwiema kobietami, które w ciągu dwóch miesięcy stały się dla niej bliskie jak siostry.

„Pokusa”. Podobała jej się nazwa. Chciała, żeby tym właśnie była ich firma dla klientów i gości. W realizację przedsięwzięcia musiały włożyć jeszcze dużo pracy. Ale nawet ta praca stanowiła coś w rodzaju pokusy, bo łączyła się ze spełnieniem marzeń.

Galeria sztuki i rękodzieła Malory Price miała zająć połowę parteru ich pięknego, nowo nabytego domu. Drugą połowę przeznaczyły na księgarnię Dany Steele. Piętro zaś przypadło Zoe, szefowej salonu kosmetycznego.

Jeszcze tylko parę tygodni, pomyślała. Parę tygodni odnawiania i ustawiania mebli, artykułów, wyposażenia. A potem otworzymy podwoje.

Żołądek ścisnął jej się na samą myśl, lecz niekoniecznie ze strachu. Także z radosnego podniecenia.

Wiedziała dokładnie, jak wszystko będzie wyglądało. Zdecydowane kolory i jasne światło w głównym pomieszczeniu, delikatniejsze kojące odcienie w gabinetach zabiegowych. Ustawi, żeby był nastrój, zapachowe świece i powiesi na ścianach przyciągające wzrok obrazy. Wybierze korzystne, odprężające oświetlenie.

Pokusa. Dla umysłu, ciała i ducha. Zamierzała zaoferować klientkom usługi kompleksowe.

Tego wieczoru jechała z Valley, gdzie znalazła dom i gdzie miała niebawem otworzyć swój salon, w góry - na spotkanie ze swym przeznaczeniem. Lekko nadąsany Simon wyglądał przez okno. Był niezadowolony - wiedziała o tym - że kazała mu włożyć garnitur. Ale przyjęcie zaproszenia na kolację do takiego domu, jak Wzgórze Wojownika, wymagało odpowiedniego stroju.

Mimowolnie obciągnęła dół sukienki. Kupiła ją niedrogo na wyprzedaży i miała nadzieję, że ciemnofioletowa dzianina pasuje do okoliczności.

Zastanowiła się, czy nie lepiej byłoby ubrać się w coś czarnego, żeby wyglądać godniej i poważniej. Ale tak bardzo lubiła kolory, poza tym na dziś potrzebowała czegoś, co wzmocniłoby poczucie pewności siebie. Nadszedł jeden z donioślejszych wieczorów w jej życiu, więc równie dobrze mogła włożyć na siebie ciuch, który poprawiał samopoczucie.

Zacisnęła usta. Myśli znów krążyły wokół tematu, którego wolałaby uniknąć, lecz mimo wszystko musiała go poruszyć. Jak wytłumaczyć dziewięcioletniemu chłopcu, czego się podjęła i co ją czeka?

- Chyba powinniśmy pogadać o dzisiejszej kolacji - zaczęła.
- Założę się, że nikt prócz mnie nie będzie w garniturze - mruknął.
- A ja się założę, że nie masz racji.

Lekko odwrócił głowę i zerknął z ukosa na matkę.

- O dolara?

- O dolara - zgodziła się.

Jaki on jest do mnie podobny, pomyślała. Czasami odczuwała z tego powodu dziką, zachłanną radość. Czy to nie zabawne, że twarz chłopca w najmniejszym stopniu nie przypominała twarzy Jamesa? Simon miał oczy matki, jej usta, nos, podbródek, włosy, wszystko naznaczone lekko własną indywidualnością.

- No więc - odchrząknęła - pamiętasz, że kiedyś już zostałam zaproszona na Wzgórze? I wtedy poznałam Malory i Dane.

- Jasne, pamiętam. Na drugi dzień kupiłaś mi Play Station 2, choć to nawet nie były moje urodziny.

- Prezenty bez okazji są najfajniejsze. - Mogła spełnić największe marzenie Simona dzięki dwudziestu pięciu tysiącom dolarów, które otrzymała za... no cóż, za wkroczenie w świat fantazji. - Znasz Malory i Dane, a także Flynna, Jordana i Bradleya.

- Aha, ostatnio ciągle się z nimi trzymamy. Są całkiem w porządku. Jak na ramoli - dodał ze wzgardliwym półuśmiechem, czym zawsze, jak wiedział, szczerze bawił matkę.

Ale tym razem nie rozśmieszył jej owym tekstem.

- Coś jest z nimi nie tak? - spytał natychmiast.

- Nie, wszystko w najlepszym porządku. - Przygryzła dolną wargę, usiłując znaleźć właściwe słowa. - Hm, zdarza się, że ludzi coś łączy, choć sami o tym nie wiedzą. Na przykład Dana i Flynn są rodzeństwem... znaczy przybranym rodzeństwem... a potem Dana zaprzyjaźnia się z Malory, Malory poznaje Flynna i zanim się obejrzyysz, zakochują się w sobie.

- Chcesz mi opowiedzieć jakąś ckliwą historię miłosną? Bo niewykluczone, że zwymiotuję.

- Pamiętaj, żeby wystawić głowę za okno. W każdym razie Jordan i Bradley są najbliższymi przyjaciółmi Flynna i gdy byli młodszy, Jordan... umawiał się z Daną na randki. - Najbezpieczniejsze określenie, jakie przyszło jej do głowy. - Potem Jordan i Bradley wyprowadzili się z Valley. Ale w końcu wrócili, między innymi z powodu tej więzi, o której wspomniałam. Dana i Jordan zeszli się ponownie i...

- I teraz wezmą ślub, podobnie jak Malory z Flynnem. Chyba zapanowała jakaś epidemia. - Jego twarz przybrała cierpiętniczy wyraz. - Jeżeli nas zaproszą na wesele, jak ciocia Joleen, pewnie znowu każesz mi włożyć garnitur?

- Owszem, specjalnie się nad tobą zjęcam, bo sprawia mi to przyjemność. A na razie próbuję ci wyjaśnić, że każde z nas w jakiś sposób jest związane z pozostałymi. I z czymś

jeszcze. Niewiele ci dotąd mówiłam o mieszkańcach Wzgórza Wojownika.

- Ludzie od czarów.

Ręce Zoe na kierownicy drgnęły. Zwolniła i zjechała na pobocze krętej szosy.

- Co to znaczy, „ludzie od czarów”?

- O rany, mamó, przecież słyszę, o czym mówicie podczas tych waszych spotkań i w ogóle. No więc są czarodziejami czy jak? Nie bardzo łąpię.

- Nie. Tak. Nie wiem dokładnie. - W jaki sposób wytłumaczyć dziecku, kim są pradawni bogowie? - Wierzysz w magię, Simon? Nie w magiczne sztuczki w rodzaju karcianych, ale w magię, o której czytasz w książkach takich jak „Harry Potter” albo „Hobbit”. - Jakby to była zupełna nieprawda, skąd by się wzięły te wszystkie książki, filmy i tak dalej?

- Słuszna uwaga - powiedziała Zoe po pauzie. - Rowena i Pitte, którzy mieszkają na Wzgórzu, są tajemniczymi istotami. Przybyli z bardzo daleka i potrzebują naszej pomocy.

- Dlaczego?

Wiedziała, że słucha jej teraz z uwagą i zainteresowaniem. To, co mówiła, skojarzyło mu się z powieściami, o których wspomniała, komiksami o X - Manie i ulubionymi fabularnymi grami wideo.

- Opowiem ci coś, co zabrzmiało jak bajka, chociaż nią nie jest. Ale musimy jechać dalej, bo się spóźnimy.

- Dobra.

Odetchnęła głęboko, gdy wrócili na szosę.

- Dawno temu, naprawdę bardzo, bardzo dawno, za tak zwaną Zasłoną Snów lub inaczej Zasłoną Mocy, żył pewien młody bóg...

- Taki jak Apollo?

- W pewnym sensie. Ale to nie był grecki bóg, tylko celtycki, syn króla. Gdy osiągnął pełnoletniość, odwiedził nasz świat. Tu poznał dziewczynę i zakochał się w niej.

Simon wykrzywił usta.

- Dlaczego tak się musi zdarzać za każdym razem?

- Przedyskutujemy ową kwestię później, dobrze? Nie mamy zbyt wiele czasu. A więc zakochali się w sobie i choć zazwyczaj na to nie pozwalano, jego rodzice zgodzili się, żeby sprowadził dziewczynę do domu i pojął za żonę. Niektórzy bogowie nie mieli nic przeciw temu, wielu jednak nie było zachwyconych. Wybuchły walki...

- Fajnie.

- Ich świat podzielił się, można powiedzieć, na dwa królestwa. Jednym rządził młody

bóg ze swą ziemską żoną, a drugim, jak by tu go określić... okrutny czarnoksiężnik.

- Jeszcze fajniej.

- Młody król miał trzy córki. Mówi się o nich „półboginie”, ponieważ są częściowo ludzkimi istotami. Każda z nich posiadała szczególny dar. Jednym była muzyka, czyli sztuka, drugim pisarstwo, czyli wiedza, a trzecim, jak mi się zdaje, odwaga. Męstwo. - Zaszło jej lekko w ustach, lecz przełknęła ślinę i ciągnęła: - Ta triada była kimś w rodzaju wojowniczką. Półboginie łączyła bliska siostrzana więź i rodzice bardzo je kochali. Aby zapewnić im bezpieczeństwo w całym tym zamęcie, oddali córki pod opiekę strażnika i guwernantki. A potem, tylko postaraj się nie jęczeć, strażnik i guwernantka zakochali się w sobie.

Simon odchylił głowę na oparcie i wbił spojrzenie w sufit.

- Wiedziałem. Po prostu wiedziałem.

- W przeciwieństwie do sarkastycznych dziewięcioletnich chłopców siostry cieszyły się ich szczęściem i wręcz pomagały im, gdy chcieli spędzić parę chwil sam na sam. Dlatego nie zawsze były strzeżone jak należy, co wykorzystał czarnoksiężnik, który zbliżył się do nich zdradziecko i rzucił zaklęcie. Tym zaklęciem wykradł im dusze i zamknął w szklanej szkatułce z trzema zamkami i trzema kluczami.

- Kurczę, ale miały pecha.

- Niewątpliwie. Teraz ich dusze są uwięzione w szkatule i nie wydostaną się stamtąd, dopóki w każdym zamku po kolei nie przekręci klucza ręka śmiertelniczki. Zwykłej kobiety. - Poczula mrowienie w palcach i potarła dłonią o udo. - Widzisz, ponieważ były w połowie ludzkimi istotami, czarnoksiężnik ustawił to tak, że tylko ktoś z naszego świata może je uratować. Bo nie wierzył w ową możliwość. Guwernantka otrzymała klucze, choć sama nie może ich użyć, i razem ze strażnikiem zostali wygnani do naszego świata. W każdym pokoleniu rodzą się trzy kobiety, które potrafią otworzyć szkatulę, a oni muszą je poprosić o odszukanie kluczy. Ukrycie i odnalezienie kluczy stanowi część zadania, część zaklęcia. Każda z wybranych kobiet ma cztery tygodnie na odnalezienie klucza i obrócenie go w zamku.

- O, a ty jesteś jedną z nich? Dlaczego wybrali akurat ciebie?

Wypuściła z płuc odrobinę powietrza. Przecież Simon był inteligentnym i logicznie myślącym chłopcem.

- Nie wiem dokładnie. My trzy... Dana, Mai i ja... wyglądamy jak Córy. Szklane Córy, tak się je nazywa. Rowena jest malarką i ma na Wzgórzu ich portret. Chodzi o więź, Simonie. Jesteśmy w jakiś sposób powiązane z sobą nawzajem, z kluczami i z Córami. Można chyba powiedzieć, że to przeznaczenie.

- I jeśli nie znajdziecie kluczy, one będą tkwiły w szkatule? - Ich dusze. Ciała spoczywają w szklanych trumnach... jak Królowna Śnieżka. Czekają.

- Guwernantka i strażnik to Rowena i Pitte. - Pokiwał głową.

- A ty, Malory i Dana musicie znaleźć klucze i wszystko naprawić.

- Mniej więcej. Malory i Dana już zakończyły swoje poszukiwania i odniosły sukces. Teraz kolej na mnie.

- Znajdziesz go - zapewnił z powagą. - Zawsze znajdujesz różne zgubione rzeczy.

Gdyby to było takie proste, pomyślała, jak odszukanie ulubionej zabawki Simona.

- Będę się bardzo starała. Powinieneś wiedzieć, że ów czarnoksiężnik, o imieniu Kane, już usiłował nas powstrzymać. Mnie też spróbuje przeszkodzić. Naprawdę mam stracha, ale nie zamierzam się wycofać.

- Skopiesz mu tyłek.

Śmiech rozluźnił ją nieco.

- Taki jest mój plan. Nie chciałam ci o wszystkim mówić, ale uznałam, że to byłoby nie w porządku.

- Bo gramy w jednej drużynie.

- Tak. W pierwszorzędnej drużynie.

Zwolniła przed otwartą bramą Wzgórza Wojownika.

Z obu stron strzegli jej kamienni strażnicy z dłońmi spoczywającymi na rękojeściach mieczy. Wyglądali surowo i groźnie. Więż? - pomyślała Zoe. Jaka więż mogła łączyć kogoś takiego jak ona z wojownikami przy bramie?

Nabrała tchu i pojechała dalej.

- O kurczę blade! - wyrwało się Simonowi.

- No widzisz.

Rozumiała jego reakcję. Ona też gapiła się na dom z rozdziawionymi ustami, gdy po raz pierwszy ujrzała go z bliska.

Choć właściwie słowo „dom” brzmiało zbyt skromnie w zestawieniu z taką budowlą. Na poły zamek, na poły forteca, wznosił się nad Pleasant Valley niczym jedno z majestatycznych wzgórz, wśród których królował. Zwieńczenia i wieże zbudowano z czarnego kamienia, a u okapów przycupnęły gargulce, zupełnie jakby czaiły się do skoku i to wcale nie dla zabawy. Imponującą rezydencję okalały bujne trawniki, które dochodziły do gęstego lasu, osnutego teraz cieniami wieczoru.

Na najwyższej wieży powiewała biała flaga z emblematem złotego klucza. Zachodzące słońce kreśliło złocistoczerwone smugi na rozpiętym płótnie nieba, wzmagając

dramatyczny efekt.

Już wkrótce stanie się ono zupełnie ciemne, pomyślała Zoe. Z księżycyca został tylko wąziutki okrawek. Nazajutrz przypadał początek fazy nowiu. I pierwszy dzień poszukiwań.

- Wnętrze też robi wrażenie. Jest jak z filmu. Tylko niczego nie dotykaj.

- Mamo...

- Mam tremę. Weź to pod uwagę. - Podjechała powoli przed frontowe drzwi. - I, przypominam, niczego nie dotykaj.

Zatrzymała samochód z nadzieją, że nie zjawia się pierwsza ani ostatnia. Wyjęła szminkę, by poprawić usta - umalowała się przed wyjściem z domu, ale kolor jakoś się starł. Odruchowo przejechała palcami po włosach, prostych i krótkich, krótszych, niż nosił teraz Simon.

- Rany, naprawdę wyglądasz nieźle. Może byśmy już weszli?

- Chcę, żebyśmy obydwójce wyglądali lepiej niż nieźle. - Ujęła w dłoń podbródek syna i przeczesała jego czuprynę grzebieniem wyciągniętym z torebki, nie zważając na kosę spojrzenia. - Jeśli kolacja nie będzie ci smakowała, po prostu udaj, że jesz, ale nie mów, że ci nie smakuje i nie rób takiej miny, jakbyś miał zaraz zwymiotować. Dostaniesz coś innego, kiedy wrócimy do domu.

- Wstąpimy do McDonalda?

- Zobaczymy. Wszystko jest dobrze. Wszystko jest świetnie. Okay - Wrzuciła grzebień do torebki i sięgnęła w stronę klamki, by otworzyć drzwiczki.

Uprzedził ją jednak staruszek, który witał gości i zajmował się ich samochodami. Ilekroć go widziała, zawsze przeszywał ją dreszcz.

- Och. Dziękuję.

- Bardzo mi miło, proszę pani. Dobry wieczór. Simon przyjrzał mu się uważnie.

- Dobry wieczór.

- Witam młodego panicza.

Mina Simona najwyraźniej świadczyła, że spodobał mu się ów zwrot.

- Czy pan też jest jednym z tych ludzi od czarów? Zmarszczki na twarzy starca pogłębiły się w szczerym uśmiechu.

- Bardzo możliwe. I co panicz na to?

- Super. Tylko dlaczego jest pan taki stary?

- Simon!

- Słuszne pytanie, proszę pani - odparł stary sługa na pełne zgorszenia syknięcie Zoe. - Jestem stary, ponieważ dostąpiłem łaski długiego żywota. I życzę wam tego samego. - Z

widocznym wysiłkiem pochylił się nad chłopcem. - Czy chcesz poznać prawdę?

- No... tak.

- Wszyscy potrafimy czarować, lecz nie każdy z nas o tym wie.

- Wyprostował się z godnością. - Zaopiekuję się autem szanownej pani. Życzę miłego wieczoru.

- Dziękuję. - Chwyliła Simona za rękę i razem pomaszzerowali w stronę portyku, a podwójne drzwi stanęły otworem, zanim zdążyli zastukać. Otworzyła Rowena.

Rozpuszczone płomienne włosy sięgały ramion, miała na sobie długą suknię, której barwa harmonizowała z zielenią cienistych lasów. Srebrny wisiołek z przejrzystym kamieniem połyskiwał w świetle padającym z holu. Uroda Roweny jak zwykle poraziła Zoe niczym lekki wstrząs elektryczny.

Rowena podała jej rękę, lecz oczy - o bardziej nasyconym, intensywniejszym odcieniu zieleni niż suknia - widziały przede wszystkim Simona.

- Witajcie. - Ten melodyjny głos kojarzył się Zoe z odległymi krajami, które niegdyś pragnęła odwiedzić. - Miło cię znowu widzieć. I bardzo się cieszę, młody człowieku, że mam sposobność nareszcie cię poznać.

- Simonie, to jest pani Rowena.

- Po prostu Rowena, bo wydaje mi się, że zostaniemy przyjaciółmi. Wejdźcie, proszę?

- Przytrzymując dłoń Zoe, dotknęła ramienia Simona.

- Mam nadzieję, że nie spóźnił się za bardzo.

- Skądże znowu. - Rowena poprowadziła ich po barwnej mozaikowej posadzce. - Większość gości już przybyła, z wyjątkiem Malory i Flynna. Siedzimy w salonie. Simon, powiedz szczerze, lubisz wątróbkę z brukselką?

Chłopiec, zapominając o nakazach matki, wykonał natychmiast taki gest, jakby miał zwymiotować. Zoe oblała się rumieńcem, a Rowena wybuchnęła śmiechem.

- Ponieważ w pełni się z tobą zgadzam, nie mamy ich dzisiaj w jadłospisie. Nasi goście - oznajmiła, przekraczając próg salonu.

- Pitte, zechciej poznać młodego panicza McCourt.

Simon zerknął na matkę, szturchnął ją łokciem.

- Panicza - szepnął kątem ust, z wielką satysfakcją.

Wybraniec Roweny pasował do niej wyglądem. Wytworny ciemny garnitur tuszował muskulaturę wojownika. Grzywa ciemnych włosów opadała w tył, odsłaniając twarz o ładnych, wyrazistych rysach. Błyszczące niebieskie oczy przyjrzały się uważnie Simonowi, po czym Pitte uniósł brwi i wyciągnął rękę.

- Dobry wieczór, panie McCourt. Czego się pan napije?

- Coli, jeśli można prosić.

- Oczywiście.

- Rozgoście się. - Rowena objęła pokój szerokim gestem. Dana już wcześniej wstała i teraz szła w ich stronę.

- Cześć, Simon. Jak leci?

- Nieźle. Chociaż przegrałem dolca, bo ten gość i Brad są w garniturach.

- Rzeczywiście pech.

- Mamo, pogadam chwilę z Bradem, dobra?

- Dobrze, ale... - Westchnęła, gdy umknął, nawet nie słuchając jej słów. - Niczego nie dotykaj - dokończyła cicho.

- Z nim, jak widzę, wszystko w porządku. A z tobą?

- Nie wiem. - Spojrzała na przyjaciółkę. Jej ufała bez zastrzeżeń. W ciemnobrązowych oczach dostrzegła zrozumienie, które potrafiłaby jeszcze odczytać tylko trzecia z nich. - Chyba jestem trochę spięta. Nie mówmy teraz o tym. Świetnie wyglądasz.

Powiedziała szczerą prawdę. Gęste, brązowe włosy Dany sięgały tuż za linię mocno zarysowanego podbródka, podkreślając ładny kształt twarzy. Dobrze jej było w tej fryzurze, którą zresztą Zoe sama wymyśliła. I doznała ulgi na widok ceglasczerwonego połysku, którym Dana wzbogaciła oficjalną czerń.

- A nawet lepiej niż świetnie - uściśliła Zoe. - Wyglądasz na szczęśliwą. - Uniosła lewą dłoń przyjaciółki, podziwiając prostokątny rubin w pierścionku. ~ Jordan ma znakomity gust, jeśli chodzi o biżuterię. I o dziewczyny.

- Nie będę się spierać. - Dana zerknęła w stronę sofy, na której Jordan i Pitte siedzieli pogrążeni w rozmowie. Przypominali do złudzenia dwóch wojowników przy bramie. - Złapałam dużego przystojnego chłopaka.

Zoe pomyślała, że wspaniale do siebie pasują. Seksowna Dana, w typie amazonki i wysoki muskularny Jordan. Cokolwiek się zdarzyło czy nie zdarzyło, była zadowolona, że odnaleźli się na nowo.

- Dobrze ci zrobi łyeczek szampana - powiedziała Rowena, podając wąski kryształowy kieliszek z musującym winem.

- Dziękuję.

- Masz cudownego syna.

Duma zepchnęła tremę na dalszy plan.

- Tak. To najpiękniejsza część mego życia.

- Więc należysz do bogatych kobiet. - Rowena z uśmiechem dotknęła jej ramienia. - Chyba jest bardzo zaprzyjaźniony z Bradleyem.

- Dogadali się - przyznała Zoe.

Sama nie wiedziała, co myśleć o tej nieprawdopodobnej sytuacji. Siedzieli razem, najwyraźniej pogrążeni w głębokiej dyspacji. Mężczyzna w eleganckim szarym garniturze i chłopiec w swoim ciemnobrązowym, już odrobinę - Boże drogi! - przyciasnym. Dziwne, że Simon czuł się tak swobodnie w towarzystwie człowieka, który ją wprawiał w zakłopotanie. Zazwyczaj tworzyli zgodny tandem.

Brad uniósł głowę i jego wzrok zatrzymał się na Zoe.

O tak, pomyślała, w tym właśnie problem. Brad był jedyną osobą, która samym spojrzeniem przyprawiała ją o nerwowe skurcze żołądka.

Zbyt przystojny, zbyt bogaty, pod każdym względem zbyt. Daleko, bardzo daleko poza twoim zasięgiem, Zoe, a już raz próbowałaś sięgnąć po gwiazdkę z nieba.

W zestawieniu z Bradleyem Charlesem Vane'em IV James Marshall był po prostu kmiotkiem. Fortuna Vane'ów, zbudowana na handlu drewnem i oparta na obejmującej cały kraj sieci znakomicie prosperujących sklepów, uczyniła Brada wpływowym i uprzywilejowanym człowiekiem. A jego wygląd zewnętrzny ciemnoblonde włosy, niemal czarne oczy, uwodzicielski zarys ust czynił go, zdaniem Zoe, niebezpiecznym. Elastyczna, smukła sylwetka zdawała się wręcz stworzona do noszenia markowych garniturów.

Ponadto był nieprzewidywalny. W jednej chwili arogancki i chłodny, w następnej porywczy i apodyktyczny, a wreszcie zaskakująco miły. Nie ufała mężczyźnie, którego reakcji nie potrafiła przewidzieć.

Ufała mu jednak w wypadku Simona, co stanowiło dla niej kolejną zagadkę. Przenigdy nie wyrządziłby krzywdy jej synowi. Miała absolutną pewność. I nie mogła zaprzeczyć, że potrafi się z Simonem porozumieć, jest dla niego dobry.

Mimo to gdy wstał i zbliżył się do niej, stężała w napięciu.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie.

- A więc powiedziałaś Simonowi, o co tak naprawdę chodzi.

- Ma prawo wiedzieć. Ja...

- Zanim skoczysz mi do gardła, chcę cię poinformować, że się z tobą zgadzam. Nie tylko ma prawo, ale i dostatecznie lotny umysł, by uporać się z owym problemem.

- Och. - Wpatrzyła się w swój kieliszek. - Przepraszam. Jestem trochę spięta.

- Może pocieszysz się świadomością, że nie tkwisz w tym sama.

Zanim zdążył dokończyć, w holu wybuchło zamieszanie. Chwilę później do pokoju wpadł Moe, wielki, czarny i kompletnie nie - wychowany pies Flynnna. Z pełnym zachwytem szczekaniem rzucił się w stronę niskiego stolika, na którym stała taca z kanapkami.

Flynn i Malory runęli za nim, a roześmiana Rowena podążyła ich śladem. Rozległy się krzyki, poszczekiwania, a potem donośny łoskot.

- Zdziwiłbym się, gdyby cała ta banda dała ci spokój choć na pięć minut.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zoe, jak się okazało, musiała udawać, że je. Nie dlatego, że jej nie smakowało, ale po prostu nie potrafiła się odprężyć. Trudno przetykać, gdy żołądek zaciska się w twardej supeli.

Spożywała już posiłki w tej jadalni z wysokim sufitem i buzującym ogniem na kominku, gdzie wszystko pięknie wyglądało w blasku kandelabrow i płomieniach świec.

Tym razem jednak dokładnie wiedziała, jak wieczór się skończy. Nie była to kwestia loterii. Nie ciągnęły losów - ona, Malory i Dana - sięgając w głąb rzeźbionego puzderka, by wydobyć krążek z emblematem klucza.

Jej przyjaciółki wykonały już z powodzeniem swoje zadania, przewyciężając wszelkie przeciwności. Odnalazły klucze. Odniosły zwycięstwo i dwa zamki stanęły otworem.

Pomagała im. Poddawała pomysły, dostarczała wsparcia, a nawet pociechy. W końcu jednak zrozumiała, że każda z nich dźwiga własne brzemie. I Malory, i Dana musiały sięgnąć nie tylko po klucz, lecz także w głąb siebie.

Teraz sama podejmowała ryzyko. Nie mogła nie wykorzystać swojej szansy.

Musiała się wykazać dzielnością, inteligencją i siłą, aby to, czego dokonały, nie poszło na marne.

W takich okolicznościach nawet najsmakowitsza pieczeń wieprzowa więzła w gardle.

Przy stole wszyscy rozmawiali swobodnie, zupełnie jakby spożywali zwyczajną kolację w gronie przyjaciół. Malory i Flynn siedzieli dokładnie naprzeciw Zoe. Ciemnozłote włosy Malory były upięte w kok, odsłaniając twarz „dziewczyny z sąsiedztwa”. Duże niebieskie oczy iskrzyły się humorem, gdy opowiadała o „Pokusie”.

Od czasu do czasu Flynn dotykał jej dłoni lub ramienia, niby niedbale, na zasadzie „dobrze, że jesteś, cieszę się, że cię widzę”. Od tego Zoe robiło się ciepło na sercu.

Aby skierować swe myśli na inne tory, postanowiła namówić Flynn na zmianę fryzury. Miał gęste, bujne, ciemnobrązowe włosy z rudawym połyskiem. Gdyby je wycieniować nieco, wyglądałby znacznie lepiej, nie tracąc tego niedbałego wyglądu, który pasował do całej jego postaci.

Popuściwszy wodzy wyobraźni, Zoe już przycinała i układała w myślach włosy sąsiada zza stołu. Wzdrygnęła się gwałtownie, gdy Brad trącił jej nogę.

- Co jest?

- Może byś tak wróciła na ziemię?

- Zamyśliłam się, po prostu.

- I nic nie jesz - wytknął.

Ze złością nabiła na widelec kawałek pieczeni.

- Owszem, jem.

Głos miała napięty, ruchy sztywne. Brada bynajmniej to nie dziwiło. Znał jednak niezawodny sposób, by ją trochę rozluźnić.

- Widzę, że Simon wyśmienicie się bawi.

Zoe zerknęła na syna. Rowena posadziła go obok siebie i prowadzili ożywioną, niemal poufną rozmowę, podczas której chłopiec pałaszował z apetytem to, co było na talerzu.

Chyba nie będzie trzeba zatrzymywać się w McDonalddie, pomyślała uśmiechając się Zoe.

- Łatwo nawiązuje kontakty. Nawet z ludźmi od czarów.

- Od czarów? - powtórzył Brad.

- Tak ich nazywa. Zrozumiał, o co chodzi, i cała sprawa bardzo mu się podoba.

- Nic dziwnego. Niewiele jest rzeczy tak atrakcyjnych dla dzieciaka, jak walka dobra ze złem. Dla ciebie to nieco bardziej skomplikowane.

Zaczęła przesuwając widelcem po talerzu kolejny kawałek mięsa.

- Malory i Dana osiągnęły cel. Ja również potrafię.

- Nie jesteś sama. - Jadł dalej, nie zwracając uwagi na jej zmarszczone brwi. - Zamówiłaś nowe okna do „Pokusy”?

- Wczoraj.

Skinął głową, jakby słyszał o tym po raz pierwszy. Przypuszczał, że Zoe nie byłaby zachwycona, gdyby wiedziała o poleceniu, które wydał personelowi HomeMakers: mają go zawiadamiać o jej wizytach w sklepie i składanych zamówieniach.

- Trzeba wymienić część stolarki. Mógłbym wpaść i trochę ci pomóc.

- Nie musisz. Dam sobie radę.

- Lubię pracować w drewnie. - Uśmiechnął się swobodnie, lekko, jak przyjaciel do przyjaciółki. - Chyba mam to we krwi. A jak z oświetleniem? Zdecydowałaś się na coś?

Udało mu się skierować uwagę Zoe na inne tory. Być może fakt, iż dała się wciągnąć w rozmowę, nie napawał jej entuzjazmem, ale przynajmniej przestała myśleć wyłącznie o kluczu. I wreszcie coś zjadła.

Oszalał na punkcie tej kobiety. Zresztą kto wie, czy w ogóle nie oszalał całkowicie. Dama jego serca ani trochę go nie zachęcała. Przeciwnie, odkąd się poznali - czyli od mniej więcej dwóch miesięcy - zachowywała się oziębło i odstręczająco. Z wyjątkiem jednej chwili, gdy udało mu się ją pocałować niespodzianie. Wtedy bynajmniej nie była oziębła ani

odstręczająca, przypomniał sobie Brad. Miał nadzieję, że owo zdarzenie zaskoczyło i wytrąciło z równowagi Zoe, podobnie jak jego. Nawet teraz, gdyby sobie na coś takiego pozwolił, mógłby snuć bardzo przyjemne marzenia, sięgające nieco dalej niż wtulenie ust w nasadę cudownie długiej szyi.

No i w grę wchodził jeszcze dzieciak. Simon okazał się dodatkową nagrodą wygraną na tej loterii. Świetny kompan, bystry, interesujący - przebywanie w jego towarzystwie było prawdziwą przyjemnością. Nawet gdyby nie czuł pociągu do matki, Brad kontaktowałby się z synem.

Niestety, problem polegał na tym, że Simon znacznie chętniej niż Zoe spędzał z nim czas. Na razie. Ponieważ Bradley Charles Vane IV nigdy nie rezygnował bez walki z czegoś, na czym mu zależało.

Przypuszczał, że czeka ich niejedna potyczka i zamierzał we wszystkich być aktywny. Znalazł się tutaj z powodu Zoe i musiała się z tym pogodzić. Był, żeby pomóc. I żeby ją zdobyć.

Ściągnęła brwi, przerywając wynurzenia na temat światła i instalacji elektrycznej.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Jak?

Pochyliła się leciutko, tyle tylko, by czujne ucho Simona nie wychwyciło jej słów.

- Tak, jakbyś zamierzał mnie ugryźć, choć masz jeszcze zapiekane ziemniaki na talerzu.

Przysunął się bliżej, dostatecznie blisko, by dostrzec, jak się wzdrygnęła.

- Istotnie zamierzam zrobić coś w tym rodzaju, Zoe. Ale nie tutaj i nie teraz.

- Mam wystarczająco dużo na głowie, żeby się jeszcze przejmować tobą.

- Będziesz jednak musiała znaleźć dla mnie trochę miejsca. - Nakrył jej dłoń swoją, zanim zdążyła cofnąć rękę. - Pomyśl. Flynn uczestniczył w poszukiwaniach Malory. Jordan w poszukiwaniach Dany. Policz to sobie, Zoe. Zostaliśmy tylko my dwoje.

- W liczeniu jestem naprawdę niezła. - Wyrwała rękę, ponieważ dotyk Brada działał jej na nerwy. - I wychodzi mi, że zostałam wyłącznie ja.

- Sądzę, że już niebawem się przekonamy, kto jest lepszy w dodawaniu i odejmowaniu.

Nie mówiąc nic więcej, dopił wino.

W salonie, gdzie podano już kawę i szarlotkę pokrojoną w kawałki tak wielkie, że nawet Simon wybałuszył oczy, Malory uspokajającym gestem pogładziła Zoe po plecach.

- Wkraczasz do akcji?

- A mam inne wyjście?

- Możesz na nas liczyć. Stanowimy niezłą drużynę.

- Najlepszą. Myślałam tylko, że się do tego przygotuję jak należy. Miałam najwięcej czasu. Nie sądziłam, że będę się aż tak bała.

- Mnie było najłatwiej.

- Jak możesz tak mówić? - Zoe pokręciła głową, skonsternowana. - Podejmując się tego zadania, nie wiedziałas o nim prawie nic.

- Właśnie. A ty masz w głowie nasze doświadczenia z ostatnich dwóch miesięcy. - Malory uściśliła dłoń Zoe z pełnym zrozumienia uśmiechem. - Niekiedy przerażające, przyznaję. Ponadto na początku nie byliśmy aż tak bardzo zaangażowane. Nie zżyłyśmy się jeszcze z sobą nawzajem, z Roweną i Pitte'em, z Córami. Teraz wszystko nabrało głębszego znaczenia niż dwa miesiące temu.

Zoe wypuściła powietrze z płuc w drżącym wydechu.

- To mi w najmniejszym stopniu nie poprawia samopoczucia.

- Bo nie może. Spoczywa na tobie ciężkie brzemię i chwilami będziesz musiała dźwigać je sama, choć każde z nas chciałoby ci pomóc.

Malory uniosła oczy i z radością powitała nadchodzącą Dane.

- Co jest? - spytała Dana.

- Krótka rozgrzewka przed startem. - Malory ponownie ujęła dłoń Zoe. - Kane będzie próbował cię zranić. Oszukać. Jeśli mam być szczerą, a długo o tym myślałam, za wszelką cenę zechce ci przeszkodzić, ponieważ to już ostatnia runda i zwycięzca zgarnia całą pulę.

Dana pochwyciła drugą rękę Zoe.

- I co, rozgrzałaś się?

- Ja też długo o tym wszystkim myślałam. Boję się go. - Zoe wyprostowała ramiona. - A wy chyba chcecie mi przekazać, że powinnam się bać. Że jeśli naprawdę chcę się przygotować do starcia, powinnam się bać.

- Trafiłaś w sedno.

- Więc lepiej przygotowana już chyba nie będę. Muszę porozmawiać z Roweną, zanim wejdziemy do Pokoju Szklanych Cór. Chciałam postawić jeden warunek przed następnym etapem rozgrywki. - Rozejrzała się i prychnęła cicho na widok Roweny pogrążonej w rozmowie z Bradem. - Dlaczego wszędzie się na niego natykam?

- Dobre pytanie. - Dana poklepała przyjaciółkę po plecach. Malory zaczęła, aż Zoe oddali się nieco.

- Dano? Wyznam ci, że ja też się boję.

- Ja również.

Zoe stanęła przed Roweną, odchrząknęła dyskretnie.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Roweno, chciałabym z tobą pomówić przed następnym... posunięciem.

- Oczywiście. Przypuszczam, że zamierzasz poruszyć temat, który właśnie omawialiśmy z Bradem.

- Nie sądzę. Chodzi mi o Simona.

- No właśnie. - Roweną poklepała zapraszającym gestem sąsiednią poduszkę. - Bradley nalega, bym uczyniła coś konkretnego, coś specjalnego, by ochronić Simona.

- Kane nie ma prawa tknąć chłopca. - W głosie Brada dźwięczała zimna, nieugięta stal.

- Nie ma prawa go wykorzystać. Całe to zamieszanie nie dotyczy Simona. Tak brzmi ostateczny warunek.

- A zatem stawiasz warunki w imieniu Zoe i jej syna? - spytała Rowena.

- Nie - wtrąciła pospiesznie Zoe. - Sama potrafię przemówić w naszym imieniu. Ale dziękuję. - Zerknęła na Brada. - Dziękuję ci, że pomyślałeś o Simonie.

- Nie tylko myślę o nim, lecz także stawiam sprawę jasno. Ty i Pitte chcecie zdobyć trzeci klucz - zwrócił się do Roweny. - Pragniecie zwycięstwa Zoe. Kane pragnie, by poniosła porażkę. Mówiliście o regułach, które zabraniają wyrządzania krzywdy śmiertelnikom, przelewania ich krwi, odbierania im życia. Kane złamał te reguły i byłby zabił Dane i Jordana, gdyby mógł. Nie ma powodu przypuszczać, że tym razem będzie walczył uczciwie. Przeciwnie, wszystko wskazuje na to, że ucieknie się do jeszcze podlejszych chwytów.

Zoe poczuła ucisk w okolicach serca, zabrakło jej tchu.

- Nie tknie mojego syna. Nie ma mowy. Musisz mi to przyrzec. Musisz to zagwarantować, bo inaczej się wycofuję.

- Nowe warunki. - Rowena uniosła brwi. - I kategoryczne żądania?

- Ujmijmy to tak - Brad uprzedził Zoe, uciszając ją surowym spojrzeniem. - Jeżeli w jakiś sposób nie wyłączysz Simona z tej gry, jeśli nie osłonisz go przed Kane'em, może zostać wykorzystany przeciw Zoe i spowodować jej porażkę. Jesteście już blisko celu, Roweno. Zbyt blisko, by przeszkodził wam jeden warunek.

- Dobrze rozegrałeś tę partię, Bradleyu. - Roweną poklepała go po kolanie. - Simon ma w tobie potężnego obrońcę. I w tobie również - zwróciła się do Zoe. - Ale już to zrobiłam.

- Co? - Zoe spojrzała na Simona, który ukradkiem karmił Moe - go okruchami ciasta.

- Jest pod ochroną, najpotężniejszą, jaką mogłam mu zapewnić. Zrobiłam to, kiedy spał, tamtego wieczoru, gdy Dana znalazła drugi klucz. - Delikatnie musnęła palcami policzek

Zoe. - Nie prosiłabym cię o narażanie twego dziecka na niebezpieczeństwo, nawet dla córek boga.

- Więc jest bezpieczny. - Zoe zamknęła oczy, czując piekące łzy ulgi. - Kane nie może go skrzywdzić.

- Tak bezpieczny, jak to tylko możliwe. Kane musiałby najpierw pokonać i mnie, i Pitte'a. A to by go bardzo drogo kosztowało, możesz mi wierzyć.

- Ale gdyby się przedał...

- Wtedy trafi na nas - oznajmił Brad. - Na całą naszą szóstkę plus dużego psa. Nawiasem mówiąc, rozmawiałem o tym z Flynnem. Powinnaś wziąć do siebie Moego, trzymać go w pobliżu, tak jak przedtem Dana. Jako coś w rodzaju systemu wczesnego ostrzegania.

- Wziąć Moego? Do domu? - Ten wielki niezdarny pies w jej ciasnym domku? - Wolałabym, abyś najpierw uzgadniał ze mną takie decyzje.

- To tylko sugestia, nie decyzja. - Przechylił głowę i choć jego głos brzmiał łagodnie, twarz przybrała stanowczy wyraz. - Rozsądna i uzasadniona sugestia. Zresztą dzieciakowi w wieku Simona przyda się kontakt z psem.

- Kiedy uznam, że Simon dojrzał do opieki nad psem...

- Dobrze już, dobrze. - Powstrzymując śmiech, Rowena ponownie poklepała po kolanie Brada, a potem Zoe. - Czemu się sprzeczasie, skoro wam obojgu chodzi tylko o dobro Simona?

- Więc może zrobimy, co mamy do zrobienia. Aż mnie skręca, kiedy tak czekam na te wszystkie formalności.

- Dobrze. W tym czasie Simon mógłby zabrać Moego na spacer. Czuwamy nad nim - zapewniła Rowena. - Będzie bezpieczny.

- Zgoda.

- Załatwię to. A potem przejdziemy do sąsiedniego pokoju.

Zoe pozostała sama na samą z Bradem, bez Roweny w charakterze zderzaka między nimi. Splotła dłonie na kolanach, Brad zaś sięgnął po filiżankę z kawą.

- Przykro mi, jeśli to, co powiedziałam, zabrzmiało niewdzięcznie i nieuprzejmie - zaczęła. - Nie jestem niewdzięczna.

- Tylko nieuprzejma?

- Może. - Uświadomiła sobie, że to prawda, i gorący rumieniec wypłynął jej na policzki. - Ale jeżeli tak, to nieumyślnie. Nie przywykłam, żeby ktoś...

- Ofiarował się z pomocą? - podsunął. - Troszczył się o ciebie i o Simona?

Zadał to pytanie tonem nieco kąśliwym, lecz zarazem tak niedbałym i chłodnym, że poczuła się upokorzona. Przybierając postawę obronną, poprawiła się na sofie i spojrzała mu prosto w oczy.

- Właśnie. Nikt mi nie pomagał go wychować ani nakarmić, ani obdarzyć miłością. Bez niczyjej pomocy zapewniłam mu dach nad głową. Zrobiłam to sama i całkiem nieźle sobie poradziłam.

- Nie całkiem nieźle - sprostował. - Poradziłaś sobie wręcz doskonale. I co? Czy dlatego musisz odtrącać każdą pomocną dłoń?

- Nie, wcale nie. Mącisz mi w głowie.

- Na początek dobre i to. - Ujął jej dłoń i podniósł do ust, zanim zdążyła zaprotestować. - Powodzenia.

- Och. Dziękuję. - Wstała pospiesznie na widok powracającej Roweny.

- Jeżeli jesteście gotowi, pragnęlibyśmy podtrzymać tradycję rozpoczynania poszukiwań w sąsiednim pokoju.

Brad nie odrywał oczu od Zoe. Pobladła lekko, ale trzymała się dzielnie. Gdy wszyscy ruszyli szerokim korytarzem, zauważył, że Malory i Dana przesuwają się natychmiast, by zająć miejsca obok przyjaciółki, po obu stronach.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy stworzyły zgraną trójkę, coś w rodzaju rodziny. Nie przypuszczała, aby cokolwiek mogło to zmienić. Potrzebowały tej więzi, by przetrwać nadchodzące dni.

Jego serce zabiło mocniej, gdy wszedł do pokoju i spojrzał na obraz, który dominował nad całym pomieszczeniem.

Szklane Córy, tuż zanim wykradziono im dusze, trzymały się blisko siebie. Tak samo jak trzy kobiety o twarzach będących lustrzanym odbiciem twarzy owych nieszczęsnych półbogiń.

Venora o żywych błękitnych oczach Malory siedziała z harfą na kolanach i lekkim uśmiechem na ustach. Niniane mająca wyraziste rysy Dany i gęste brązowe włosy przysiadła na marmurowej ławce ze zwojem i gęsim piórem w dłoniach.

Za nimi, z mieczem u boku i szczenięciami w ramionach, stała Kyna. Odwzajemniała spojrzenie Brada. Jej atramentowoczarne włosy opadały w długich splotach, zupełnie niepodobnych do krótkiej, sztywnej i seksownej fryzury Zoe. Ale oczy, te topazowe oczy o migdałowym wykroju, były identyczne.

Przyciągały go, zupełnie jakby jego serce zostało schwyte na haczyk.

Trzy Córy promieniały urodą, radością i niewinnością w świecie nasycenym barwą i

światłem. Ale przy bliższych oględzinach można było zauważyć oznaki nadciągającego mroku.

W leśnej gęstwinie majaczył niewyraźny cień mężczyzny. Na jasne kafelki wpełzał wijący się wąż. Niebo w rogu obrazu przybrało ciemny kolor, zwiastujący burzę, której siostry nie były jeszcze świadome. A przytuleni kochankowie na drugim planie byli zbyt zajęci sobą, by wyczuć niebezpieczeństwo grożące ich podopiecznym.

Ktoś, kto przyjrzał się jeszcze uważniej, mógł dostrzec trzy klucze umiejętnie wtopione w obraz. Jeden, pod postacią ptaka, płynął po lazurowym niebie. Drugi krył się w soczystej zieleni lasu. Trzeci zaś połyskiwał na dnie sadzawki za plecami Cór, które cieszyły się ostatnią chwilą spokoju i niewinności.

Brad widział, jak wyglądały po rzuceniu zaklęcia. Śmiertelnie blade, zastygłe w bezruchu, spoczywały w kryształowych trumnach. Tak namalowała je Rowena.

Kupił ten obraz, zatytułowany „Zaklęcie”, wiele miesięcy przed powrotem do Valley, nie wiedząc jeszcze nic o trzech kobietach i ich poszukiwaniach. Musiał go kupić - tak teraz myślał - ponieważ twarz Zoe rozbudziła w nim silne emocje. Miłość? Fascynacja? Obsesja? Bóg jeden wie co.

- Dwa klucze zostały odnalezione - zaczęła Rowena. - Otworzono dwa zamki. Pozostał tylko jeden. - Wypowiadając te słowa stanęła pod portretem, na tle złocisto czerwonych płomieni tańczących w kominku. - Zgodziłyście się wziąć udział w poszukiwaniach z ciekawości, a także dlatego, że każda z was znalazła się na rozdrożu, w obliczu nierozstrzygniętych i przygnębiających problemów. Ponadto - dodała - oferowano wam zapłatę. Ale kontynuowałyście rozpoczęte dzieło, gdyż jesteście silne i lojalne. Nikt w ciągu trzech tysiącleci nie dokonał tego, co wy.

- Poznałyście moc sztuki - podjął Pitte, stając obok Roweny - i moc prawdy. Dwie pierwsze drogi prowadzą was do trzeciej.

- Macie siebie nawzajem - rzekła Rowena - i macie swoich mężczyzn. Wspólnie tworzycie łańcuch. Nie wolno wam dopuścić, by Kane go rozerwał. - Postąpiła krok naprzód i przemówiła do Zoe, jak gdyby były w pokoju same. - Teraz kolej na ciebie. Zakończenie poszukiwań było od początku przeznaczone tobie.

- Mnie? - Paniczny strach chwycił ją za gardło. - Jeżeli tak, to dlaczego ciągnęłyśmy losy? Mai, Dana i ja?

- Zawsze musi istnieć wybór. Przeznaczenie to drzwi, a ty wybierasz, czy przez nie przejść, czy zawrócić z drogi. Przejdziesz przez nie teraz?

Zoe spojrzała na portret i kiwnęła głową.

- A zatem dam ci twoją mapę, twoje wskazówki i oby cię poprowadziły.

Podeszła i wzięła do ręki zapisany zwój.

- „Piękno i prawda - przeczytała - giną, jeśli nie wspiera ich odwaga. Jedna para rąk może zacisnąć się zbyt mocno, tak iż to, co cenne, prześliznie się między palcami. Strata i ból, smutek i wola oświetlają wyboistą ścieżkę przez las. Na drodze widać krew, kres niewinności i duchy zdarzeń, które mogły nastąpić.

Przy każdym rozwidleniu ścieżki wiara wybiera drogę, a zwątpienie ją zagradza. Czy będzie to rozpacz, czy radość? Czy istnieje spełnienie bez ryzyka lub straty? Czy będzie to koniec, czy początek? Czy wkroczysz w światło, czy cofniesz się w mrok?

Po obu stronach stoi ktoś, kto wyciąga ręce. Wybierzesz pierwszego czy drugiego, czy też zaciśniesz dłonie w pięści, by zatrzymać to, co już jest twoje, i zetrzesz na proch?

Lęk jest łowcą, a jego strzała przeszywa serce, umysł, wnętrzości. Rany pozbawione opatrunku ropieją, a zbyt długo lekceważone blizny twardnieją niczym łuski, zasłaniając oczom to, co przede wszystkim powinny zobaczyć.

Gdzie stoi bogini z mieczem w dłoni, gotowa stoczyć walkę, gdy nadejdzie pora? I gotowa także odłożyć miecz, gdy nadchodzi czas pokoju. Odnajdź ją, poznaj jej moc, jej wiarę i waleczne serce. Kiedy bowiem spojrzysz na nią wreszcie, zdobędziesz klucz, by ją oswobodzić. A znajdziesz go na ścieżce, na której żadne drzwi nigdy nie zamkną się przed tobą”.

- O retę. - Zoe przycisnęła ręką brzuch. - Mogę zatrzymać kartkę? Bo na pewno nie zapamiętam tego wszystkiego.

- Oczywiście.

- To dobrze. - Starła się mówić najspokojniejszym tonem, na jaki było ją stać. - Te wskazówki zabrzmiały trochę...

- Brutalnie - podsunęła Dana.

- No właśnie. - Zoe uspokoiła się nieco, gdy poczuła dłoń przyjaciółki na ramieniu. -

W porównaniu z poprzednimi moje zawierają o wiele więcej pytań.

Rowena wręczyła jej zwój.

- Odpowiedz na nie - skwitowała krótko.

Kiedy zostali sami, Pitte podszedł do Roweny, wpatrzonej w portret.

- On bardzo prędko ruszy za nią w pogoń - powiedziała. - Czyż nie?

- Tak. Miał więcej czasu, by się jej przyjrzeć, poznać słabości, zrozumieć lęki i potrzeby. Wykorzysta tę wiedzę na pewno.

- Mały potrzebuje ochrony. Cokolwiek uczynimy, jakkolwiek zapłacimy cenę,

musimy zapewnić mu bezpieczeństwo. To przemiły chłopczyk, Pitte.

Słyszac nutę bólu i tęsknoty w głosie Roweny, przyciągnął ją do siebie, wtulił usta we włosy.

- Nic mu nie zagrozi. Kane nie tknie tego dziecka.

Skinęła głową i zwróciła oczy w stronę kominka.

- Zastanawiam się, czy ona zaufa bez zastrzeżeń, tak jak ja zaufałam tobie? Czy potrafi zaufać, zważywszy, przez co przeszła i na co się naraża?

- Wszystko zależy teraz od odwagi jednej kobiety. - Uniósł nieco głowę Roweny, pogładził kciukiem jej podbródek. - Jeżeli drzemie w niej choćby iskra twojej odwagi, zwyciężymy w tej grze.

- Nie miała ciebie. Nie miała oparcia w nikim. Każde z nich poruszyło moje serce, Pitte. Nie spodziewałam się, że połączy mnie z nimi tak głęboka więź. - Dotknęła dłonią piersi. - Ale ona, dzielna młoda mateczka, wzrusza mnie najbardziej.

- Zatem zaufaj im. Są zaradni i inteligentni. Jak na śmiertelnych.

Te słowa rozśmieszyły ją i poprawiły nastrój.

- Spędziłeś wśród nich trzy tysiące lat, a wciąż uważasz ich za dziwadła.

- Być może. Jednak w przeciwieństwie do Kane'a nabrałem do owych istot szacunku i nauczyłem się nigdy nie lekceważyć kobiet. Chodź. - Wziął ją na rękę. - Czas do łóżka.

Zoe już dawno ułożyła Simona do snu, ale ciągle wynajdywała sobie jakieś domowe zajęcia. Długo po tym, jak syn przestał szeptać do psa i usłyszała, że Moe gramoli się na łóżko, a chłopiec parska zduszonym chichotem, krążyła po domu, rozglądając się za czymś, czym mogłaby zająć ręce i umysł. Obawiała się, że będzie oglądała wschód słońca i początek nowego dnia, ponieważ nie zdoła zasnąć.

Nie byłaby to jej pierwsza bezsenna noc. Miała ich na koncie bardzo wiele. Noce, kiedy Simon kaprysił albo chorował. Noce, kiedy przewracała się z boku na bok, zamartwiając się o rachunki. Noce wypełnione najrozmaitszymi pracami, na których dokończenie dzień był po prostu za krótki.

Bywało, że nie mogła spać dlatego, że czuła się zbyt szczęśliwa. Pierwszą noc w nowym domu spędziła, wędrując po pokojach, dotykała ścian, wyglądała przez okna, rozmyślała, co i jak zrobić, by czuło się tu ciepło prawdziwego domowego ogniska. Przede wszystkim chodziło jej o Simona.

Ta noc również należała do wyjątkowych, więc narzekanie na kilka nieprzespanych godzin nie miało sensu.

Wiedziała, że nie zaśnie, wciąż była podekscytowana. O północy postanowiła wziąć

długi, gorący prysznic - z rozkoszną świadomością, że nie przeszkodzi jej mały chłopiec, domagający się uwagi.

Powiesiła na drzwiach swoją najlepszą ceglastoczerwoną koszulę nocną i zapaliła ozdobną świecę własnej roboty, żeby łazienka oprócz pary wypełniła się aromatem.

Zoe wierzyła, że drobne rytuały sprzyjają dobrym snom.

Próbowała znaleźć ukojenie w pulsujących strugach wody, smarując ciało jedwabiście gładkim, brzoskwiniowym żelem pod prysznic, który zamierzała wprowadzić do sprzedaży w salonie. Doszła do wniosku, że najpierw przemyśli dokładnie wskazówki Roweny, spróbuje stworzyć z nich spójną całość. A potem rozłoży na kawałki, jak w układance, i będzie się starała dopasować jeden kawałek do drugiego aż... aż do końca, pomyślała.

Krok po kroku, dopóki nie zorientuje się w sytuacji. Obraz dla Malory, książka dla Dany. A dla niej? Szampon i krem do twarzy?

- zaśmiała się w duchu. To rzeczywiście jej dziedzina. No i jeszcze rozumiała, co może być ważne w chłopięcym świecie. Potrafiła tworzyć. Potrafiła budować i przekształcać.

Była zręczna - uznała tak, obracając dłonie pod strumieniem wody. Ale co miały do tego leśne ścieżki albo bogini z mieczem?

Podróż, pomyślała, zakręcając wodę. Z pewnością jakiś symbol, bo przecież nigdy nie odbyła żadnej podróży. I w najbliższym czasie również nie planowała.

Może chodziło o jej przyjazd do Pleasant Valley albo o firmę, którą zamierzała prowadzić wspólnie z Malory i Daną? A może - pomyślała, wycierając się energicznie - chodziło po prostu o życie?

Moje życie? Życie Cór? To trzeba będzie dopiero rozstrzygnąć, stwierdziła, wcierając w skórę brzoskwiniowy balsam. W jej życiu nie zaszło nic specjalnie ciekawego, ale niby czemu miałyby zajść? Przypomniała sobie, że Dana wyłuskała ze swojej wskazówki pojedyncze słowa, które później analizowała. Niewykluczone, że ona także spróbuje.

Bogini z mieczem - łatwe rozwiązanie. Kyna dzierżyła miecz i była przypisana do niej. To jednak nie wyjaśniało, w jaki sposób Zoe miała ją rozpoznać, by następnie odnaleźć klucz i uwolnić nieszczęsną duszę.

Spojrzała w zaparowane lustro nad umywalką, potrząsając głową.

Długie czarne włosy spływały jej na ramiona, a twarz wydawała się bardzo blada. Złociste oczy wpatrywały się w nią intensywnie, z napięciem. Mgiełka, unosząca się spod prysznica, kłębiła się przed lustrem, połyskując niczym czarodziejska zasłona, gdy Zoe sięgnęła drżącymi palcami w stronę odbicia, które nie było jej własnym.

Przez chwilę miała wrażenie, że przeniknie zasłonę, przeniknie szkło i dotknie żywego

ciała.

Stała jednak samotnie w łazience, przyciskając dłonie do zaparowanego lustra. I wpatrywała się we własną twarz.

Już sobie wyobrażam, co będzie dalej, pomyślała, opuszczając rękę. Projekcja, tak to nazywają specjaliści. Usiłowała dostrzec samą siebie w młodej bogini - i dostrzegła, do czego przyczyniło się zapewne zmęczenie, nie mówiąc już o zdenerwowaniu. Kolejna perspektywa do rozważenia rano, gdy jej umysł będzie lepiej pracował.

Zabrała do łóżka skoroszyt i przejrzała listę zaopatrzeniową. Dla salonu, dla centrum odnowy biologicznej, które zamierzała otworzyć. I dla domu. Rozpatrzyła kilka nowych pomysłów, coś zanotowała, spróbowała się skoncentrować. Ale jej myśli nieustannie krążyły wokół klucza i wskazówek.

Las. W Pensylwanii było mnóstwo lasów. Czy chodziło o las w dosłownym znaczeniu, czy może była to jakaś metafora? Zoe niezbyt dobrze radziła sobie z przenośniami.

Krew. O co chodziło z tą krwią? O Jordana, rannego w walce? A może o kogoś innego? Może o nią?

Niewątpliwie odniosła w życiu kilka obrażeń. Raz zacięła się głęboko w palec... ile miała wtedy lat, jedenaście? Kroiła pomidory do kanapek. Jej brat i siostra bili się, któreś ją potrąciło.

Nóż przeciął bok kciuka aż po knykcie i krew tryskała jak z fontanny. Blizna pozostała do dziś - Zoe dostrzegła cienką kreskę, gdy obracała dłoń.

Nie wchodziła jednak w grę prawdziwa blizna i z pewnością nie pełniła funkcji tarczy. A zatem nie o tym była mowa.

Ból, strata, krew i rozpacz. Chryste, dlaczego wskazówki brzmiały tak przygnębiająco?

Uznała, że musi po prostu stawić temu czoło i sięgnęła po notatki. Zamrugła, powieki jej opadły i usnęła przy zapalonym świetle.

We śnie jej krew kapła miarowo na brunatne linoleum, a tuż obok dzieciaki darły się wniebogłosy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zoe zasnęła. Nie pamiętała, kiedy jej się to ostatnio zdarzyło. Z pewnością nie w ciągu minionej dekady. W rezultacie dotarła do „Pokusy” dopiero przed dziesiątą, w towarzystwie chłopca i psa.

Zaparkowała na ulicy, gdyż nie było już miejsca na podjeździe. Stały tam samochody Flynna i Jordana. Oraz jedno z aut Brada. Wiedziała, że ma co najmniej dwa.

Udało jej się złapać smycz Moego, zanim wyskoczył z auta. Z kobietą wprawą zgarnęła torebkę i przenośną lodówkę, zatrzymała psa, a wysiadając z samochodu, bacznie obserwowała syna.

- Trzymaj go mocno - poinstruowała Simona, przekazując mu smycz. - Postaraj się, żeby cię słuchał. Musimy zapytać Flynna, co zamierza z nim dzisiaj zrobić.

- Może go zostawić ze mną. Pobawimy się za domem.

- Zobaczymy. Teraz zmykajcie, ale masz pozostać w zasięgu wzroku, dopóki nie zorientuję się w sytuacji.

Odbiegli natychmiast, a Zoe ruszyła ku frontowym drzwiom.

Uwielbiała patrzeć na ten wielki stary dom, kryjący w sobie nieograniczone możliwości. Trzy przyjaciółki odcisnęły już na nim swoje piętno - pomalowały frontowy ganek na jaskrawoniebieski kolor i ustawiły po obu stronach schodów doniczki z chryzantemami.

Zoe miała zamiar w najbliższym czasie zakupić na pchlim targu jakieś stare donice, odczyścić je i pomalować. Może wyszuka jeszcze połówkę beczki po whisky, żeby zasadzić w niej sezonowe kwiaty.

Spojrzała w okno nad frontowymi drzwiami. Malory zamówiła u pewnego artysty witraż z wzorem ich logo. Ten akcent również przydawał domowi cech wyjątkowości.

Postawiła chłodziarkę na ziemi i otworzyła drzwi.

Najpierw usłyszała muzykę. Radio nie było nastawione na pełny regulator, ale niewiele brakowało. Kaskada dźwięków mieszała się z innymi odgłosami - dobiegało walenie młotkiem, zgrzyt piły i ożywione rozmowy. Wszystko razem świadczyło, że praca wre.

Stała przez chwilę zasłuchana, wpatrując się w schody, które dzieliły parter na dwie niemal równe części. Po jednej stronie miała się mieścić księgarnia Dany, po drugiej galeria Malory. A nad nimi mój salon, pomyślała. Na tyłach domu wspólna kuchnia, a dalej mały ogródek, w którym - tak sobie wyobrażała - ustawią później stoliki dla klientów, by mogli przy sprzyjającej pogodzie napić się czegoś orzeźwiającego.

Choć do otwarcia „Pokusy” pozostało jeszcze wiele dni, marzenia Zoe już się spełniły.

- Cześć! Gdzie reszta załogi?

Zoe powróciła do rzeczywistości i ujrzała Dane, która wkroczyła właśnie do niewielkiego holu.

- Za domem. Przepraszam za spóźnienie.

- Już obcięliśmy ci wyplatę. A raczej będzie tak, kiedy zainstalujemy zegar kontrolny. Rany, nie rób takiej nieszczęśliwej miny. Nikt tu jeszcze nie wyznaczył godzin pracy, zwłaszcza w sobotę.

- Miałam zamiar przyjechać półtorej godziny wcześniej - wyjaśniła Zoe, zdejmując płaszcz - ale zasnęłam. Wstałam dopiero o ósmej.

- O ósmej! - wykrzyknęła ze zgrozą Dana. - Ty przebrzydły leniuchu!

- Nie wiem, jakim cudem Simon zamknął gębę psu i na odwrót, ale gdy wstałam, obaj byli na podwórzu. Zanim doprowadziłam ich do porządku, dałam śniadanie i sama się pozbierałam, już byłam spóźniona. Potem zatrzymałam się koło Flynnna, żeby zostawić Moego, ale nikogo nie zastałam. Simon nie posiadał się ze szczęścia. - Westchnęła. - Dano, będę mu w końcu musiała sprawić psa. Czuję to.

Dana uśmiechnęła się promiennie, pokazując dołeczki w policzkach.

- Ty kapuściana głowo.

- Święta prawda. Nie wiedziałam, że wszyscy dzisiaj zjadą.

- Pomyśleliśmy sobie, że pchniemy trochę robotę.

- Bardzo dobrze. - Zoe, gotowa natychmiast zabrać się do pracy, zapięła na biodrach pas z narzędziami. - Co teraz robisz?

- Zamierzałam pociągnąć podłogi drugą warstwą lakieru, ale Jordan twierdzi, że kiepsko mi wychodzi. Dlatego sam wziął się do dzieła, a mnie pozostawił malowanie kuchni. Wszyscy jednogłośnie wyrażają opinię, że tylko do tego się nadaję.

- Malujesz znakomicie - powiedziała dyplomatycznie Zoe.

- Malory z Flynnem zaczęli lakierować podłogę w galerii, ale tym razem właśnie nasza przyjaciółka uznała, że on to robi źle, i posłała go na górę do Brada.

- Na górę? Do mnie? Co Bradley ma do roboty na górze?

- Wydaje mi się... - zaczęła Dana, lecz dała sobie spokój, gdyż Zoe była już w połowie schodów i za chwilę mogła się sama przekonać.

Ściany salonu wcześniej pomalowała własnoręcznie. Miały odcień ciemnego różu, zbliżonego do fioletu. Mocny kolor, kobiecy, lecz nie dziewczęcy - nie aż tak, by odstręczać mężczyzn. Dla kontrastu stolarkę okienną, kontuury i wykończenia zamierzała pomalować na

zielono. Te same barwy, choć w nieco łagodniejszych odcieniach, zaplanowała do gabinetów zabiegowych. Podłogi były wycyklinowane i uszczelnione, o co Zoe zadbała osobiście, a potem rozłożyła ochronne płachty.

Obmyśliła już wystrój wnętrza i wybrała materiał na pokrowce, nabywszy wcześniej używaną sofę i kilka krzeseł. Wybrała również lampy, leżanki, nawet ręczniki w odpowiednim kolorze. Wszystkiemu pragnęła nadać własne piętno, odzwierciedlić własną wizję, dokonać tego własnymi rękoma.

I oto ujrzała Bradleya Charlesa Vane'a IV pracowicie przycinającego płytę do jednego z blatów.

- Co ty robisz?

Oczywiście nikt jej nie usłyszał. Głos nie zdołał się przebić przez warkot piły Brada, trzask pistoletu do wbijania gwoździ, którego używał Flynn, i ryczącą muzykę. Równie dobrze Zoe mogłoby tam wcale nie być. W porządku, zaraz załatwi sprawę.

Podeszła zdecydowanym krokiem, a jej cień padł na płytę i wzornik, z którego korzystał Brad. Spojrzał w górę i ruchem głowy dał Zoe do zrozumienia, że zasłania mu światło. Nie ustąpiła.

- Chcę wiedzieć, co robisz.

- Chwileczkę! - huknął i doprowadził brzeszczot piły do końca płyty. Wyłączył urządzenie i ściągnął okulary ochronne. - Dostarczono twój laminat.

- Chcę... Mój laminat? - Podniecona, odwróciła się we wskazanym przez Brada kierunku. I rzeczywiście zobaczyła swoją wymarzoną intensywną zieleń. - Jest idealny. Wiedziałam, że będzie idealny. Mieli go dostarczyć dopiero w przyszłym tygodniu.

- Widocznie tak im wyszło. - Nie powiedział, że osobiście się do tego przyczynił. - Powinniśmy dzisiaj odwalić kawałek roboty.

- Nie wymagam od ciebie...

- Cześć, Zoe. - Flynn odłożył pistolet i uśmiechnął się szeroko. - Co o tym sądzisz?

- Bardzo miło z waszej strony, że nam pomagacie. Na dodatek w sobotę i w ogóle. Ale sama dam sobie radę, jeśli macie w planach jakieś... inne zajęcia.

- Na razie idzie nam nieźle. - Zerknął ponad jej ramieniem. - A gdzie mały chłopiec z dużym psem?

- Gdzieś za domem. Nie wiedziałam, co z nimi zrobić.

- Niech się wyszaleją. Zobaczę, co robią. - Flynn dźwignął się na nogi. - Przynieść wam kawę?

- Pod warunkiem, że nie ty ją zaparzysz? - odparł Brad.

- Niewdzięcznik. - Flynn mrugnął do Zoe i wyszedł, zostawiając ich samych.

- Nie chciałam, żebyś...

- Wybrałaś dobry wystrój - przerwał jej Brad. - Prosty i gustowny. Łatwo się domyślić, o co ci chodzi, prześledzić twój plan.

- Nie przypuszczałam, że ktokolwiek będzie wglądał w moje plany.

- Robisz dobrą robotę. - Zawiesił głos, czując ciężar jej spojrzenia. - Dopracowany projekt, trafne rozwiązania, wystrój obmyślony z polotem. Tylko dlaczego się upierasz, że musisz wszystkiego dopilnować sama?

- Nie upieram się. Po prostu nie chcę, żebyś się czuł zobowiązany, to wszystko.

Uniósł brew.

- Niewdzięcznica.

Mimo woli parsknęła śmiechem.

- Może nie jestem wybitną siłą fachową. Ale nie wiem, czy ty się nadajesz do takiej roboty. - Obeszła płytę, którą dla niej przycinał. - Chyba nieźle sobie radzisz.

- Gdyby mój dziadek to usłyszał, pękłby z dumy.

Uśmiechnęła się do niego swobodnie i zdawkowo nad stertą drewna.

- Chciałabym sama przyciąć laminat. Żebym potem mogła...

- Patrzeć na skończoną pracę, teraz i za rok, i mówić sobie: „Hej, to moje dzieło”.

- No właśnie. Nie sądziłam, że zrozumiesz. Wyprostował się i przechylił głowę.

- Czy wiesz, dlaczego tu wróciłem?

- Nie. Chyba nie.

- Może kiedyś mnie o to zapytasz. A teraz łap za pistolet, dobra? I zrobmy, co mamy do zrobienia.

Musiała przyznać, że nieźle im się razem pracowało, a Brad - wbrew obawom - nie traktował jej z góry, wychodząc z założenia, że kobieta nie potrafi posługiwać się narzędziami. Przeciwnie, uznał za rzecz oczywistą, że potrafi.

Owszem, bywał apodyktyczny. Gdy próbowała dźwignąć coś, co wydawało mu się za ciężkie, natychmiast warczał, by dała sobie spokój. I uparł się, że sam przyniesie na górę podręczną chłodziarkę. Ale machnęła na to ręką, bo właśnie smarowała klejem stolarskim swoją pierwszą szafkę. Klej śmierdział mimo otwartych okien.

- Dobrze, że pracujemy małymi odcinkami - zauważył Brad. - Gdybyśmy smarowali większe kawałki bez wentylatora, już byśmy byli naćpani.

- Przeżyłam coś podobnego dwa lata temu, gdy wymieniałam blaty w kuchni. Zakręciło mi się w głowie, zupełnie jakbym była pijana. Musiałam wyjść i położyć się na

trawniku.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy. Policzki zaróżowiły się nieco, lecz oczy pozostały czyste.

- Gdy tylko coś poczujesz, daj mi znać.

- Na razie nic mi nie dolega. - Dotknęła kleju czubkiem palca. - Już prawie wyschło.

- Szkoda. Bo chętnie bym popatrzył, jak ci się kręci w głowie. Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Jest tu dużo świeżego powietrza.

- Mimo wszystko jesteś lekko zarumieniona. - Musnął palcem jej policzek. - Masz niesamowicie gładką skórę.

- To... no cóż, kwestia reklamy. - Nie była pewna, czy wcześniej się zarumieniła, teraz jednak czuła wzbierające ciepło. - Większość produktów wypróbuję na sobie. Na przykład cudowne serum. Oszczędza czas.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się leniwie, przeciągając palcem wzdłuż jej szyi. - To chyba działa.

Nie zamierzam sprzedawać produktów, których sama nie przetestowałam.

- A co robisz z ustami?

- Słucham?

- Czego używasz? Bo masz miękkie usta. - Musnął je opuszką kciuka. - Gładkie i kuszące.

- Jest taki balsam... nie rób tego.

- Czego?

- Nie całuj mnie. Nie chcę, żeby mi się wszystko pomieszało. I mamy jeszcze robotę.

- Słusznie. Ale przecież nie musimy pracować przez okrągłą dobę. Klej zdążył już chyba wyschnąć. Jesteś gotowa?

Kiwnęła głową. Mimo powiewu świeżego powietrza czuła się jednak dziwnie. I to on był winowajcą. Chyba zdawał sobie sprawę - wiedział, w jaki sposób wpływają na kobietę takie przeciągłe, głębokie spojrzenia i niedbałe muśnięcia. Musiała zahartować serce, by nie wpaść w poważne kłopoty.

Razem położyli laminat. Praca wymagała współdziałania i precyzji. Gdy już jedna posmarowana klejem powierzchnia połączy się z drugą, nie ma odwrotu.

Kiedy opuścili płytę na miejsce, krawędzie dopasowały się należycie, a zaciskami umocowali całość do wyschnięcia, Zoe cofnęła się o krok.

Tak, miała rację z tymi zaokrąglonymi brzegami, które przybrały subtelną, płynną

linię. Proste i praktyczne, a jednocześnie eleganckie. Klientki nie zwracają uwagi na szczegóły, lecz na efekt końcowy.

- Nieźle wygląda - rzucił Brad zza jej ramienia. - Można wywiercić zgrabne otwory na przewody do tych gadżetów, których będziesz używała.

- Chodzi ci o suszarki i lokówki?

- Właśnie. Żeby przewody nie plątały się wszędzie i nie zwisały z każdego blatu, wywołując wrażenie bałaganu.

- Chciałabym, żeby było ekskluzywnie, a zarazem swobodnie.

- Co zamierzasz robić z ludźmi w pozostałych pomieszczeniach?

- Och, wchodzi w grę różne tajemne rytuały. - Nonszalancko machnęła ręką, rozśmieszając go owym gestem. - A gdy już zarobię prawdziwe pieniądze, zamontuję w łazience szwedzki prysznic i wannę hydroterapeutyczną. To będzie coś w rodzaju wodolecznictwa. Ale jeszcze nie teraz. Na razie zamierzam złożyć drugą szafkę.

Ona haruje jak wół, pomyślał Brad. Jej działania przekraczały zwykłą ochotę, a nawet potrzebę intensywnej pracy. Kryło się pod nimi głębokie przekonanie, że musi robić to, co robi. Przerwała tylko, by sprawdzić, co się dzieje z synem - czy jest syty i bezpieczny. Gdy zaczęli przycinać laminat na drugą szafkę, reszta ekipy już szykowała się do odejścia.

Malory weszła na górę i stanęła jak wryta, podpierając się pięściami pod boki.

- Ho, ho! Ilekroć zajrzę, zawsze widzę coś nowego. Zoe, to wygląda kapitalnie. Kolorystyka jest po prostu bajeczna. Twoja nowa szafka? - Podeszła bliżej. - Aż trudno uwierzyć, że sama ją zrobiłaś.

- Niezupełnie sama. - Podeszła do Malory, masując z roztargnieniem zeszywniałe ramiona. - Naprawdę wygląda fajnie, nie sądzisz? Wiem, mogłam kupić gotowe szafki, w podobnej cenie, ale nie byłoby to właściwe. A jak tam na dole?

- Podłogi zrobione, kuchnia pomalowana. - Malory ściągnęła z włosów jasnoniebieską chustkę, jak gdyby właśnie sobie o niej przypomniwała. - Pierwsza warstwa farby nałożona, a urządzenia wyszorowane do białości.

- Byłam bardzo zajęta na górze. Dlatego nie pomogłam wam w kuchni.

- Miałyśmy pomocników, bardzo dziękuję. - Malory przeczesала palcami ciemnoblonde loki. - Jedziemy do nas na kurczaka z rusztu. A ty co? Kończysz już?

- Za chwilę. Przyślij tu Simona i zaraz zejdziemy.

- A może bym go zabrała? Bawi się przed domem z Flynnem i Moem.

- Ach, no tak. Nie chciałabym...

- Nic mu nie będzie, Zoe, daję słowo. Po prostu przyjedź, kiedy skończysz. Może uda

mi się odłożyć dla ciebie udko. I dla ciebie też, Brad.

- Och, nie musisz... - Zoe odwróciła się, a Malory mrugnęła do Brada i ruszyła schodami w dół.

- Chcesz skończyć szafkę?

- Chcę, ale nie zamierzam cię stawiać w niezręcznej sytuacji.

- Kiedy postawisz mnie w niezręcznej sytuacji, poinformuję cię o tym. No więc jak, przyklejamy?

Zgodziła się, żeby nie tracić czasu.

Druga szafka została wykończona i umocowana tuż obok pierwszej, po czym Zoe i Brad pozbierali i ułożyli narzędzia. Zostawili uchylone okna.

Chwycił podręczną chłodziarkę, zanim zdążyła się po nią schylić.

- Na dzisiaj już chyba wystarczy.

- Jestem ci wdzięczna za pomoc. Zostaw to na ganku, a ja jeszcze rzucę okiem na podłogi i kuchnię i upewnię się, że wszystko pozamykałam.

- Zaczekam. Sam chciałbym zobaczyć efekty naszej pracy.

Ruszyła schodami w dół, lecz zatrzymała się i odwróciła.

- Czy to należy rozumieć, że zamierzasz się mną opiekować? Sama potrafię o siebie zadbać.

Uniósł chłodziarkę wyżej.

- Tak, chcę się tobą zaopiekować. Choć nie mam najmniejszych wątpliwości, że potrafisz się troszczyć nie tylko o siebie, lecz także o swojego syna, przyjaciół, a nawet zupełnie obcych ludzi, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Skoro jestem tak cholernie samowystarczalna, znaczy, że nie potrzebuję twojej opieki. Więc dlaczego to robisz?

- Dla przyjemności. Dodam jeszcze, że po prostu lubię na ciebie patrzeć, ponieważ jesteś piękną kobietą i bardzo mnie pociągasz. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę, gdyż nie zauważyłem u ciebie dotychczas żadnych oznak umysłowego niedorozwoju. Jeśli jednak powątpiewasz w moje słowa, zechciej łaskawie zejść ze schodów, żebym mógł postawić chłodziarkę i dokonać demonstracji.

- Zadałam ci bardzo proste pytanie - odparła. - Nie prosiłam, byś poparł swoje słowa czynem.

Zdecydowanym krokiem zeszła na dół, lecz gdy skręciła w stronę kuchni, usłyszała za sobą głuchoe stuknięcie. To chłodziarka uderzyła o podłogę.

Zoe nie zdążyła zareagować, ponieważ w następnej sekundzie jakaś siła uniosła ją w

powietrze, odwróciła, a potem przyparła do ściany.

Jego oczy, rozplamione gniewem, wydawały się niemal czarne. Poczula drapanie w gardle, wywołane lękiem i złością, a także podnieceniem, dostatecznie silnym, by zakręciło jej się w głowie.

- Teraz spróbuj sobie ze mną poradzić - rzucił Brad wyzywającym tonem. - A potem przejdziemy do demonstracji.

Spojrzała mu w oczy, czekając, aż nieco rozluźni chwyt. W następnej chwili błyskawicznym ruchem poderwała kolano do góry i zatrzymała je o włos od tej części ciała mężczyzny, która mogłaby odnieść szczególnie dotkliwie obrażenia. Wzdrygnął się niespokojnie, co było dla niej olbrzymią satysfakcją.

- Okay. Pozwól, że najpierw ci pogratuluję niezwyklej, doprawdy, samokontroli. - Nawet nie drgnął. Obydwoje wiedzieli, że wystarczy jeden szybki ruch, by powalić go na kolana. - A po drugie, chciałbym ci serdecznie podziękować, że skorzystałaś z niej w tej właśnie chwili.

- Nie jestem bezbronną panienką z prowincji.

- Nigdy w ten sposób o tobie nie myślałem. - Nagle cała sytuacja i jego własne położenie wydały mu się przezabawne. Uśmiechnął się, potem parsknął niepohamowanym śmiechem i pochylił głowę tak, że stykały się ich czoła. - Nie wiem, jak to robisz, ale cholernie mnie wkurzasz. - Puścił jej ramiona i oparł ręce o ścianę. - Może byś odsunęła kolano, chociaż trochę? Bo czuję się nieswojo.

- O to mi właśnie chodziło. - Ale spełniła jego prośbę. - Nie pojmuję, co cię tak śmieszy.

- Ja również. Jezu, Zoe, strasznie mnie drażnisz. Powiedz mi jedno. Czy nie mam prawa uważać cię za piękną kobietę? Czy nie mam prawa czuć do ciebie pociągu?

- Czy mam prawo nie odpowiadać?

- Zagadkowa sprawa, no nie? - Namiętne spojrzenie ześliznęło się po jej twarzy, zatrzymało na ustach. - Spróbuj na chwilę przyjąć mój punkt widzenia.

- Odsuń się trochę. - Wstrzymując oddech, postukała Brada palcami w pierś. - Nie potrafię w ten sposób rozmawiać.

- Dobra. Sekundę. - Musnął ustami jej wargi z cichą obietnicą, co sprawiło, że zadrżała.

A potem się odsunął.

- Tak łatwo byłoby się zapomnieć. - Zoe nadal opierała się o ścianę, niepewna, czy nogi nie odmówią jej posłuszeństwa. - Po prostu ulec. Mam swoje potrzeby, normalne

potrzeby, jak każda ludzka istota. A nie byłam z mężczyzną od ponad roku. Właściwie od blisko dwóch lat.

- Nawet gdybyś była z mężczyzną wczoraj, nic mnie to nie obchodzi. Interesuje mnie chwila obecna.

- Ale nie byłam. I nie bez powodu.

- Simon.

Skinęła głową.

- Najistotniejszy powód. Mężczyzna, który wkracza w moje życie, wkracza też w życie Simona.

- Wiesz, że za nic bym go nie skrzywdził. - W jego głosie ponownie zadźwięczała nuta gniewu. - Jeżeli sugerujesz coś podobnego, cholernie mnie obrażasz.

- Nie sugeruję, więc nie musisz się od razu unosić. Ale moja osoba też się liczy i mam prawo zachować ostrożność. Nie chodzi ci przecież o trzymanie się za rękę i kilka niewinnych całusów w blasku księżyca, Bradley.

- Byłby to jakiś początek.

- Obydwoje wiemy, jaki byłby finał. Nie widzę sensu w zaczynaniu czegoś, czego być może nie zdołam dokończyć. Nie jestem pewna, czy pójdzie z tobą do łóżka wysłoby mi na dobre. Nie jestem też pewna, czy kierują nami normalne ludzkie potrzeby, czy to, co się wokół dzieje.

- Sądzisz, że z powodu klucza wydajesz mi się pociągająca?

- A jeżeli tak jest? - Uniosła dłonie. - Jakbyś się czuł, gdyby posłużono się tobą w ten sposób? Prawda wygląda tak, Bradley, że nie znalazłbyśmy się, gdyby nie klucz. Pochodzimy z różnych światów. I nie mam na myśli Pleasant Valley.

- Nie.

- Nic nas nie łączy, z wyjątkiem klucza.

- Klucza, owszem - zgodził się. - A także przyjaciół, na których nam obojgu zależy. Miejsca, gdzie tkwią moje korzenie i gdzie ty zapuściłaś swoje. Potrzeby stworzenia czegoś dla siebie. No i jest jeszcze pewien chłopiec. Tak się składa, że to twój syn, ale mnie oczarował. Oczarowałby mnie niezależnie od twojej osoby. Rozumiesz?

W milczeniu kiwnęła głową.

- Znalazłoby się jeszcze więcej punktów, lecz na razie dorzucimy tylko wzajemny pociąg fizyczny. Zbierz je wszystkie, a otrzymasz dość solidną wspólną płaszczyznę.

- Przeważnie nie wiem, o czym z tobą rozmawiać albo jak ująć to, co chcę powiedzieć.

- Może po prostu nie powinnaś się tak głęboko zastanawiać. - Wyciągnął rękę. -

Chodźmy rzucić okiem na kuchnię. Jeżeli się nie pospieszymy, po kurczakach zostanie tylko wspomnienie.

Była wdzięczna, że nie drażył tematu. Nie potrafiła wyraźnie rozgraniczyć swoich myśli i uczuć, trosk i potrzeb. Jeszcze nie.

Była również wdzięczna, że spotkanie u Flynna okazało się czasem relaksu i pieczonych kurczaków, bez dyskusji o kluczu.

Nie miała jeszcze żadnego pomysłu, a w głowie kłębiło się zbyt wiele pytań i informacji, by zdołała prowadzić inteligentną rozmowę. Wkrótce spotkają się ponownie, cała szóstka, lecz Zoe musiała najpierw sama sobie wszystko poukładać. I Malory, i Dana szybko przedstawiły swoje teorie. Wprawdzie teorie te były później weryfikowane i ulegały zmianom w ciągu owych czterech tygodni, ale stworzyły pewną podstawę.

Zoe natomiast nie miała nic.

Dlatego zamierzała spędzić wieczór na wczytywaniu się we wskazówki i notatki, odtwarzaniu w pamięci krok po kroku linii poszukiwań przyjaciółek. Gdzieś tam kryły się odpowiedzi.

Gdy Simon i Moe ułożyli się do snu i w domu zapanowała błoga cisza, usiadła przy kuchennym stole. Notatki, skoroszyty i książki ułożyła w stosy. Uznawszy, że przekroczyła już dzienną dawkę kofeiny, zaparzyła dzbanek herbaty.

Popijając pierwszą filiżankę, odczytała na nowo wskazówkę Roweny i spisała na czystej stronie notatnika słowa, które wydawały jej się istotne.

Piękno, prawda, odwaga

Strata, smutek

Las

Ścieżka

Krew i śmierć

Duchy

Wiara

Lęk

Bogini

Waleczność

Prawdopodobnie coś przeoczyła, ale sporządzając listę, uczyniła pierwszy krok. Piękno dla Malory, prawda dla Dany. Odwaga dla niej.

Strata i smutek. Czy dotyczyły jej, czy Szklanych Cór? Gdyby wzięła te słowa do siebie, na czym polegała jej strata, jej smutek? Niedawno straciła pracę - po krótkim namyśle

odnotowała ów fakt na kartce. Ale to okazało się korzystne.

Lasy? Było ich wiele, lecz niektóre miały dla niej szczególne znaczenie. Las rósł wokół Wzgórza Wojownika. Lasy rosły w miejscu, gdzie się wychowała. Także nad rzeką w pobliżu domu Brada. Jeżeli jednak las miał być symbolem, nie mogła skupiać się na pojedynczych drzewach i nie widzieć całości, troszcząc się przesadnie o szczegóły.

Istotnie miała do tego skłonność. Ale, mój Boże, rozmaitych szczegółów było bez liku, a kto miał się nimi zajmować, jeśli nie ona?

Zbliżała się wywiadówka w szkole. Simon potrzebował nowych butów i zimowej kurtki. Pralka zaczęła wydawać zgrzytliwe dźwięki, a rynny wymagały czyszczenia. Zoe zamierzała kupić ręczniki do salonu, a także wstawić tam nową pralkę z suszarką. Co oznaczało, że domowa będzie musiała jeszcze trochę pozgrzytać.

Oparła głowę na zwiniętej w pięść dłoni i zamknęła oczy, tylko na chwileczkę.

Załatwi wszystkie sprawy; to należało do jej obowiązków. Ale pewnego dnia, kiedyś w przyszłości, miała zamiar spędzić całe popołudnie, wylegując się w cieniu z książką i dzbankiem lodowato zimnej lemoniady.

Hamak kołysał się łagodnie, zlekceważona, niezaczęta książka leżała na brzuchu Zoe, która czuła w ustach kwaskowaty smak napoju. Oczy miała zamknięte i przysłonięte ciemnymi okularami, lekki wietrzyk delikatnie muskał jej twarz.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio była tak odprężona. Całkowite uspokojenie fizyczne i psychiczne. Nie miała nic do roboty prócz rozkoszowania się ciszą i spokojem.

Poddała się całkowicie słodkiej chwili błogostanu.

I znalazła się w dusznej, nagrzej przyczepie, spływając potem. Zupełnie jakby człowiek mieszkał w blaszanej puszcze, pomyślała, zmiatając ścięte włosy, rozrzucone na podłodze.

Słyszała, jak brat i młodsza siostra kłócą się na zewnątrz. Ich głosy podniesione, ostre, gniewne wdzierały się przez małe okna. Wszyscy tutaj sprawiali wrażenie nieustannie rozzłoszczonych.

Głowa jej od tego pękała.

Otworzyła drzwi gwałtownym szarpnięciem, żeby krzyknąć: „Uspokójcie się! Bądźcie cicho choć przez pięć cholernych minut i dajcie mi trochę odetchnąć!”.

W następnej chwili brnęła przez las, wyczuwając pod nogami grubą warstwę śniegu. Wichur wył wśród sosen, gałęzie kołysały się dziko na tle kamiennego nieba.

Była zziębnięta, zagubiona i przerażona.

Wlokła się z trudem, kuląc w podmuchach zamieci, podtrzymywała ramieniem

nabrzmiały brzuch, by ochronić dziecko. Było ciężkie, a ona tak bardzo zmęczona.

Pragnęła się zatrzymać, odpocząć. Jaki sens miała dalsza wędrówka? Nie istniał żaden sposób, żeby się stąd wydostać.

Kleszcze bólu ścisnęły jej brzuch; zszokowana, zgięła się wpół. Poczowała, że coś spływa jej po nogach i ze zgrozą ujrzała strugę krwi wsiąkającą w śnieg.

Ogarnięta przerażeniem, otworzyła usta do krzyku - i znalazła się znowu w hamaku, w cieniu, czując smak lemoniady.

Wybieraj.

Zerwała się z krzesła przy kuchennym stole, drżąc na całym ciele, podczas gdy Moe stał obok niej i warczał, wpatrzony w przestrzeń.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nakłonienie Simona, by spędził dzień u jednego ze szkolnych kolegów, zamiast z nią i innymi w „Pokusie”, okazało się trudniejsze, niż Zoe przypuszczała.

Lubił jej przyjaciół. Chciał się pobawić z Moem. Mógł pomóc przy pracy. Na pewno nie będzie przeszkadzał.

W końcu uciekła się do najskuteczniejszego rodzicielskiego wybiegu - a mianowicie przekupstwa. Obiecała, że wstąpią po drodze do wypożyczalni wideo i wezmą dwie gry oraz film.

Gdy jeszcze się okazało, że Moe jest mile widzianym gościem i może pobaraskować na podwórzu z żółtym labradorem małego Chucka, Simon był wniebowzięty. Złagodziło to w znacznym stopniu jej troskę oraz poczucie winy i umożliwiło sprawdzenie pierwszej teorii.

Jeżeli droga, wymieniona we wskazówce, była jej drogą, a las czymś w rodzaju symbolu, być może chodziło o życie w Pleasant Valley. Wkroczyła na ścieżki w miejscu, które stało się jej domem.

Urocze miasteczko, położone w dolinie, przyciągnęło Zoe natychmiast - i wiedziała, że tu zamieszka już w chwili, gdy przez nie przejeżdżała, co zdarzyło się przed blisko czterema laty.

Musiała pracować, walczyć o byt, okupując radość i spełnienie wieloma poświęceniami. Musiała dokonywać wyborów, szukać ścieżek, kierunków, celów.

Teraz zapoznawała się z nimi na nowo, mijając ulice znane na pamięć. Ciche ulice, pomyślała, jak zawsze w niedzielny poranek. Okrążyła okolicę tak jak wtedy, przed laty, gdy szukała domu dla siebie i Simona. Pamiętała, że był to jej pierwszy krok, ponieważ potrzebowała czasu, by wyczuć tętno miasta, przyjrzeć się domom, ocenić ludzi - pieszych i kierowców.

Była wiosna, późna wiosna. Zoe podziwiała ogrody, podwórka, wyczuwalną atmosferę stabilizacji.

Na zaniedbanym trawniku przed niewielkim brązowym domkiem dostrzegła tabliczkę z napisem „Do sprzedania”. Przebiegł ją dreszcz i w jednej chwili zrozumiała, że właśnie znalazła to, czego szuka. Teraz przystanęła przy krawężniku, tak samo jak wtedy, przyglądając się własnemu domowi, a jednocześnie usiłowała zobaczyć go takim, jaki był wtedy.

Po obu stronach inne domki, nieduże, lecz zadbane. Ładne drzewa, dające cień. Jakaś dziewczynka jechała na rowerze wzdłuż krawężnika, a kilkunastoletni chłopak mył samochód

przy dźwiękach muzyki z radia.

Przypomniała sobie dreszcz oczekiwania, który poczuła, gdy spisywała nazwisko i numer telefonu pośrednika z tablicy przed domem. I tam właśnie podjechała. Teraz podążyła tą samą trasą. Sugerowana cena okazała się zbyt wysoka, lecz nie zniechęciła Zoe. Wiedziała, że w swoich tanich ciuchach i butach wygląda jak typowa naiwna panienska z prowincji, zwłaszcza że mówiła z wiejskim akcentem, charakterystycznym dla mieszkańców Zachodniej Wirginii.

Ale nie okazałam się naiwną panienką, pomyślała z satysfakcją.

Zaparkowała przy krawężniku, tak jak wtedy, i wysiadła z auta.

Umówiła się wówczas z pośrednikiem na obejrzenie domu - tego, o który już niebawem miała się zaciekle targować - i ruszyła dalej ulicą. Natrafiła na salon kosmetyczny, weszła i zapytała, czy nie szukają kogoś do pracy.

I biuro pośrednictwa, i zakład były zamknięte w niedzielę, lecz podeszła do drzwi, wyobrażając sobie siebie sprzed lat. Zdenerwowaną, pełną emocji, ale z zuchwałą miną. Pamiętała. Dostała pracę - może szybciej i łatwiej, niż to się zazwyczaj zdarza, pomyślała teraz. Czy dlatego, że tak właśnie miało być? Czy może wkroczyła na właściwą ścieżkę we właściwym czasie?

Poświęciłam temu zakładowi trzy lata życia, rozmyślała Zoe, stojąc przed witryną z dłońmi wspartymi o biodra. Pracowała dobrze. Lepiej niż złośliwa właścicielka salonu, Carly. Na tym, między innymi, polegał problem.

Zbyt wiele klientek zaczęło pytać o Zoe, imiennie, i dostawała wysokie napiwki. To się Carly nie spodobało. Drażniło ją, że jedna z pracownic budzi aż tak wielkie zainteresowanie. Postanowiła więc uprzykrzyć jej życie. Na przemian obcinała albo przedłużała godziny pracy. Zarzucała, że zbyt długo lub zbyt krótko rozmawia z klientkami. Robiła, co mogła, by Zoe zniechęcić lub poniżyć.

Znosiła wszystko bez sprzeciwu. Czy słusznie? - zastanawiała się teraz. Potrzebowała pracy, stałych klientek, pensji, napiwków. Gdyby się zbuntowała, wyleciałaby już dawno. A jednak przygnębiała ją myśl o tym, na co się godziła za tak marną pensję.

Nie. Nabrała tchu, powstrzymując falę gniewu i wstydu. Godziła się ze względu na swój dom, swego syna, swoje życie. Nie mogła zwyciężyć w tej bitwie. Prędzej czy później i tak zostałaby zwolniona. Ale teraz musiała zostać zwolniona, ponieważ stanęła na rozdrożu.

I czy gniew, wstyd, uczucie rozpacz, a nawet paniki, gdy ostatecznie opuściła salon Carly, nie pchnęły jej ku „Pokusie”? Czy podjęłaby pracę na własną rękę, mając regularną pensję, z której mogła opłacić rachunki i raty za dom?

Musiała przyznać, że nie. Marzyłaby o tym, ale nic by nie zrobiła. Nie miałyby dość odwagi. Potrzebowała kopniaka w tyłek, żeby podjąć ryzyko.

Odwróciła się, popatrzyła na miasto, które zdążyła poznać równie dobrze jak salon we własnym domu. Tędy do sklepu spożywczego, tu skręca się na pocztę, a za skwerkiem na prawo do szkoły syna. Nieco dalej przy Main Street - jadłodajnia z ulubionymi koktajlami mlecznymi Simona. A za miastem szosa prowadząca w górę i ku Wzgórzu Wojownika.

Nawet z zawiązanymi oczyma trafiłaby do mieszkania Dany, do domu Flynna i Malory. Także do biblioteki, do redakcji gazety, do drogerii, do pizzerii.

A idąc z biegiem rzeki, dotarłaby do domu Bradleya.

Tak wiele dróg, pomyślała, wracając do samochodu. Różnorodność wyborów, różnorodność celów. Ale wszystkie tworzyły jedną całość. I wszystkie stały się udziałem Zoe.

Jeżeli klucz znajduje się gdzieś tutaj, w miejscu, które nazwała swoim domem, odnajdzie go.

Wsiadła do auta i wybrała najdłuższą, okrężną drogę do „Pokusy”.

Przez całe przedpołudnie nie pisnęła przyjaciółkom ani słowa. Musiała najpierw trochę popracować, fizycznie i umysłowo, by na nowo przemyśleć swoją teorię i przeanalizować wydarzenia poprzedniego wieczoru.

Nie mogła o tym mówić, dopóki nie ułoży sobie wszystkiego w głowie. A w towarzystwie osobników płci odmiernej pewne sprawy wyglądały inaczej. Przy mężczyznach nie mogła poruszyć tematów, które omówiłaby chętnie z Malory i Daną.

Nawet przy mężczyznach, którym ufała.

Pozostawiwszy Bradowi roboty stolarskie, spędziła niedzielne przedpołudnie na kładzeniu w łazience kafelków. Ta praca pozwalała na spokojne przeanalizowanie wielu spraw.

Czy tylko przypadkowo jej pierwsze zetknięcie z Kane'em tak się różniło od tego, które przeżyły Malory i Dana? Czy może było to zamierzone?

Kazał jej wybierać. Przynajmniej to pasowało do schematu. Każda z nich musiała dokonać wyboru. A ryzyko najwyraźniej rosło przy kolejnych kluczach.

Nie wyrządził poważnej krzywdy. Owszem, poczuła ból w trakcie owej śnieżnej zadymki, ale bywało gorzej. Dlaczego pokazał jej trzy różne scenerie, przerzucając błyskawicznie od iluzji do iluzji?

Pierwszą można by nazwać nieszkodliwą fantazją, nie miała w sobie nic dramatycznego. Druga wiązała się z czymś uciążliwym i dobrze znanym, a trzecia... Trzecia, analizowała Zoe, rozprowadzając zaprawę po podłodze, była przerażająca. Chciał wzbudzić w

niej lęk. Jesteś sama, zagubiona i w ciąży.

Nic nowego, pomyślała.

A potem ból i krew. Jak poronienie, uświadomiła sobie. Jakby traciła dziecko. Ale przecież nie straciła syna i był bezpieczny.

Może Kane o tym nie wie? Przysiadła na piętach, uderzona tą myślą. Może on nie wie, że Simon ma ochronę? I dlatego pierwsza groźba nawiązywała do najważniejszej części jej życia, najcenniejszego skarbu, dla którego byłaby gotowa zginąć.

- Zoe.

Gąbka, której używała do rozprowadzania zaprawy, upadła z plaśnięciem na kafelki.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. - Brad stał w drzwiach, opierając się ramieniem o futrynę. Obserwował Zoe już od kilku minut. Wiedział, że w tej głowie wiele się dzieje, a wszystko znajdowało odzwierciedlenie w wyrazie twarzy.

- Nie szkodzi. - Wróciła do przerwanej zajęcia. - Już prawie skończyłam.

- Reszta ekipy dojrzała do przerwy na lunch.

- Okay. Zaraz zejdem na dół. W tym czasie zaprawa zdąży podeschnąć.

Zaczekał, aż Zoe znajdzie się tuż przy progu i przykucnął.

- Powiesz mi, co się stało?

Jej dłoń znieruchomiła, lecz tylko na krótką chwilę.

- Co masz na myśli?

- Napatrzyłem się na ciebie dostatecznie dużo, żeby wiedzieć, kiedy coś się dzieje.

Powiedz, co się zdarzyło od wczorajszego wieczoru.

- Powiem. - Wrzuciła gąbkę do wiadra stojącego za progiem. - Ale nie tylko tobie jednemu.

- Skrzywdził cię? - Złapał Zoe za rękę, a drugą dłonią odwrócił ku sobie jej twarz.

- Nie. Puść mnie. Mam ręce umazane zaprawą.

- Ale coś ci zrobił. - Jego głos brzmiał chłodno, jak zwykle, kiedy Brad starał się trzymać nerwy na wodzy. - Dlaczego nic nie mówiłaś?

- Potrzebowałam czasu, żeby to przemyśleć, zrozumieć pewne rzeczy. Będzie mi łatwiej opowiedzieć wszystkim za jednym zamachem. - Dłoń mężczyzny spoczywała na policzku Zoe, a twarz znajdowała się bardzo blisko. Za blisko. - Poza tym byłoby mi łatwiej, gdybyś mnie w tej chwili nie dotykał.

- W tej chwili? - Przesunął palce ku nasadzie szyi. - Czy nigdy? Miała ochotę otrzeć się o jego rękę i zamruczeć jak kot.

- Powiedzmy, że w tej chwili.

Chciała wstać, lecz on zerwał się pierwszy i pociągnął ją w górę.

- Powiedz mi jedno... czy z Simonem wszystko w porządku?

Mogła oprzeć się sympatii, a nawet pożądaniu. Jednak Brad swoim stosunkiem do chłopca rozbijał Zoe całkowicie.

- Tak. W najlepszym porządku. Bardzo chciał ze mną przyjechać. Lubi twoje... wasze towarzystwo - poprawiła się pośpiesznie. - Ale nie chciałam opowiadać w jego obecności. Jeszcze nie teraz.

- Więc chodźmy na dół i pogadajmy, a ja zajrzę do niego w tygodniu.

- Nie musisz...

- Ja także lubię towarzystwo Simona. I twoje. - Musnął palcami jej szyję i ramię. - Może znowu zaprosisz mnie na kolację?

- No cóż...

- Jutro? Może być jutro?

- Jutro... mam tylko spaghetti.

- Świetnie. Wezmę wino. - Pociągnął ją za sobą, najwyraźniej uważając, że klamka zapadła. - Lepiej zejdźmy na dół, bo nam wszystko zjedzą.

Nie wiedziała, kiedy straciła zdolność trzeźwego myślenia i dlaczego nie potrafiła odmówić. Przyparł ją do muru - zdała sobie sprawę, zanim zeszła na lunch. W tej kwestii nie miała najmniejszych wątpliwości. Zręcznie schwytał ją w pułapkę.

Ale chodziło o jutrzejszy wieczór. Dzisiaj miała i tak dostatecznie dużo na głowie, by się jeszcze przejmować garnkiem spaghetti.

Kuchnia, choć rozbabrana, była najlepszym miejscem na odbycie narady. Jako stół posłużyła płyta ze sklejki, ułożona na dwóch kozłach do piłowania, a jako krzesła - odwrócone wiadra i drabiny.

Dana przysunęła sobie wiadro.

- Czy to masło fistaszkowe i galaretkę z winogron? - zapytała, pożerając oczyma kanapkę, którą Zoe właśnie rozpakowała.

- Owszem. - Zoe uniosła trójkątną kanapkę do ust i zauważyła pożądlive spojrzenie Dany. - Chcesz kawałek?

- Od stu lat nie jadłam takiej kanapki. Podzielimy się? Oddam ci połowę swojej z szynką i żółtym serem. Chleb razowy.

Wymieniły się i Dana odgryzła kęs na próbę.

- Wyśmienite - powiedziała z pełnymi ustami. - Tylko mamuśka potrafi zrobić takie kanapki. No więc jak, powiesz nam, co jest grane, czy wolisz najpierw coś zjeść?

Zoe uniosła oczy, a potem rozejrzała się po kuchni. Wszyscy na nią patrzyli. I czekali.

- Czy mam to wypisane na czole?

- Prawie. - Malory zanurzyła łyżkę w kartonie jogurtu. - Rano, kiedy przyjechałaś, wyglądałaś na zdenerwowaną, choć bardzo się starałaś ukryć swój stan ducha. I od razu pognałaś na górę. W dodatku nie skomentowałaś ani jednym słowem odmalowanej kuchni.

- Jest wspaniała. Zamierzałam wam opowiedzieć... - Zoe, czując się nieswojo, jak zawsze, gdy przyciągała ogólną uwagę, rozłożyła kanapkę na dwie części. - Chciałam zaczekać, aż wszyscy zrobią sobie przerwę w pracy i wtedy opowiedzieć, co się wydarzyło tej nocy.

- Właśnie teraz robimy sobie przerwę. - Dana poklepała przyjaciółkę po nodze. - Co jest grane?

Zoe mówiła powoli, z namysłem, starając się nie pominąć żadnych szczegółów.

- Było inaczej niż z wami. Inaczej niż z każdym, kto zetknął się z Kane'em. Teraz chyba zmienił taktykę i próbuje innych sztuczek.

- Wiedziałas, z kim masz do czynienia? - spytał Jordan.

- W tym właśnie problem. Nie pozostałam w żadnym z trzech... miejsc - chyba mogła je tak nazwać - wystarczająco długo, by wyczuć jego obecność. I nie wyrwałam się stamtąd sama, tak jak wy. Nie miałam czasu. Było tak, jakbym zmieniała miejsce za każdym mrugnięciem powiek.

- Przyjrzyjmy się zatem baczniej owym miejscom, po kolei. - Flynn już wcześniej wyciągnął notes. - Kołyszysz się w hamaku. - Postukał w otwartą stronę. - Czy we własnym ogródku?

- Skądże. Nie mam hamaka. Nigdy w życiu tak nie wypoczywałam - w cieniu z dzbankiem lemoniady i książką pod ręką. Kto może sobie na to pozwolić? Owszem, byłoby miło poleniuchować trochę, zwłaszcza iż właśnie pomyślałam, że w najbliższym czasie nawet nie zdołam głębiej odetchnąć, a tu proszę bardzo: pstryk i wyleguję się w hamaku, popijając lemoniadę. - Zmarszczyła brwi, nie dostrzegając zwięzonych oczu Brada. - Nie wiem, gdzie byłam. Zastanawiałam się, ale doszłam do wniosku, że miejsce nie ma znaczenia. Nieważne, gdzie wisiał ten idiotyczny hamak. Symbolizował tylko popołudniowy odpoczynek od wszelkich zajęć. Kiedy, rzecz jasna, chciałam od nich odpocząć.

- Chyba masz rację - przyznała Malory. - On wkracza w nasze marzenia, żebyśmy ich doświadczyły, poczuły ich smak. Ja byłam artystką, żoną Flynn'a. Idealny dom, idealne życie. - Uniosła rękę nad stołem. - Dana znalazła się na wyspie w tropikach, z dala od wszelkich kłopotów. A tobie zafundował beztrioskie popołudnie.

- Dość żalodne marzenie w porównaniu z waszymi. - Zoe uśmiechnęła się z ulgą, zadowolona, że jej wniosek spotkał się ze zrozumieniem.

- Ale wyrwał cię z niego, nie pozwalając się w pełni rozkoszować sytuacją - zauważył Jordan. - Może nie chciał, żebyś dostrzegła fałsz. Przerzucił cię. Nowa strategia.

- Częściowo zapewne tak. Ale weź pod uwagę coś jeszcze. To była przyczepa, w której moja mama świadczyła usługi fryzjerskie, i Bóg mi świadkiem, że wówczas naprawdę harowałam, pomagając w interesie. Rozpoznałam jej wygląd, zapach, głosy brata i siostry. Ale nie wiem, ile miałam lat. Czy byłam taka jak teraz? Czy byłam dzieckiem? A może kimś pomiędzy jednym a drugim? - W zamyśleniu pokręciła głową. - Po prostu nie wyczuwałam siebie tylko upał, zmęczenie i rozdrażnienie. Jak gdybym została skazana na wieczne sprzątanie i pilnowanie dzieci, a miałam tego już powyżej uszu. Byłam wykorzystywana i pełna złości. Przypuszczam, że to także w jakimś sensie symboliczne.

- Uwieszenie w pętli czasu - podsunął Brad. - Wieczne obowiązki, praca dla innych, bez końca.

- Tak. Mama robiła, co mogła, ja musiałam pomagać. W końcu człowiek czuje się osaczony i bezwolny. Jakby jego los nigdy nie miał się poprawić, choćby nie wiem co.

- A zatem możesz wylegiwać się w hamaku i cieszyć życiem albo tkwić w owej pętli, czyli wiecznie harować. - Dana ściągnęła wargi w zamyśleniu. - Ale jest inna możliwość. To nie takie proste. Sama dobrze wiesz.

- Patrząc na moje życie, można by pomyśleć, że zaplątałam się w kolejną pętlę. Nie mam takiego odczucia, ale tak to może wyglądać. I jest jeszcze trzecia wizja.

- Chciał cię przerazić - wtrąciła Malory.

- I niewątpliwie mu się udało. Trzęśłam się z zimna, byłam sama. I to nie w żadnym bajkowym krajobrazie. Brnęłam przez okrutny, bezlitosny śnieg, taki, który zabija. Czułam straszne zmęczenie, dziecko bardzo mi ciążyło. Chciałam położyć się i odpocząć, ale wiedziałam, że mi nie wolno. To by oznaczało śmierć, dla mnie i dla dziecka.

Nieświadomie przycisnęła dłonią brzuch, jak gdyby chciała osłonić żyjącą w nim istotę.

- A potem przyszły skurcze. Nie miałam wątpliwości, co oznaczają, tego się nie zapomina. Ale były straszniejsze, inne niż podczas porodu. Złowrogie. Zdałam sobie sprawę, co się stało, gdy zobaczyłam krew na śniegu.

- Chciał cię przestraszyć, wykorzystując do tego Simona. - Twarz Flynny stężała. - Wykluczone. Nie pozwolimy mu.

' - Myślę, że to część całej historii. Przestraszyć mnie, grożąc Simonowi. I chyba

między innymi dlatego wyrwał mnie z ostatniej iluzji i kazał wybierać. Mówię wam, gdy tylko się ocknęłam i zobaczyłam Moego, który stał obok i warczał, pognałam co sił w nogach do pokoju Simona. Leżał rozciągnięty jak zwykle, zjedną nogą zwisającą z łóżka, a drugą okręconą skotłowanymi kocami. Słowo daję, ten chłopak jest bez przerwy w ruchu, nawet we śnie.

- Posłużył się Simonem jako kolejnym symbolem. - Brad nalał kawy, a ponieważ Zoe nie zdążyła jeszcze po nią sięgnąć, podał jej kubek.

Ich oczy spotkały się na chwilę, skinęła głową, czując w gardle skurcz lęku.

- Domyśliłam się tego.

- Symbol czego? - chciała wiedzieć Dana. - Jej życia?

- Życia, tak - odparł Brad. - I duszy. Wybieraj. Wygoda, nużące obowiązki albo utrata wszystkiego, nawet samej siebie. Rzucił Zoe rękawicę.

- Rzucił, owszem. Ale tak sobie myślę... zastanawiam się, czy on w ogóle wie, że Simonowi zapewniono bezpieczeństwo. Może nie ma pojęcia, że mój syn jest chroniony i że takimi groźbami nic nie wskóra.

- Niewykluczone. Jednak - podjął Brad - przypuszczam, iż niebawem to odkryje i zastosuje inną metodę.

- W porządku, dopóki nie tyka mojego dziecka. Tak czy inaczej to, co się wydarzyło, dało mi do myślenia. Wkurza mnie moja wskazówka. - Zoe zaśmiała się krótko. - Więc spróbowałam ją rozpracować. Przyszło mi do głowy, że może Valley jest czymś w rodzaju mojego lasu. A to, co robiłam i co wybrałam, przypomina ścieżki.

- Nieźle - powiedziała Dana.

- Znalazłam jakiś punkt zaczepienia. Dziś rano przez godzinę krążyłam po mieście, przywoływałam wspomnienia. Staralam się patrzeć w taki sam sposób jak wtedy, gdy przyjechałam tu pierwszy raz i wysłedzić, co się zmieniło w moim życiu.

- Lub co sama w nim zmieniłaś - wtrącił Brad.

- Tak. - Zadowolona, obdarzyła go jednym ze swych rzadkich uśmiechów. - Nie wiem, czy zmierzam we właściwym kierunku, ale porządkuję w głowie miejsca i... no, wydarzenia, które mnie osobiście wydają się ważne. Kiedy już wszystkie sobie poukładam, może jakieś wybije się na plan pierwszy. Myślę, że jeśli trafię na właściwy trop, Kane'owi się to nie spodoba. Wtedy już będę wiedziała.

Trudno jej było wyobrazić sobie siebie walczącą z kimkolwiek, a już na pewno nie z czarnoksiężnikiem. Nie zamierzała jednak wycofać się po pierwszym ciosie. Jedno, co naprawdę potrafiła, to wytrwać na posterunku.

Może nie zdoła znaleźć klucza, lecz z pewnością nie zrezygnuje z poszukiwań.

Niedzielny wieczór spędziła na wertowaniu notatek, przeglądaniu książek dotyczących celtyckiej mitologii i ostrożnym szperaniu w Internecie za pomocą laptopa, który pożyczyła od Flynna.

Nie była pewna, czy dowiedziała się czegoś nowego, lecz działania te pomogły jej powiązać sprawy, które już знаła.

Klucz, gdziekolwiek się znajdował, miał dla Zoe osobiste znaczenie. Był związany z jej życiem, a raczej z tym, czego pragnęła w życiu. Koniec końców i tak będzie musiała dokonać wyboru. Jej przyjaciele - jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - uczestniczyli w poszukiwaniach, lecz tylko ona mogła wybierać.

Czego więc chciała? Zadała sobie pytanie, szykując się do snu. Popołudnia w hamaku? Czasami rzeczywiście sprawa przedstawiała się nazbyt prosto. Pewności, że zatrzasnęła za sobą drzwi przyczepy i ruszyła przed siebie? Niewątpliwie. I że udało jej się wydostać z koszmarnego lasu, a przede wszystkim zapewnić dziecku dobre życie.

Potrzebowała tej wiedzy, świadomości, że będzie nadal tworzyła świat dla Simona i dla siebie. „Pokusa” musiała przynieść sukces. Takie myśli pojawiały się w znacznej mierze za sprawą dumy.

Matka często powtarzała, że Zoe jest zbyt dumna.

Może i była, może gdyby nie duma, życie okazałoby się łatwiejsze. Ale jednocześnie duma pozwoliła jej przetrwać najtrudniejsze chwile.

Nie zdobyła wszystkiego, o czym marzyła, lecz to, co zdobyła, w zupełności jej wystarczało.

Zgasiła światło. Jeśli nawet poczuła ukłucie bólu, że na przykład w takiej chwili, jak teraz, nie ma się do kogo zwrócić, wynagrodziła jej to satysfakcja - i duma - że na sobie samej zawsze może polegać.

Nazajutrz, pracując na piętrze „Pokusy”, gdzie przykręcała śrubki i mocowała okucia do gotowych już blatów i szafek, usłyszała krzyki na dole. Więcej w nich było podniecenia niż strachu, więc Zoe najpierw skończyła robotę przy szafce, a potem zeszła, by zobaczyć, co jest przyczyną zamieszania.

Podążając za głosami, wkroczyła do pomieszczeń Dany i sama też krzyknęła na widok regału i dwóch wielkich pudeł na środku pokoju.

- Przyjechały! Twoje półki przyjechały. Wspaniale! Miałaś rację, że się na nie zdecydowałaś. Pasują idealnie do koloru ścian.

Prawda? Mam gotowy schemat, ten, który przerabiałam chyba z sześćdziesiąt razy.

Ale zastanawiam się, czy nie zamienić miejscami działu literatury dziecięcej z literaturą faktu.

- Może po prostu otworzymy następne pudło i ustawmy to, co w nim jest, a potem zobaczymy? - Malory sięgnęła po nóż.

Dostawca wtoczył wózek z kolejnym pudłem.

- Gdzie pani sobie życzy je postawić?

- O Boże. - Na nic więcej Dana nie mogła się zdobyć.

- Proszę dać tutaj - zarządziła Zoe. - Zastanowimy się. Ile ich zamówiłaś? - zagadnęła przyjaciółkę.

- Dużo. Może za dużo, ale chciałam mieć pewność, że pomieszczę wszystko, co zaplanowałam. A teraz... Jezu, moje serce wali jak oszalałe. Z podniecenia czy ze strachu? Jak sądzicie?

- Z podniecenia. - Malory dziarskim ruchem rozcięła pudło. - Ustawmy je wszystkie i wtedy zobaczysz, jak wspaniale wyglądają.

- To jest rzeczywiste - szepnęła Dana, gdy do pokoju wjechała następna paka. - Dzieje się naprawdę. Pokoje już nie będą puste.

- Półki, książki, stoliki, krzesła. - Zoe rozerwała tekturę. - Za parę tygodni wypijemy tu naszą pierwszą filiżankę herbaty.

- Aba. - Dana wzięła się w garść i pomogła przyjaciółkom przesunąć kolejny element wyposażenia na miejsce. - A potem przejdziemy na drugą stronę korytarza, żeby podziwiać cudeńka w galerii Malory.

- I zakończymy przechadzkę w salonie Zoe. - Malory cofnęła się o krok. - Spójrzcie, ile już zrobiłyśmy. Czy to wam się w ogóle mieści w głowie?

Zoe popatrzyła na którąś już z kolei dostarczoną pakę.

- Chwilowo nie mieści mi się w głowie, ile jeszcze mamy do zrobienia. Tnij, Mai. Czeka nas sporo pracy.

Nadal przestawiały półki, gdy pod dom podjechał następny wóz dostawczy.

- To z HomeMakers. - Malory odwróciła się od okna. - Oczekujemy dzisiaj jakiejś dostawy od nich?

- Złożyłyśmy zamówienie - odparła Zoe. - Nie przypuszczałam, że tak szybko je zrealizują. Pójdę sprawdzić.

Podeszła do frontowych drzwi, podczas gdy kierowca zdążył już wejść na ganek.

- Czy to „Pokusa”? - zapytał.

Zrobiło jej się ciepło koło serca, gdy usłyszała nazwę z ust osoby postronnej.

- To będzie „Pokusa”.

- Przywiozłem okna. - Wręczył jej fakturę. - Mam spis tych, które trzeba wymienić. Jeśli wszystko się zgadza, możemy zaraz zacząć. Zamontujemy je dzisiaj.

- Proszę? Nie zamawialiśmy montażu, tylko same okna.

- Usługa jest wliczona w cenę. Mam kartkę od pana Vane'a. - Pogrzebał w kieszeni. - Dla pani McCourt.

- To ja.

Ze zmarszczonymi brwiami rozerwała kopertę. Wewnątrz znajdował się arkusik firmowego papieru z jednym krótkim zdaniem:

„Nie protestuj”.

Otworzyła usta, ale nie powiedziała nic, popatrzyła tylko na kierowcę. Dostrzegła dwóch innych mężczyzn, którzy wysiedli z ciężarówki i stanęli, opierając się o maskę.

- Pan Vane powiedział, żeby pani do niego zadzwoniła w razie jakichś problemów. Chce pani, żebyśmy zaczęli, czy mamy poczekać?

- Nie. Nie, proszę zaczynać. Dziękuję panu.

Wróciła do domu, masując kark. Dana i Malory montowały kolejny regał.

- Przyjechały okna na wymianę.

- Świetnie. Może go przesunąć, żeby stał po przekątnej? - zastanowiła się Dana.

- Jest też ekipa, która ma je zainstalować - ciągnęła Zoe. - Bradley... to znaczy, tam w HomeMakers wliczono montaż w cenę.

- Kochany chłopak z tego Brada - zauważyła Malory.

- Znajomość z szefem zawsze się opłaca. - Dana odstąpiła o krok, pokręciła głową. - Nie, lepiej będzie prostopadle.

Nieco podenerwowana, Zoe trąciła czubkiem buta arkusz tektury.

- Nie sądzicie, że powinniśmy za to osobno zapłacić?

- Darowany koń, Zoe. - Posapując lekko, Dana dopchnęła regał do ściany. - Prędzej go ucałuję, niż będę mu zaglądała w zęby. - Obejrzała się przez ramię z porozumiewawczym mrugnięciem. - Oczywiście, ten akurat koń wolałby, żebyś raczej ty obsypała go pieszczotami.

- Przychodzi dzisiaj na kolację.

- Bardzo dobrze. Daj mu mocnego, gorącego całusa.

- Boję się.

- Brada? - Malory odłożyła nóż, którym rozcinała pudła.

- Tak. I samej siebie. - Zoe potarła stuloną dłonią klatkę piersiową, jak gdyby coś ją zabolalo. - Tego, co może się zdarzyć.

- Och, skarbie.

- Nie wiem, co robić i co myśleć. Byłoby inaczej, gdyby chodziło tylko o zabawę, o rozrywkę. Ale ja nie szukam rozrywki. Nie takiej.

- Myślisz, że on szuka?

- Nie wiem. Chociaż wcale bym się nie zdziwiła. W końcu jest facetem. Nie mam mu takiego podejścia za złe. Może pociąga go najbardziej romantyczna strona całej sytuacji. Przygoda, wszyscy łączymy siły, by zabić złego smoka. Ale widzisz, ja muszę się zastanowić, co dalej.

- Brad nie traktuje ludzi z lekceważeniem, jeśli właśnie tym się martwisz. - Dana z powagą pokręciła głowę. - Znam go od dzieciństwa. Jest porządnym człowiekiem, Zoe.

- Chyba tak. Uważam podobnie. Ale nie jest mężczyzną dla mnie. Najgorsze, że jeśli nie zmieni postępowania, złamię mój opór. Obawiam się, że gdy to nastąpi, zapragnę czegoś nieosiągalnego.

- Sądzę, że dla ciebie nie ma rzeczy nieosiągalnych - stwierdziła Malory. - Nie kupiłybyśmy domu, gdyby nie ty.

- Głupstwa opowiadasz. Po prostu zwróciłam uwagę na budynek. ...

- Nie chodzi o sam budynek, Zoe. Pomysł, wizja, wiara... - Malory niecierpliwym gestem położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki, potrząsnęła lekko. - Ty byłaś siłą sprawczą. Dlatego myślę, że gdy już będziesz wiedziała, czego naprawdę chcesz, znajdziesz sposób, by to zdobyć.

Szukając zajęcia dla rąk, Zoe sięgnęła po nóż i zaczęła rozcinać jeden z kartonów.

- Czy przed Flynnem byłaś w kimś zakochana? Tak szczerze?

- Nie. Czulałam pożądanie, bywałam zauroczona, raz czy dwa bardzo silnie. Ale nigdy nie kochałam nikogo tak, jak Kocham Flynną.

Zoe kiwnęła głową.

- A dla ciebie, Dano, zawsze istniał tylko Jordan.

- Owszem, czy tego chciałam czy nie.

- Ja byłam zakochana - powiedziała cicho Zoe, nie przerywając pracy. - Kochałam bardzo ojca Simona. Może niektórzy uważają, że w wieku lat szesnastu nie ma się zbyt wiele do zaofiarowania, ale ja miałam w sobie tyle miłości. I dałam mu całą. Bez zastanowienia, bez wahania, tak po prostu. - Rozłożyła pudło. - Znałam później innych mężczyzn. I dobrych, i nieco gorszych. Ale żaden nie budził we mnie takiego uczucia, jak tamten chłopak, kiedy miałam szesnaście lat. Nie wyobrażałam sobie życia bez niego.

- Ale nie został z tobą - zauważyła Malory.

- Nie. Wierzę, że mnie kochał, lecz nie dość mocno, by ze mną zostać. Nie dość mocno, by wybrać życie ze mną czy choćby zaakceptować konsekwencje naszego związku. Po prostu odszedł, wrócił do swojego życia, podczas gdy moje legło w gruzach.

Gwałtownym ruchem rozpruła tekturę, dając upust resztkom dawnego gniewu.

- Zaręczył się przed paroma miesiącami. Siostra przysłała mi wycinek z gazety. Będzie huczne wesele na wiosnę. Wściekłam się, kiedy to przeczytałam. Dosłownie się wściekłam, że planuje sobie wielkie, wystawne wesele, choć ani razu nie widział własnego syna.

- Jego strata - powiedziała Malory.

- Masz rację, jego strata. Ale kochałam go i pragnęłam z nim być. Gdy się okazało, że to niemożliwe, byłam bliska załamania. - Z westchnieniem oparła głowę o krawędź półki. - Nie zamierzam znowu marzyć o gwiazdce z nieba. Dlatego boję się Bradleya. Bo jest pierwszym mężczyzną od dziesięciu lat, przy którym chwilami czuję się tak, jakbym znowu była szesnastoletnią dziewczyną.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zoe musiała przede wszystkim pamiętać, że jest dorosłą kobietą - a dorosłe kobiety potrafiły podejmować mężczyzn kolacją, panując nad emocjami.

Wizyta Brada oznaczała jedynie drobne zmiany w poniedziałkowym porządku dnia.

Po drodze do domu kupiła delikatesowe pieczywo i świeże warzywa do sałatki. Przyrządziła specjalny sos. Musiała nakłonić Simona, by zabrał się do odrabiania lekcji wcześniej niż zwykle. Nie poszło łatwo, mimo perspektywy zjedzenia kolacji w towarzystwie nowego wspaniałego kumpla, za jakiego uważał Brada.

Musiała jakoś się ogarnąć, przebrać i poprawić makijaż. Ponadto musiała też doprowadzić do porządku Simona - co również nie okazało się łatwe - i zapalić ozdobne, zapachowe świece, żeby dom ładnie się prezentował i nie był przesiąknięty aromatem mokrej psiej sierści.

Musiała jeszcze przyrządzić sałatkę, nakryć stół, sprawdzić arytmetykę i ortografię, nakarmić psa. I wszystko to między trzecią trzydzieści pięć a szóstą trzydzieści.

On pewnie nie jada kolacji o tak wczesnej porze, pomyślała, mieszając sos. Zamożni ludzie później zasiadają do posiłków. Ale Simon musiał w powszedni dzień iść spać przed dziewiątą. Taka reguła obowiązywała w ich domu, więc jeśli Bradley Vane się do niej nie dostosuje, niech zje swoje spaghetti gdzie indziej.

Zoe z sykiem wypuściła powietrze. Przestań wreszcie! - nakazała sobie. Przecież nikt na nic nie narzekał. Sama wymyślasz problem.

- Simon? Najwyższy czas, żebyś to wreszcie skończył.

- Nienawidzę ułamków. - Kopnął piętą w nogę krzesła i nachmurzony wbił wzrok w arkusze z zadaniami. - Ułamki doprowadzają człowieka do szału.

- Każda rzecz składa się z kawałków. Warto się im bliżej przyjrzeć.

- Po co?

Wyjęła serwetki, które sama obrębiła na maszynie.

- Żebyś potrafił złożyć i rozłożyć różne rzeczy, zrozumieć, jak działają.

- Ale po co?

Złożyła serwetki w kształt trójkąta.

- Specjalnie chcesz mnie zdenerwować czy może to twój wrodzony talent?

- Nie wiem. Dlaczego tak je układasz?

- Ponieważ mamy gościa na kolacji.

- Przecież to tylko Brad.

- Wiem. Zostały ci jeszcze trzy zadania. Tylko trzy, nie więcej. Dokończ pracę, a ja w tym czasie nakryję do stołu.

- Dlaczego nie mogę odrobić po kolacji? Dlaczego w ogóle muszę odrabiać lekcje, zamiast pobawić się z Moem?

- Dlatego że trzeba wypełniać swoje obowiązki. Znasz moje wymagania. Masz to zrobić teraz.

Wymienili spojrzenia pełne gniewu i urazy.

- Jesteś niesprawiedliwa.

- Informacja dla Simona: życie nie zawsze jest sprawiedliwe. Odrób lekcje, bo inaczej nie obejrzysz dzisiaj wideo ani telewizji. I przestań kopać krzesło - warknęła. Wysunęła deskę i zaczęła siekać warzywa do sałatki. - Jeśli nie przestaniesz robić min za moimi plecami - odezwała się chłodnym tonem - nie obejrzysz wideo ani telewizji przez cały tydzień.

Simon nie miał pojęcia, skąd mama wie, co on robi za jej plecami, ale zawsze wiedziała. Zbuntowany rozwiązywał następne zadanie trzy razy wolniej, niż by mógł.

« Odrabianie lekcji było do chrzanu. Zerkał na matkę, sprawdzając - tak na wszelki wypadek - czy nie słyszy jego myśli. Ale nie, nadal kroїła jakieś świństwa do idiotycznej sałatki.

Szkoła mu nie przeszkadzała. Czasami nawet ją lubił. Nie rozumiał tylko dręczenia lekcjami w domu. Zastanowił się przelotnie, czyby jeszcze raz nie kopnąć nogi krzesła, tak na próbę. Ale w tej chwili do pokoju wpadł Moe.

- Cześć, Moe! Hej, chłopie, co tam masz? Zoe obejrzała się i upuściła nóż.

- O Boże.

Moe niemal tańczył w miejscu, wymachiwał ogonem i zaciskał zęby na tym, co pozostało z rolki papieru toaletowego. Rzuciła się w jego stronę, co dla psa oznaczało, że zaczyna się zabawa. Oskoczył w lewo, obiegł stół i dał susa przez kuchenne drzwi.

- Stój! Cholera jasna. Simon, pomóż mi go złapać.

Moe rzetelnie przyłożył się do roboty. Całą podłogę zaścielały niczym śnieg strzępki i wstęgi przeżutego papieru. Zoe zapędziła psa do salonu, gdzie zaczął się bawić pogryzioną rolką, warczał przy tym i poszczekiwał. Simon chichotał z uciechy, rozłożył się przy nim i razem tarzali się po dywanie.

- Simon, to nie jest zabawa. - Zoe przystąpiła do ataku i udało jej się złapać oślinioną rolkę papieru. Lecz gdy nią szarpnęła, w oczach Moego zapaliły się iskierki. Powarkując, przypadł do podłogi.

- On myśli, że bawisz się z nim w przeciąganie liny. Strasznie to lubi.

Spojrzała z irytacją na syna. Klęczał obok psa, otaczając go ramieniem. Strzępki papieru przyklepiły się do czystych spodni Simona i sierści Moego.

Obydwaj, chłopiec i pies, szczyrzyli zęby w uśmiechu.

- Nie bawię się z wami. - Słowa uwięzły jej w gardle, zdławione śmiechem. - Nie bawię się! Niedobry pies. - Stuknęła go palcem w nos. - Bardzo niedobry pies.

Moe przysiadł, podał łapę i wypluł rolkę papieru pod nogi Zoe.

- Chce, żebyś mu ją rzuciła do przyniesienia.

- No jasne, o niczym innym nie marzę. - Chwyliła rolkę papieru i schowała za plecami. - Przynieś odkurzacz. Ja tu sobie pogadam z Moem.

- Nie jest tak naprawdę wściekła - szepnął chłopiec do ucha psu. - Kiedy jest naprawdę wściekła, jej oczy robią się ciemne i jakieś takie straszne.

Simon zerwał się na nogi. Zoe błyskawicznie złapała psa za obrozę.

- O nie, ty nie wychodzisz. Popatrz, jakiego bałaganu narobiłeś. Co masz na swoją obronę?

Winowajca przewrócił się na grzbiet i odsłonił brzuch. Westchnęła cicho, słysząc stukanie do drzwi i okrzyk Simona: „Ja otworzę!”.

- Cudownie. Po prostu cudownie.

Odprowadziła spojrzeniem Moego, który natychmiast wyprysnął z pokoju, i usłyszała podniecony głos Simona, opowiadającego Bradowi o najnowszym psim wyczynie.

- Gonił po całym domu. Narobił bałaganu.

- Widzę. - Brad wszedł do salonu, gdzie Zoe stała wśród strzępków papieru. - Nie narzekasz na brak rozrywek, co?

- Jakimś sposobem otworzył drzwi bieliźniarki. Muszę posprzątać.

- Może lepiej zajmij się tym. - Podeszedł bliżej i wyciągnął w jej stronę butelkę wina oraz tuzin żółtych róż. - Obaj poradźmy sobie ze sprzątaniem.

- Ale przecież nie możesz...

- Jasne, że mogę. Masz odkurzacz? - zwrócił się Brad do Simona.

- Właśnie po niego szedłem. - Chłopiec wybiegł z pokoju.

- Naprawdę nie rób sobie kłopotu. Uprzątnę wszystko... później.

- Ja to zrobię. Nie podobają ci się róże?

- Podobają. Bardzo. Są piękne. - Sięgnęła po kwiaty i zorientowała się, że wciąż ścisła w dłoni resztki mokrej rolki papieru. - Och - mruknęła, westchnąwszy tylko. - No, cóż.

- Zamieńmy się. - Odebrał Zoe papier, zanim zdążyła zaprotestować i wręczył kwiaty.

- Weź także to. - Podał jej butelkę chianti. - I otwórz od razu, żeby pooddychało.

Odwrócił się do Simona, który wszedł do salonu, ciągnąc za sobą odkurzacza.

- Włącz go i załatwmy sprawę szybko, bo coś naprawdę smakowicie pachnie.

- Sos do spaghetti. Mama robi najlepszy na świecie. Ale najpierw musimy zjeść sałatkę.

- Wszystko ma swoje plusy i minusy. - Brad uśmiechnął się do Zoe, podwijając rękawy ciemnoniebieskiej koszuli. - Zajmiemy się tym.

- No dobrze. Cóż, dzięki. - Nie wiedząc, co mogłaby zrobić innego, zaniósła wino i róże do kuchni. Dobiegł ją głos Simona, rozprawiającego o czymś z zapalem, a potem ryk odkurzacza i opętańcze szczekanie.

Zapomniała, że Moe uważa odkurzacza za śmiertelnego wroga. Właściwie powinna była wrócić do salonu i zabrać stamtąd psa. Usłyszała jednak radosny śmiech Simona, któremu równie radośnie zawtórował Brad, następnie zaś coraz głośniejsze szczekanie, oznaczające, że i mężczyzna, i chłopiec zachęcają Moego do dalszych ekscesów.

Nie, świetnie się czuli w swoim towarzystwie. Nie należało im przeszkadzać.

I dzięki temu zyskała sposobność, by po prostu wtulić twarz w kwiaty. Nigdy dotąd nie dostała od nikogo żółtych róż. Były takie słoneczne i wytworne. Po krótkim namyśle wybrała dla nich smukłą miedzianą urnę, którą wypatrzyła na jakiejś wyprzedazy i ocaliła od zapomnienia. Wyczyszczona, błyszcząca urna wydawała się dla nich najodpowiedniejsza.

Zoe ułożyła kwiaty i otworzyła wino. Wstawiła wodę na makaron i zajęła się krojeniem warzyw do sałatki.

Wszystko było w porządku, w najlepszym porządku. Musiała tylko pamiętać, że to zwyczajny mężczyzna. Znajomy. Po prostu znajomy, który przyszedł na kolację.

- Załatwione - oznajmił Brad, wchodząc do kuchni. Natychmiast zauważył bukiet stojący na blacie. - Ładnie wyglądają.

- Są naprawdę piękne. Dziękuję ci. Simon, może byś na razie wypuścił Moego na podwórze? Zabierz podręczniki do drugiego pokoju i odrób te dwa ostatnie zadania. A potem zjemy kolację.

- Jakie zadania? - spytał Brad, podchodząc do stołu, na którym leżały książki.

- Głupie ułamki. - Chłopiec otworzył kuchenne drzwi, wypuścił psa i posłał matce cierpiętnicze spojrzenie. - Nie mógłbym odrobić później?

- Jasne, jeśli tak chcesz spędzić swoją wolną godzinę po kolacji.

Simon zacisnął usta, a jego mina sygnalizowała, że jest bliski wybuchu.

- Mam już potąd - zrobił znaczący gest ręką - ułamków. I w ogóle wszystkiego. Dlaczego muszę się z tym użerać? Przecież są komputery, kalkulatory i tak dalej.

- Dlatego że...

- Owszem, z kalkulatorem byłoby łatwiej - rzucił od niechcenia Brad, przerywając pełną emocji wypowiedź Zoe, i przesunął palcem po arkuszu z zadaniami. - To chyba zbyt trudne, żebyś dał sobie radę sam.

- Wcale nie.

- No, nie wiem. Wydaje się dość skomplikowane. Musisz dodać trzy i trzy czwarte do dwóch i pięciu ósmym. Ciężka sprawa.

Zamienić ćwiartki na ósemki. O, tak. - Simon złapał ołówek, przygryzł język i dokonał przeliczenia. - Widzisz? Teraz można dodać sześć ósmym do pięciu ósmym, a potem sprowadzić do jednego i trzech ósmym, plus tamte pozostałe liczby. Razem wychodzi sześć i trzy ósme. Taki jest końcowy wynik.

- Ha! Kto by pomyślał?

- To jakaś sztuczka? - spytał podejrzliwie Simon.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Brad zmierzwił czuprynę chłopca. - Rozwiąż ostatnie zadanie, mądralo.

- O rety.

Zoe obserwowała Brada pochylającego się nad ramieniem syna. Poczowała dziwne ciepło w sercu, gdy uniósł głowę i z uśmiechem spojrzał jej w oczy.

Nie, on nie był zwyczajnym mężczyzną, znajomym, który wpadł na kolację. Tego się właśnie obawiała.

- Zrobione! - obwieścił dumnie Simon. - Dostanę warunkowe zwolnienie, pani naczelnik?

- Chwilowo możesz opuścić celę. Odnieś książki i umyj się przed kolacją. - Nalała wina do dwóch kieliszków, odprowadzając spojrzeniem Simona, który jednym susem znalazł się w drzwiach. - Nieźle sobie radzisz z krnąbrnymi małymi chłopcami.

- Może dlatego, że sam taki byłem. - Wziął od niej kieliszek. - Ma smykałkę do liczb.

- Ma, owszem. I bardzo dobrze się uczy. Nie cierpi tylko zadań domowych.

- To chyba naturalne, no nie? Co masz na sobie?

- Ja? - Zbita z tropu popatrzyła na swój granatowy sweter.

- Nie myślałem o stroju, tylko o perfumach. Zawsze pachniesz bajecznie i za każdym razem inaczej.

- Wypróbuję różne produkty. Mydła, kremy i... - dostrzegłszy błysk w jego oku, uniosła wino do ust, zanim zdążył się pochylić - i zapachy.

- Zabawne. Wiele kobiet ma swój ulubiony zapach, niemal jak podpis. I ten zapach

czasami prześladuje mężczyznę. A w twoim wypadku mężczyzna się zastanawia, jak będziesz jutro pachniała, i nie może przestać o tobie myśleć.

Kuchnia była zbyt ciasna, by Zoe mogła się cofnąć, nie robiąc tego demonstracyjnie.

- Nie perfumuję się dla mężczyzn.

- Wiem. Dlatego to jest takie uwodzicielskie.

Zauważył przerażone spojrzenie, które rzuciła ku drzwiom. Sekundę później usłyszeli kroki powracającego Simona. Brad niedbałym ruchem usunął się na bok, umożliwiając Zoe dostęp do kuchenki.

- Dostaniemy coś do jedzenia? - zapytał z naciskiem chłopiec.

- Właśnie wrzucam spaghetti. Siadaj do stołu. Zaczniemy od sałatki.

Nakrycie stołu spodobało się Bradowi. Kolorowe talerze, odświeżone miski, wzorzyste serwetki. Na stole paliły się świece, a ponieważ chłopiec nie wygłosił na ich temat żadnego komentarza, Brad doszedł do wniosku, że nie są w tym domu niczym niezwykłym.

Odniosł wrażenie, że Zoe stopniowo się rozluźnia. Niewątpliwie przyczynił się do tego Simon, który nieustannie wygłaszał uwagi i zadawał pytania, co nie przeszkadzało, że zajadał jak robotnik portowy.

Brad go rozumiał. Mama naprawdę potrafiła przyrządzić spaghetti. Sam wziął dokładkę.

- Podobają mi się te zdjęcia w salonie - odezwał się do Zoe.

- Pocztówki? Dostaję je od znajomych, którzy jeżdżą po świecie.

- Sami zrobiliśmy ramki - wtrącił Simon. - Mama ma skrzynkę do połączeń kątowych.

Może kiedyś pojedziemy na wycieczkę i też wyślemy znajomym kartki. No nie, mamo?

- A dokąd chcielibyście pojechać?

- Nie wiem. - Zoe z roztargnieniem owinęła makaron dookoła widelca. - Dokądkolwiek.

- Pewnego dnia pojedziemy do Włoch i zjemy tam spaghetti. - Simon z uśmiechem wpełchnął do ust kolejną porcję makaronu.

- Na pewno nie lepsze niż to, które robi twoja mama.

- Byłeś tam i w ogóle?

- Byłem. Masz widokówkę z mostem we Florencji, prawda? No więc stałem na nim.

- I naprawdę jest taki super? - chciał wiedzieć Simon.

- Naprawdę.

- Słyszałem, że mają tam miasto, w którym po ulicach płynie woda.

- Wenecja - przypomniała mu Zoe. - Zamiast ulic są kanały. Byłeś w Wenecji? -

zapytała Brada.

- Tak. Jest piękna. Wszędzie można dotrzeć łodzią - zwrócił się do Simona. - Albo na piechotę. Mają wodne taksówki i wodne autobusy.

- Żartujesz!

- Serio. W Wenecji nie ma normalnych dróg ani samochodów. Jeśli znajdę zdjęcia, to ci pokażę. - Przeniósł spojrzenie na Zoe. - Jak idą prace?

- Dzisiaj dostarczono regały Dany. Rzuciłyśmy wszystko, żeby je ustawić. To była dla nas ważna chwila. I przyjechały okna. - Odchrząknęła. - Chciałabym ci podziękować za załatwienie sprawy montażu. Postąpiłeś bardzo szlachetnie.

- Czy dostałaś moją kartkę? Nawinęła na widelec resztkę makaronu.

- Tak. Mimo wszystko doceniam twój gest. Nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Spójrz na to od mojej strony. Przez ostatnie dwa tygodnie obroty HomeMakers znacznie wzrosły dzięki „Pokusie”. Chcieliśmy wyrazić wdzięczność naszym stałym klientkom. No więc, czy wstawili wszystkie okna jak należy?

- Przypuszczam, że znasz już odpowiedź. - Nie miała wątpliwości, iż Brad dokładnie egzekwuje wykonanie swych poleceń.

Uniósł kieliszek.

- Ekipa poinformowała mnie, że okna wyglądają dobrze i że zyskali na tej transakcji kawę i ciasteczka.

Z rozbawieniem popatrzyła na jego talerz.

- Zdaje mi się, że twój zysk to dwie porcje spaghetti.

Uśmiechnął się szeroko, sięgnął po butelkę i napełnił kieliszek Zoe.

- Napchałem się - oznajmił Simon. - Czy możemy teraz zagrać w grę wideo? Brad i ja?

- Oczywiście.

Simon zerwał się z krzesła, a Brad zauważył, że chłopiec odniósł swoje nakrycie do kuchni i postawił na blacie obok zlewu.

- Czy mogę już wpuścić Moego?

Zoe powierciła palcem w brzuchu syna.

- Trzymaj go z daleka od moich szaf.

- Dobra.

- Najpierw pomogę twojej mamie przy zmywaniu - powiedział Brad.

- Nie musisz. Naprawdę - nalegała, gdy za przykładem Simona uprzątnął swój talerz. - Mam swój system, a Simon od rana czeka na tę grę. Za godzinę już będzie musiał szykować

się do spania.

- Chodź, no chodź. - Chłopiec pociągnął Brada za rękę. - Mama pozwala. Prawda, mamo?

- Pozwalam. Zabierajcie się z mojej kuchni, wszyscy, łącznie z psem.

- Wrócę tu powycierać naczynia, gdy tylko złożę skórę smarkaczowi - zapewnił Brad. -

Co nastąpi dość prędko.

- Niedoczekanie! - zakrzyknął Simon, wyprowadzając Brada z kuchni.

Czuła ciepło w sercu, słysząc radosny głos syna, gdy zabierała się do porządków. Żaden dorosły mężczyzna nie okazał jeszcze Simonowi szczerego zainteresowania. Teraz było ich aż trzech: Flynn, Jordan i Brad.

Musiała przyznać, że najbardziej polubił Bradleya. Od razu przypadli sobie do gustu. Jakieś tajemnicze męskie porozumienie. Powinna je nie tylko zaakceptować, lecz także wspierać.

Przedtem jednak zamierzała się upewnić, czy Brad rozumie, że cokolwiek się wydarzy - lub nie wydarzy - między nimi dwojgiem, nie wolno traktować Simona z lekceważeniem.

Skończywszy sprzątanie po kolacji, zaparzyła dzbanek kawy i postawiła go na tacy razem z talerzem czekoladowych babeczek. Gdy wniosła tacę do pokoju, Brad siedział po turecku na podłodze obok Simona. Pies chrapał w najlepsze z łbem opartym na kolanie Brada. Cały pokój aż wibrował od dźwięków i obrazów gry WWF Smackdown.

- Już po tobie! - wyskandował Simon, gorączkowo kręcąc przełącznikiem.

- Jeszcze nie, kolego. Broń się!

Zoe obserwowała, jak potężnie zbudowany, jasnowłosy zapaśnik powala swego muskularnego przeciwnika na matę i zadaje mu druzgocący cios. Wywiązała się zażarta walka, przeplatana stęknieniami i mrozącymi krew w żyłach okrzykami, które wydobywały się nie tylko z głośników. Wreszcie Simon opadł na wznak z rozpostartymi ramionami i otwartymi ustami.

- Klęska - jęknął. - Poznałem smak klęski.

- Lepiej do niego przywyknij. - Brad wyciągnął rękę i poklepał Simona po brzuchu. - Spotkałeś mistrza i poznałeś jego wielkość.

- Następnym razem zginiesz.

- Nigdy mnie nie pokonasz w Smackdowna.

- Czyżby? Zaraz ci pokażę, co cię czeka.

Fiknął koziołka i z przeraźliwym okrzykiem skoczył Bradowi na plecy.

Mocowali się przez chwilę, wydając odgłosy, od których serce Zoe rosło. Nawet nie

drgnęła, kiedy Brad przerzucił sobie chłopca przez głowę i przygwoździł go do dywanu.

- Poddaj się, mały, żaloszny napastniku.

- Nigdy! - zapał Simon i wybuchnął niepohamowanym śmiechem, próbując uniknąć bezlitosnego łaskotania i ukryć twarz przed wilgotnym jęzorem Moego. - Mój krwiożerczy pies rozszarpie cię na strzępy.

- No jasne, cały się trzęsę ze strachu. Poddajesz się?

Zadyszany, płacząc ze śmiechu, Simon wiercił się i wykręcał przez następnych dziesięć sekund.

- Okay, okay! Przestań mnie łaskotać, bo się porzygam!

- Tylko nie na mój dywan - powiedziała Zoe.

Na dźwięk jej głosu Brad odwrócił głowę. Simon spróbował się wywinąć i trafił Brada łokciem prosto w usta.

Chłopiec pohamował chichot, widząc, co się stało. Brad dotknął grzbietem dłoni lekko rozciętej wargi.

- Zapłacisz mi za to - odezwał się groźnym tonem, który sprawił, że palce Zoe zacisnęły się na tacy.

W mgnieniu oka zerwał się na nogi, wprawiając ją w panikę. Otworzyła usta do krzyku i ruszyła naprzód, by bronić syna, lecz w tej samej chwili Brad podniósł go i przytrzymał głową w dół, co wywołało u Simona kolejny atak śmiechu.

Zoe poczuła, że miękną jej kolana, a mięśnie ramion zaczynają drżeć. Z brzękiem postawiła tacę.

- Patrz, mamó! Wiszę do góry nogami!

- Widzę. Będziesz musiał z powrotem na nich stanąć i pójść umyć zęby.

- A nie mógłbym... - Urwał, gdyż Moe polizał go po twarzy.

- Jutro idziesz do szkoły. No już, szykuj się do spania. Potem możesz przyjść i powiedzieć Bradleyowi dobranoc.

Z oczyma utkwionymi w Zoe, Brad obrócił Simona i postawił na podłodze.

- Biegnij. Umówimy się na rewanż.

- Fajnie. Na kiedy?

- Może na piątek wieczorem? Przyjechałbyś do mnie z mamą. Zjedlibyśmy kolację, a potem siedli sobie w pokoju gier.

- Dobra! Zgadzasz się, mamó? - Przewidując odpowiedź, otoczył ramionami jej talię. - Nie mów, że zobaczymy. Po prostu powiedz tak. Proszę!

Wciąż drżały jej kolana.

- Tak. Zgoda.

- Dzięki. - Uściskał matkę, zagwizdał na psa i wybiegł w podskokach.

- Myślałaś, że chcę go uderzyć. - W głosie Brada brzmiało tak przemożne zdumienie, że Zoe poczuła ściskanie w dołku.

- Ja... mówiłeś takim tonem, że... Przepraszam. Teraz już wiem.

- Nie mam zwyczaju pastwić się nad dziećmi.

- Oczywiście, że nie. To był odruch.

- Czy ktoś go kiedyś skrzywdził? Ktoś go uderzył?

- Nie. Nie - powtórzyła, starając się zachować spokój. - Nikt, z kim byłam związana, specjalnie się nim nie interesował. I niechby ktoś tylko spróbował podnieść na niego rękę w mojej obecności.

Kiwnął głową, najwyraźniej usatysfakcjonowany odpowiedzią.

- Okay. Możesz być pewna, że tym kimś nie będę ja.

- Obraziłam cię. Nie lubię obrażać ludzi... w każdym razie nieумыślnie. Po prostu to się zdarzyło tak szybko, wydawało mi się, że jesteś wściekły i... twoja warga krwawi.

- Niepotrzebnie się z nim wygłupiałem. Moja mama często powtarzała, że jak się zaczyna takie dzikie harce, komuś na pewno stanie się krzywda. - Dotknął palcem zranionej wargi. - Matki zawsze mają rację, no nie?

- Teraz próbujesz mnie podnieść na duchu. - Instynktownie sięgnęła po serwetkę. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, pośliniła róg i dotknęła nim ust Brada. - Kiedy weszłam i was zobaczyłam, zrobiło mi się miło. Nie dałeś mu wygrać, choć mogłeś. To dobrze, bo nie chciałabym, aby nabrał przekonania, że zawsze musi być górą. Trzeba umieć przegrywać i... - Umilkła, spoglądając z lekką zgrozą na serwetkę. Napłuła na nią, Boże drogi. - O rany. - Zmięła serwetkę w dłoni. - Zachowałam się jak idiotka.

- Bynajmniej. - Z niezamierzonym wzruszeniem ujął jej rękę. - Jesteś bardzo miła.

- Och, nie. Chyba nie. Już przestało krwawić. Ale niewykluczone, że trochę spuchnie.

- Zapomniałaś o czymś. - Dotknął jej talii, przesunął palce ku plecom. - Czy nie powinnaś pocałować zranionego miejsca?

- Nie wygląda źle. - Prawdę mówiąc, wyglądało czarująco. Miał piękne usta.

- Boli - mruknął.

- No cóż, jeśli już musisz się nad sobą rozczulać...

Przysunęła się bliżej, zamierzając lekko musnąć te kuszące usta. Lekko, przyjaźnie i zdawkowo. Tak też uczyniła, usiłując zignorować nagłe drgnienie w podbrzuszu.

Nie przyciągnął jej do siebie, nie próbował przedłużyć pocałunku. Przytrzymał ją

tylko w tej samej pozycji, nadal patrząc w oczy.

- Ciągłe boli - stwierdził. - Pocałujesz jeszcze raz?

Zadzwończyły dzwonki alarmowe w głowie, lecz Zoe je zlekceważyła.

- Chyba mogę.

Ponownie zbliżyła usta do jego warg. Były takie ciepłe, tak jędrne...

Jęknęła cicho, gardłowo, ulegając tej wewnętrznej słabości. Przesunęła językiem po ustach Brada i wplotła palce w jego włosy.

On jednak czekał. Wyczuwała w nim napięcie, usłyszała nagle, głębokie westchnienie. Ale czekał.

Przytulona zanurzyła się w jego ciepłe. Dała się ponieść cudownej, leniwej fali, pobudzającej zmysł smaku i dotyku. Rozkoszna fizyczna bliskość. Powolny uwodzicielski rytm.

Wszystko, co dotychczas w sobie tłumiała, ożyło na nowo.

- O Boże - jęknęła i niewiele brakowało, żeby się rzuciła na niego.

Brad gotów był przysiąc, że ziemia zadrżała pod nogami. Niewątpliwie zakręciło mu się w głowie. Bo usta Zoe w jednej chwili z lekkich i słodkich stały się gorące i spragnione. Niecierpliwie uszczypnął zębami jej dolną wargę. Gdy przesunął dłońmi wzdłuż ciała, przeciągnęła się jak kobieta zbudzona z głębokiego snu.

- Simon - szepnęła, przyglądając włosy. I odskoczyła o krok, a sekundę później jej syn i Moe wpadli do pokoju.

Brad zauważył, że chłopiec ma na sobie piżamę z Xmanem. I pachnie pastą do zębów.

- Wszystko gra? - Zoe posłała synowi promienny uśmiech.

Huk w głowie nie ustawał. - Pan... eee, Brad i ja zamierzaliśmy właśnie napić się kawy.

Simon podszedł do matki i nadstawił policzek do pocałunku na dobranoc.

- Za chwilę przyjdę.

- Okay. Branoc - zwrócił się do Brada. - Więc umawiamy się na rewanż, tak?

- Jasne. Zaczekaj moment, dobrze? Chcę zasięgnąć twojej opinii w pewnej sprawie.

Zanim Zoe się spostrzegła, Brad wziął ją w ramiona i pocałował. Był to dość powściągliwy pocałunek, w trakcie którego zastygła niczym posąg, ale jednak pocałunek. Następnie odsunął się nieco, wciąż obejmując mocno jej talię i spojrzał na Simona, unosząc brew.

- No i co ty na to?

Oczy chłopca były podłużne jak u matki, bursztynowe jak u matki i krył się w nich

ocean domysłów. Po pięciu długich sekundach Simon zrobił zeza, wsadził palec do ust i udał, że wymiotuje.

- Aha - mruknął Brad. - Czy poza odruchem wymiotnym fakt, że całuję twoją matkę, jest dla ciebie jakimś problemem?

- Nie. Jeśli chcecie robić coś tak ohydneho, to wasza rzecz. Chuck mówi, że jego brat Nate lubi wkładać dziewczynom język do ust. To po prostu nie może być prawda. No nie?

Z heroiczną - jak uznał - samokontrolą Brad zachował poważny wyraz twarzy.

- Różne są upodobania.

- Pewnie tak. Zabiorę Moego do siebie, żeby nie musiał na was patrzeć, jeśli znowu zrobicie coś ohydneho.

- Na razie, mały. - Gdy Simon i Moe wymknęli się z pokoju, Brad z uśmiechem spojrzał na Zoe. - Chcesz zrobić coś ohydneho?

- Myślę, że po prostu napijemy się kawy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O spotkania, projekty i plany rozwoju związane z HomeMakers zajęły Bradowi kolejne dwa dni. Nie mógł narzekać, gdyż to on sam wpadł na pomysł, by wrócić do Pleasant Valley i założyć tu bazę operacyjną, z której zamierzał nadzorować działalność rodzinnej firmy w rejonie północno - wschodnim, a także zreorganizować sklep w Valley i powiększyć go o piętnaście tysięcy stóp kwadratowych.

Oznaczało to papierkową robotę, telekonferencje, weryfikację personelu i metod postępowania, narady z architektami i przedsiębiorcami budowlanymi, targi oraz kuszące propozycje dostawców.

Potrafił sobie z tym poradzić. Tak go wychowano, a siedem ostatnich lat spędził w nowojorskich biurach, zapoznając się z najrozmaitszymi aspektami funkcji naczelnego dyrektora jednej z największych sieci handlowych w kraju.

Był Vane'em, przedstawicielem trzeciego pokolenia twórców HomeMakers. W żadnym wypadku nie zamierzał wypuszczać piłki z rąk. Przeciwnie, miał zamiar wbić ją do kosza, przekształcając pierwszy magazyn HomeMakers w największy, najbardziej prestiżowy i dochodowy sklep firmowy w Stanach.

Ojca Bradleya nie zachwycała decyzja syna. B. C. Vane III uznał ją za podyktowaną sentymentem. Bo właściwie była, pomyślał Brad. Czemu nie? Jego dziadek otworzył skromny sklepik z artykułami żelaznymi, a potem zaryzykował wszystko, by go wypromować i stworzyć dobrze prosperujący, przyjazny dla klienta punkt sprzedaży wyposażenia domowego, podstawę tej branży w Laurel Highlands.

Dzięki śmiałości, sprytowi i wyobraźni otworzył drugi sklep, a potem trzeci i następne, aż wreszcie stał się symbolem amerykańskiej przedsiębiorczości, a jego twarz ozdobiła okładkę „Timesa”, zanim skończył pięćdziesiąt lat.

Sentyment - owszem, pomyślał Brad, lecz ze sporą domieszką śmiałości, sprytu i wyobraźni Vane'ów.

Przyglądał się rodzinnemu miastu przez okno samochodu. Pleasant Valley prosperowało na swój spokojny, zrównoważony sposób. Rynek nieruchomości kwitł, a jeżeli ktoś kupił tu dom, zazwyczaj zapuszczał korzenie i zostawał. Sprzedaż detaliczna przekraczała średnią krajową, a dolary turystów płynęły wartkim strumieniem, ożywiając lokalną gospodarkę.

Pleasant Valley ceniło sobie swoistą małomiasteczkową atmosferę, której dodawał pewnej finezji fakt, iż znajdowało się zaledwie o godzinę jazdy od Pittsburgha.

Wczasowiczom oferowało górskie wycieczki, narty, przejażdżki łodzią, wędkarstwo, uroczne zajazdy i dobre restauracje. Wiejski klimat w dogodnej odległości od gwaru wielkiego miasta.

Dobrze było mieszkać i prowadzić interesy w takim miejscu. Brad zamierzał jedno i drugie.

Może nie przewidywał, że zacznie mu na tym tak bardzo zależeć, lecz nie przypuszczał, iż zaraz po powrocie da się wplątać w poszukiwanie magicznych kluczy. I że zauroczy go powściągliwa samotna matka oraz jej rozbrajający syn.

Tak czy inaczej była to po prostu kwestia wytyczenia celów, ustalenia priorytetów i zadbania o szczegóły.

Zaparkował auto i wszedł do redakcji „Valley Dispatch”, by dopilnować kilku z owych szczegółów.

Z uciechą myślał o przyjacielu jako wydawcy miejscowej gazety. Flynn nie wyglądał na człowieka, który chciałby i potrafił kierować personelem, dotrzymywać napiętych terminów, zajmować się reklamami, treścią artykułów oraz cenami papieru. I dlatego, myślał Brad, kierując się do biura Flynna, jego stary kumpel tak dobrze wykonywał swoją pracę. Mobilizował ludzi do działania i robili to, czego chciał, nie wyczuwając żadnego nacisku z jego strony.

Brad ominął biurka i siedzących przy nich dziennikarzy w kakofonii telefonów, klawiatur i głosów. Czuł zapach kawy, jakichś wypieków oraz sosnowego płynu po goleniu.

A za szklaną ścianą gabinetu redaktora naczelnego przysiadł na rogu biurka Flynn w wystrzępionych dżinsach i rozczłapanych adidasach.

Korzystając z przywileju trzydziestoletniej przyjaźni, Brad wmaszerował do środka.

- Osobiście przygotuję relację z tego spotkania, panie burmistrzu. - Flynn wskazał ruchem głowy telefon na biurku i światelko kontrolne.

Brad z uśmiechem wsunął ręce w kieszenie i zaczął czekać, aż Flynn skończy rozmowę.

- Przepraszam. Nie zauważyłem, że telefonujesz.

- Co tak ważnego dyrektora sprowadza o poranku do mojego skromnego biura? - zagadnął Flynn.

- Przywiozłem projekt wkładki na następny tydzień.

- Jak na gońca, nieźle się ubierasz. - Dotknął rękawa garnituru przyjaciela.

- Muszę zaraz jechać do Pittsburgha w interesach. - Brad położył teczkę na biurku. - Chciałem z tobą pogadać o dziesięciostronicowej wkładce do numeru na tydzień przed Świętem Dziękczynienia. Chcę mocnego uderzenia przed Czarnym Piątkiem.

- Jestem do dyspozycji. Niech twoi ludzie umówią się z moimi ludźmi. Podoba mi się

ta fraza - dodał Flynn. - Brzmi zupełnie po hollywoodzku.

- Chodzi mi o reklamę lokalną, nie ogólnokrajową. Odnosi się do sklepu w Valley i chciałbym, żeby była gustowna i poręczna. Żeby klienci mogli ją schować do kieszeni albo torebki i zabrać z sobą, kiedy wybiorą się na zakupy. Chcę także wyłączości. Żeby tego dnia nie było w gazecie innych wkładek, ulotek reklamowych i tak dalej.

- Tydzień przed Czarnym Piątkiem mamy zawsze powódz reklam - przypomniał Flynn.

- Właśnie. Nie chcę, żeby moja utonęła w tej powodzi. Ma pójść jako jedyny dodatek.

Flynn zatarł ręce.

- To cię będzie trochę kosztowało, synku.

- Ile?

- Porozmawiam z działem reklamy, ustalimy cenę. Dziesięć stron w kolorze? - upewnił się, zapisując w notesie. - Jutro do ciebie zadzwonię.

- W porządku.

- Popatrz tylko, ubijamy interes. Napijesz się kawy, żeby to uczcić?

Brad zerknął na zegarek, skontrolował czas.

- Chętnie. Jest jeszcze coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać. Mogę zamknąć drzwi?

Flynn wzruszył ramionami.

- Jasne. - Nalał kawy i znowu usiadł na biurku. - Chodzi o klucz?

- Od dwóch dni nie mam żadnych wiadomości. Ostatnim razem, gdy widziałem się z Zoe, odniosłem wrażenie, że nie chce o tym mówić. Przynajmniej ze mną.

- Więc się zastanawiasz, czy może rozmawiała ze mną albo, co bardziej prawdopodobne, z Mai, która mi wszystko powtórzyła. Otóż nie - oświadczył Flynn. - Malory podejrzewa, że Zoe po prostu czeka, aż coś się wydarzy, i rozmyśla, cała spięta, kiedy Kane wykona następny ruch.

- Przystudiowałem jej wskazówkę. I doszedłem do wniosku, że to ona musi wykonać ruch. Spotkam się z nią w piątek wieczorem, ale może przedtem nastąpi jakaś burza mózgów.

- W piątek? - Flynn łyknął kawy. - Czy to towarzyskie spotkanie?

- Simon przyjedzie się pobawić. - Brad krążył niespokojnie po pokoju. - Razem ze swoją matką.

- Niezły manewr.

- Człowiek robi, co może. To kapitalny dzieciak i nie tak skomplikowany, jak jego mama.

- Sądzę, że przebyła trudną drogę i sama przecierała szlak. Co pasuje do głównego wątku jej wskazówki.

- To niezwykła kobieta.

- Zadurzyłeś się w niej?

- Po uszy. - Usiłując odzyskać spokój, Brad oparł się o parapet. - Problem w tym, że ona mi nie ufa. I tak czynię postępy. Ostatnio przynajmniej przestała sztywnieć lub przybierać postawę obronną za każdym razem, gdy na nią spojrzę. Ale czasami patrzy na mnie jak na osobnika z innej planety, który nie przybył z misją pokojową.

- W jej wypadku wchodzi w grę transakcja wiązana. Kobiety, które odpowiadają nie tylko za siebie, muszą bardziej uważać. Jeżeli są inteligentne. A Zoe jest.

- Mam fioła na punkcie tego dzieciaka. Im częściej go widuję, tym bardziej lubię. Chciałbym poznać historię jego ojca.

W odpowiedzi na pytające spojrzenie przyjaciela Flynn pokręcił głową.

- Przykro mi, moje źródła informacji milczą na ten temat. Może spróbujesz bezpośredniego podejścia i sam ją zapytasz?

Brad przyznał mu rację.

- Jeszcze jedna sprawa, bo zaraz muszę się zbierać. Zamierzasz wszystko opisać?

- Szklane Córy - powiedział głośno Flynn, wpatrując się w przestrzeń, jakby odczytywał niewidzialny nagłówek. - Pleasant Valley, Pensylwania. Dwoje celtyckich bóstw odwiedziło malownicze Laurel Highlands, by powierzyć trzem mieszkankom tych okolic zadanie odnalezienia kluczy do legendarnej Szkatuły Dusz. - Parsknął śmiechem i uniósł kubek z kawą do ust. - To by była pierwszorzędna historia. Przygoda, intryga, romans, pieniądze, indywidualne ryzyko, osobisty tryumf i boska moc, a wszystko na tle naszego cichego miasteczka. Owszem, przyszło mi do głowy, żeby opisać, najlepiej jak potrafię. Kiedy wplątałem się w ową zabawę, pomyślałem sobie: „Jezu, to może być historia stulecia”. Oczywiście zaraz po jej opublikowaniu ktoś mógłby zechcieć mnie przetransportować do pokoju bez klamek, lecz nie to mnie powstrzymało.

- A co?

- Taka publikacja postawiłaby nas wszystkich w niezręcznej sytuacji, nie sądzisz? Jedni ludzie by w to uwierzyli, inni nie, ale wszyscy zaczęliby wypytywać, domagać się odpowiedzi i oświadczeń. Żadne z nas nie mogłoby po czymś takim normalnie żyć. - Spuścił oczy i lekko wzruszył ramionami. - W zasadzie to jest najważniejsze. Żebyśmy wszyscy mogli żyć tak, jak chcemy, mamy prawo. Jeśli Jordan napisze książkę, to co innego. Beletrystyka. Ale ja nie zamierzam poruszać na łamach gazety spraw osobistych.

- Zawsze byłeś najlepszy z nas. Flynn niemal zakrztusił się kawą.

- Że co?

- Najbardziej przenikliwy, o najczystszym sercu. Dlatego zostałeś w Valley, wydając gazetę, choć także chciałeś się stąd wynieść. Może dlatego obydwaj z Jordanem mogliśmy wyjechać. Ponieważ wiedzieliśmy, że cię tu zastaniemy, gdy wrócimy.

Flynn rzadko zapominał języka w gębie, lecz teraz tak właśnie się stało.

- No cóż... - wykrztusił tylko.

- Muszę już jechać do Pittsburgha. - Brad odstawił kubek i wstał. - Gdyby coś się działo, zadzwoń do mnie na komórkę.

Flynn, wciąż oniemiały, kiwnął głową.

Zoe odmierzyła i wymieszała farbę do włosów dla pani Hanson. Sąsiadka lubiła mocne rude akcenty na tle brązu. Zoe dobrała odpowiednie składniki już trzy lata temu, w ciągu których co miesiąc przycinała i farbowała włosy pani Hanson.

Była jedyną klientką, przyjmowaną przez Zoe w domu. Wspomnienie ściętych włosów na podłodze i wszechobecnego odoru chemikaliów sprawiło, iż przyrzekła sobie święcie, że nigdy nie otworzy w domu zakładu fryzjerskiego.

Z panią Hanson jednak sprawy miały się zupełnie inaczej i ta jedna godzina w miesiącu, gdy Zoe czesała sąsiadkę w kuchni, bardziej przypominała towarzyskie odwiedziny niż pracę.

Pamiętała dzień, gdy wprowadziła się do tego domu. Pani Hanson, której włosy miały wówczas niefortunny kruczoczarny odcień, przyszła powitać nowych sąsiadów. Przyniosła czekoladowe ciasteczka, przyjrzała się uważnie Simonowi i wreszcie kiwnęła głową z aprobatą. Następnie zaoferowała się jako opiekunka, tłumacząc, że odkąd synowie się wyprowadzili, brakuje jej w domu obecności chłopca.

Była pierwszą przyjaciółką Zoe w Valley i z czasem zastąpiła Simonowi babcię, a samej Zoe - matkę.

- Przedwczoraj widziałam twojego kawalera. - Niebieskie oczy pani Hanson błysnęły łobuzersko, gdy mościła się na kuchennym taborecie.

- Nie mam żadnego kawalera. - Zoe rozczesła jej włosy i nałożyła farbę na siwe odrosty.

- Przystojny młody człowiek - ciągnęła niezrażona pani Hanson. - Podobny do ojca. Znałam trochę jego ojca, kiedy był w tym samym wieku. A róże, które ci przyniósł, nieźle się trzymają. Popatrz, jak ładnie rozkwitły.

Zoe zerknęła w stronę stołu.

- Przycinałam im łądygi i zmieniałam wodę, żeby nie zwiędły.

- Są jak promień słońca. Żółte róże pasują do ciebie. Bystry mężczyzna zrozumie to od razu. Simon bez przerwy opowiada o Bradzie, co zrobił, czego nie zrobił. To znaczy, że on jest dobry dla chłopca.

- Faktycznie jest. Dogadali się od razu. - Zoe zmarszczyła brwi. - Wydaje mi się, że Bradley bardzo lubi Simona.

- A mnie się wydaje, że lubi także mamę Simona.

- Jesteśmy przyjaciółmi... no, może jeszcze nie do końca. On mnie niepokoi.

Pani Hanson zanosła się piskliwym śmiechem.

- Wygląda mi na takiego!

- Ale nie jest taki. No cóż... może i jest. - Zoe też się zaśmiała i nabrała farby na pędzelek. - Mimo to niepokoi mnie, tak ogólnie.

- Pocałował cię już? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, pani Hanson zachichotała z satysfakcją. - W porządku. Nie wyglądał mi na ślamazarę. No i jak było?

- Musiałam się upewnić, że nie odleciała mi głowa, bo właśnie takie miałam wrażenie.

- Najwyższy czas. Trochę się o ciebie martwiłam, złotko. Bo ciągle tylko praca. Ani chwili dla siebie. Jak zobaczyłam te miłe dziewczęta i jeszcze Brada Vane'a, kamień spadł mi z serca. - Poklepała Zoe po dłoni. - Ciągle pracujesz dzień i noc, zwłaszcza teraz, kiedy otwierasz własny zakład, ale to mi się podoba.

- Nie dałabym rady, gdyby pani nie zajmowała się Simonem po lekcjach.

Pani Hanson skwitowała jej słowa lekceważącym mruknięciem i nonszalanckim gestem.

- Dobrze wiesz, że przepadam za nim. Jest dla mnie jak rodzony. Prawie nie widuję moich wnuków, odkąd Jack przeprowadził się do Baltimore, a Dekę do Kalifornii. Nie wiem, co bym zrobiła bez Simona. Rozjaśnia moje dni.

- Cieszy mnie, że traktuje panią i pana Hansona jak swoich dziadków.

- Powiedz, co z twoim salonem. Nie mogę się doczekać, kiedy go wreszcie otworzysz, dostanie po nosie ta sknerowata Carly, bo wszystkie klientki przeniosą się do ciebie. Usłyszałam od Sary Bennett, że dziewczyna, którą Carly zatrudniła na twoje miejsce, niezbyt dobrze sobie radzi.

- To przykre. - Zoe zachichotała cicho. - Nie życzyłabym jej źle, gdyby nie to, w jaki sposób mnie zwolniła. Zarzucając, że ukradłam pieniądze z kasy. - Ogarnął ją gniew. - Nazwała mnie złodziejką.

- Uważaj.

- Och, przepraszam. - Uświadomiła sobie, że pociągnęła panią Hanson za włosy. - Zawsze się wściekam, gdy o tym pomyślę. Przecież dobrze pracowałam.

- Za dobrze. Zbyt wiele stałych klientek życzyło sobie, abyś ty je czesała, nie ona. Zwyczajna zawiść, ot co.

- Zna pani Marcie, manikiurzystkę? Zadzwoiłam do niej, żeby ją wybadać. Chce u mnie pracować.

- Nie mów!

- Musimy to zachować w tajemnicy, dopóki nie otworzę salonu. Nie chcę, żeby Carly wyrzuciła dziewczynę z pracy. Ale gdy tylko dam znać, ona złoży wymówienie. Powiedziała mi, że jej przyjaciółka, stylistka, szuka pracy bliżej centrum miasta. Marcie ma nas umówić. Podobno jest naprawdę dobra.

- Zatem pomyślałaś o wszystkim.

- Mam wrażenie, że to idealny układ, wie pani? Zatrudniłam Chris do masażu i innych zabiegów. A moja przyjaciółka Dana znalazła pracownicę do swojej księgarni, której znajoma właśnie przeprowadziła się do Valley, a przedtem pracowała w centrum odnowy biologicznej w Kolorado. Z nią też się umówię. To naprawdę ekscytujące, dopóki nie przypomnę sobie o liście płac.

- Dasz radę. Wierzę w ciebie.

- Dzisiaj przyszedł hydraulik i podłączył rury do umywalek. Mam już oświetlenie i teraz przycinam blaty. Czasami rozglądam się i myślę, że chyba śnię.

- Na sny człowiek nie musi zasługiwać. Ale ty na swój zasłużyłaś.

Zasłużyłam, myślała Zoe nieco później, płucząc pędzelek i miseczkę po farbie. Albo nadal się staram zasłużyć. Otrzymałam jednak od życia dar. Przyrzekła sobie, że nigdy nie uzna, iż cokolwiek jej się tak po prostu należy.

Będzie dobrze wykonywała swoją pracę. Będzie dobrą współpracownicą i dobrą pracodawczynią. Wiedziała, jak to jest pracować dla kogoś, kogo bardziej interesuje wypełnianie rubryk w księdze przychodu niż podstawowe potrzeby zatrudnionych osób. Dla kogoś, kto zapomniał, jak bolą nogi po wielu godzinach stania i krzyż rwie niczym zepsuty ząb.

Ona o tym nie zapomni.

Może się nie spodziewała, że wybierze taką właśnie drogę - wtedy, przed laty, gdy była jeszcze bardzo młoda i wyobrażała sobie ładne rzeczy i spokojne życie, na które zarobi dzięki własnej inteligencji. Lecz sama dokonała wyboru i sama tę drogę wytyczyła.

- Możesz się cofnąć i zmienić wszystko.

Odwróciła się i zobaczyła Kane'a. Zaskoczenie, wstrząs, nawet lęk tłumila gęsta mgła. Zoe zdawała sobie z nich sprawę, ale nie w pełni je odczuwała.

Był piękny na swój mroczny sposób. Czarne włosy, przenikliwe oczy, ostre rysy twarzy i mlecznobiała skóra. Wyższy, niż sobie wyobrażała. Nie tak dobrze zbudowany jak Pitte, lecz zgrabny i wytworny, a przy tym niewątpliwie potrafił poruszać się szybko jak wąż.

- Zastanawiałam się, kiedy cię zobaczę. - Głos Zoe brzmiał głucho, jakby wypływał raczej z umysłu niż z gardła.

- Obserwowałem cię. Miła rozrywka. - Zbliżył się i musnął dłonią jej policzek. - Jesteś bardzo ładna. Zbyt ładna, żeby tak ciężko pracować. Zbyt ładna, żeby poświęcać życie wyglądowi innych. Zawsze pragnęłaś czegoś więcej, a nikt cię nie rozumiał.

- Nikt. Mama przeważnie się złościła. Raniłam jej uczucia.

- Nie знаła cię. I wykorzystywała jak niewolnicę.

- Potrzebowała pomocy. Robiła, co mogła.

- A gdy ty potrzebowałaś pomocy? - Obdarzył ją spojrzeniem pełnym współczucia.

- Biedactwo, taka młoda. Wykorzystana, zdradzona, opuszczona. I przez całe życie musisz płacić za jeden młodzięczy błąd. A gdyby nic takiego się nie zdarzyło? Jakże inaczej wyglądałaby twoja sytuacja. Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś?

- Nie, ja...

- Zobacz. - Uniósł w powietrze kryształową kulę. - Zobacz, co mogłoby się zdarzyć.

Spojrzała, nie potrafiła mu się oprzeć, i natychmiast znalazła się wewnątrz obserwowanej scenerii.

Obróciła się w wygodnym, obitym skórą fotelu i popatrzyła przez panoramiczną szybę na niebotyczne wieżowce wielkiego miasta. Trzymała przy uchu słuchawkę i miała zadowoloną minę.

- Nie, nie mogę. Dziś wieczorem lecę do Rzymu. Przyjemne z pożytecznym, a przeważa to pierwsze. - Zerknęła na zegarek, którego cienka złota bransoleta lśniła na jej przegubie. - Przyjemność oznacza drobną premię z góry za wyrównanie rachunku Quartermain. Tydzień w „Hastler”. Oczywiście przyślę ci kartkę. - Ze śmiechem spojrzała na sekretarkę, która wniosła na tacy wysmukłą filizankę z cienkiej porcelany. - Pogadamy, kiedy wrócę. Ciao.

- Kawa z mlekiem, pani McCourt. Samochód podjedzie za piętnaście minut.

- Dziękuję. Co z raportem o Modesto?

- Gotowy. Ma go pani w teczce.

- Jesteś prawdziwą perłą. Wiesz, jak się ze mną skontaktować, ale od wtorku nie ma

mnie dla nikogo. Jeżeli nie stanie się nic tragicznego, mów wszystkim, że poleciałam na Wenus i jestem nieosiągalna.

- Może pani na mnie liczyć. Naprawdę należy się pani urlop. Z pewnością dobrze będzie się pani bawiła.

- Taki mam zamiar.

Popijając kawę, wyszukała w komputerze najnowsze dane z pliku.

Kochała swoją pracę. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie jest szczególnie atrakcyjna - tylko cyfry, obliczenia, czarny lub czerwony tusz na papierze. Ale dla Zoe to było wyzwanie, nawet przygoda. Zajmowała się finansami największych światowych korporacji i znakomicie wywiązywała się ze swoich obowiązków.

Przebyła długą drogę od księgi przychodów, którą prowadziła dla mamy. Bardzo długą drogę.

Ciężko pracowała, by uzyskać stypendium w college'u, a potem dyplom i stanowisko w jednej z najbardziej prestiżowych nowojorskich firm bankowych.

Mozolnie wspinała się po szczeblach kariery. I jeszcze przed trzydziestką zdobyła stanowisko kierownicze.

Miała piękne mieszkanie, ciekawe życie, satysfakcjonującą pracę. Zwiedziła wszystkie miejsca, o których marzyła jako nastolatka, spacerując wieczorami po lesie.

Miała to, czego potrzebowała, a czego nigdy nie potrafiłaby wytłumaczyć matce i rodzeństwu. Miała poszanowanie.

Wylogowała się i dopiła kawę. Wstała od biurka, wzięła teczkę i przerzuciła płaszcz przez ramię.

Rzym czekał.

Praca była na pierwszym miejscu, lecz zabawa na drugim. Zoe postanowiła przeznaczyć spory kawałek czasu na zakupy. Coś ze skóry, coś ze złota. Armani albo Versace. Albo obydwaj. Czy na to nie zasłużyła?

Ruszyła w stronę drzwi, zatrzymała się, odwróciła. Coś ją dręczyło, coś usiłowało się przebić przez jej myśli. Zapomniała o czymś. O czymś ważnym.

- Przyjechał samochód, pani McCourt.

- Tak, już idę.

Ruszyła ku drzwiom. Ale nie, nie mogła tak po prostu wyjść.

- Simon. - Zakreśliło jej się w głowie, musiała oprzeć się o ścianę. - Gdzie jest Simon?

Wykrzykując imię syna, wypadła przez drzwi. I wyleciała z kryształowej kuli, lądując na kuchennej podłodze.

- Nie bałam się - powiedziała później Malory i Danie. - Nawet wtedy, kiedy upadłam na podłogę. To było raczej coś w rodzaju „no proszę, ładna historia, nie ma co”.

- Nic więcej ci nie mówił? - zapytała Dana.

- Nie. Promieniał wręcz łagodnością. - Zoe zajęła się mocowaniem fryzjerskiego blatu do ściany. - Był pełen współczucia. Ani trochę mnie nie przeraził.

- Bo próbował cię omamić - stwierdziła Malory.

- Też mi się tak wydaje. - Potrząsnęła na próbę blatem, kiwnęła głową. - „Czy nie wolałabyś, żeby sprawy przybrały inny obrót?”. Przedstawił to tak, jakby chodziło jedynie o wybór tej drogi zamiast tamtej.

- Rozwidlenie ścieżki. - Dana oparła dłonie na biodrach.

- Właśnie. - Zoe dopasowała ostatnią śrubę, wywierciła otwór. - Oto szansa na dynamicznie rozwijającą się karierę, udane życie, tygodniową wycieczkę do Rzymu. Żeby to wszystko mieć, wystarczy jeden drobiazg: nie zachodzić w ciążę w wieku lat szesnastu. Zorientował się, że nie może zagrozić Simonowi, więc spróbował po prostu wykreślić go z równania.

- Zbyt nisko cię ceni.

Zoe zerknęła przelotnie na Malory.

- Owszem. Bo wizja z kryształowej kuli nie wytrzymuje porównania z tym, co daje mi Simon. I wiecie co? Zdecydowanie wolę być tutaj, z wami. - Wstała, uśmiechając się do siebie. - Swoją drogą, miałam na nogach naprawdę niezłe buty. Chyba od Manolo Blahnika, takie, jakie nosi ta aktorka, jak jej tam, Sarah Jessica Parker.

- Eleganckie, seksowne obuwie kontra dziewięcioletni chłopiec. - Dana postukała się palcem w podbródek. - Trudny wybór.

- Przypuszczam, że na razie poprzestanę na tenisówkach. - Odsunęła się i przyjrzała ukończonej robocie. - Wcale się go nie boję. - Parsknęła śmiechem i odłożyła wiertarkę. - Byłam pewna, że mnie przerazi, ale nie.

- Nie trać czujności - ostrzegła Malory. - On nie zadowolony się odpowiedzią typu: „nie, dziękuję”.

- Innej nie usłyszysz. W każdym razie przez niego znowu zaczęłam się zastanawiać nad wskazówką. Nad kwestią wyboru. Chwila prawdy, tak powiedziałaś, gdy rozmawialiśmy o obrazach. Chyba przeżyłam taką chwilę tamtej nocy, kiedy Simon został poczęty, a potem wtedy, gdy podjęłam decyzję, że go urodzę. Ale myślę, że na tym nie koniec. Że jeszcze jedna taka chwila albo była, albo wkrótce nastąpi.

- Możemy sporządzić listę... - zaczęła Malory, na co Dana wy - buchnęła śmiechem.

- Skąd wiedziałam, że właśnie to powiesz?

- Listę - powtórzyła Malory, mierząc przyjaciółkę beznamiętnym spojrzeniem - ważnych wydarzeń i decyzji w życiu Zoe, a także tych pomniejszych, które okazały się brzemiennie w skutki. Wyobraziła sobie Valley jako las poprzecinany ścieżkami. Teraz jej życie będzie takim lasem. Poszukamy połączeń, punktów przecięcia, jak jeden wybór prowadził do następnych, co mają wspólnego z kluczem.

- Już się nad tym zastanawiałam i przyszło mi do głowy... - Przynęła do ściany następną szafkę i wyciągnęła taśmę mierniczą, którą jednak zaraz odłożyła. - Wasze decyzje, działania prowadzące do kluczy, wiązały się z Flynnem i Jordanem. Teraz pozostaliśmy tylko my dwoje, Brad i ja, co oznacza, że moje działania wiążą się z jego osobą. To go stawia obok mnie na pierwszej linii frontu.

- Brad da sobie radę - zapewniła Dana.

- Nie wątpię. Ja także dam sobie radę. Po prostu nie jestem pewna, jak mam z nim postępować. Nie mogę sobie pozwolić na pomyłkę. Tu chodzi nie tylko o klucz, ale również o Simona i o mnie samą.

- Obawiasz się, że zbliżenie z Bradem, osobisty związek mógłby być pomyłką? - spytała Malory.

- Właśnie zaczynam się obawiać, że pomyłką mogłoby być trzymanie się od niego na dystans. To utrudnia praktyczne podejście do sprawy.

- Umówiłaś się z nim na dzisiaj. Czemu nie miałabyś choć raz pójść za przykładem Simona i cieszyć się obecnością kogoś, kto najwyraźniej łaknie twojego towarzystwa?

- Spróbuję. - Zoe sięgnęła po taśmę. - Na szczęście mam przyzwoitkę. A nawet dwie, jeśli liczyć Moego.

- Prędzej czy później Brad, choćby nie wiem jak lubił Simona, zechce spotkać się z tobą sam na sam.

Zoe wręczyła Danie taśmę i sięgnęła po wiertarkę.

- Więc zacznę się o to martwić prędzej czy później.

Raczej prędzej, a właściwie lada chwila, pomyślała, gdy została sama.

Wiedziała, że przy tak silnym pociągu fizycznym zbliżenie jest nieuniknione. Mogła jednak wybrać czas, miejsce i atmosferę. Reguły. Musiała ustalić reguły, zawrzeć z nim porozumienie, zanim zdecydują się na intymny kontakt.

Jeżeli Bradley Vane istotnie stanowił ważny punkt na jej życiowej drodze, musiała zyskać pewność, że żadne z nich nie wykrwawi się w samotności na końcu szlaku.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przepełniony podnieceniem okrzyk Simona przerwał wewnętrzną debatę Zoe na temat kolczyków. Czy powinna założyć duże srebrne koła, dość frywolne i seksowne, czy drobne markazytowe łożki, skromniejsze i bardziej wyrafinowane, które kupiła w chwili szaleństwa ostatniego lata?

Takie drobiazgi określały nastrój kobiety, jej pogląd na sytuację, jej intencje. Mężczyzna mógł ich w ogóle nie zauważyć, pomyślała, przymierzając kolczyki, ale kobieta zawsze wiedziała, dlaczego wybiera tę, a nie inną biżuterię. Albo buty. Albo biustonosz.

Tak wyglądały podstawowe elementy randkowego rytuału. Zoe odłożyła obydwie pary kolczyków i przycisnęła dłoń do brzucha. Boże, idzie na randkę.

- Mamo! Chodź szybko! Musisz coś zobaczyć.

- Za chwilę.

- Pospiesz się! On już wjeżdża na podjazd. O rany! Mamo, chodź!

- Co się dzieje? - Wbiegła boso do salonu. Nie mogła dobrać butów, dopóki nie podjęła decyzji co do kolczyków. - Na miłość boską, Simonie, musimy wyjść za kilka minut i nie mam... - Zaniemówiła, gdy wyjrzała przez okno i zobaczyła czarną limuzynę o wydłużonej karoserii, hamującą tuż za jej wysłużonym hatchbackiem.

- Nigdy w życiu nie widziałem tak wielkiego samochodu.

- Ja też nie - przyznała Zoe. - Pewnie kierowca zablądził.

- Mogę wyjść i popatrzeć? - Złapał ją za rękę i pociągnął, co zdarzało mu się w chwilach wyjątkowego podekscytowania. - Proszę, proszę, proszę! Mogę go dotknąć?

- Chyba nie powinieneś.

- Ktoś wysiada. - Głos Simona zmienił się w nabożny szept. - Wygląda jak żołnierz.

- To szofer. - Położyła dłoń na ramieniu Simona i obydwójce wyjrżeli ostrożnie przez szybę. - Kierowca limuzyny.

- Idzie do drzwi.

- Pewnie chce spytać o drogę.

- Czy mogę wyjść i popatrzeć, kiedy będziesz mu objaśniała? Niczego nie dotknę ani nic.

- Zobaczymy. - Wzięła Simona za rękę i podeszli do drzwi.

Miał rację, pomyślała. Mężczyzna naprawdę wyglądem przypominał żołnierza - wysoki, wyprostowany jak struna, w czarnym mundurze i czapce.

- Czy szuka pan kogoś? - zapytała.

- Pani Zoe McCourt? Pan Simon McCourt?

- Ach. - Bezwiednie przytuliła Simona. - Tak.

- Nazywam się Bigaloe. Mam państwa odwiedzić do pana Vane'a.

- Pojedziemy tym autem? - Oczy Simona zrobiły się wielkie jak spodki.

- Tak jest. - Bigaloe mrugnął do niego. - Szanowny pan może sobie wybrać miejsce.

- Super! - Chłopiec uniósł pięść, wydał dziki okrzyk i byłby od razu podbiegł do limuzyny, gdyby Zoe go nie przytrzymała.

- Ale my mamy własny samochód. I jest jeszcze pies.

- Wiem, proszę pani. Pan Vane przesyła kartkę.

Zoe spojrzała na kopertę, którą podał Bigaloe, i rozpoznała firmową papeterię.

- Nie ruszaj się - rozkazała i puściła dłoń syna, żeby otworzyć kopertę.

Na kartce widniały słowa:

„Tym razem także nie protestuj”.

- Ale ja po prostu nie rozumiem dlaczego... - Umilkła, rozbrojona i pokonana błagalnym wyrazem oczu Simona. - Wychodzimy za minutę, panie Bigaloe.

- Kiedy tylko pani sobie życzy.

Zaledwie zamknęła drzwi, Simon otoczył ramionami jej talię.

- To jest po prostu niesamowite!

- Owszem, niesamowite. - Możemy jechać? Możemy?

- Możemy. Weź kurtkę i prezent dla Bradleya. Ja muszę poszukać torebki. - I butów, pomyślała. Założy dzisiaj klipsy z markazytami.

Zaledwie wyszli z domu, Simon ruszył prosto w stronę auta, lecz wyhamował gwałtownie i pomachał Hansonom, stojącym na frontowym ganku.

- Pojedziemy limuzyną!

- To ci dopiero. - Pani Hanson odmachwała z szerokim uśmiechem. - Jak gwiazdy rocka. Jutro mi o wszystkim opowiesz.

- Dobrze. To jest pan Bigaloe - oznajmił chłopiec, gdy kierowca otworzył drzwi. - Zawiezie nas do domu Brada. A to państwo Hanson, nasi sąsiedzi.

- Bardzo mi miło. - Bigaloe uchylił czapki i podał Zoe rękę. - Pies może jechać ze mną z przodu, jeżeli pani to odpowiada.

- Och. Jeśli tylko nie sprawi kłopotu...

- Popatrz, John. - Pani Hanson ścisnęła dłoń męża. - Zupełnie jak Kopciuszek. Miejmy nadzieję, że nasza dziewczynka jest dość mądra, by nie uciekać, kiedy zegar zacznie bić.

Obok przyciemnianych okien znajdowały się szklane wazoniki ze świeżymi kwiatami.

Wzdłuż podłogi i dachu ciągnął się rząd światełek przypominających lampki choinkowe. Był telewizor i zestaw stereo oraz pulpit z guzikami do sterowania całym oprzyrządowaniem.

Pachniało skórą i liliami.

Simon wdrapał się na podłużne siedzenie z boku auta i wsunął głowę do kabiny szofera, zasypując go pytaniami. Zoe nie miała serca mu zabraniać. No i mogła spokojniej pomyśleć przez chwilę, podjąc próbę oswojenia się z sytuacją.

Dała jednak za wygraną. Oswojenie się z tym wszystkim zajęłoby jej rok.

Simon wśliznął się z powrotem na miejsce obok niej.

- Moemu podoba się z przodu, a pan Bigaloe pozwolił mi wystawić łeb przez okno. Poza tym pan Bigaloe mówi, że mogę wszystkiego dotykać, bo jestem tu szefem. I mogę wziąć sobie napój z lodówki, jeśli mi pozwolisz, bo jesteś moją szefową. I jeszcze mogę pooglądać telewizję. W samochodzie! Mogę?

Zoe popatrzyła na rozpromienioną twarz syna. Chwyciła go za głowę i mocno ucałowała.

- Tak, możesz sobie wziąć napój. Tak, możesz pooglądać telewizję. I spójrz o, tutaj. Możesz gasić i zapalać światełka. Jest także telefon.

- Zadzwońmy do kogoś.

- Proszę bardzo. - Sięgnęła po aparat i podała go Simonowi. - Zadzwoń do pani Hanson." Na pewno się ucieszy.

- Okay. Wyjmę puszkę, włączę telewizor i zadzwonię, żeby jej o tym powiedzieć.

Zoe śmiała się razem z nim, nacisnęła kilka guzików i wypiła napój imbirowy, choć wcale nie była spragniona.

Gdy zajechali przed dom Brada, złapała Simona za rękę, zanim zdążył nacisnąć klamkę.

- Pan Bigaloe zaraz wysiądzie i otworzy drzwiczki - szepnęła. - To należy do jego obowiązków.

- W porządku. - Simon zaczekał, po czym natychmiast wyskoczył z auta i spojrzał na szofera. - Było naprawdę fajnie. Dzięki za przejażdżkę.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Zapewne pan odgadł, że pierwszy raz jechaliśmy limuzyną - odezwała się Zoe, gdy pomagał jej wysiąść.

- Już dawno jazda nie sprawiła mi tyle radości. Z największą chęcią odwiezę państwa do domu, kiedy tylko sobie zażyczycie.

- Dziękuję.

- Chłopaki mi nie uwierzą, kiedy im o tym opowiem. - Simon złapał smycz i pognął za Moe w stronę domu.

Zanim Zoe zdążyła zawołać, żeby zapukał, już otwierał drzwi, wykrzykując imię Brada.

- Brad! Oglądaliśmy telewizję w aucie, zadzwoniliśmy do pani Hanson i wzięliśmy sobie picie. A Moe jechał z przodu.

- Wygląda na to, że się nie nudziliście.

- Simon, powinieneś być zapukać. Moe!

Pies już dał susa do dużego pokoju i podbiegł do kanapy.

- Nie ma problemu - zapewnił Brad, gdy Moe wskoczył na poduszki i ułożył się na nich niczym kosmaty basza. - Wszyscy zaczynamy się przyzwyczajać do jego obecności.

- Mamy dla ciebie prezent. - Podskakując w miejscu, Simon wetknął Bradowi do rąk pudełko. - Sami to zrobiliśmy.

- Naprawdę? Chodźmy do kuchni. Tylko najpierw zabiorę wasze okrycia.

- Ja mogę zabrać. Wiem, gdzie je powiesić. - Simon ściągnął kurtkę i wspiał się na palce, by wziąć płaszcz Zoe. - Nie rozpakowuj, dopóki nie przyjdę.

- Dobrze.

- Chcę ci podziękować za przysłanie samochodu - zaczęła Zoe, kiedy ruszyli w stronę kuchni. - Simon nigdy tego nie zapomni. Nie posiadał się z radości.

- A ty? Dobrze się bawiłaś?

- Żartujesz? - Parsknęła śmiechem, w którym wciąż pobrzmiwała nuta zdumienia. - Przez dwadzieścia minut czułam się jak księżniczka. Może raczej jak dziecko, bo bawiliśmy się wszystkimi przyciskami i telewizorem. Ale nie musiałeś zadawać sobie tyle trudu.

- Jakiego trudu? To była przyjemność. Wiedziałem, że sprawię Simonowi frajdę, no i nie chciałem się martwić o twój nocny powrót do domu. A także - dodał, wyjmując butelkę ze srebrnego wiaderka - zależało mi, żebyś mogła się odprężyć i napić dobrego szampana.

- Nawet bez kartki, którą przysłałeś, byłoby mi trudno protestować.

- Znakomicie. - Wyciągnął korek z cichym, lecz dziarskim pyknięciem i napełniał właśnie drugi kieliszek, gdy wbiegł Simon, a tuż za nim Moe.

- Teraz możesz rozpakować. To prezent powitalny.

- Trochę spóźniony - uzupełniła Zoe i otoczyła syna ramieniem. - Żeby uczcić twój powrót do Valley.

- No więc zobaczymy, co tu mamy. - Rozwiązał białą koronkową wstążkę, czując się trochę głupio, ponieważ już wiedział, że zachowa ją na pamiątkę razem z bukietkiem

drobnych czerwonych kwiatków. Zoe wytłoczyła kontury kwiatków na prostym brązowym pudełku, które wymościła białą bibułą upstrzoną brokatem.

- Masz prawdziwy talent do pakowania prezentów.

- Jeśli się komuś coś daje, warto poświęcić trochę czasu, żeby to ładnie wyglądało.

Wydobył z pudełka trójkolorową świecę w przezroczystym pękатыm słoiku.

- Jest piękna. - Powąchał. - I cudownie pachnie. Sami ją zrobiliście?

- Lubimy robić takie różne rzeczy, prawda, mamo? Trzeba roztopić wosk, a potem dodać coś pachnącego i wrzucić jakieś rupiecie. Ja wybierałem zapachy.

- Świąteczne - wyjaśniła Zoe. - Górna warstwa pachnie szarlotką, środkowa żurawiną, a dolna choinką. Jest też płytka, żeby postawić słoik. Dno zawsze się rozgrzewa.

Brad wyjął białą ceramiczną płytkę ozdobioną w rogach żurawinami.

- Mama namalowała jagody, a ja położyłem glazurę.

- Bardzo ładna. - Umieścił płytkę na bufecie i postawił na niej świecę. Potem uściskał Simona, a gdy się wyprostował, posłał chłopcu szeroki uśmiech. - Teraz może popatrz w drugą stronę.

- Dlaczego?

- Bo zamierzam pocałować twoją mamę.

Simon zasłonił oczy rękami, lecz zrobiło mu się ciepło w środku.

- Dziękuję. - Brad lekko pocałował Zoe w usta. - Alarm odwołany, mały.

- Zaświecisz prezent? - chciał wiedzieć Simon.

- No pewnie. - Brad wyjął z szuflady podłużny, cienki przyrząd i zapalił nim knot. - Wygląda wspaniale. Gdzie się nauczyłaś robić świece?

- Jakoś tak sama z siebie. Eksperymentuję. Jeśli zacnie mi to wychodzi naprawdę dobrze, będę sprzedawać świece, potpourri i podobne rzeczy u siebie w salonie.

- Myślałem o otwarciu takiego działu w HomeMakers.

- Naprawdę? - Zoe wpatrzyła się w świecę.

- Rozszerzamy ofertę, między innymi o artykuły dekoracyjne. Musisz mi pokazać inne swoje dzieła i wtedy pogadamy.

- Mogę iść do pokoju gier? - zapytał Simon. - Dzisiaj ma być rewanż.

- Jasne. Załadowałem inną grę. Możesz sobie włączyć.

- Pójdziesz ze mną?

- Muszę zacząć szykować kolację, ale ty idź. Chcę, żebyś trochę zgłodniał. Specjalnie sprowadziłem samolotem żabie udka.

- O, nie.

- Udka żab olbrzymów. Z Afryki.

- Mowy nie ma.

- Albo możemy po prostu zjeść stek.

- Stek z żaby!

- Naturalnie!

Z jękiem udawanego przerażenia Simon wybiegł z kuchni.

- Masz do niego kapitalne podejście - zauważyła Zoe.

- Przychodzi mi to bez trudu. Może usiądziesz i... - Przerwał mu krzyk Simona: „O kurczę!”, który dobiegł z pokoju gier. - Aha, znalazł nową grę.

- Bradley...

- Tak?

- Chcę cię poprosić, żebyś mi coś obiecał. Nie mów od razu, że się zgadzasz - przestrzegła, obracając w palcach nóżkę kieliszka. - To ważna i delikatna sprawa; musisz dobrze się zastanowić.

- Co mam ci obiecać?

- Simon... tak bardzo się do ciebie przywiązał. Jeszcze nigdy nikt... taki jak ty nie poświęcił mu tyle uwagi. Zaczyna liczyć na to, że będziesz mu ją nadal okazywał. Obiecuj mi, że cokolwiek będzie z nami, cokolwiek się zdarzy, nie zapomnisz o nim. I nie mówię o przejażdżkach limuzynami. Proszę cię o obietnicę, że nie przestaniesz być jego przyjacielem.

- Nie tylko on się przywiązał, Zoe. Mogę ci złożyć taką obietnicę. - Wyciągnął rękę. - Masz moje słowo.

Uścisnęła jego dłoń. Poczowała, jak opada napięcie, które narastało w niej jeszcze przed chwilą.

- W porządku. No, cóż. - Rozejrzała się po kuchni. - Co mogę zrobić?

- Możesz usiąść i popijać szampana.

- Powinnam ci pomóc w przyrządzaniu afrykańskich żabich udek.

Przyciągnął Zoe do siebie i pocałował w usta, już nie tak lekko i niewinnie, jak w obecności Simona.

- Usiądź i popijaj szampana - powtórzył, musnąwszy palcem jej ucho. - Ładne kolczyki.

Zaśmiała się, zbity z tropu.

- Dziękuję. - Mimo poczucia, że jednak powinna coś zrobić, usadowiła się na wysokim barowym stołku. - Naprawdę zamierzasz gotować?

- Zamierzam grillować, a to zupełnie co innego. W rodzinie Vane'ów wszyscy

mężczyźni grillują. W przeciwnym wypadku krewni by się ich wyrzekli.

- Chcesz rozpalać grilla? W listopadzie?

- My, Vane'owie, grillujemy przez cały rok, nawet gdy musimy przetrąbywać się przez lód, stawiać czoło śnieżycy, ryzykować odmrożenia. Tak się jednak składa, że dysponuję tym oto poręcznym urządzeniem.

- Widziałam coś takiego w czasopiśmie. - Obserwowała Brada rozpalającego pod rusztem zamontowanym na kuchennej płycie. w telewizji, w programie kulinarnym.

Ułożył wokół płomienia ziemniaki owinięte w folię.

- Tylko nie mów mojemu ojcu, że z tego skorzystałem zamiast wyjść na zewnątrz, jak przystało mężczyźnie.

- Nie pisnę słowa. - Upiła łyk szampana, podczas gdy Brad podszedł do lodówki i wyjął tacę z przekąskami. - Sam robiłeś?

Z namysłem postawił tacę na blacie przed Zoe.

- Mógłbym skłamać i naprawdę ci zaimponować, ale zamiast tego olśnię cię szczerością. Są od Luciana, podobnie jak bomba czekoladowa na deser i ogony homarów.

- Od Luciana? - Wybrała tartinkę, wsunęła do ust i aż jęknęła, czując jej smak na języku.

- Dobrze?

- Ja chyba śnię. Usiłuję zrozumieć, jak to możliwe, że Zoe McCourt siedzi tutaj, pije szampana i zajada tartinki od Luciana. Wszystko wydaje mi się nierzeczywiste. Ty istotnie próbujesz mnie olśnić. I działasz skutecznie.

- Lubię, gdy się uśmiechasz. Wiesz, kiedy po raz pierwszy naprawdę się do mnie uśmiechnęłaś? Wtedy, kiedy przyniosłem ci drabinę.

- Wcześniej też się do ciebie uśmiechałam.

- Nie. Nie naprawdę. Bardzo tego pragnąłem, Bóg mi świadkiem, ale z uporem przypisywałaś mylne znaczenie połowie moich słów albo traktowałaś je jak obelgę.

- To... - urwała, a potem parsknęła śmiechem - nader prawdopodobne.

- Ja jednak chytrze cię zjednałem, a raczej zacząłem zjednywać, za pomocą drabiny z włókna szklanego.

- Nie wiedziałam, że użyłeś podstęp. Myślałam, że to przejaw troski.

- Jedno i drugie. Doleję ci szampana.

Stoczyła wewnętrzną walkę, gdy poszedł po butelkę.

- Onieśmiałaś mnie.

- Słucham?

- Onieśmiałeś mnie. Wciąż trochę mnie onieśmiasz. Dom również. Zwłaszcza za pierwszym razem, kiedy przyjechałam na spotkanie z Malory i poznałam ciebie. Weszłam do wielkiego pięknego domu i zobaczyłam obraz, który kupiłeś.

- „Zakłęcie”.

- Tak. To był dla mnie wstrząs. Zakręciło mi się w głowie. Powiedziałam coś o Simonie, że muszę wracać, bo syn czeka, a ty od razu spojrzaleś na moją rękę i zauważyłeś, że nie noszę obrączki.

- Zoe... Potrząsnęła głową.

- Pamiętam wyraz twojej twarzy. Byłam wściekła.

- Najwyraźniej od samego początku źle mnie rozumiałeś. - Po namyśle napełnił także własny kieliszek. - Opowiem ci o obrazie, dzięki czemu zyskasz znaczną przewagę w tym związku, który zaczyna się tworzyć między nami.

Randka. Związek. Poczula, że zaraz znowu zakręci jej się w głowie.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Za chwilę się dowiesz. Gdy zobaczyłem obraz po raz pierwszy, doznałem szoku. Oto Dana, mała siostrzyczka mojego najlepszego przyjaciela. Osoba, która żywo mnie obchodziła.

Oparł się o kontuar. W swoim czarnym swetrze wyglądał swobodnie i elegancko zarazem. Między nim a Zoe migotała świeca, którą mu podarowała.

- No i Malory. Oczywiście jeszcze jej nie znałem, ale coś mnie zaintrygowało, kazało przyjrzeć się bliżej. - Zawiesił głos, dwoma palcami uniośł podbródek Zoe. - Wreszcie ta twarz. Niezwykła twarz. Na jej widok zaparło mi dech. Urzekła mnie. Musiałem mieć ten obraz. Zapłaciłbym za niego każdą sumę.

- Jedno z ogniw łańcucha. - Poczula suchość w gardle, lecz nie zdołała unieść kieliszka do ust. - Obraz był twoim przeznaczeniem.

- Chyba tak. Sam z czasem w to uwierzyłem. Ale chcę ci powiedzieć coś innego. Musiałem go mieć, żeby móc patrzeć na tę twarz. Twoją twarz. Poznałem każdy jej rys. Kształt oczu, ust. Wiele czasu spędziłem, wpatrując się w nią. Kiedy tamtego dnia weszłaś do pokoju, osłupiałem. Ożyła, zeszła z obrazu i oto jest.

- Ale to nie mój portret.

- Nie wiedziałem, co myśleć. Przez chwilę słyszałem tylko bicie własnego serca. Wszyscy zaczęli rozmawiać, podczas gdy ja usiłowałem zebrać myśli i powstrzymać się od pochycenia cię w ramiona, po prostu żeby się upewnić, że nie znikniesz jak zjawą. Musiałem odezwać się do ciebie, udawać, że wszystko jest w normie, choć świat zawirował mi w oczach. Nie potrafisz sobie wyobrazić, co się ze mną działo.

- Nie... raczej nie - wykrztusiła.

- Powiedziałaś, że musisz wracać do syna, a ja poczułem się tak, jakbyś mnie pchnęła nożem. Jak to możliwe, że związałaś się z kimś, zanim ja miałem okazję się do ciebie zbliżyć? Spojrzałem na twoją rękę, zobaczyłem, że nie nosisz obrączki, i pomyślałem: dzięki Bogu, nie należy do innego.

- Przecież nawet mnie nie znałeś.

- Teraz cię znam. - Pochylił się i poszukał jej ust.

- O rety. Zamierzasz to robić cały czas? - Simon nie krył dezaprobaty.

Brad odsunął się, musnął wargami czoło Zoe i odwrócił głowę w stronę chłopca.

- Tak. Ale nie chcę, żebyś się czuł pominięty, więc ciebie też pocałuję.

Simon prychnął i schronił się za stołkiem matki.

- Całuj ją, jeśli już musisz kogoś całować. Kiedy będziemy jedli? Umieram z głodu.

- Zaraz zacznym smażyć wielkie, grube steki. Więc jaka ma być twoja zaba?

Po kolacji i rewanżowej rozgrywce w grę wideo, gdy powieki rozciągniętego na podłodze Simona opadły, Zoe pozwoliła sobie wśliznąć się w ramiona mężczyzny. Pozwoliła sobie zatonać w pocałunku.

Magia istnieje, pomyślała. Ten wieczór był dla niej magiczny.

- Muszę zawieźć Simona do domu.

- Zostań. - Potarł policzkiem jej policzek. - Zostańcie obydwójce.

- To dla mnie poważny krok. - Oparła głowę na ramieniu Brada. Jakże łatwo byłoby po prostu zostać. I pozwolić się tak obejmować. Lecz poważne decyzje nie powinny być łatwe. - Nie uprawiam żadnej gry, ale muszę się zastanowić, co jest najlepsze. - Dla nas wszystkich, pomyślała.

- Nie skrzywdzę cię. Nie skrzywdzę nikogo z nas.

- Ja się nie boję. Nie, nieprawda, boję się. Ale raczej tego, że mogłabym skrzywdzić ciebie. Nie wiesz, co się wydarzyło wczoraj wieczorem. Nie chciałam mówić przy Simonie.

- O czym?

- Możemy przejść do drugiego pokoju? Na wypadek, gdyby się obudził.

- Kane dał o sobie znać, tak? - upewnił się Brad, wprowadzając Zoe do salonu.

- Tak. - I opowiedziała mu o wizji.

- Czy tego właśnie pragnęłaś? Mieszkać w Nowym Jorku i wspinać się po szczeblach kariery?

- Och, nie znam Nowego Jorku. To równie dobrze mogłoby być Chicago czy Los Angeles, jakiegokolwiek ważne miasto. Byle nie miejsce, w którym dorastałam.

- Dlatego, że czułaś się nieszczęśliwa, czy dlatego, że chciałaś czegoś dokonać?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz umilkła na chwilę.

- Jedno i drugie - uświadomiła sobie. - Chyba nie myślałam o tym, że jestem nieszczęśliwa, ale przeważnie byłam. Życie jakie prowadziłam, sprawiało, że świat wydawał mi się ciasny i skostniały. - Spojrzała przez okno ku połaciom trawnika i wijącej się za nimi ciemnej wstędze rzeki. - Świat nie jest jednak ciasny ani skostniały. Zastanawiałam się nad tym, zadawałam sobie pytania. Rozmyślałam o innych ludziach, innych miejscach. - Zaskoczona własnymi słowami, odwróciła się w stronę Brada, który patrzył na nią spokojnie, w milczeniu. - Nieważne zresztą.

- Przeciwnie. Czy w ogóle zdarzały się chwile, kiedy czułaś się szczęśliwa?

- O, tak. Nie twierdzę, że przez cały czas byłam smutna. Wcale nie. Lubiłam szkołę. Dobrze mi szło. Lubiłam się uczyć, dowiadywać różnych rzeczy. Miałam smykałkę do liczb. Prowadziłam mamie księgi i wypełniałam zeznania podatkowe. Zajmowałam się rachunkami. Odpowiadało mi to. Myślałam, że może zostanę księgową albo nawet biegłą rewidentką. Albo podejmę pracę w bankowości. Chciałam pójść do college'u, znaleźć dobrą posadę, przeprowadzić się do miasta. Mieć różne rzeczy. Mieć więcej, po prostu. Żeby ludzie mnie szanowali, nawet podziwiali, że tak dobrze znam się na tym, co robię. - Lekko wzruszyła ramionami i podeszła do kominka. - Moją mamę drażniło, że mam takie pomysły, dbam o swój wygląd i porządek w rzeczach. Mówiła, iż mi się wydaje, że jestem lepsza niż inni, ale nie miała racji.

Zoe ściągnęła brwi, wpatrując się w płomienie.

- Myliła się. Chciałam tylko stać się kimś lepszym, niż byłam. Doszłam do wniosku, że jeśli wystarczy mi inteligencji, zdobędę dobrą pracę i przeniosę się do dużego miasta. I nikt już, patrząc na mnie, nie będzie myślał: „Idzie ta hołota, która mieszka w przyczepie”.

- Zoe... Pokręciła głową.

- Ludzie naprawdę tak myśleli, Bradley. Mieli powody. Mój tata pił i uciekł z inną kobietą. Zostawił mamę w przyczepie mieszkalnej z czwórka dzieci i stertą niezapłaconych rachunków. Nosiłam głównie ubrania, które ktoś nam podarował z litości. Nie masz pojęcia, co się wówczas czuje.

- Nie. Nie mam pojęcia.

- Czasami ludzie dają coś z dobrego serca, ale wielu chce się w ten sposób wywyżżyć. Żeby potem mówić z zadowoloną miną: „Patrzcie, co zrobiłam dla tej biednej kobiety i jej dzieci”. I widać to po ich twarzach. - Obejrzała się na Brada. Poczucie dumy, a zarazem wstydu zabarwiło rumieńcem jej policzki. - Okropność. Nie chciałam, żeby ktoś mi

coś dawał. Chciałam zdobyć sama. Więc pracowałam, ciułałam pieniądze i snułam wielkie plany. A potem zaszłam w ciążę. - Zerknęła w stronę przejścia do pokoju gier, sprawdzając, czy Simon pozostaje poza zasięgiem głosu. - Nie zdawałam sobie sprawy, dopóki nie upłynęły dwa miesiące. Myślałam, że mam grypę czy coś podobnego. W końcu zgłosiłam się do przychodni i tam mi powiedzieli. To był mniej więcej dziewiąty tydzień. Boże, w dziewiątym tygodniu ciąży i zbyt głupia, żeby się zorientować.

- Byłaś dzieckiem. - Serce wyrywało mu się do niej. - Nie byłaś głupia, byłaś dzieckiem.

- Dość dorosłym, by zejść w ciążę. Dość dorosłym, by wiedzieć, co to oznacza. Tak bardzo się bałam. Nie wiedziałam, co ze mną dalej będzie. Nie powiedziałam mamie, nie od razu. Zobaczyłam się z chłopakiem. On także był wystraszony i chyba trochę zły. Ale zapewnił, że zrobimy to, co należy. Poczulałam się lepiej. Spokojniej. Wróciłam do domu i zawiadomiłam mamę.

Odetchnęła głęboko, przycisnęła palcami skronie. Nie zamierzała mówić wszystkiego, lecz skoro już zaczęła, postanowiła skończyć.

- •Och, nadal ją widzą, siedzącą przy stole. Kręcił się wiatrak. Było gorąco, piekielnie gorąco. Spojrzała na mnie, pochyliła się i uderzyła mnie w twarz. Nie mam jej tego za złe - zastrzegła Zoe, gdy Brad zaklął. - Wtedy też nie miałam. Spotykałam się z chłopakiem potajemnie, za jej plecami, i przyszło mi za to zapłacić. Ale mam żal o to, co było później. O czerpanie satysfakcji z faktu, że wpadłam w tarapaty, tak jak ona kiedyś z moim ojcem. O danie mi wyraźnie do zrozumienia, że mimo wielkich ambicji i planów wcale nie jestem lepsza od niej. Mam żal, że odebrała mi poczucie własnej wartości, a dziecko, które w sobie nosiłam, potraktowała jak karę.

- Nie miała racji. - Słowa Brada zabrzmiały tak prosto i rzeczowo, że Zoe zaparło dech. - Co się stało z ojcem dziecka?

- No cóż, nie zrobił tego, co należy, jak sam się wyraził. Nie chcę na razie o nim mówić. Moja wskazówka wspomina o rozwidleniach ścieżek. Wtedy wybrałam drogę. Zrezygnowałam ze szkoły i poszłam do pracy. Uzyskałam zaświadczenie o ogólnej przydatności oraz licencję kosmetyczki i opuściłam dom.

- Zaczekaj. - Uniósł rękę. - Wyjechałaś zupełnie sama, szesnastoletnia dziewczyna w ciąży? Twoja matka...

- Nie miała nic do powiedzenia - przerwała Zoe i stanęła twarzą do niego. Ogień trzaskał za jej plecami. - Wyjechałam w szóstym miesiącu, ponieważ nie zamierzałam wychowywać dziecka w tej przeklętej przyczepie. Wybrałam drogę - powtórzyła - która, być

może, doprowadziła mnie w końcu do Valley, Wzgórza Wojownika i całej reszty.

Może musiałam o tym wszystkim opowiedzieć, pomyślała teraz. Cofnąć się krok po kroku, by spojrzeć w przeszłość. Żeby on również w nią spojrział.

- Nie znalazłabym się tutaj, gdybym wybrała inaczej, gdybym nie zakochała się w chłopcu i nie miała dziecka. Gdybym poszła na studia, znalazła dobrą pracę, jak w tej wizji, w której leciałam na tydzień do Rzymu. Muszę rozwiązać zagadkę klucza. Spróbuję go odszukać, ponieważ dałam słowo. I muszę się zastanowić, czy właśnie dlatego jestem tutaj z tobą. Bo inaczej, Bóg mi świadkiem, nie widzę sensu.

- Cokolwiek cię tu sprowadziło, ma głęboki sens.

- Czy ty mnie słuchałeś? - spytała z naciskiem. - Czy słyszałeś, co mówiłam o moim pochodzeniu?

- Każde słowo. - Zbliżył się do niej. - Jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

Popatrzyła na niego z zaskoczeniem, a potem, zdesperowana, uniosła rękę.

- Zupełnie cię nie rozumiem. Może nie powinnam rozumieć. Jest jednak coś, co obydwójce musimy wziąć pod uwagę. Ponieważ świat nie jest ani ciasny, ani skostniały, Bradley. I nie tylko o ten jeden świat się teraz martwimy.

- Krążą wokół siebie. - Brad skinął głową. - Przenikają się.

- Czy w związku z tym mam cię wybrać, czy odwrócić się od ciebie?

Uśmiechnął się, lecz był to szorstki, drapieżny uśmiech.

- Tylko spróbuj się odwrócić.

Pokręciła głową.

- A jeśli skłonię się ku tobie i coś zacznie się dziać między nami, coś rzeczywistego, to co się stanie, jeśli potem znowu będę musiała wybierać?

Położył dłonie na ramionach Zoe i przesunął nimi ku górze, ujmując jej twarz.

- Coś już się zaczęło dziać między nami i jest bardzo rzeczywiste.

Żałowała, że sama nie ma takiej pewności. Gdy wracała do domu w tę księżycową noc, nic nie wydawało jej się do końca rzeczywiste.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Szampan, homary i limuzyna, o rany! - wykrzyknęła Dana, kiedy ustawiały kupiony niedawno stelaż z kutego żelaza na odpowiednim miejscu we wspólnej kuchni.

- Bardzo szykownie - przyznała Malory. - Może Brad udzieliłby Flynnowi kilku lekcji, jak przygotować kolację, kiedy zaprasza się kobietę.

- Między innymi w tym problem. Jestem typem osoby, do której pasuje raczej piwo, hamburger i kombi. Wszystko było cudowne, absolutnie cudowne, lecz na takiej zasadzie, jak niektóre piękne sny.

- Co w tym złego? - spytała Dana.

- Nic. - Zoe wydeła policzki, wolno wypuściła powietrze. - Ale on zaczyna budzić we mnie uczucia, poważne.

- Powtarzam: co w tym złego?

- Niech pomyślę, nie wiem, od czego zacząć. Pochodzimy z dwóch różnych planet. Zakładam własną firmę, co będzie mi teraz zajmowało prawie całą dobę, odjawszy czas, który muszę poświęcić wychowywaniu Simona, a to potrwa jeszcze mniej więcej dziesięć lat. Zostały mi trzy tygodnie na odszukanie ostatniego klucza do Szkatuły Dusz i gdybym w tej chwili grała w ciepło - zimno, miałabym odmrożony tyłek.

- Wicie, nigdy nie słyszałam, żeby ktoś odmroził sobie tyłek - zauważyła Dana. - Ciekawe dlaczego.

Sięgnęła po puszkę wykwintnej herbaty, którą zamierzała serwować klientom, postawiła na półce i przyjrzała się jej krytycznie, przechylając głowę.

- Powiem wprost. - Głos Malory brzmiał dość oschle, gdy umieszczała na tej samej półce ręcznie toczoną miskę. - Ani firma, ani Simon nie są powodem, by wykluczać mężczyznę ze swojego życia, jeśli ten mężczyzna ci się podoba. I jeśli uważasz, że jest dobrym człowiekiem.

- Naturalnie, że mi się podoba. Spodobałby się nawet kobiecie pogrążonej w śpiączce. I jest dobrym człowiekiem. Początkowo nie chciałam wierzyć, ale on jest naprawdę bardzo dobrym człowiekiem. - Zoe ozdobiła półkę zapachową świecą własnej roboty. - To dodatkowo komplikuje sytuację. Gdyby nie był, wykroiłabym może trochę czasu na krótki, gorący romans, po którym rozstalibyśmy się bez żalu.

- Dlaczego od razu zaczynasz myśleć o rozstaniu i żalu? - powiedziała z wyrzutem Malory.

- Pierwszą stałą wartością w moim życiu był Simon. Drugą jesteście wy. Dwa razy

zdarzył mi się cud. Wolę nie liczyć na trzeci.

- I pomyśleć, że ludzie uważają mnie za pesymistkę - mruknęła Dana. - Okay, oto moja sugestia. - Ustawiła na stelażu następną puszkę. - Brad jest już dużym chłopcem, więc jeśli zdecydujecie się na krótki, gorący romans, obydwójce poniesiecie konsekwencje. Aha, i nie zapomnij poinformować nas o wszystkim ze szczegółami. Ponadto zechciej pamiętać, że choć w tej rundzie ty przymierzasz się do piłki, nadal stanowimy drużynę, co oznacza, iż nie tylko tobie grożą odmrożenia.

- Słuszna uwaga - przyznała Malory, stawiając na stelażu ręcznie malowaną tacę. Kiwnęła głową z aprobatą, gdy Zoe dostawiła ozdobną tubkę balsamu do rąk. - Sądzę, że już czas na oficjalne zebranie. Zobaczmy, jaką burzę potrafi wywołać sześć pierwszorzędných mózgów.

- Może przełamia zator w mojej głowie. - Zoe dołożyła fantazyjną mydelniczkę i jeszcze jedną świecę, po czym odsunęła się, kiedy Malory umieściła ostrożnie na półce wysmukły flakon i dwa białe porcelanowe świeczniki.

- Nie taki znowu zator - zaprotestowała Dana. - Formułujesz teorie, analizujesz i układasz w myślach różne sprawy. Stopniowo przybierają kształt, nabierają charakteru, jak nasza półka. Tu jeden drobiazg, tam drugi, a potem cofasz się i patrzysz, co jeszcze dodać i co poprawić.

- Mam nadzieję. Brakuje książek - zauważyła Zoe, wskazując stelaż ruchem głowy.

- Pierwsza dostawa w przyszłym tygodniu. - Dana przysunęła się do Zoe i oparła łokieć o jej ramię. - Rany, wiem, że to tylko kuchenny stelaż, ale wygląda świetnie.

- Zupełnie jak my. - Malory z zadowoleniem objęła Zoe w talii.

- A wiecie, co będzie wyglądało jeszcze lepiej? Tłumy klientów.

Zoe weszła na drabinę, żeby zawiesić szafki nad umywalkami. W myślach dokonała przeglądu obowiązków, które wyznaczyła sobie w tygodniu.

Musiła posiedzieć trochę dłużej przy komputerze. Nie tylko w celach badawczych, lecz także po to, by opracować zestaw usług w zakresie kosmetyki i odnowy biologicznej.

Zastanawiała się, czy znajdzie tapety pasujące kolorystycznie do wykończeń i stolarki. Bardzo istotne.

Miała również zamiar ostatecznie ustalić ceny. Czy podciąć konkurencję, biorąc o kilka dolarów mniej, czy brać więcej, licząc na przyzwoity zysk?

Nastawiła się na stosowanie kosmetyków wyższej jakości niż te, których używano w konkurencyjnym salonie, a one były droższe. I niewątpliwie zapewniała klientkom miłą atmosferę. Ponadto w tamtym salonie nie podawano wody mineralnej z lodem ani ziołowej

herbaty. I nie proponowano odprężającego, aromatycznego wałeczka do podłożenia pod kark, gdy robiono manikiur.

Powiesiła szafkę, otarła czoło i zaczęła schodzić z drabiny.

- Jaki piękny kolor.

Zaskoczona przytrzymała się szczebla; ujrzawszy na dole Rowenę.

- Nie usłyszałam... Czego? Jak pojawiaasz się znikąd?

- Przepraszam. - W oczach Roweny zamigotały iskierki, jakby czytała w myślach Zoe.

- Malory i Dana powiedziały, że mogę wejść na górę. Podziwiałam efekty waszej pracy na parterze. Pragnęłam zobaczyć dom. Wybrałyście naprawdę piękne kolory.

- Chciałam, żeby cieszyły oko.

- Udało ci się. W czymś przeszkodziłam?

- Och nie, właśnie skończyłam. Wieszłam szafki przeznaczone na szampony, odżywki i tym podobne rzeczy. Tutaj znajdują się umywalki.

- Aha.

- A tu miejsca dla stylistek. - Zoe wyciągnęła rękę. - Tam dalej będą suszarki do włosów, recepcja i poczekalnia. Zamierzam wstawić sofę, krzesła i ławę z poduszkami. No a w tym pokoju po przekątnej zadbamy o paznokcie. Zamówiłam podgrzewany fotel do masażu i specjalnego pedikiuru... „kuszącego”, tak go nazwałam. Standardowa oferta swoją drogą, ale to powinno zrobić furorę. Przepraszam, pewnie cię nudzę.

- Wprost przeciwnie. - Rowena zajrzała do pokoju, przeszła do następnego. - A co będzie tutaj?

- Pomieszczenie do przeprowadzania rozmaitych zabiegów kosmetycznych. Pielęgnacyjnych i leczniczych.

- Bardzo ambitne plany.

- Obmyśliłam sobie już dawno. Aż trudno uwierzyć, że wszystko dzieje się naprawdę. Zamierzamy otworzyć „Pokusę” pierwszego grudnia. Roweno, ja nie zapomniałam o kluczu. Po prostu jeszcze nie wiem, gdzie go szukać.

- Rzeczy, które przychodzą łatwo, nie mają znaczenia. Wiesz o tym. - Rowena odruchowo poklepała Zoe po ramieniu, zawracając do głównego salonu. - Tutaj także nie poszło ci łatwo.

- Nie, ale to była zwyczajna praca. Krok po kroku. - Uśmiechnęła się mimo woli, gdy Rowena odwróciła głowę, unosząc brwi.

- No dobrze, rozumiem. Krok po kroku. Powiedz, jak się miewa twój syn?

- Doskonale. Jest teraz u kolegi. Wczoraj byliśmy u Bradleya na kolacji.

- Naprawdę? Z pewnością miło spędziliście czas.

- Wiem, że pewnych rzeczy nie możesz mi powiedzieć, ale i tak cię zapytam. Nie ze względu na siebie. Nie boję się, że zbiorę cięgi.

- Domyślam się. Zebrałaś je już niejedną raz.

- Tyle, ile mi się należało. Zgodziłam się na układ, tak jak Malory i Dana. Ale Bradley o niczym nie miał pojęcia. Chciałabym wiedzieć, czy coś steruje jego uczuciami, tak abym mogła się nimi posłużyć w poszukiwaniu klucza.

Rowena przystanąła przed lustrem, poprawiła włosy odwiecznym kobiecym gestem.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Jest zauroczony obrazem, twarzą Kyny z portretu, a ja przez przypadek wyglądam tak jak ona.

Rowena wyjęła z pudła buteleczkę szamponu, obejrzała ją uważnie.

- Tak nisko się cenisz?

- Nie twierdzę, że nie jest czy nie może być zainteresowany mną. Taką, jaką jestem. Ale zaczęło się od obrazu.

- Kupił ten obraz, wybrał swoją drogę. I ona doprowadziła go do ciebie. - Rowena odłożyła szampon na miejsce. - Ciekawe, nieprawdaż?

- Chcę wiedzieć, czy wybór należał do niego.

- Nie mnie powinnaś pytać. A w jego odpowiedź, gdyby takiej udzielił, nie jesteś jeszcze skłonna uwierzyć. - Wyjęła inną buteleczkę, otworzyła ją i powąchała. - Żądasz ode mnie obietnicy, że nie stanie mu się żadna krzywda. Nie mogę ci tego przyrzec. I przypuszczam, że poczułby się urażony, słysząc twoje pytanie.

- Trudno. Musiałam cię zapytać. - Zoe uniosła ramiona i natychmiast je opuściła. - Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Kane niespecjalnie się mną przejmuje. Myśleliśmy, że wytoczy najcięższe działa, ale on tylko machnął ręką, jakby odganiał muchę. Wydaje się, że moje poszukiwania nie spędzają mu snu z powiek.

- Okazując ci lekceważenie, podkopuje twoją wiarę w siebie. A ty mu ułatwiasz realizację planu.

Niedbały ton Roweny zaskoczył Zoe.

- Nie powiedziałam, że rezygnuję... - zaczęła i umilkła. Wypuściła powietrze z płuc. - Jezu, nie zdawałam sobie sprawy, jak on na mnie wpływa. Bawi się mną. Przez całe życie ludzie albo mnie ignorowali, albo mi mówili, że nic nie osiągnę.

- Udowodniłaś im, że się mylili, nieprawdaż? Teraz to samo udowodnij jemu.

Kilka mil dalej w jadłodajni przy Maur Street Flynn wśliznął się do boksu i usiadł

obok Brada, który zrobił mu miejsce. Po drugiej stronie stołu Jordan, wyciągnąwszy długie nogi, studiował dwustronicowy, oprawiony w folię jadłospis.

- Karta dań jest tu taka sama od mniej więcej sześćdziesięciu lat, koleś - zauważył Flynn. - Powinieneś ją już znać na pamięć. Zatrzymały mnie sprawy służbowe - dorzucił i sięgnął po kawę Brada, która stała na stole.

- Dlaczego zawsze siadasz koło mnie i wypijasz mi kawę? Może byś choć raz usiadł obok niego?

- Jestem zatwardziałym tradycjonalistą. - Flynn uśmiechnął się do kelnerki, która podeszła z dzbankiem kawy. - Cześć, Luce, zamawiam kanapkę z mieloną wołowiną.

Skinęła głową, zapisując zamówienie.

- Podobno przed południem zebrała się rada miasta. Coś się szykuje?

- To samo, co zawsze.

Prychnęła pod nosem i zerknęła na Jordana.

- Co podać, ważniaku?

Gdy odeszła, Flynn rozsiadł się wygodnie i ruchem głowy wskazał Brada.

- Słyszałeś, Jordan, że Pan Gruba Ryba Vane wysłał wczoraj wieczorem milową limuzynę po swoją pannę?

- Żartujesz?

- No to się pochwal. - Spojrzał wymownie na Brada.

- Ta limuzyna mierzyła tylko pół mili, a swoją drogą, skąd wiecie?

- Mam nosa. - Flynn postukał palcem w swój organ powonienia. - Moje źródła nie podały jednak ostatecznego wyniku.

- Pokonałem małego w Smackdowna, ale skopał mi tyłek w Grand Theft Auto.

- Podbiłeś mamusię - zawyrokował Jordan. - Założę się, że dzieciak chętnie się przejechał limuzyną.

- Owszem. I on, i Zoe. Słyszeliście, co przedwczoraj powiedziała? Że nigdy nie leżała w hamaku? - Spochmurniał i odebrał Flynnowi filiżankę z kawą. - Jak można żyć, nie mając hamaka?

- Chcesz jej sprawić prezent - odgadł Flynn.

- Niewykluczone.

- Przez co stajesz się... - Jordan spojrzał w sufit - ...ach, tak, teraz powinienem wznieść toast. - Spoważniał. - To wspaniała kobieta. Zasługuje, żeby ktoś zdjął część brzemienia z jej barków.

- Staram się. Gdyby kiedyś ktoś tak na serio zainteresował się twoją matką, miałbyś

coś przeciw temu?

- Nie wiem. Nikt taki się nie pojawił, a może ona nie chciała nikogo takiego w swoim życiu. Trudno mi powiedzieć. Chyba bym się przyjrzał, kim jest facet i jak ją traktuje. Naprawdę masz poważne zamiary?

- Tak.

- W ten sposób krąg się zamyka - zauważył Flynn. - Nas trzech i one trzy. Cholerna symetria.

- Czasami symetria jest potrzebna.

- Wiem. Jestem zaręczony z królową ładu i porządku. Ale musimy się nad tym wszystkim zastanowić. Zwłaszcza nad twoją rolą w przedstawieniu, które właśnie idzie na żywo - stwierdził rzeczowo Flynn.

Milczeli przez chwilę, gdy podawano im kanapki.

- Już się zastanawiałem - powiedział Brad. - Wydaje mi się, że we wskazówce jest mowa głównie o tym, co Zoe się przydarzyło i co robiła, zanim mnie poznała; o faktach, które spowodowały, że znalazła się tutaj. Zakładając, że jestem elementem owej układanki, wskazówka odnosi się również do mnie, do tego, co się ze mną działo, nim poznałem Zoe. Co sprawiło, że wróciłem na stare śmieci.

- Różne ścieżki, ten sam cel. - Jordan pokiwał głową. - Teoretycznie. Wasze drogi się skrzyżowały.

- Pytanie brzmi, co teraz zrobisz - wtrącił Flynn. - I gdzie. Bogini z mieczem oznacza walkę.

- Nie będzie walczyła sama - zapewnił Brad. - Na obrazach miecz spoczywa w pochwie. Na moim znajduje się razem z nią w trumnie, a na tym, który wisi na Wzgórzu Wojownika, jest przy - pasany do jej boku.

- Na portrecie króla Artura pędzla Roweny tkwi w kamieniu. To mój obraz - przypomniał Jordan.

- Nigdy nie miała szansy go wyciągnąć. - W wyobraźni Brada pojawiła się blada, nieruchoma twarz z portretu. - Może właśnie my mamy dać jej szansę?

- A może Malory powinna jeszcze raz obejrzeć obrazy? - podsunął Flynn. - I sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyła. Bo ja...

- Zaczekaj chwilę - rzucił Jordan, gdy zapiszczała jego komórka. Uśmiechnął się, widząc numer na wyświetlaczu. - Cześć, Żyrafo. - Podniósł do ust filiżankę kawy. - Aha. Tak się składa, że siedzę w biurze i odbywam naradę z moimi współpracownikami. Owszem, mogę - odparł po chwili i odsunął telefon od ucha. - O szóstej u Flynn'a? Tak, chyba wszyscy

się zgadzają - odpowiedział. - Dla mnie w porządku. - Odwrócił głowę w stronę kolegów. - Zoe zrobi chili.

- Powiedz Danie, że przyjadę po Zoe.

- Brad kazał powiedzieć, że przyjedzie po Zoe. Mieliśmy zamiar wpaść do was po południu i trochę pomóc. Dobra, w takim razie zobaczymy się w domu. Aha, Dano, co masz teraz na sobie?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i schował telefon do kieszeni.

- Chyba nas rozłączyło.

Podczas gdy chili dusiło się na wolnym ogniu, Zoe rozłożyła notatki na kuchennym stole. W domu panowała cisza i spokój. Należało to wykorzystać.

Może starała się być zanadto uporządkowana, naśladując Malory? Albo, idąc za przykładem Dany, za bardzo polegała na książkach. Czemu nie miałyby i tym razem, jak wielokrotnie przedtem, posłuchać głosu intuicji?

Co robiła, gdy musiała wybrać nową farbę do malowania ścian albo materiał na zasłony? Oglądała próbki i przebierała wśród nich, póki nie natrafiła na coś, co jej odpowiadało.

I wtedy już wiedziała.

A teraz miała przed sobą notatki Malory, Dany i swoje. Miała opis wydarzeń autorstwa Jordana oraz fotokopie obrazów, które zrobiła Malory.

Sięgnęła po notatnik, kupiony nazajutrz po pierwszej wizycie na Wzgórzu Wojownika. Nie wyglądał już tak czysto i świeżo jak wtedy. Był nieco podniszczony. Może i lepiej.

Dużo tu mojej pracy, pomyślała, przerzucając kartki. Wiele godzin, mnóstwo wysiłku. Praca, czas, wysiłek pomogły Malory i Danie odnaleźć to, czego szukały. Jej również mogły pomóc w wykonaniu zadania.

Na chybił trafił otworzyła notatnik i zaczęła czytać.

„Kyna, wojowniczką - zanotowała. - Dlaczego właśnie mnie jest przypisana? Widzę Venorę, artystkę, w osobie Malory, a Niniane, uczoną w piśmie, w osobie Dany. Ale co czyni ze mnie wojowniczką?

Jestem fryzjerką. Nie, nie fryzjerką, tylko wyspecjalizowaną kosmetyczką - muszę pamiętać, żeby to odpowiednio podkreślać. Uzyskałam taki tytuł. Potrafię pracować, ale praca nie jest równoznaczna z walką.

Piękno dla Malory, wiedza dla Dany. A dla mnie odwaga. Gdzie może być miejsce na odwagę?

Czy wymaga jej samo życie? To chyba za mało”.

Zoe z namysłem postukała ołówkiem w otwarty notatnik, po czym zagięła róg, by zaznaczyć stronę. Przekartkowała zapiski i dotarła do pustej kartki.

„Może samo życie wystarczy. Przecież Malory musiała wybrać prawdziwy świat, poświęcając część piękna, a Dana rozpoznała prawdę, z którą przyszło jej żyć. To były podstawowe zasady ich poszukiwań.

Jaka jest moja?”.

Zaczęła pisać szybciej, usiłując dostrzec lub skonstruować wzorzec. Spisując pomysły i możliwości, stępiła ołówek i sięgnęła po następny. Gdy zużyła i ten, wstała od stołu, naostrzyła obydwie.

Zadowolona z efektu, zatknęła ołówki za uszy i odwróciła się do kuchenki, by zamieszać chili i chwilę pomyśleć.

Może znalazła właściwy trop, a może nie - w każdym razie nie dostrzegała końca tej drogi. Ale najważniejsze, że ruszyła z miejsca.

Zamyślona, zanurzyła łyżkę w garnku, skosztowała potrawy i wpatrzyła się w swoje niewyraźne odbicie w kuchennym okapie.

Długie włosy spływały jej poniżej ramion, ozdobione szerokim złotym diademem z ciemnym romboidalnym kamieniem pośrodku. Oczy były raczej złote niż brązowe. Przejrzyste i szczere.

Widziała fałdy ciemnozielonej sukni i brunatny skórzany pas na ramieniu. Srebrzysty błysk rękojeści miecza na biodrze.

Na drzewach osiadła poranna rosa, liście skrzyły się perłowymi kropelkami, przez które przenikały promienie wschodzącego słońca. A między drzewami biegły ścieżki.

Czuła gładki dotyk drewnianej łyżki i woń pary wydobywającej się z garnka. To nie halucynacja, powiedziała sobie. Nie gra wyobraźni.

- Co chcesz mi przekazać? Co mam zobaczyć?

Postać cofnęła się nieco i Zoe ujrzała smukłą sylwetkę kobiety, mającej na nogach wysokie buty. Przez chwilę obydwie stały, wpatrując się w siebie. A potem postać odwróciła się i weszła w las, spowity mgłą. Ruszyła wyboistą ścieżką, z dłonią na rękojeści miecza.

- Nie wiem, co to znaczy. Cholera jasna. - Zoe z irytacją uderzyła pięścią w kuchenkę.

- Co to, do diabła, znaczy?

Gwałtownym ruchem wyłączyła palnik. Jeśli chodzi o bogów, jej cierpliwość już się kończyła.

Brad wjechał na podjazd przed domem Zoe nieco wcześniej, niż planował. Przypuszczał, że wszyscy mężczyźni płynący na fali miłości, pożądania, zauroczenia,

jakkolwiek by to nazwać, zjawiają się przed czasem, by jak najprędzej ujrzeć tę, która stała się ich obsesją.

Nie zaskoczył go widok Zoe wychodzącej z domu, zaledwie zdążył zgasić silnik. Znał ją już dostatecznie długo, by wiedzieć, że można na niej polegać.

Dźwigała plecak, olbrzymią torbę na ramieniu oraz potężnych rozmiarów garnek.

- Pozwól, że ci pomogę! - zawołał, wysiadając z auta.

- Nie potrzebuję pomocy.

- Potrzebujesz, chyba że masz w tej torbie zapasową parę rąk. - Odebrał jej garnek, którego, ku lekkiemu zdziwieniu Brada, nie chciała puścić.

- Wiesz co, byłoby miło, gdybyś od czasu do czasu słuchał, co do ciebie mówię. - Szarpnięciem otworzyła tylne drzwiczki dużego, lśniącego mercedesa i wrzuciła plecak na siedzenie. - A byłoby jeszcze milej, gdybyś zechciał łaskawie najpierw zapytać, zamiast rozkazywać albo zakładać różne rzeczy z góry.

- Więc może zabierzesz to ode mnie.

Wyrwała mu garnek i pochyliła się, by ustawić naczynie na podłodze z tyłu.

- Nie prosiłam, żebyś po mnie przyjeżdżał. Nikt nie musi mnie nigdzie podwozić. Mam samochód.

Miłość, pożądanie, zauroczenie - pomyślał - wszystko ląduje z tyłu jak ten garnek z chili, kiedy irytacja zajmuje miejsce za kierownicą.

- Wybierasz się w to samo miejsce. Nie było sensu brać dwóch samochodów. Gdzie Simon?

- U kolegi. Zje tam kolację i przenocuje. Może powinnam była poprosić cię o pozwolenie? - Zamaszystym krokiem obeszła samochód i zacisnęła pięści, gdy Brad ją ubiegł i otworzył drzwi. - Czy wyglądam aż tak bezradnie? Czy wyglądam na kogoś, kto nie potrafi otworzyć cholernych drzwiczek jakiegoś wymyślnego auta?

- Nie. - Trzasnął drzwiami. - Proszę bardzo, wsiadaj - zachęcił i przeszedł niespiesznie na drugą stronę.

Zaczekał, aż Zoe zapnie pas bezpieczeństwa.

- Czy zechcesz mi powiedzieć, co ci tak załazło za skórę? - spytał takim samym niebezpiecznie ujmującym tonem, jakim przemawiał jego ojciec, gdy zamierzał posiekać oponenta na drobne kawałeczki.

- Moja skóra, podobnie jak nastroje, to wyłącznie moja sprawa. Mam zły humor. Zdarza mi się od czasu do czasu. Jeśli myślisz, że jestem słodką, układną osobką, którą łatwo manipulować, zapewniam, że się mylisz. Uruchomisz wreszcie auto czy będziemy tak

siedzieli?

Przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił wsteczny bieg.

- Jeśli odnosisz wrażenie, że uważam cię za słodką, układną osóbkę, którą łatwo manipulować, to ty się mylisz. Jesteś drażliwa, uparta i przeczulona.

- Oczywiście, tak ci się wydaje, bo nie lubię, gdy mi się mówi, co mam robić, gdzie i jak. Nie jestem mniej inteligentna i zaradna niż ty. Może nawet bardziej, bo nikt od dzieciństwa koło mnie nie skakał, spełniając każdą zachciankę.

- Teraz już przeginasz...

- O wszystko, co mam, musiałam walczyć. Walczyłam, żeby to zdobyć - warknęła - i żeby to zatrzymać. Nie potrzebuję rycerza na białym rumaku albo w limuzynie czy wielkim mercedesie, by przybywał mi na ratunek.

- Kto, do diabła, przybywa ci na ratunek?

- I nie potrzebuję jakiegoś... jakiegoś współczesnego księcia z bajki, który roznieci we mnie pożar zmysłów. Jeśli zechcę się z tobą przespać, to się prześpię.

- Daję ci słowo, skarbie, że teraz nie myślę o seksie.

Nabrała tchu i zacisnęła zęby.

- Nie mów do mnie „skarbie”, bo wpadnę w szal. Zwłaszcza gdy słyszę ten pyszałkowaty ton absolwenta prywatnej szkoły.

- Tak się składa, że „skarbie” jest najbardziej uprzejmym zwrotem, jaki mi teraz przychodzi do głowy.

- Nie chcę, żebyś był uprzejmy. Nie podoba mi się twoja uprzejmość.

- Czyżby? W takim razie to powinno cię zachwycić.

Raptownie zjechał w bok i zatrzymał się przy krawężniku, ignorując dzikie trąbienie klaksonów tuż za sobą. Odpiął pas, drugą ręką chwycił sweter Zoe i przyciągnął ją do siebie. Jego pocałunek nie miał nic wspólnego z romantyzmem. Był przesycony furją.

Zoe próbowała go odepchnąć, kipiąc ze złości. Okazało się jednak, że jej siła fizyczna w tym wypadku nie wystarczy. Gdy wypuścił ją z objęć i zapiął pas, z trudem łapała oddech.

- Pieprzyć księcia z bajki. - Ruszył od krawężnika z piskiem opon.

Nie, przyznała w duchu, teraz nie wyglądał jak postać z bajki. Chyba że się pomyślało o jakimś barbarzyńskim wojowniku, który pustoszy wioski i zgarnia łupy. A kobietę po prostu wciąga na siodło i odjeżdża, nie zważając na nic.

- Powiedziałaś, że nie myślisz o seksie. Obrzucił ją roziskrzonym spojrzeniem.

- Skłamałam.

- Nie zamierzam przeproszać za to, co powiedziałam. Mam prawo mówić, co myślę.

Mam prawo do rozdrażnienia i gniewu.

- Świetnie. Ja też nie zamierzam przeproszać za to, co zrobiłem. Mam takie same prawa.

- Chyba tak. Nie wściekałam się na ciebie. Teraz tak, ale wcześniej nie. Byłam po prostu wściekła na cały świat.

- Możesz powiedzieć dlaczego? - Zahamował przed domem Flynn'a i czekał.

- Coś się zdarzyło. Wolałabym porozmawiać o tym ze wszystkimi. Nie zamierzam przeproszać - powtórzyła. - Jeśli będziesz wchodził mi w drogę, narazisz się na nieprzyjemności.

- I wzajemnie - odparł, wysiadając z auta. - Wezmę ten cholerny garnek. - Otworzył drzwiczki i wydobyl naczynie. - Zgoda?

Popatrzyła na niego. Był rześki, jesienny wieczór, a on stał w swoim eleganckim płaszczu i trzymał olbrzymi gar. Wyglądał przy tym tak, jakby był gotów w każdej chwili wylać zawartość na jej głowę.

Nie mogła powstrzymać śmiechu, zaczęła chichotać, wyciągając plecak z tylnego siedzenia.

- To fajne, kiedy zachowuję się jak oślica, a ktoś ryczy i kopie razem ze mną. Garnek jest prawie pełny, więc uważaj, żeby go nie przechylić, bo pobrudzisz sobie śliczny płaszczyk. - Ruszyła ku drzwiom domu. - Pieprzyć księcia z bajki - powtórzyła i znowu parsknęła śmiechem. - To było niezłe.

- Miewam swoje wzloty - mruknął i wszedł za nią do środka.

Gdy chili podgrzewało się na nowej kuchence Flynn'a, Zoe obejrzała salon. Wszędzie rozpoznawała rękę Malory. Stoły, lampy, wazon, misy. Dzieła sztuki na ścianach i sprzętach. Próbkę tkaniny leżała na oparciu sofy, a przy kominku dostrzegła antyczne przedmioty. Pachniało jesiennymi kwiatami i kobiecością.

Przypomniała sobie pierwszą wizytę tutaj. Zaledwie dwa miesiące - dwa znamienne miesiące temu. W pokoju stały wówczas obszerna, brzydka kanapa, jakieś skrzynie, które pełniły funkcję stolików, i nierozpakowane pudła.

Kanapa wciąż była brzydka, lecz próbki materiału sugerowały, że Malory wkrótce o nią zadba. Zresztą o cały dom, wykorzystując twórcze i organizacyjne zdolności.

Ona i Flynn stanowią parę, pomyślała Zoe. Zaczynają więc gniazdko.

Pamiętka niedawnych wydarzeń wisiała nad kominkiem. Zoe przysunęła się bliżej, spoglądając na portret, który Malory namalowała za sprawą Kane'a. Śpiewająca bogini stała na tle lasu, siostry na nią patrzyły. Był to piękny, jasny obraz, przesycony niewinną radością.

A klucz, który spoczywał u stóp Venory, został wydobyty z obrazu, wtłoczony wolą Malory w trzy wymiary i wykorzystany do otwarcia pierwszego zamka.

- Wygląda dobrze - powiedziała Zoe. - Wygląda właściwie.

Odwróciła się. Wiedziała, że na nią czekają, i starała się zwalczyć zdenerwowanie. Malory i Dana odegrały już swoje role. Teraz przyszła kolej na nią.

- Może lepiej zacznijmy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przyniosłam notatki - powiedziała Zoe - na wypadek, gdybyśmy ich potrzebowali. Albo gdybym o czymś zapomniała i musiała z nich skorzystać. Przez cały tydzień sama rozważałam wiele spraw, nie rozmawiałam prawie z nikim. Chyba popełniłam błąd. Powinnam go teraz naprawić. - Odetchnęła głęboko. - Łatwość wypowiadania się nie jest moją mocną stroną. Chcę tylko powiedzieć to, co myślę, a wy możecie wtrącać - uwagi, kiedy zechcecie.

- Zoe? - Dana podała jej szklankę piwa. - Odpręż się.

- Próbuję. - Pociągnęła łyk. - Sądzę, że Kane wiele rzeczy odbiera bardzo powierzchownie. Wcześniejsze wydarzenia dowodzą, że on nas tak naprawdę nie rozumie. I dlatego nas nienawidzi. Nienawidzi - powtórzyła - ponieważ nie potrafi dociec, kim właściwie jesteśmy, i nie potrafi nas tak naprawdę zobaczyć.

- Dobrze to ujęłaś - rzucił Jordan, co pozwoliło jej się nieco odprężyć.

- Przypuszczam, że mnie widzi tak: Kobieta, która dorastała w... niekorzystnych warunkach, jak to nazywają. Chodzi o biedę, ale ludzie nie lubią słowa „bieda”. Nie skończyłam szkoły. Zaszłam w ciążę, gdy miałam szesnaście lat i zarabiałam na życie jako fryzjerka. Głównie jako fryzjerka, bo pracowałam także w restauracjach i łapałam różne fuchy, żeby związać koniec z końcem. Nie mam klasy i kultury Malory.

- Och, naprawdę to...

- Zaczekaj. - Zoe uniosła rękę, przerywając jej. - Pozwól mi dokończyć. Brakuje mi również wykształcenia i pewności siebie Dany. Mam za to dużo sił i syna na wychowaniu. Rzeczywiście. Ale to jeszcze nie wszystko. Jest coś, czego Kane nie dostrzega albo nie rozumie. - Zwilżyła gardło łykiem piwa. - Determinacja. Nie chciałam się pogodzić z biedą. Pragnęłam czegoś więcej i szukałam sposobu, by to osiągnąć. Dochodzi jeszcze moje słowo. Tamtego wieczoru na Wzgórzu Wojownika złożyłam przyrzeczenie, a gdy składałam przyrzeczenie, zamierzam go dotrzymać. Nie jestem tchórzem. Myślę, że Kane mnie lekceważy, ponieważ tego nie dostrzega. Owszem, miał dużo czasu, żeby mi się przyjrzeć, przeanalizować czy co on tam, do cholery, robi. A jest wystarczająco sprytny, by się zorientować, że podkopie moją pewność siebie i moje szanse, jeśli będzie udawał, że zupełnie się dla niego nie liczę. - Nabrała tchu. - I popełnia błąd. Nie wygra, próbując mi wmówić, że nie jestem warta, by ze mną walczyć.

- Skopiesz mu tyłek - stwierdziła Dana.

Oczy Zoe rozbliły, a uśmiech, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, był uśmiechem

wojowniczkę.

- O, tak. A potem złapię go za jaja i ścisnę, aż zrobią się sine. Żeby ją rozbawić, Flynn demonstracyjnie skrzyżował nogi.

- Czy można wiedzieć, jak się do tego zabierzesz?

- Można. Dana i Malory posuwały się naprzód krok po kroku, dokonywały wyborów, coś poświęcały. Dostrzegały swoje odbicie we wskazówce i... - zerknęła na portret - w twarzach bogiń, których były odpowiednikiem. Dlatego muszę się zastanowić, w jaki sposób to, co zrobiłam lub zrobię w przyszłości, odzwierciedla moją wskazówkę. Szczenię i miecz. Trzyma je moja bogini na portrecie ze Wzgórza Wojownika. To chyba oznacza opiekę i ochronę. Opiekuję się moim synem i chronię go od ponad dziewięciu lat.

- Nie tylko - wtrącił Jordan. - Taką już masz naturę, że pragniesz zapewnić opiekę i ochronę każdemu, na kim ci zależy, każdemu, kto jej potrzebuje. Działasz instynktownie i między innymi na tym polega twoja siła. Kane nie potrafi także zrozumieć, że naprawdę przejmujesz się losem kobiet z portretu i gotowa jesteś nadstawić za nich karku.

- Przyjaźń - dodał Brad, wskazując obraz. - Bliska więź i zachowanie tej więzi. Podstawowe elementy twojego życia.

- W takim razie chyba się zgadzamy, ponieważ doszłam do wniosku, że do głównych zasad należy przeżywanie życia w taki sposób, w jaki człowiek chce je przeżyć, krocząc naprzód i podejmując ryzyko, nie bojąc się poświęceń i ciężkiej pracy. - Zoe uznała, że to brzmi dobrze. Solidnie. - Jeśli chodzi o mnie, zdecydowałam się urodzić dziecko. Mnóstwo ludzi ciągle mi powtarzało, że popełniam błąd, ale ja w głębi serca pragnęłam tego dziecka i chciałam mu dać wszystko, czego potrzebuje. Opuściłam dom, bo wiedziałam, że nie uda mi się należycie wychować syna, jeżeli zostanę. Bałam się, czułam ogromny ciężar. Ale postąpiłam słusznie, ze względu na siebie i na Simona.

- Wybrałaś drogę - powiedział cicho Brad.

- Wybrałam. Było w tym coś ze straty i rozpacz, o których Rowena wspomniała we wskazówce. Nie da się wychować dziecka bez pewnego poczucia straty i rozpacz. Zwłaszcza gdy się je wychowuje samotnie. Ale z drugiej strony jest radość, duma i wieczne zadziwienie. Sprowadziłam się tutaj, do Valley, ponieważ tego właśnie pragnęłam dla siebie i dla Simona. A potem musiałam zdecydować, czy mam dalej orać za stałą pensję, czy podjąć ryzyko i rozkręcić własną firmę. Jak się okazało, nie zrobiłam tego sama. Nie tylko ja podjęłam taką decyzję. - Przykucnęła, by wyciągnąć papiery z plecaka. - Popatrzcie, sama narysowałam. To coś w rodzaju wykresu albo raczej mapy.

Podsunała kartki najpierw Malory.

- Tutaj się wychowałam, właściwie niezbyt daleko stąd. Jakies sześćdziesiąt mil w linii prostej. Zapisalam imiona członków rodziny oraz ludzi, którzy wywarli na mnie jakiś wpływ. Zaznaczyłam też inne miejsca, gdzie mieszkałam i pracowałam, nazwiska i tak dalej. Aż do chwili, kiedy się znalazłam wśród was. Tak sobie myślę, że chodzi najpewniej o samo życie. O to, co człowiek robi i co się wtedy z nim dzieje.

Malory uniosła oczy znad wykresu, popatrzyła na Zoe.

- Pracowałaś w HomeMakers.

- W niepełnym wymiarze godzin. Trzy wieczory w tygodniu i niedzielne popołudnia, mniej więcej przez trzy miesiące przed urodzeniem Simona. - Zoe odwróciła się do Brada. - Nawet o tym nie pomyślałam. Po prostu nie pamiętałam.

- Który to był sklep?

- Tuż za Morgantown, przy autostradzie numer 68. Okazali mi wiele serdeczności. Szukałam dodatkowej pracy w szóstym miesiącu ciąży. Zaczęłam rodzić, obsługując kasę numer cztery. Wydaje mi się, iż to coś oznacza. Fakt, że zaczęłam rodzić, pracując w twojej firmie.

Brad sięgnął po kartki, przyjrzał się wykresom i datom.

- Pojechałem wówczas do tego sklepu w marcu tamtego roku, bo zaistniał jakiś problem. - Postukał palcem w kartkę. - Pamiętam iż ktoś spóźnił się na zebranie, dlatego że wzywał karetkę do kasjerki, która zaczęła rodzić.

Zoe poczuła, że przeszywają ją dreszcz. Nie strachu, lecz podniecenia.

- Byłeś tam.

- Nie tylko byłem. Nazajutrz się okazało, że wygrałem dziecięcy basenik. Wylosowałem chłopca, siedem funtów, dwunastogodzinny poród.

Z drżeniem wypuściła powietrze.

- Mniej więcej się zgadza.

- Zarobiłem dwieście dolarów.

- Trochę przerażające - zauważyła Dana. - Dokąd to wszystko prowadzi?

- Dokąd prowadzi Zoe i mnie, bo głównie o to chodzi. - Brad spojrział na wykres. - Nie wróciłaś do pracy w sklepie w Morgantown.

- Nie. Wzięłam nadgodziny w salonie, w którym wtedy pracowałam, i pozwolili mi przynosić dziecko. Choć w HomeMakers pracodawcy są przyjaźni, nie da się obsługiwać kasy z niemowlęciem na kolanach.

On tam był, pomyślała. Ich drogi skrzyżowały się w najważniejszej chwili jej życia.

- Nie chciałam wydawać pieniędzy na opiekunkę - podjęła. - A przede wszystkim nie

chciałam ani na chwilę spuszczać z oczu Simona.

Brad przypatrywał się Zoe, usiłując sobie wyobrazić ją i siebie w tamtym dniu, prawie dziesięć lat wstecz.

- Gdybym obszedł parter, mógłbym cię spotkać, porozmawiać z tobą. Ale postanowiłem najpierw zajrzeć do biur. Jedna z tych decyzji, które zmieniają całe późniejsze życie.

- Nie było wam pisane, żebyście się wtedy spotkali. - Malory pokręciła głową. - Wiem, że to, co mówię, kojarzy się z wyrokami losu lub przeznaczeniem, lecz nie powinniśmy ich lekceważyć. Nawet jeśli mamy prawo wyboru. Nie było wam pisane się spotkać, dopóki obydwójce nie znajdziecie się w tym miejscu. Ścieżki, rozdroża, punkty przecięcia. Zoe namalowała je na swoim wykresie. - Malory pochyliła głowę, odczytując wykresy razem z Bradem. - Możesz dorysować swoje drogi. Z Valley do Columbi, potem powrót do Valley, Nowy Jork, Morgantown, coś tam jeszcze i znowu powrót. Kolejne rozdroża i punkty przecięcia. Obydwójce znaleźliście się tutaj. To nie tylko kwestia geografii.

- Nie tylko. - Brad postukał palcem w listę nazwisk, spisana przez Zoe. - James Marshall. On jest ojcem Simona?

- W sensie formalnym tak. Dlaczego pytasz?

- Znam go. Nasze rodziny zawierały kontrakty handlowe. Kupiliśmy ziemię od jego ojca, chociaż syn przeprowadzał transakcję. Niezły kawałek komercyjnej działki tuż za Wheeling. Zawarłem umowę tuż przed wyjazdem z Nowego Jorku. Między innymi dlatego wróciłem i przejąłem ten teren.

- Poznałeś Jamesa - szepnęła Zoe.

- Poznałem. I wiem, że nie zasługuje ani na ciebie, ani na Simona. Wezmę sobie drugie piwo.

Zoe przez chwilę trwała w bezruchu.

- Sprawdź, co z moim chili. Za kilka minut powinno być gotowe. Pospiesznie ruszyła do kuchni.

- Bradley...

Podszedł do lodówki, otworzył ją i wyjął piwo.

- Czy to dlatego byłaś taka wkurzona, kiedy po ciebie przyjechałem? - spytał. - Narysowałaś wykres, zaczęłaś go analizować i zobaczyłaś, jak wiele nas łączy?

- Tak, między innymi dlatego. - Splotła i rozplotła palce. - To jest jak cegła, Bradley, a ja nie wiem jeszcze, czy ta cegła pozwoli mi stanąć na pewniejszym gruncie, da mi oparcie dla nóg, czy wzmocni mur, który mnie otacza i sprawia, że czuję się osaczona.

Wpatrzył się w nią ze zdumieniem, nie kryjąc gniewu.

- Kto cię próbuje osaczyć? Nie przypisuj mi czegoś tak podłego, Zoe.

- Nie ty. Nie chodzi o ciebie. Chodzi o mnie. O to, co myślę, co czuję, co robię. Do diabła, to nie moja wina, że się złościysz, bo muszę rozstrzygnąć, czy stoję przed murem, czy mam przed sobą ścieżkę.

- Mur czy ścieżka - powtórzył i pociągnął łyk piwa. - Chryste, rozumiem cię. Choć chyba wolałbym nie rozumieć.

- Zawsze się wściekam, kiedy ktoś wywiera na mnie nacisk. To nie twoja wina, że teraz mam takie odczucie, ale moja też nie. Nie chcę ponosić odpowiedzialności za coś, czego nie zrobiłam i co nie jest moją winą.

- A ten głupi sukinsyn wypuścił cię z rąk.

Westchnęła.

- Nie wypuścił mnie z rąk. Po prostu mnie nie zatrzymywał. Już dawno przestałam się wkurzać z tego powodu. - Podeszła do kuchenki, zdjęła pokrywkę z garnka. - Zdarzyło się coś jeszcze. Opowiem wszystkim przy kolacji.

- Zoe. - Dotknął jej ramienia, po czym otworzył szafkę, żeby wyjąć talerze. - A propos cegieł, zawsze możesz zburzyć mur i wybrukować sobie nim drogę.

Zjedli kolację w kuchni, stłoczeni przy stole, ponieważ jadalnia w najmniejszym stopniu nie spełniała wymagań Malory. Przy piwie, chili i kromkach ciepłego chleba Zoe opowiedziała przyjaciółom, co zobaczyła w zaparowanym łazienkowym lustrze i kuchennym okapie.

- Za pierwszym razem pomyślałam, że mam przywidzenia. Wizja była bardzo dziwna i trwała zaledwie kilka sekund. Ale dzisiaj... naprawdę widziałam - zapewniła. - Widziałam jej odbicie tam, gdzie powinno być moje.

- Jeżeli Kane próbuje nowej sztuczki - wtrąciła Dana - nie rozumiem jego zamysłu.

- To nie był Kane. - Zoe zmarszczyła brwi, wpatrując się w talerz. - Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale jestem pewna. Jego bliskość budzi zupełnie inne odczucia. - Uniosła wzrok znad talerza, szukając potwierdzenia w oczach Dany i Malory. - Może nie w chwili, gdy coś się dzieje, ale później tak. To nie był on - powtórzyła. - Czułam ciepło. I za pierwszym, i za drugim razem.

- Może Rowena i Pitte dodali coś od siebie. - Flynn zanurzył łyżkę w chili. - Powiedzieli, że Kane złamał reguły gry, więc mogli mu odpłacić pięknym za nadobne.

- Niewykluczone, że drogo ich to będzie kosztować - zauważył Jordan.

- Niewykluczone. Mogli sobie pomyśleć „raz kozie śmierć” i pójść na całość.

- Coś jest chyba nie tak - zaproponował Brad. - Gdyby faktycznie zamierzali tak wcześniej złamać obowiązujące zakazy, czemu nie mieliby dokonać czegoś poważnego, namacalnego? Po co takie zagadki?

- Mnie też się wydaje, że nie należy brać ich pod uwagę. - Zoe grzebała łyżką w talerzu. - Myślę, że to wiadomość od niej.

- Od Kyny? - Malory, zafascynowana, odchyliła się na oparcie. - Ale jak? Przecież siostry nie mają takiej władzy, są bezsilne.

- Nie wiemy, na czym to wszystko właściwie polega, ale założmy, że ona jest bezsilna. Natomiast rodzice nie są. Zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdyby ktoś uwięził gdzieś Simona. Chyba dostałabym obłądu. Zrobiłabym wszystko, żeby go uwolnić.

- Minęły trzy tysiące lat - przypomniał Flynn. - Dlaczego tak długo zwlekali?

- Nie wiem. - Zoe ułamała kawałek chleba. - Ale dla nich czas płynie inaczej, prawda? Rowena tak powiedziała. Poza tym może nic się nie dało zrobić, dopóki Kane nie zmienił sytuacji, przelewając krew. Krew śmiertelnego.

- No i? - ponaglił Jordan. - Mów dalej.

- Ach, tak. Jeżeli Kane zmienił charakter zaklęcia, łamiąc jego reguły i pozostawiając... hm... szczelinę w zasłonie, to czy kochający rodzice nie spróbowali rozświetlić szczeliny? Chcieli, żebym zobaczyła ich córkę. Blżej, nie tylko na obrazie.

- Żebyś zobaczyła w niej siebie - podsumował Brad. - Spojrzała w lustro i zobaczyła w niej siebie.

- Tak. - Zoe odetchnęła z ulgą. - Uważam, że ich ingerencja jest prawdopodobna. Jakby chcieli, by coś mi przekazała. Nie może ot tak, po prostu powiedzieć: „Hej, Zoe, klucz leży pod doniczką z geranium na ganku”, ale mam wrażenie, że próbuje mi pokazać, co muszę zrobić, dokąd pójść, żeby go znaleźć.

- Jak była ubrana?

- Jezu, Hawke. - Dana dźgnęła go mocno w bok.

- Nie, poważnie, przyjrzyjmy się szczegółom. Czy miała na sobie taki sam strój, jak na obrazie?

- Aha, rozumiem, o co ci chodzi. - Zoe ściągnęła wargi. - Nie, była w krótkiej, ciemnozielonej sukience. - Zamknęła oczy, by przywołać obraz. - Na nogach miała brązowe buty z cholewami, wysokie do kolan. A na szyi wisior, który, jak mówi legenda, dostała od ojca. Na głowie... chyba diadem, tak to się nazywa? Złota opaska ze szlachetnym kamieniem pośrodku. Ciemnozielonym jak jej suknia. Miecz u boku. Ach! - Otworzyła oczy. - Na plecach zauważyłam... - Zoe ze zniecierpliwieniem sięgnęła ręką między łopatki. - Kołczan.

Takie coś, w czym się trzyma strzały. I przewieszony łuk przez ramię.

- Wybierała się na polowanie - wtrącił Jordan.

- Do lasu - podjęła Zoe. - Wybrała się na polowanie do lasu. Polowanie też jest poszukiwaniem.

- Może las ma bardziej dosłowne znaczenie, niż nam się wydawało - zauważyła Dana, wsuwając do ust kolejny kęs. - Przyjrzy się lasom w książkach i na obrazach, a także tym naszym, wokół Pleasant Valley. Niewykluczone, że coś wyskoczy.

- Jeśli opiszesz mi scenerię, spróbuję ją naszkicować - wtrąciła Malory. - Powinniśmy wszyscy zobaczyć to, co ty widziałas.

- Dobrze. - Zoe stanowczo kiwnęła głową. - Chyba masz rację. Czas ucieka, ale rzeczywiście chyba masz rację. Miała takie przenikliwe, smutne spojrzenie - dodała cicho. - Nie wiem, jak potrafiłabym żyć, gdybym jej nie pomogła.

Gdy Brad odwoził Zoe do domu, tonęła w myślach, wpatrując się w przyrastający księżyc. Był większy i bielszy niż ostatnio, odmierzał jej czas.

- Chyba nigdy przedtem nie zwracałem uwagi na fazy księżyca. Po prostu spoglądałem w niebo i widziałem księżyc w pełni albo w nowiu, albo w którejś tam kwadrze. Nie zauważałem, czy go przybywa czy ubywa. Ale teraz już będę wiedział. I nawet nie muszę spoglądać na niebo, żeby określić, jaka to faza.

- Zostały mi niecałe trzy tygodnie.

- Masz wykres i szkic. Masz wizję. Nie da się złożyć układanki bez poszczególnych elementów. Teraz je gromadzisz.

- Liczę na to. Dobrze, że omówiliśmy sprawę, ale teraz gubię się w tym wszystkim, nie ogarniam całości. Nie potrafię układać słów jak Dana ani malować obrazów, jak Malory. Muszę, no nie wiem, wziąć się do roboty i ulepić coś z tej gliny. Ale na razie nie wiem, w co ręce włożyć. Frustrujące uczucie.

- Czasami wystarczy zostawić porzrzucone kawałki. A potem wracasz i widzisz je pod innym kątem. - Zahamował na podjeździe przed jej domem. - Nocuję dzisiaj u ciebie.

- Co takiego?

- Nie zostawię cię tu samej, nawet bez Simona, gdyby coś się zdarzyło. - Wysiadł i zabrał garnek z tylnego siedzenia. - Prześpię się na sofie.

- Przecież jest Moe... - zaczęła, gdy pies podbiegł do drzwi.

- Ostatnio, jeśli dobrze pamiętam, Moe nie potrafił wybrać numeru w telefonie ani poprowadzić samochodu. A może przydałby ci się ktoś, kto to potrafi? - Przystanął przy drzwiach, czekając, aż Zoe je otworzy. - Nie zostaniesz sama. Będę spał na sofie.

- Nie mam...

- Nie sprzeciwiaj się.

Obrzuciła go długim, uważnym spojrzeniem, potrząsając kluczami.

- A może lubię się sprzeciwiać?

- To nie miałyby sensu, ale jeśli już musisz się sprzeciwiać, wejdźmy do domu. Jest ciemno, zimno, a Moe okazuje nieco przesadne zainteresowanie zawartością garnka.

Otworzyła drzwi i skierowała się prosto do kuchni.

- Odstaw go, wszystko jedno gdzie. Zaraz się nim zajmę. - Wyjęła pojemnik na resztki i zdjęła płaszcz, przerzucając go przez oparcie kuchennego krzesła. - Zapewne nie dotarło do ciebie, że pozwoliłam Simonowi nocować u kolegi, ponieważ chciałam spędzić kilka chwil sama z sobą.

- Dotarło do mnie. Nie zamierzam ci przeszkadzać. - Zdjął płaszcz i podniósł okrycie Zoe. - Odwieszę je.

Bez słowa zaczęła przekładać resztki chili do pojemnika.

Wiedziała, że Brad ma jak najlepsze zamiary. I nie miała nic przeciw silnej męskiej ręce w domu. Po prostu nie przywykła. Również do słuchania poleceń.

Między innymi na tym polega problem, pomyślała, zamykając pojemnik. Sama pilotowała swój okręt tak długo, że nie tolerowała nikogo obcego za sterem.

Taka skaza na jej charakterze, ale miała do niej prawo.

To zaledwie mała część problemu, pomyślała i zaczęła szorować garnek. Gorzej, że mężczyzna, do którego czuła silny pociąg, przebywał razem z nią w domu, bez przyzwotki w postaci dziewięcioletniego chłopca.

Co było, jak sobie uświadomiła, stawiając garnek na suszarce, kompletną głupotą.

Weszła do salonu. Brad siedział w fotelu, przeglądając jedno z czasopism. Moe, który stracił nadzieję na skosztowanie chili, ułożył się w pobliżu na podłodze.

- Jeśli szukasz czegoś do czytania - zaczęła - mogę ci zaoferować coś lepszego niż magazyn fryzjerski.

- Jest niezły. Bardzo atrakcyjne modelki. Czy mogę ci zadać dwa pytania? Pierwsze dotyczy poduszki i koca.

- Mam w zapasie jedno i drugie.

- Dobrze. Drugie pytanie nasunęło mi się na widok tej rudej modelki z kolczykiem w brwi. Tylko... jak to ująć?

- Interesuje cię kolczyk w brwi?

- Nie. Niezupełnie. Ale tak się składa, że jakiś czas temu zauważyłem... miałaś na

sobie dzinsy, które zjeżdżały trochę w dół, i bluzkę, która podjeżdżała do góry, więc nie mogłem nie zauważyć srebrnego ćwieczka... w twoim pępku. Masz przekłuty pępek.

Przechyliła głowę.

- Zgadza się.

- Byłem ciekaw, czy zawsze nosisz kolczyk.

Zachowała bardzo rzeczowy, bardzo poważny wyraz twarzy.

- Czasami noszę małe srebrne kółeczko.

- Aha. - Nie mogąc się powstrzymać, zerknął na jej brzuch.

- Zanim sprowadziłam się do Valley, dorabiałam sobie w salonie piercingu i tatuażu.

Odkładałam każdego centa na zaliczkę za dom. Jako pracowniczka mogłam to sobie zrobić gratis, a w dodatku takie doświadczenie ułatwiało rozmowy z klientami. Nie - dodała, czytając w myślach Brada - nie przekłułam sobie innych części ciała, tylko pępek i uszy.

Napijesz się czegoś? A może jesteś głodny?

- Nie, dziękuję.

- Czy zrobiłaś sobie jakiś tatuaż?

Uśmiechnęła się przyjaźnie, jak nauczycielka w szkółce niedzielnej.

- Tak, jeden. Nieduży. - Wiedziała, że Brad się zastanawia, co sobie wytatuowała i w którym miejscu. Niech się trochę pozastanawia. - Nie musisz spać na sofie. - Zauważyła nagle zmrużenie wpatrzonych w nią oczu i wyczuła, jak jego ciało tężeje, choć stała mniej więcej w odległości metra. - Nie ma takiej konieczności, skoro jesteśmy tylko we dwoje. - Zawiesiła głos. - Możesz zająć łóżko Simona.

- Łóżko Simona - powtórzył, jak gdyby była to fraza w obcym języku. - Ach, tak. Dobrze. Jasne.

- Może wejdiesz ze mną na górę, pokażę ci, gdzie co jest.

- Oczywiście.

- W szafce w łazience są czyste ręczniki - poinformowała go, ruszając po schodach; zaczynała się pysznie bawić. - Mam też zapasową szczoteczkę do zębów, której możesz użyć.

Wchodząc za nią, trzymał ręce przy sobie i próbował się nie zadręczać wyobrażeniami tatuaży i kolczyków w pępku. Poniósł sromotną porażkę.

- Muszę być na naradzie o wpół do dziewiątej rano, więc szybko się mnie pozbędziesz.

- Pora mi nie przeszkadza. Przywykłam do wczesnego wstawania.

Pchnęła drzwi do pokoju Simona. Stało tam piętrowe łóżko, przykryte granatowymi narzutami, a w oknie wisiały jaskrawoczerwone zasłony. Półki, pomalowane na kolor

odpowiadający narzutom, wypełnione były przedmiotami, jakie zazwyczaj kolekcjonują chłopcy. Plastikowe figurki, książki, minerały i modele samochodów. Na czerwonym dziecięcym biurku pod oknem Brad dostrzegł lampkę z Supermanem, podręczniki oraz różne szpargały. Panował tu ład, lecz bez przesadnej surowości. Do korkowej planszy przypięte były rysunki, zdjęcia i wycinki z czasopism. Na słupkach łóżka wisiały sportowe czapki, a na podłodze wały się zrzucone w pośpiechu buty i szkolna torba, z której wysypała się część zawartości. W powietrzu unosił się zapach, nasuwający myśl o chłopięcym rozbrykaniu.

- Kapitalny pokój.

- Staczamy regularne boje o sprzątanie. Ostatni wygrałam, więc wygląda tu jeszcze względnie przyzwoicie. - Oparła się o futrynę. - Nie masz nic przeciw spaniu tutaj?

- Nie, absolutnie.

- Doceniam twoją dżentelmeńską postawę i to, że nie próbujesz wykorzystać sytuacji i nie dobierasz się do mnie.

- Zostałem, ponieważ nie powinnaś być sama. Niczego nie zamierzam wykorzystywać.

- Chciałam się po prostu upewnić, a skoro się upewniłam, coś ci powiem. Ja nie jestem dżentelmenem. - Zrobiwszy krok naprzód, przywarła do Brada całym ciałem. - Zamierzam wykorzystać sytuację. - Zaciśnęła dłonie na jego pośladkach. - I właśnie dobieram się do ciebie. Co teraz zrobisz?

Poczuł dreszcz, serce gubiło rytm.

- Popłaczę się z wdzięczności?

Roześmiała się, skubnęła delikatnie zębami jego dolną wargę.

- Łzy zostaw na później. Dotykaj mnie - zażądała. - Wszędzie.

Upajał się smakiem gorących, pełnych ust. Ocierała się o niego rozkosznie, miała sprężyste, podniecające ciało. Wsunął ręce pod sweter, dotykając gładkich pleców, wciętej talii, delikatnej krzywizny biodra. Więcej - ta jedna myśl kołatała mu w głowie. Więcej.

Wygięła się w łuk, gdy pieścił wargami szyję. Sięgnęła do sprzączki przy jego pasku; schodząc niżej, czuła pod palcami drgnienia napiętego podbrzusza.

- Dość długo pościłam. - Głos miała chrapliwy, rozpiniała pasek niecierpliwymi ruchami. - Musisz mi wybaczyć pośpiech.

- Nie musisz się usprawiedliwiać. - Okręcił ją, aż dotknęła plecami ściany. - Naprawdę nie musisz.

Ściągnął jej sweter przez głowę jednym szarpnięciem i odrzucił na bok. Objął dłońmi piersi, zanim ciuszek zdążył dotknąć podłogi.

Zdyszana, nie odrywając ust od jego warg, rozpięła mu pospiesznie koszulę. Boże, pragnęła czuć tego mężczyznę, mieć go w sobie. Jej skóra ożyła, tętniła pod nią gorąca krew, serce było dawno zapomnianym rytmem, szybko, mocno, elektryzująco.

W uniesieniu zsunęła rękę Brada niżej, przytrzymała między udami. Odchyliła głowę i poruszyła biodrami, ściskając jego dłoń, którą od rozpalonego miejsca oddzielała jeszcze materia ubrania.

To było jak dotykanie obnażonych nerwów. Zakończeń nerwowych ostrych niczym odłamki szkła. Jej zapach, zmysłowy, nasuwający myśl o nocy, cieniach, tajemnicach wniknął do jego krwiobiegu jak narkotyk. Istniała dla niego tylko ta kobieta.

Pragnienie poraziło go piorunem uderzającym prosto w serce.

Rozpiął guzik dzinsów Zoe, zsunął w dół. Nie czekając, aż się od nich uwolni, zanurzył palce w gorącym wnętrzu. Dostrzegł na twarzy wyraz zaskoczenia i rozkoszy, jej wilgoć spłynęła mu na dłoń.

- Nie przestawaj.

Wyczuwał żar i niecierpliwość ust, paznokcie przesuwające się drapieźnie po plecach i wbijające w biodra.

Dała się porwać tej niesamowitej fali doznań przenikających ciało i umysł. Płynęła, cała rozedrgana i wciąż pragnęła więcej. Pomyślała, że siła pożądania doprowadzi ją za chwilę do szaleństwa.

Otarła się o niego natarczywie i ponagłajaco, krzyknęła, gdy wszedł w nią mocnym, głębokim pchnięciem. Ale ciągle było jej mało. Ostro, gwałtownie poruszyła biodrami, domagając się przyspieszenia. Jęknęła, wtórując odgłosom ciała uderzającego o ciało, o ścianę, znowu o ciało.

Płynął razem z nią, byle prędzej, ku uldze i wyzwoleniu. Kiedy oczy zaszły mu mgłą, a szum krwi zagłuszył wszystko, obydwójce dotarli do mety.

Serce Zoe nadal waliło jak młotem, gdy opuściła głowę na ramię Brada. Spazmatycznie wciągnęła powietrze, które uwięzło jej w krtani, zanim przedarło się do płuc.

Uświadomiła sobie niejasno, że stoi naga, spocona i przyparta do ściany obok pokoju swojego syna. Powinna być zgorzona własnym postępowaniem. Ale nie była. Prawdę mówiąc, czuła się wniebowzięta.

- W porządku? - usłyszała stłumiony głos. Musnął ustami jej włosy.

- Lepiej niż w porządku. Fantastycznie.

- Ty jesteś fantastyczna. - Właśnie wziął ją na stojąco pod ścianą. A raczej to ona wzięła jego. - Jeszcze nie odzyskałem zdolności myślenia - wyznał i oparł się ręką o ścianę,

żeby utrzymać pozycję pionową. - Dzisiaj założyłaś kółko. - Przesunął drugą ręką wzdłuż jej ciała i pogładził palcem kolczyk w pępku. - To cholernie podniecające. Nie miałem pojęcia. Dość szybko nam poszło. Chyba przeoczyłem twój tatuaż.

Oszołomiona, szczęśliwa, dotknęła jego włosów.

- Zabawny z ciebie facet, Bradleyu Charlesie Vanie IV Tak cię rajcują kółka w pępkach i tatuaze?

- Nigdy wcześniej nie zauważyłem u siebie podobnej reakcji. Gdzie go masz?

- Pokażę ci. Ale najpierw chciałabym cię poinformować, że na dziś jeszcze z tobą nie skończyłam. - Pochyliła się i powoli przesunęła koniuszkiem języka po jego szyi. - Proponuję tylko, żeby następną rundę odbyć na leżaco.

- A czyja nadal stoję?

Znowu parsknęła śmiechem, okrążyła go i postukała palcem w swoją lewą łopatkę, kierując się prosto do pokoju po drugiej stronie korytarza.

- Zaczekaj. - Przytrzymał jej ramię, podchodząc bliżej, żeby przyjrzeć się obrazkowi. - To wróżka.

- Zgadza się. Czasami jest dobrą wróżką. - Obejrzała się i uśmiechnęła zalotnie. - A czasami płata złośliwe figle. Może pójdziesz ze mną i sprawdzisz, jaki ma dzisiaj nastrój?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zoe powitała nowy dzień, tryskając energią, z głową pełną świeżych pomysłów. Nastawiła ekspres do kawy, po czym, nucąc pod nosem, zaczęła smażyć jajecznicę.

Uśmiechnęła się, gdy pomyślała o mężczyźnie biorącym prysznic w łazience. Wspaniałym mężczyźnie, który nie dał jej spać przez pół nocy. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak rześko po niecałych czterech godzinach snu. Zarówno ciało, jak i umysł wydawały się cudownie rozluźnione i giętkie. Była najzupełniej pewna, że teraz poradzi sobie ze wszystkim, nie ma dla niej rzeczy niemożliwych.

Ludzie, którzy twierdzą, że seks nie jest ważny - uznała - najwyraźniej nigdy go nie uprawiali.

Słyszając kroki Brada, nałożyła jajecznicę na talerz i dodała grzanekę.

- W samą porę - stwierdziła i podsunęła mu talerz.

- Nie musiałaś mi robić śniadania.

- Nie chcesz? - Sięgnęła po widelec, nabrała trochę jajecznicy.

- Nie powiedziałem, że nie chcę. - Odebrał jej talerz i widelec. - A ty? Będziesz jadła?

- Może. - Postąpiła krok naprzód, otworzyła usta.

Dostosowując się do żartobliwego nastroju, podał jej kęs na widelcu.

- Siadaj - poleciła i naląła kawy. - Jedz, póki gorące. Mówiłeś, że masz rano zebranie.

- Może powinienem je odwołać. - Pochylił się i pocałował ją w szyję. - Zjedlibyśmy śniadanie w łóżku.

- W tym domu wyłącznie chorzy dostają śniadanie do łóżka. Przyłożyła mu dłoń do czoła. - Zimne. Zjedz, wróć do domu, przebierz się i jazda do pracy.

- Strasznie jesteś surowa. Ale robisz naprawdę dobrą jajecznicę. Masz jakieś plany na dzisiaj?

- To i owo. - Wzięła grzanekę, usiadła naprzeciw niego przy stole i posmarowała ją masłem. - Przy najbliższej okazji musisz wstąpić do „Pokusy”. Dopracowujemy szczegóły, wszystko zaczyna błyszczeć.

- Po raz pierwszy mnie zapraszasz.

- Pierwszy raz też z tobą spałam.

- Chciałbym w tym widzieć stałą regułę.

- To niewykluczone.

- Nie jestem zainteresowany innym towarzystwem. Ani w łóżku, ani przy śniadaniu.

- Nie sypiam, z kim popadnie - oświadczyła poważnym tonem.

- Wcale nie o tym mówię. - Nakazując sobie cierpliwość, mocno ujął dłoń Zoe. - Mówię, że jesteś jedyną kobietą, która mnie interesuje. Rozumiesz?

- Jestem, jak to określiłeś... drażliwa i przeczulona.

- Owszem, ale jajecznicę robisz świetną.

- Przepraszam. Te sprawy nie były dla mnie... zamierzałam powiedzieć „najistotniejsze”, ale właściwie nie było ich w ogóle. Kropka. Poruszam się po omacku.

- Spróbuj powiedzieć: „Bradleyu”... nawiasem mówiąc, oprócz ciebie tylko moja matka nazywa mnie Bradleyem. To nawet miłe. A więc: „Bradleyu, mnie również nikt inny nie interesuje”.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Bradleyu, mnie również nikt inny nie interesuje.

- To mi odpowiada.

Jej także odpowiadało. I trochę się tego obawiała.

- Powiedziałeś, żebyś cię kiedyś zapytała, dlaczego wróciłeś do Valley. Pytam cię teraz.

- Okay. - Sięgnął po słoik dżemu truskawkowego, który postawiła na stole i posmarował grzanekę. - HomeMakers to coś więcej niż biznes. Więcej niż tradycja. To rodzina. Każdy Vane - wzruszył ramionami - jest skazany na HomeMakers.

- Chciałeś tego?

- Tak, na szczęście. Musiałem się wiele nauczyć, zrozumieć, do wielu rzeczy przygotować. Wyjechałem z Valley, żeby naprawdę poznać strukturę firmy, zobaczyć jako całość, poza jej kolebką.

Zoe przyjrzała mu się badawczo. Był ubrany niedbale, koszula pomięta się nieco od jej uścisków, potem całą noc leżała ciśnięta na podłogę. Mimo to emanował siłą i pewnością siebie. Taką, którą się ma we krwi.

- Jesteś dumny ze swojej rodziny. I z tej kolebki.

- Bardzo. Przedsiębiorstwo się rozwinęło i nadal się rozwija. Naprawdę dużo osiągnęliśmy, nie tylko w biznesie. Programy, projekty, cały fundament stworzony przez mojego dziadka i ojca. Zapragnąłem wrócić tutaj, gdzie wszystko się zaczęło, i czegoś dokonać. Wyrobić sobie markę, właśnie tu, w Valley. - Odstawił kawę. - Lepiej się za to zabiorę. Wychodzisz?

- Mam kilka spraw do załatwienia. - Uprzedzając go, zabrała talerz i wstawiła do zlewu, a potem się odwróciła. - Wyrobisz sobie markę, Bradleyu. Należysz do mężczyzn, którzy to potrafią. Pleasant Valley ma szczęście, że wróciłeś.

Na chwilę po prostu zaniemówił.

- To najmiłsza rzecz, jaką mogłem od ciebie usłyszeć. Dziękuję.

- Nie ma za co. A teraz jedź do pracy. - Pocałowała go. - I wyrabiaj markę.

Pomyślał, że mógłby zasmakować w takich domowych pożegnaniach. Otoczył ją ramionami, przyciągnął do siebie i obdarzył znacznie głębszym pocałunkiem. Kiedy się odsunęła, miała zamglone oczy - uznał, że w tym również mógłby zasmakować.

- Dzięki za śniadanie. Na razie.

Zaczekała, aż Brad wyjdzie, i dopiero wtedy odetchnęła głęboko.

- Uff. Powinam wziąć na wstrzymanie.

Rzuciwszy okiem na zegar, zaczęła pospiesznie sprzątać kuchnię. Już czas, pomyślała, załatwić pewne sprawy. A raczej wkroczyć na pierwszą ścieżkę, którą wybrała.

Zaopatrzona w swój wykres i notatki wsiadła do auta, by odbyć podróż w przeszłość. - Może to część poszukiwań, doszła do wniosku. Zmierzyć się z przeszłością i zrozumieć ją, budując przyszłość. A może po prostu jedyny trop prowadzący do klucza.

Tak czy inaczej kierowała się ku miejscu, które było niegdyś jej domem.

Jeździła już wcześniej tą trasą, lecz zawsze z pewnymi oporami i poczuciem winy. Miała nadzieję, że teraz dokona jakiegoś odkrycia.

Wzgórza były o tej porze roku niemal bezbarwne. Dominowała szarość nagich drzew - ich wierzchołki rysowały się ostro na tle ponurego listopadowego nieba - współ z matowym brązem opadłych liści.

Skręciła w boczną drogę, jadąc wąską, wijącą się wstęgą wśród pól i domków otoczonych mikroskopijnymi trawnikami.

Z każdą milą cofała się w przeszłość.

Przemierzała tę drogę niejedną raz. Zwykle rano, gdy uciekał jej szkolny autobus, ponieważ nie zdążyła się uporać na czas z wszystkimi obowiązkami. Biegła na skróty przez pole - wciąż pamiętała zapach zieleni, który wdychała wczesnym latem.

Czasami w ciepłe wiosenne wieczory mknęła przez to pole na potajemną randkę z Jamesem - mknęła co tchu, byle prędzej znaleźć się przy samochodzie, stojącym na poboczu drogi. W mroku tańczyły robaczki świętojańskie, wysoka trawa łaskotała gołe nogi Zoe. Wtedy jeszcze wierzyła, że wszystko jest możliwe, jeśli się czegoś bardzo mocno pragnie.

Teraz wiedziała, że możliwe jest jedynie to, na co się zapracuje. A nawet wówczas to coś może wymknąć się z rąk.

Zaparkowała na poboczu, niedaleko miejsca, gdzie niegdyś czekał na nią chłopak. Prześliznęła się między drutami ogrodzenia i ruszyła w stronę lasu.

W dzieciństwie był to jej las. Jej puszcza, cicha, pełna tajemnic i magii. Nie przestał być jej lasem w okresie dorastania i później. Miejscem przechadzek, rozmyślań, snucia planów.

I przypuszczała, że tutaj, na czerwonym kocu rozłożonym na podściółce z sosnowych igieł i szeleszczących liści, poczęła dziecko, które zmieniło jej życie.

Zauważyła między drzewami wydeptane ścieżki. A zatem ciągle bawiły się tu dzieci, kobiety spacerowały, mężczyźni polowali. Tak naprawdę nie zaszła żadna zmiana. Może o to właśnie chodziło. Las się nie zmieniał, nie tak szybko i dostrzegalnie, jak stworzenia, które się po nim poruszały.

Przez chwilę stała w miejscu, chłonąc ciszę, wdychając listopadowe zapachy wilgoci i gnijących liści. Usiłowała o niczym nie myśleć, zdać się na głos instynktu w wyborze kierunku.

Strata i rozpacz, radość i światło. Z tym wszystkim zetknęła się tutaj. Krew związana z utratą niewinności? Lęk przed konsekwencjami, nadzieja, że miłość wystarczy?

Usiadła na powalonym pniu, próbując wyobrazić sobie ścieżki życia wiodące z tego miejsca i klucz, który czeka na jednej z nich.

Słyszała stukanie dzięcioła i westchnienia wiatru wśród nagich gałęzi.

I nagle zobaczyła przed sobą białego jelenia, który wpatrywał się w nią szmaragdowozielonymi oczyma.

O mój Boże. Siedziała, bojąc się poruszyć. Bała się nawet odetchnąć.

Pamiętała, że i Malory, i Dana widziały białego jelenia, co Jordan określił jako tradycyjny element poszukiwań. Ale one widziały go na Wzgórzu Wojownika, nie w lasach Zachodniej Wirginii.

- Więc jednak miałam rację, i dobrze zrobiłam, że tu przyjechałam. Skoro mi się pokazał, to oznacza, że jestem na właściwym tropie. Ale czego ode mnie oczekujesz? Chcę pomóc. Próbuję pomóc.

Zwierzę odwróciło głowę i ruszyło przed siebie wyboistą ścieżką. Zoe, choć drżały jej kolana, wstała i podążyła za nim.

Czy kiedyś o tym marzyła? - zadała sobie pytanie. Nie o tej konkretnej sytuacji, gdy idzie ścieżką za białym jeleniem, lecz o magii, cudach, dokonaniu czegoś ważnego.

Marzyła, owszem - o czymś, co pozwoli jej się stąd wyrwać, uciec od codziennej monotonii i tęsknoty za światem poza tymi lasami.

Czy tego oczekiwała od Jamesa? Kochała go czy po prostu widziała w nim drogę ucieczki?

Zatrzymała się, przycisnęła dłoń do piersi.

- Nie wiem - wyszeptała. - Naprawdę nie wiem.

Jeleń obejrzał się na nią, a następnie sprężył, przeskoczył na drugi brzeg niewielkiego strumyka i odbiegł w dal.

Z nadzieją, że dobrze go zrozumiała, Zoe skręciła w lewo, opuściła las i dotarła do zwirowanego parkingu dla przyczep.

Podobnie jak w lesie, niewiele się na nim zmieniło. Inne twarze, być może, gdzieś gdzieś nowe wozy mieszkalne. Nadal jednak stały tu szeregi domów, które nigdy nie zapuszczają korzeni. Zza okien płynęło dudnienie radioodbiorników i telewizorów, skądś dobiegał urywany płacz dziecka i warkot uruchamianego silnika, gdy ktoś wyjeżdżał z parkingu.

Przyczepa matki Zoe miała bladozielony kolor i białą, metalową markizę nad bocznymi drzwiami. Tuż obok był zaparkowany samochód z wgiętym błotnikiem.

Nie zdjęła jeszcze z drzwi letniej siatki, zauważyła Zoe. Tej samej, która zawsze skrzypiała głośno, gdy się ją otwierało, i zamykała się z trzaśnięciem. Weszła po schodkach ułożonych z pustaków i zapukała.

- Proszę wejść. Zaraz będę gotowa.

Siatka zaskrzypiała, a wewnętrzne drzwi lekko się zacięły, gdy przekręciła gałkę. Pchnęła je i weszła do środka, pozwalając siatce trzasnąć.

Matka była w kuchni, w której zarabiała na życie. Krótką ladę obok kuchenki wypełniały buteleczki, miski, plastikowe pudełko z kolorowymi wałeczkami do trwałej ondulacji i stosik ręczników wystrzępionych od nieustannego prania. Kawa parzyła się w dzbanku, a w popielnicze z zielonego szkła dymił papieros.

Jest zbyt szczupła, pomyślała natychmiast Zoe. Jak gdyby życie okroiło ją do absolutnego minimum. Miała na sobie obcisłe džinsy i kusą czarną bluzkę, co jeszcze podkreślało ostre kandy figury. Włosy nosiła krótko ścięte i ufarbowane na jaskrawoczerwony kolor.

Ranne pantofle zaszurały po podłodze, gdy nalewała sobie kawy, stojąc tyłem do drzwi. Zoe wiedziała, że matka włożyła je dla wygody. Przygotowywała się do robienia trwałej, co oznaczało spędzenie dłuższego czasu na nogach.

W części mieszkalnej grał telewizor. Emitowano jakiś przedpołudniowy talk - show.

- Albo pani zegarek się spieszy, albo mój się spóźnia - powiedziała Crystal. - Jeszcze nie zdążyłam wypić drugiej kawy.

- Mamo.

Crystal odwróciła się z kubkiem w ręku.

Zoe spostrzegła, że matka jest już umalowana. Usta miała czerwone, rzęsy grubo pociągnięte tuszem. Pomimo makijażu twarz wydawała się zmęczona i postarzała.

- A niech to, patrzcie państwo, kogo wiatr przywiał. - Uniosła kubek do ust, prześlizgując się spojrzeniem po córce i zerknęła w stronę drzwi. - Przywiozłaś chłopaka?

- Nie, Simon jest w szkole.

- Coś mu dolega?

- Nie, wszystko w porządku.

- A tobie?

- Też nie, mam. - Zoe podeszła bliżej, pocałowała Crystal w policzek. - Miałam coś do załatwienia w okolicy i pomyślałam, że zajrzę do ciebie. Ktoś ma przyjść?

- Za jakieś dwadzieścia minut.

- Mogę się napić kawy?

- Nalej sobie. - Crystal potarła policzek, obserwując córkę, która sięgnęła do wiszącej szafki po kubek. - Tak po prostu miałaś coś do załatwienia? Myślałam, że zamierzasz otworzyć ten swój ekskluzywny lokal w Pensylwanii.

- Zamierzam, choć nie nazwałabym go ekskluzywnym. - Mówiła ożywionym tonem, starając się nie zwracać uwagi na podejrzliwość i nutę krytycyzmu w głosie matki. - Może wstąpisz kiedyś do nas, zobaczysz, jak to wygląda? Otwieramy za parę tygodni.

Zgodnie z przewidywaniami Zoe nie odpowiedziała. Podniosła tylko papieros i zaciągnęła się głęboko.

- Jak tam wszyscy?

- Jakoś żyją. - Crystal wzruszyła ramieniem. - Junior dalej pracuje dla firmy telefonicznej, nieźle mu się wiedzie. Zrobił dziecko tej dziewczynie, z którą mieszka.

Kubek Zoe stuknął o blat.

- Junior zostanie tatą?

- Na to wygląda. Mówi, że się z nią ożeni. Pewnie zatruje mu życie.

- Donna jest w porządku, mam. Są razem już ponad rok. Więc będą mieli dziecko - powiedziała miękko, uśmiechając się na myśl o swoim małym braciszku w roli ojca. - Junior zawsze umiał obchodzić się z dziećmi. Ma do nich łagodne podejście.

- Tak jakby z dzieckiem wszystko od razu nabierało różowych barw. Przynajmniej Joleen dała sobie z tym na razie spokój.

- Czy ona i Denny dobrze z sobą żyją?

- Mają pracę i dach nad głową, więc na nic nie powinni narzekać.

- To miło. A Mazie?

- Rzadko się ze mną kontaktuje, odkąd kupiła własny dom. Wydaje jej się, że jest nie wiadomo kim, bo skończyła szkołę biznesu i pracuje w biurze.

Skąd u ciebie tyle goryczy? - zastanawiała się Zoe. Aż taka surowość?

- Powinnaś być dumna, mammo. Dumna z tego, że całej czwórce twoich dzieci ułożyło się w życiu. Ty nam to umożliwiłaś.

- Żadne jakoś tu nie zagląda i mi nie dziękuje za wypruwanie sobie flaków przez dwadzieścia pięć lat, żebyście mieli co jeść i w co się ubrać.

- Przyjechałam, żeby ci podziękować.

Crystal prychnęła pogardliwie.

- Czego właściwie chcesz?

- Niczego nie chcę. Mammo...

- Nie mogłaś się doczekać, żeby stąd uciec. Nic nie było dość dobre dla księżniczki Zoe. Zaszła w ciążę z tym nadętym chłopakiem od Marshallów i myślałaś, że kupujesz sobie przepustkę do lepszego życia. Od razu puścił cię kantem, a ty co? Wzięłaś nogi za pas w nadziei, że trafisz na kolejną żyłę złota.

- Część z tego jest prawdą - odparła spokojnie Zoe - a część nie. Pragnęłam się stąd wyrwać, pragnęłam czegoś lepszego. Wcale się nie wstydzę i niczego nie żałuję. Ale nigdy nie myślałam o moim dziecku jako o przepustce do lepszego życia. Ciężko pracowałam, mammo, najpierw dla ciebie, a potem, żeby utrzymać Simona i siebie. I coś osiągnęłam. Wciąż posuwam się naprzód.

- Nie jesteś przez to kimś lepszym. Ani wyjątkowym.

- Sądzę, że jestem. Jestem lepsza niż ludzie, którzy nie podejmują wysiłku, by zatroszczyć się o rodzone dziecko. Ty to zrobiłaś. Troszczyłaś się o swoje dzieci najlepiej jak umiałaś i dlatego właśnie jesteś kimś wyjątkowym. Wiem, jak trudno jest wychowywać dziecko - ciągnęła, podczas gdy Crystal wlepiła w nią oczy. - Jakie to trudne i czasami przerażające wychowywać dziecko i martwić się o nie, łamać sobie głowę, jak opłacić rachunki i związać koniec z końcem, nie mając nikogo, kto by pomógł.

Na zewnątrz ogłuszająco strzelił gaźnik czyjegoś samochodu.

- Ja mam tylko Simona, a mimo to bywały chwile, kiedy po prostu nie wiedziałam, co robić, nie wiedziałam, jak dotrzeć do rana, a co dopiero do następnego tygodnia. Ty wychowałaś nas czworo. Przepraszam, jeżeli odniosłaś wrażenie, że tego nie doceniam. Może nie potrafiłam tego należycie docenić wtedy, w dzieciństwie. Więc chciałabym ci podziękować teraz.

Crystal zapaliła papierosa, skrzyżowała ramiona na piersi.

- Jesteś znowu w ciąży?

- Nie. - Zoe ze śmiechem potarła twarz dłońmi. - Nie, mamó.

- Po prostu zjawiasz się ni z tego, ni z owego, żeby powiedzieć „dziękuję”?

- Nie twierdę, że obudziłam się rano z tą myślą, ale tak. Chcę powiedzieć: dziękuję.

- Zawsze byłaś dziwna. No dobrze, podziękowałaś. Zaraz przyjdzie do mnie klientka.

Zoe westchnęła cicho i wstawiła kubek do zlewu.

- No to do zobaczenia w Boże Narodzenie. - Ruszyła ku drzwiom.

- Zoe... - odezwała się Crystal. Po chwili wahania podeszła do córki i uściśnęła ją niezgrabnie. - Zawsze byłaś dziwna - powtórzyła, wróciła do kuchennego blatu i zaczęła rozkładać wałeczki.

Czując, że łzy napływają jej do oczu, Zoe wyszła i puściła siatkowe drzwi, które zamknęły się z trzaskiem.

- Na razie, mamó - wymamrotała i skierowała się w stronę lasu.

Nie wiedziała, czy coś osiągnęła, czy tylko wróciła po własnych śladach, ale czuła, że postąpiła słusznie - i że krótki, pełen skrępowania uścisk matki był czymś dobrym. Podjęła krok zmierzający do zaleczenia wewnętrznej rany i odszukania klucza.

Musiała zrozumieć samą siebie, czyż nie? Musiała dociec, dlaczego dokonała takich, a nie innych wyborów i dokąd ją zaprowadziły, zanim wywnioskuje, jakiego wyboru musi dokonać, by znaleźć klucz.

Szybko pomaszerowała ścieżką, rozmyślając niecierpliwie o kolejnych krokach. Pojedzie do Morgantown, obejdzie pokoje, które wynajmowała, rzuci okiem na dawne miejsca pracy - salon i sklep, na szpital, gdzie urodziła Simona. Może i tam zostały jakieś niedokończone sprawy, coś, co należało zauważyć, problem do rozwiązania.

Mieszkała w Morgantown prawie sześć lat. Z nikim jednak nie łączyła jej bliska więź. Właściwie dlaczego? Żyła w przyjaźni z ludźmi, z którymi pracowała, spotykała się z sąsiadami i paroma innymi młodymi matkami. Pojawiało się na horyzoncie dwóch mężczyzn i lubiła ich obu. Ale ciągle miała poczucie tymczasowości.

Ponieważ - uświadomiła sobie - to nie było jej miejsce. Jedynie przystanek w drodze do celu podróży.

Wtedy jeszcze o tym nie wiedziała, ale zmierzała do Pleasant Valley. Do Malory i Dany. Do Wzgórza Wojownika, do klucza.

Czy także do Bradleya? Czy miał się okazać równie ważną częścią jej życia jak tamte? A może kolejnym krótkim odcinkiem rozwidlającej się drogi.

Ruszaj naprzód, nakazała sobie. Ruszaj i sprawdź.

Zerknęła na zegarek, obliczając, ile czasu zajmie jej jazda do Morgantown, pobyt tam i powrót do domu. Powinna zdążyć, zanim Simon wyjdzie ze szkoły. Ale na wszelki wypadek zatrzyma się przy jakiejś budce i zatelefonuje do Dany i Malory; powiadomi je, że nie przyjedzie do „Pokusy”. Zjawi się nazajutrz wcześniej rano. Dzisiaj wieczorem mogłaby uszyć pokrowce na sofy. Może zajrzy do HomeMakers i kupi półki, które sobie upatrzyła. Jeżeli to załatwi, a następna zamówiona dostawa towarów dotrze w terminie, spróbuje...

Ciąg myśli urwał się nagle, gdy przystanęła i rozejrzała się wokół.

Uprzytomniła sobie, że zeszła ze ścieżki. Kara za roztargnienie. Poszycie było tu gęstsze i najeżone kolcami, które mogły - gdyby nie uważała - poszarpać jej spodnie i kurtkę.

Spojrzała w górę, chcąc ocenić kierunek po położeniu słońca, lecz niebo przybrało barwę ołowiu, chmury kłębiły się groźnie.

Postanowiła zawrócić po własnych śladach. Nie miało to specjalnego znaczenia, gdyż las był mniej więcej szerokości boiska piłkarskiego i wcinał się klinem między pole a parking dla przyczep.

Zła na siebie, wetknęła ręce w kieszenie. Zrobiło się chłodniej i powietrze pachniało raczej śniegiem niż deszczem. Maszerowała żwawo, żeby jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę i żeby się rozgrzać.

Drzewa wydawały się większe i rosły gęściej, rzucając cienie o wiele za długie jak na tak wczesną porę dnia. Nie było już słycać stukania dzięcioła ani krzątanimy wiewiórek załatwiających swoje sprawy. W lesie zapanowała grobowa cisza.

Zoe przystanęła ponownie, zaskoczona, że do tego stopnia straciła orientację w okolicy, którą znała od dzieciństwa. Świat się zmienia, oczywiście, wszystko się zmienia. Czy jednak na samym początku nie zwróciła uwagi, jak niewiele zmian zaszło w tym miejscu?

Żołądek wykonał salto, gdy wpatrzyła się w długie, głębokie cienie, przecinające jej drogę. Skąd się wzięły, jeśli nie było słońca?

Gdy wokół niej zawirowały pierwsze płatki śniegu, usłyszała niski, gardłowy pomruk dobiegający zza drzew.

W pierwszej chwili pomyślała o niedźwiedziu. Na wzgórzach wciąż jeszcze żyły niedźwiedzie. Jako dziecko widywała ich ślady i odchody. Od czasu do czasu któryś zawędrował nocą na parking i grzebał w śmieciach, jeśli pojemniki nie były szczelnie zamknięte.

Choć serce podeszło jej do gardła, nakazała sobie spokój. Niedźwiedź wcale się nią nie interesował. Nie miała przy sobie prowiantu i nie stanowiła zagrożenia. Musiała po prostu

wrócić na parking albo wyjść na pole i dotrzeć do samochodu.

Cofnęła się o kilkanaście kroków, spoglądając czujnie w kierunku, z którego dobiegał pomruk. I weszła w kłębiącą się nisko nad ziemią niebieskawą mgłę.

Obróciwszy się na pięcie, ruszyła jeszcze szybciej niż przedtem w gęsto padającym śniegu. Sięgnęła do tylnej kieszeni po scyzoryk. Była to raczej żałosna broń, lecz Zoe poczuła się lepiej, ściskając go w rękę.

Ponownie usłyszała pomruk, tym razem bliżej i z drugiej strony. Przyspieszyła do truchtu, chwytając drugą ręką torbę, którą niosła na ramieniu. Torba była ciężka i miała długi pasek. W razie potrzeby mogła posłużyć jako dodatkowa broń.

Zoe zacisnęła zęby, żeby nie szczękały. Śnieg sypał tak obficie i w takim tempie, że wypełniał ślady stóp, gdy zaledwie zdążyły się odcisnąć.

Cokolwiek ją tropiło, dotrzymywało kroku i skręcało tam, gdzie ona. Wyczuwało zapach, wiedziała o tym. Tak samo jak ona wyczuwała zapach tego czegoś, ostry i zwierzęcy.

Kolczaste łodygi grubości nadgarstka zdawały się wyskakiwać prosto ze ścielącego się nisko oparu, zagradzając drogę. Ciernie połyskiwały jak sztylety.

- To nie jest rzeczywiste. To się nie dzieje naprawdę - wyrecytowała, lecz kolce, przez które się przedzierała, szarpały ubranie i ciało.

Teraz czuła woń własnego strachu i własnej krwi.

Pnącze śmignęło w górę niczym wąż i owinęło się wokół jej kostki, tak że runęła jak długa na ziemię. Dysząc, przewróciła się na wznak. I zobaczyła.

Przypominał niedźwiedzia, lecz różnił się od tych, które kiedykolwiek wędrowały po tutejszych lasach albo szukały pożywienia w koszach na śmieci. Był czarny jak wrota piekieł i miał jadowicie czerwone ślepie. Z warkotem otworzył paszczę, ukazując kły długie i ostre niczym szable. Gdy Zoe rozpaczliwie siekła nożem kolczaste pnącze, stanął na tylnych łapach i jego cielsko przysłoniło świat.

- Ty sukinsynu. Ty sukinsynu.

Oswobodziła się od pnączy, zerwała na nogi i pobięła.

Stwór ją zabije. Rozerwie na kawałki.

Nabrała tchu, rzucając się w lewo, i wrzasnęła na całe gardło. W odpowiedzi usłyszała za sobą ryk, który zabrzmiał niemal jak śmiech.

Nierzeczywiste, nieprawdziwe, pomyślała gorączkowo, lecz na pewno śmiertelnie niebezpieczne. To coś się nią bawiło, napawając się jej strachem, a później...

Nie zamierzała umierać. Nie w ten sposób, nie podczas ucieczki. Jej dziecko nie zostanie pozbawione matki, żeby dostarczyć rozrywki i satysfakcji jakiemuś bogu z piekła

rodem.

Schyliła się w biegu, podniosła z ziemi ułamany konar i okręciła się na pięcie. Uniosła go niczym maczugę i obnażyła zęby.

- No to chodź, draniu. Chodź tutaj.

Wstrzymała oddech i wzięła zamach, gdy runął w jej stronę.

Jeleń pojawił się znikąd, jednym długim skokiem. Rogami przebił bok niedźwiedzia. Odgłos rozdzieranego ciała i wściekły ryk zabrzmiały potwornie. Trysnęła krew, plamiąc czerwienią biel śniegu. Niedźwiedź obrócił się i zaatakował nieprzyjaciela wielkimi pazurami.

Jeleń wydał dźwięk niemal ludzki, gdy jego biały bok spłynął krwią, lecz zaszarżował ponownie, bódł rogamii, zasłaniając Zoe własnym ciałem jak tarczą.

Uciekaj! - usłyszała w myślach rozkaz, który wyrwał ją ze stanu oszołomienia, wywołanego widokiem walki. Mocniej ujęła konar i uderzyła, wkładając w to całą siłę.

Celowała w paszczę i trafiła. Ramiona zadygotały z wysiłku, lecz uniosła je i zamierzyła się po raz drugi.

- Jak ci się to podoba? - wycharczała. - Jak ci się podoba? - I ponownie jej maczuga zderzyła się z ciałem i kością.

Niedźwiedź zaryczał, cofnął się chwiejnie. Gdy ranny jeleń pochylił głowę, sprężając się do morderczego ataku, wróg zniknął w wirującym kłębie brudnej mgły.

Z trudem łapiąc oddech, Zoe osunęła się na kolana w zakrwawiony śnieg. Poczowała skurcz w żołądku, szarpnęły nią suche torsje. Kiedy mdłości i dreszcze zelzały, podniosła głowę.

Biały jeleń stał po kolana w śniegu. Krwawe bruzdy na jego boku połyskiwały czerwienią, lecz oczy patrzyły spokojnie i niewzruszenie.

- Musimy się stąd wydostać. On może wrócić. - Dźwignęła się na nogi, zachwiała i zaczęła grzebać w torbie. Wyciągnęła paczkę jednorazowych chusteczek. Jesteś ranny, krwawisz. Pozwól, że ci pomogę.

On jednak cofnął się, a potem zgiął przednie nogi i pochylił potężny łeb, bez wątpienia składając ukłon. I zniknął, otoczony migotliwą poświatą.

Nie było już śniegu i ścieżka wiodąca w stronę pola rysowała się wyraźnie wśród drzew. Zoe spojrzała pod nogi. Tam, gdzie wcześniej widniały plamy krwi na śniegu, leżała teraz żółta róża.

Schyliła się i podniosła kwiat, a gdy dobrnęła na skraj pola, pozwoliła sobie na łzy.

- To tylko zadrapania, ale niektóre wyglądają dość paskudnie. - Malory zacisnęła usta,

dezynfekując skaleczenia Zoe. - Cieszę się, że od razu przyjechałaś tutaj.

- Pomyślałam... Nie, nic nie myślałam. - Zdała sobie sprawę, że czuje się lekko oszołomiona i kręci jej się w głowie jak po kilku drinkach. - Nawet nie brałam pod uwagę, żeby jechać do domu. Jezu, nie bardzo pamiętam, jak tu dotarłam. Wszystko mi się zamazuje. Chciałam się z wami spotkać, opowiedzieć, co zaszło, sprawdzić, czy nic się wam złego nie stało.

- To nie my błędziłyśmy samotnie po lasach, walcząc z potworami.

- Zoe skrzywiła twarz w lekkim grymasie, starała się ignorować szczypanie antyseptyku.

Wracała do Valley zdezorientowana i odrętwiała. Dopiero gdy przekroczyła próg „Pokusy”, zaczęła drżeć.

Musiała wziąć prysznic. Potrzebowała gorącej wody i mydła. Oczyszczenia. Potrzebowała tak bardzo, że poprosiła przyjaciółki, by poszły z nią na górę do łazienki, i opowiedziała im o wszystkim w trakcie mycia.

Teraz, kiedy siedziała w samej bieliźnie na stołku w łazience, Malory opatrywała jej rany, a Dana obiecała przywieźć czyste ciuchy, tamto zdarzenie wydawało się snem.

- Nawet nie zaatakował mnie jak mężczyzna. Pieprzony tchórz. Chyba mu pokazałam.

- Chyba tak. - Przejęta do głębi, Malory dotknęła czołem czubka głowy Zoe. - O Boże, Zoe, mogłaś zginąć.

- Myślałam, że zginę, i powiem ci, że to mnie nieprzeciętnie wkurzyło. Nie próbuję niczego bagatelizować - zastrzegła się, chwytając dłoń Malory. - To było straszne. Po prostu straszne i... i jakieś pierwotne. Pragnęłam go zabić. Kiedy podniosłam gałąź, byłam gotowa zabić. Czulałam żądzę mordy. Nigdy przedtem nie doznałam takiego uczucia.

- Teraz zajmę się plecami. Ta krecha ominęła o włos twoją wróżkę.

- Dziś była dobrą wróżką. - Zoe skrzywiła się, gdy rana ją zapiekła. - Ten jeleń, Mai. On mnie uratował. Gdyby wtedy nie zaszarżował, nie wiem, co by się ze mną stało. Krwawił, był ranny. Znacznie poważniej niż ja. Chciałabym wiedzieć, czy wszystko z nim w porządku. - Nagle parsknęła śmiechem. - Wyciągnęłam paczkę klenexów, żeby otrzeć mu krew. Czy to nie szczyt głupoty?

- On na pewno tak nie uważał. - Malory cofnęła się o krok i raz jeszcze obejrzała skaleczenia przyjaciółki. - Wystarczy. Więcej nie zdziałam.

- Moja twarz chyba nie wygląda najgorzej, co? - Zoe wstała ostrożnie, odwróciła się do lustra nad umywalką. - No, nie jest źle. Zdaje się, że dochodzę do siebie, skoro zaczynam się martwić o swoją twarz.

- Wyglądasz pięknie.

- Cóż, trochę różu i szminki do ust nie zaszkodzi. - Zoe napotkała w lustrze spojrzenie Malory. - Nie pokonał mnie.

- Jasne, że nie.

- Doszłam do czegoś. Nie wiem dokładnie do czego, ale coś dzisiaj zrobiłam, ruszyłam z miejsca i to go zaniepokoiło. - Stała plecami do lustra. - Nie zamierzam przegrać. Za żadne skarby nie zamierzam przegrać.

W wysokiej wieży Wzgórza Wojownika Rowena mieszała leczniczy napój w srebrnym pucharze. Mimo strapienia jej ręce poruszały się szybko i pewnie.

- Musisz to wypić do dna.

- Wolałbym whisky.

- Whisky dostaniesz później. - Zerknęła w stronę okna, przy którym stał z chmurną miną Pitte. Był rozebrany do pasa, a otwarte rany w jego boku połyskiwały czerwienią. - Gdy zażyjesz lekarstwo, będę mogła opatrzyć skaleczenia i usunąć truciznę. Mimo to będziesz obolały przez kilka dni.

- On również. Powiedziałbym, że bardzo obolały. Stracił więcej krwi niż ja. Nie chciała uciekać - podkreślił. - Została i walczyła.

- Za co dziękuję losowi. - Podeszła i wyciągnęła rękę z pucharem. - Nie marszcz się, Pitte. Wypij to, a dostaniesz nie tylko whisky. Dopilnuję, żeby na deser była szarlotka.

Miał słabość do szarlotki, a spojrzenie ukochanej sprawiało, że miękło mu serce. Wziął puchar i duszkiem wypił zawartość.

- Psiakrew, Roweno, czy to naprawdę musi być aż tak obrzydliwe?

- Teraz usiądź. - Rozchyliła dłoń, podała mu grubą szklanekę. - I napij się whisky.

Pociągnął łyk, ale nie usiadł.

- Reguły gry znowu uległy zmianie. Kane już wie, że nie będziemy się beczynn timer przyglądali, związani prawami, które złamał.

- On także ryzykuje teraz wszystko. Liczy na swoją potęgę, na tych, którymi się otoczył. Jeżeli uda się zdjąć zakłęcie, Pitte, jeśli uda się go pokonać, nie uniknie kary. Chcę wierzyć, że istnieje jeszcze w naszym świecie sprawiedliwość.

- Będziemy walczyć.

Skinęła głową.

- My również dokonaliśmy wyboru. Co zrobisz, jeśli ten wybór uwięzi nas tutaj? Jeśli oznacza, że nigdy nie wrócimy do domu?

- Będę żył dalej. - Spojrzał w okno. - Cóż by innego?

- Cóż by innego? - powtórzyła i położywszy dłoń na palącej ranie, złagodziła ból.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Brad musiał się bardzo starać, żeby zachować spokój i powstrzymać się przed natychmiastowym wydaniem Zoe paru kategorycznych rozkazów. Wypróbowana metoda jego ojca. Cholernie skuteczna, nawiasem mówiąc.

Kochał i podziwiał ojca, ale niekoniecznie musiał naśladować we wszystkim.

Teraz pragnął się przede wszystkim upewnić, że Zoe jest cała i zdrowa. Uchronić także na przyszłość od niebezpieczeństwa.

Nie wolno zapominać o Simonie, zapowiedział sobie w duchu Brad, parkując samochód przed domem Zoe. Nie mógł przy chłopcu od razu rozpocząć perory na temat lekkomyślności jego matki, która pojechała samotnie nie wiadomo dokąd i naraziła się na poważne ryzyko. Nie zamierzał straszyć dziecka, wyładowując własne lęki i frustracje.

Zaczeka, aż Simon pójdzie spać i wtedy je wyładuje.

Zanim zdążył zapukać, wewnątrz rozległo się donośne szczekanie. Jedno niewątpliwie świadczyło na korzyść Moego: nikt nie zdołałby się podkraść niepostrzeżenie, gdy on znajdował się w pobliżu. Brad usłyszał okrzyki chłopca, potem śmiech i po chwili drzwi się otworzyły.

- Powinieneś najpierw zapytać „kto tam” - poinstruował.

Moe powitał go podskokami, a Simon przewrócił oczyma.

- Zobaczyłem twój samochód przez okno. Znam reguły. Akurat gram w baseball, zacząłem siódmą rundę. - Złapał Brada za rękę i pociągnął w stronę salonu. - Możesz pokierować przeciwną drużyną. Byłbyś tylko dwa punkty do tyłu.

- Jasne, nie ma to jak włączyć się do gry z dwoma punktami straty. Słuchaj, muszę porozmawiać z twoją mamą.

- Jest u siebie na górze i coś szyje. No chodź, mam dosłownie kilka minut, zanim każe mi kończyć i iść pod prysznic.

Fantastyczny dzieciak, prawdziwy skarb, pomyślał Brad. Wystarczy, że spojrzy tymi swoimi oczami, a człowiek gotów jest mu nieba przychylić.

- Naprawdę muszę pomówić z mamą, więc może odłożymy mecz na inny dzień? Spotkamy się niebawem, twarzą w twarz, i twój świat zadrzy w posadach.

- Już to widzę. - Simon wahał się, czy nie nalegać dalej, ale zmienił front. Jeśli matka zagada się z Bradem, może przeoczyć, że minęła wyznaczona godzina. - Wszystkie dziewięć rund? Obiecujesz?

- Zdecydowanie.

Simon uśmiechnął się przebiegle.

- Możemy zagrać u ciebie, na dużym ekranie?

- Zobaczę, co da się zrobić.

Ścigany okrzykami wirtualnych kibiców na trybunach Brad ruszył w kierunku pokoju Zoe. Zanim jeszcze dotarł do drzwi, usłyszał cichą muzykę. Rozpoznał także głos Zoe - raczej nuciała, niż śpiewała razem z Sarah McLachlan. Po chwili zagłuszył melodię szum i stukot wydawany przez maszynę do szycia.

Zoe używała przenośnej maszyny, którą ustawiła na stole pod oknem. Fotografie w ramkach i malowaną szkatułkę przeniosła na komodę, by zrobić miejsce dla maszyny oraz całych kilometrów materiału.

Pokój w pełni odzwierciedlał upodobania właścicielki - żadnych luksusów ani wymyślnych ozdób. Mimo wszystko kobieca ręka pozostawiła w nim ślad. Miseczki z potpourri, poduszki obrzeżone koronką, stare żelazne łóżko pomalowane ciemnoszarą farbą i przykryte kolorową narzutą.

Na ścianie wisiały oprawione reklamy pudru, perfum oraz środków do pielęgnacji włosów, wycięte ze starych czasopism, a całość tworzyła osobliwą, nostalgiczną galerię.

Brad zwrócił uwagę, że Zoe szyje z wprawą i pewnością siebie osoby, która wie, co robi; stopą w grubej szarej skarpecie przytupywała w takt muzyki. Radio z budzikiem stojące przy łóżku cały czas grało.

Zaczekał, aż zatrzyma maszynę i zacznie układać fałdy materiału.

- Zoe?

- O co chodzi? - Poprawiła się na krześle i obrzuciła go roztargnionym spojrzeniem kobiety, której umysł roztrząsa kilka spraw jednocześnie. - O, to ty, Bradley. Nie wiedziałam, że jesteś. Nie słyszałam cię... - Zerknęła na zegarek. - Chciałam skończyć pokrowce, zanim przyjdzie pora, żeby położyć Simona do łóżka. Ale chyba mi się nie uda.

- Pokrowce? - Bieg jego myśli uległ zakłóceniu. - Szyjesz pokrowce?

- Ludzie robią takie rzeczy. - Wyrównała materiał, a w jej głosie wyczuł lekką irytację. - Chcę przykryć sofę w salonie. Szukałam czegoś sympatycznego i pogodnego; wydaje mi się, że te duże hortensje są właśnie odpowiednie. Kolory również mają swój urok. I nie widzę nic złego w produktach domowej roboty.

- Źle zrozumiałaś. Po prostu zdumiewa mnie, że znam kogoś, kto ma pojęcie, jak się coś takiego szyje.

Najeżyła się. Wiedziała, że to niemądre, ale nic nie mogła poradzić.

- Przypuszczam, iż większość znanych ci kobiet zatrudnia szwaczki i nie musi nawet

wiedzieć, jak wygląda maszyna do szycia.

Podszedł do stołu, uniósł skraj tkaniny i z namysłem przyjrzał się Zoe.

- Jeżeli zamierzasz błędnie interpretować każde moje słowo, pokłócimy się o coś zupełnie innego niż to, o czym myślałem, jadąc tutaj.

- Nie mam czasu na kłótnie z tobą. Muszę skończyć robotę, póki mam jeszcze taką możliwość.

- Trochę czasu znajdziesz. Chcę ci... - Urwał i zmarszczył brwi, gdy niespodziewanie odezwał się budzik.

- Nie znajdę ani chwili - odparła ostro i wstała, by wyłączyć zegar. - Nastawiłam go, żeby pilnować pory, o której powinnam zagonić Simona do łazienki. Cała procedura zajmuje prawie pół godziny, zakładając jego współpracę. Poza tym dzisiaj jest poniedziałek, w poniedziałki zawsze czytamy przez pół godziny przed snem. Potem czeka mnie jeszcze co najmniej godzina szycia i...

- Rozumiem. - Wsuwając ręce w kieszenie, pomyślał, że potrafi rozpoznać, kiedy kobieta chce go spławić. - Biorę na siebie kąpiel Simona i czytanie.

- Bierzesz... co?

- Nie umiem szyć, ale znam się na czytaniu i kąpaniu.

Zaskoczona, nie mogła znaleźć słów.

- Przecież to... ty nie... - Umilkła, z wysiłkiem zbierając myśli. - Nie przyjechałeś tu zajmować się Simonem.

- Nie. Przyjechałem nawrzeszczyć na ciebie, z czego chyba zdajesz sobie sprawę i dlatego jesteś rozdrażniona. Ale wrzeszczyć mogę później. Zakładam, że wieczorna kąpiel i łóżko to dla Simona nic nowego. Damy sobie radę doskonale. Skończ swoje pokrowce - dodał, wychodząc z pokoju. - Pokłócimy się, kiedy zrobimy, co mamy do zrobienia.

- Ja...

Lecz Brad już był za drzwiami i wołał jej syna.

Nie przychodziło jej łatwo chowanie urazy do człowieka, który dokonał tak zręcznego manewru. Mimo to ruszyła za nim - i przystanęła. Simon zaczął właśnie swoje tradycyjne marudzenie z cyklu „Jeszcze pięć minut”.

Uśmiechnęła się do siebie. Niech Bradley zakosztuje wieczornego rytuału namawiania dziewięciolatka, żeby się umył i położył do łóżka. Wydawało się nader prawdopodobne, iż facet po pewnym czasie skapituluje. Co oznaczało, że będzie zbyt wyczerpany, by chciał mu się z nią kłócić lub prawić kazania na temat dzisiejszej samotnej podróży.

Miała do niej prawo, powtórzyła sobie w duchu. Więcej - miała obowiązek ją odbyć.

Nie chciała jednak roztrząsać teraz tego wszystkiego.

A zatem Simon wymęczy Brada, który pojedzie do domu, ona zaś spędzi spokojny wieczór przy pracy, przygotowuje plan strategiczny na następne dni. Pomyślała też, wracając do maszyny, że postara się skończyć pokrowce.

Przez chwilę nasłuchiwała ich głosów, osobliwej męsko - chłopięcej harmonii, po czym szła dalej. Któryś na pewno ją zawoła, gdy znajdą się w impasie.

Usłyszała szaleńczy rechot Simona i uśmiechnęła się z wyższością. Przewidując, że jej czas okaże się bardzo ograniczony, skoncentrowała się na aktualnym zadaniu.

Straciła rachubę czasu i ocknęła się dopiero w chwili, gdy zdała sobie sprawę z panującej w domu ciszy. Żadnych podniesionych głosów, żadnego szczekania.

Zaniepokojona, przerwała pracę i pospieszyła do łazienki po drugiej stronie korytarza. Niewątpliwie stoczono tam zażarty i bardzo mokry bój. Ręcznik leżał w kałuży na posadzce, a resztki piany świadczyły, że Simon zdecydował się na kąpiel z bąbelkami. Także z całym kompletem plastikowych wehikułów i ludzików, które to akcesoria dostrzegła na dnie wanny.

Marynarka Bradleya zwisała z haczyka na drzwiach. Zoe zdjęła ją machinalnie, wyglądając wybrzuszenie, powstałe na kołnierzu.

Armani, zauważyła, spoglądając na metkę. To niewątpliwie było coś nowego. Raczej się nie zdarzało, by dzieła włoskich projektantów mody wisały u niej na haczyku w łazience.

Zabrała marynarkę i podeszła do drzwi pokoju Simona. Usłyszała, że czyta głośno, lecz w spowolnionym tempie, jak zawsze, kiedy chciało mu się spać.

Cicho i ostrożnie zajrzała przez uchylone drzwi. I zamarła, przyciskając do piersi marynarkę Brada.

Simon siedział na górnym posłaniu piętrowego łóżka. Miał na sobie pizamę z Harrym Potterem, widać było, że umył głowę, jeszcze wilgotne włosy błyszcząły. Moe wyciągnął się na dolnej pryczy i chrapał z głową na poduszce. A mężczyzna, którego marynarkę trzymała, siedział obok jej syna, oparty plecami o ścianę i wpatrzony w książkę. Simon zaś czytał na głos „Kapitana Kalesona”, przytulony do Brada, z głową na jego ramieniu.

Serce Zoe stopniało jak wosk. Nawet nie próbowała przybierać postawy obronnej. Po prostu teraz kochała ich obu z całej duszy.

Cokolwiek mogło zdarzyć się jutro, wiedziała, że na zawsze zachowa w pamięci ten obraz. I że Simon również go nie zapomni. Poczula, iż nigdy nie zdoła odwdzińczyć się Bradleyowi Vane za tę jedną chwilę.

Nie chcąc im przeszkadzać, cofnęła się i na palcach zeszła do kuchni.

Nastawiła kawę, wyjęła ciasteczka ze słoja. Jeśli już miał ją strofować, niech odbędzie

się to w kulturalnej atmosferze. Kiedy skończą rozmowę i zostanie sama, spróbuje znowu myśleć trzeźwo. Spróbuje sobie wyobrazić, co by było, gdyby pokochała Bradleya.

Ponieważ specjalnie nasłuchiwała, rozpoznała jego kroki w korytarzyku na parterze. Sięgnęła po dzbanek, żeby czymś zająć ręce i nalewała kawę, gdy wszedł do kuchni.

- Dużo ci sprawił kłopotu?

- Raczej nie. Skończyłaś szycie?

- Prawie. - Odwróciła się, by podać mu kubek i poczuła mocniejsze bicie serca. Był bosy, rękawy eleganckiej niebieskiej koszuli miał podwinięte do łokci, a nogawki spodni mokre. - Wiem, że jesteś na mnie zły i wydaje ci się, że masz powody. Zamierzałam odpłacić ci tym samym, przypomnieć, że potrafię pokierować własnym życiem i że dotrzymuję słowa.

Pogładziła ramiona marynarki, którą powiesiła na oparciu krzesła.

- Chciałam ci powiedzieć kilka mocnych słów. Teraz jednak straciłam ochotę. Dlatego wolałabym, żebyś nie był zły.

- Ja też bym wolał. - Popatrzył na stół. - Więc jak, siądziemy i zaczniemy się sprzeczać przy kawie i ciastkach?

- Chyba nie potrafię się z tobą sprzeczać, Bradleyu, nie po tym, jak ułożyłeś mojego syna do snu. - Ogarnęło ją wzruszenie. - Ale wysłucham cię, kiedy będziesz na mnie krzychał.

- Nie ma co, wiesz, jak wytrącić człowiekowi broń z ręki. - Usiadł i zaczekał, aż Zoe zrobi to samo. - Pokaż ramiona.

W milczeniu podciągnęła rękawy sportowej bluzy, ukazując skaleczenia i zadrapania. Po chwili, gdy cisza się przedłużała, zasłoniła je z powrotem.

- To były tylko kolce - zapewniła pospiesznie. - Zdarzało mi się mocniej podrapać we własnym ogródku.

Urwała, dostrzegłszy zimny błysk w jego oczach.

- Mogło być gorzej. O wiele gorzej. Byłaś sama, na miłość boską. Co cię opętało, żeby jechać do Zachodniej Wirginii i wałęsać się po lesie?

- Ja się tam wychowałam, Bradleyu. Nie wyobrażaj sobie, że za granicą Pensylwanii rozciąga się dzika puszcza. - Aby się czymś zająć, zapaliła świecę o trzech knotach, którą zrobiła specjalnie na kuchenny stół. Rozszedł się zapach borówek. - Moja matka mieszka w przyczepie na skraju tego lasu. I w nim najprawdopodobniej został poczęty Simon.

- Nikt ci nie broni odwiedzać matki czy ulubionych miejsc z lat dzieciństwa. Ale okoliczności nie były normalne. Rano nie pisnęłaś słowa, że planujesz coś takiego.

- Wiem. Gdybym ci powiedziała, uparłbyś się jechać ze mną, a ja nie chciałam towarzystwa. Przykro mi, jeśli ranie twoje uczucia, ale pragnęłam pojechać sama. Było mi to

potrzebne.

Przełknął urazę, choć zapiekło go w gardle.

- Nie zawiadomiłaś także Dany ani Malory. Wyruszyłaś w drogę, nikomu nic nie mówiąc i zostałaś zaatakowana.

- Nie przyszło mi na myśl, żeby kogokolwiek zawiadamiać. Wściekasz się - stwierdziła, kiwając głową. - Trudno, wściekaj się, jeśli musisz. Zawarłam umowę. Dałam słowo i teraz próbuję wywiązać się z obietnicy, a ty nie powiesz mi chyba, że postąpiłbyś inaczej. Sądzę, że miałam tam pojechać. Że powinnam była to zrobić.

- Sama?

- Tak. Zachowałam pewne poczucie dumy i wstydu. Mam do tego prawo, Bradleyu. Czy sądzisz, że chętnie bym cię zabrała, w garniturze od Armaniego, do zdezelowanej przyczepy?

- To nie fair, Zoe.

- Zgoda, nie fair, ale mówię prawdę. Moja mama i tak uważa, że zadzieram nosa. Gdybym przyjechała z tobą... Spójrz na siebie. - Machnęła ręką i omal nie parsknęła śmiechem, widząc jego zirytowaną minę. - Wyglądasz na chłopaka z bogatej rodziny, nawet gdy zdejmiesz włoską marynarkę.

- Na litość boską - Tyle tylko zdołał powiedzieć.

- Niczego w sobie nie zmienisz, zresztą po co? Do twarzy ci z tym. Ale jej byś się nie podobał, a ja musiałam się z nią zobaczyć, porozmawiać. Pewnych rzeczy nie mogłabym powiedzieć przy tobie. Ani przy Malory czy Danie. Pojechałam tam dla samej siebie i dla klucza. To było potrzebne.

- A gdybyś się stamtąd nie wydostała?

- Wydostałam się. Nie zamierzam twierdzić, że nie obleciał mnie strach, kiedy zobaczyłam, co się dzieje. Nigdy w życiu nie bałam się bardziej niż wówczas. - Odruchowo potarła ramiona, jakby poczuła chłód. - To było jak zasadzka, kiedy wszystko zaczęło się zmieniać, a potem on mnie zaatakował. Niemal jak w książce, i dlatego wydawało się takie straszne. - Spojrzała w przestrzeń, mając przed oczami tamto miejsce. - Zagubiona w lesie, ścigana przez coś... nieludzkiego. Ale stanęłam do walki. Uczyniłam, co należało. Koniec końców, wyrządziłam mu większą krzywdę niż on mnie.

- Stłukłaś go kijem.

- Niezupełnie kijem. - Uśmiechnęła się lekko, zauważając, że twarz Brada łagodnieje. - To była solidna, porządna gałąź, mniej więcej tej grubości - pokazała, rozstawiając dłonie. - Ze strachu i ogarnięta furią dałam mu niezły wycisk. Oczywiście nie wiem, co by się stało,

gdyby jeleń nie ruszył do ataku. Ale nie muszę wiedzieć, ponieważ byli tam obydwaj, on i Kane. To znak, że dobrze zrobiłam, udając się do lasu.

- Nie wracaj tam sama, Zoe. Proszę cię. Gdy tu wchodziłem, miałem szczerzy zamiar postawić sprawę na ostrzu noża. Ale teraz cię proszę.

Sięgnęła po ciastko, przełamała je i połowę dała Bradowi.

- Pomyślałam, że jutro wybiorę się do Morgantown, rzucę okiem na dom, w którym mieszkałam, salon, w którym pracowałam, szpital, w którym urodził się Simon. Sprawdzę, czy to kolejny zakręt na drodze. Jeśli uda mi się wyjechać rano, będę mogła wrócić na drugą, najpóźniej o trzeciej i spędzić trochę czasu w „Pokusie”. Pojechałbyś ze mną?

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, wystukał numer.

- Dino, tu Brad. Przepraszam, że niepokoję cię w domu. Chodzi mi o korektę mojego jutrzejszego harmonogramu. - Odczekał moment. - Tak, wiem. Przełóż je, dobrze? Mam do załatwienia pewne sprawy osobiste, co mi zajmie większą część dnia. Powinienem się zjawić po trzeciej. Dobrze. Dzięki. Cześć. - Nacisnął klawisz i schował telefon. - O której chcesz startować?

Och, naprawdę wyjątkowy z ciebie facet, pomyślała.

- Mniej więcej za kwadrans ósma. Gdy tylko Simon wyruszy do szkoły.

- W porządku. - Wbił zęby w ciastko. - Domyślam się, że zamierzasz teraz pójść na górę, żeby skończyć szycie.

- Jeszcze nie w tej chwili. Pomyślałam, że zrobię sobie przerwę. Chciałbyś usiąść na sofie i trochę się popieścić, kiedy będziemy udawali, że oglądamy telewizję?

Pogładził jej policzek.

- Jasne, że bym chciał.

Nazajutrz po południu Zoe wkroczyła do „Pokusy”, taszcząc olbrzymie pudło. Postawiła je za drzwiami i rozejrzała się wokół.

Malory i Dana nie próżnowały w czasie jej nieobecności. Na ścianach wisiały obrazy i coś, w czym rozpoznała batik. Stół, który wcześniej odrestaurowała, stał pod ścianą na lewo od drzwi, a na nim jedna z jej świec, przycisk do papieru w kształcie łyżki z przejrzystego dmuchanego szkła oraz trzy książki wsunięte między podpórki, które również wyglądały jak książki. Ktoś zainstalował nowe górne oświetlenie i położył ładny dywanik w polne maki.

Zoe ogarnął zachwyty połączone z poczuciem winy. Postanowiła zakasać rękawy i wziąć się do roboty, gdy tylko odnajdzie przyjaciółki.

Gdy obchodziła pomieszczenia, aż dech jej zaparło. Nie przyglądała się parterowi od dwóch dni, ale to przecież niemożliwe, żeby w tak krótkim czasie tyle zrobić.

Obrazy olejne, szkice, rzeźby i oprawione grafiki zdobiły ściany. Wysoką, wąską gablotkę wypełniało szkło artystyczne, a podłużną i niską - barwna ceramika. Zamiast kontuaru Malory wstawiła do pierwszej sali wystawowej zabytkowe biurko. Ladę zainstalowała w drugiej sali, gdzie oferowała pakowanie prezentów na życzenie.

Zostało jeszcze kilka pudeł do opróżnienia, lecz wizja Malory przybrała już konkretną postać. Zoe uśmiechnęła się na widok wysmukłej choinki, przystrojonej ozdobami ręcznej roboty.

Zatoczyła koło, przechodząc przez kuchnię do księgarni Dany.

Rzędy książek zajmowały niemal połowę półek. W starej oszklonej biblioteczce stały filiżanki do herbaty, kubki do kawy i puszki.

A ona nie uczestniczyła na tym etapie prac. Nie pomagała przyjaciółkom, ominęła ją cała uciecha.

Usłyszawszy skrzypnięcie podłogi na piętrze, skoczyła ku schodom i wbiegła na górę.

- Gdzie się podziewacie? Nie mogę uwierzyć, ile zrobiliście, kiedy mnie... - Zaniemówiła, oszołomiona, gdy zobaczyła swój salon.

- Nie mogliśmy dłużej czekać. - Dana otarła policzek i poklepała fotel, który razem z Malory złożyły chwilę wcześniej. - Myślałyśmy, że zdążymy przed twoim przyjazdem. Prawie nam się udało.

Zoe wolnym krokiem przemierzyła pokój, przesunęła dłonią po gładkiej skórze jednego z czterech fryzjerskich foteli.

- I działają. Popatrz. - Malory nacisnęła stopą chromowaną obręcz u podstawy i siedzenie fotela się podniosło. - Ale frajda.

- Hej! - Dana opadła na fotel, okręciła się razem z nim. - To jest dopiero frajda.

- Przyjechały - wykrztusiła Zoe.

- Nie tylko one. Spójrz tam - Malory wskazała trzy lśniące umywalki do mycia głów. - Zainstalowali je dziś rano. - Pociągnęła osłupiałą Zoe za sobą i odkręciła wodę. - Widzisz? Też działają. Prawdziwy salon piękności.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Zoe usiadła na podłodze, zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem.

- Och, skarbie. - Malory natychmiast ściągnęła z głowy chustkę i podsunęła przyjaciółce.

- Mam umywalki. I fotele - szlochała Zoe w kolorowy bawełniany kwadrat. - A ty masz obrazy, posążki i rzeźbione kasetki. Dana ma książki. Jeszcze trzy miesiące temu pracowałam u paskudnej baby, która mnie nie lubiła. A teraz mam fotele. Złożyłyście je dla

mnie.

- Ty odnowiłaś stół - przypomniała Malory.

- I wyszukałaś stelaż do kuchni. Rozpracowałaś całe oświetlenie szynowe, wypełniłaś fugi w łazienkach. - Dana schyliła się, poklepała Zoe po głowie. - Działamy wspólnie.

- Wiem, wiem, właśnie o to chodzi. - Otarła twarz. - Jest pięknie. Wszystko jest piękne. Bardzo mi się podoba. Kocham was. Już dobrze. - Pociągnęła nosem i wypuściła powietrze w długim wydechu. - Boże, mam ochotę umyć komuś włosy. - Parskając śmiechem, zerwała się z podłogi. - Która pierwsza na ochotnika?

Z dołu dobiegło nawoływanie. Zoe pokręciła głową.

- Cholera, zapomniałam. To chłopak z pchlego targu. Zapłaciłam mu dwadzieścia dolarów, żeby przywiózł moją sofę. Muszę mu pomóc wnieść ją na górę.

Gdy wybiegła, Malory odwróciła się do Dany.

- Musi być w środku napięta jak struna.

- Fakt. Zastanawiam się, czy ktokolwiek z nas pomyślał o presji, jakiej zostanie poddana ostatnia z nas. Dodaj jeszcze obciążenie związane z końcówką roboty tutaj. - Dana rozłożyła ramiona, ogarniając salon. - Na pewno Zoe jest bliska wybuchu.

- Obyśmy były w pobliżu, kiedy to nastąpi.

Zeszły na dół, żeby pomóc przy sofie. Gdy mebel znalazł się na swoim miejscu, Malory odstąpiła kilka kroków w tył i przechyliła głowę.

- No cóż... jest odpowiednio długa. I... - szukała w myślach, co jeszcze mogłaby powiedzieć pozytywnego o niepozornym burym obiekcie. - I ma sympatyczne wysokie oparcie.

- „Brzydka jak grzech powszedni”, to chyba określenie, o które ci chodziło - podsunęła Zoe. - Ale zaczekaj tylko. - Zaczęła otwierać przyniesione pudło i nagle cofnęła rękę. - Zejdźcie na dół. Zawołam was, jak skończę.

- Co skończysz? - Dana trąciła sofę nogą. - Puszczanie tego z dymem?

- Idźcie. Dajcie mi dziesięć minut.

- Wydaje mi się że palenie może potrwać dłużej - przestrzegła Malory.

Gdy tylko Zoe została sama, zabrała się do roboty. Jeśli na czymś się naprawdę znam, powiedziała sobie, to z pewnością na tym, jak zrobić ze świńskiego ucha jedwabną sakiewkę.

Dokonawszy transformacji, cofnęła się z dłońmi na biodrach. Na Boga, znowu jej się udało. Podeszła do szczytu schodów, by zawołać przyjaciółki.

- Chodźcie na górę! I powiedzcie szczerze, co myślicie.

- Pomysł z podpaleniem nie zabrzmiał dla ciebie wystarczająco szczerze? - spytała

Dana. - Mai i ja możemy cię wyręczyć, jeśli nie masz czasu. Czy nie musisz wracać do Simona?

- Nie. Później wam powiem dlaczego. - Złapała Dana i Malory za ręce i wciągnęła do salonu.

- O mój Boże, Zoe. Mój Boże, to jest piękne. - Nie posiadając się ze zdumienia, Malory podeszła i przyjrzała się sofie z bliska. Niezgrabny budy mebel przeobraził się w urocze miejsce do siedzenia, ozdobione ciemnoróżowymi hortensjami na błękitnym tle. Całość uzupełniały pękate poduszki i wesołe kokardy, zawiązane na poręczach.

- Zakrawa na cud - skomentowała Dana.

- Chcę obić podnóżki tym samym materiałem albo może innym, lecz w jednym z kolorów tutaj występujących. Zamierzam też kupić składane wyściełane krzesła i uszyć pokrowce, takie z fałdami, zawiązywane z tyłu.

- Mogłabyś mi wydziergać nowy samochód, tak przy okazji - zasugerowała Dana.

- Wygląda wspaniale, Zoe. A teraz, czy zechcesz na niej usiąść i opowiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło?

- Jeszcze nie. Wy usiądźcie. Chciałabym zobaczyć, jak na niej wyglądacie.

Obeszła sofę, przyglądając się jej pod różnymi kątami.

- Dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam. Czasami aż się trochę boję, zbyt gładko wszystko idzie. I zaczynam się martwić, że w takim razie pewnie zawalę sprawę klucza. Wiem, jak to głupio brzmi.

- Wcale nie - zaprotestowała Dana, moszcząc się na sofie. - Sama mam skłonności do martwienia się w najszcześniejszych chwilach i zadręczania, co tym razem pójdzie nie tak.

- Myślałam... miałam nadzieję, że coś pocuję, gdy wrócę do Morgantown. Podjechałam... podjechaliśmy pod moje dawne mieszkanie, pod salon, w którym pracowałam. I salon tatuazu. Wstąpiliśmy nawet do HomeMakers. Ale nie było tak, jak wczoraj. Nie czułam tej naglącej potrzeby, tego zrozumienia. Zawróciła i usiadła na podłodze przed sofą.

- Nie żałuję, że znowu zobaczyłam stare miejsca, odświeżyłam wspomnienia. Choć nie poruszyły mnie. Mieszkałam tam prawie sześć lat, ale to był... uświadomiłam sobie, że to był jakby okres przejściowy. Nie zamierzałam zostawać. Mieszkałam tam i pracowałam, lecz myślami ciągle wybiegałam naprzód. Przypuszczam, że do Valley - dodała cicho. - Zamierzałam tu przyjechać jak najszybciej. Simon urodził się w Morgantown, co było najważniejszym wydarzeniem w moim życiu. Ale nic więcej, nic, co tam robiłam i co mnie spotkało, nie miało specjalnego znaczenia. Po prostu... wstąpiłam na chwilę.

- A zatem dowiedziałas się jednego - zauważyła Malory. - Klucz nie czeka tam na

ciebie. Gdybyś nie pojechała, nie rozejrzała się, nie wiedziałabyś o tym.

- Wciąż nie mam pojęcia, gdzie on może być. - Zoe bezradnie uderzyła pięścią w kolano. - Towarzyszy mi dziwne przeświadczenie, że powinnam go widzieć i widziałabym, gdybym nie odwracała głowy, tak odrobinę, w niewłaściwą stronę. Martwi mnie, że będę dalej wykonywała codzienne czynności, robiła to, co muszę, i nie zauważę klucza, bo po prostu nie spojrzę we właściwe miejsce.

- My też miewaliśmy chwile zniechęcenia, Zoe - przypomniała Dana. - My też patrzyliśmy nie w tę stronę, co trzeba.

- Masz rację. Tak wiele się tutaj dzieje, że wszystko inne wydaje się mało ważne. Uczucia, jakie we mnie budzi ten dom... i wy, są takie silne. Myślę sobie, że mam wytrzasnąć klucz nie wiadomo skąd i w następnej chwili jestem przekonana, że potrafię. Uda mi się, jeśli tylko spojrzę we właściwą stronę.

- Wróciłaś do miejsca, od którego zaczynałaś - podsunęła jej Malory. - I rzuciłaś okiem na miejsce, w którym wyczekiwałaś. Chyba można w ten sposób określić czas przed twoją przeprowadzką tutaj?

- Tak mi się wydaje.

- Może powinnaś się przyjrzeć docelowemu punktowi. Temu, w którym się teraz znajdujesz.

- Myślisz, że mogę natrafić na klucz tutaj, w domu?

- Bardzo możliwe. Albo w innym ważnym dla ciebie miejscu. Gdzieś, gdzie przeżyłaś lub przeżyjesz chwilę prawdy Decydującą chwilę.

- Rozumiem. - Zoe w zadumie kiwnęła głową. - Spróbuję się na tym skupić, przynajmniej na razie. Popracuję trochę, dopóki Simon jest z Bradem.

- Simon jest z Bradem? - powtórzyła jak echo Dana.

- No właśnie. - Posłała Danie pełne konsternacji spojrzenie. - Kiedy wracaliśmy, wspomniałam, że muszę go odebrać ze szkoły i wziąć z sobą do „Pokusy”. Staralam się uwzględnić różne rzeczy, to i tamto, a Brad nagle oznajmił, że sam może go odebrać. Powiedział, że w ogóle nie ma sprawy i Simon w niczym mu nie przeszkodzi. Podjedzie po niego pod szkołę, zabierze na chwilę do HomeMakers, a potem pojedą do domu, ponieważ i tak się wcześniej umówili na mecz baseballu na wideo. I żeby spokojnie zrobiła, co mam do zrobienia, a on podrzuci Simona około ósmej. Aha, i mam się nie martwić o kolację - dodała z nonszalanckim ruchem ręki. - Zamówię sobie pizzę.

- Czy to stwarza jakiś problem? - spytała Malory.

- Właściwie nie. Z pewnością nie dla Simona, a mnie przyda się kilka wolnych godzin.

Obawiam się jednak, że mogę wpaść w tarapaty. Nie chcę uzależniać się od niego. Nie chcę się w nim zakochać. Bronię się, ale jakby opuszczały mnie siły. - Z westchnieniem oparła głowę o kolano Malory. - Co mam robić?

Malory pogładziła jej włosy.

- Stawić czoło temu, co nadejdzie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po odjeździe przyjaciółek Zoe została sama w „Pokusie”. Pragnęła poczuć wokół siebie ściany budynku, tak jak dzień wcześniej wyczuwała las. Czym ten dom ją przyciągnął?

Ona go znalazła. Ona wygrała los na loterii, choć nie do końca wierzyła w powodzenie. I mimo wątpliwości, mimo przeciwności uparła się, wymyśliła coś, co w pierwszej chwili wydawało się wybrykiem fantazji.

Pierwsza obejrzała wnętrze domu i miała gotową wizję, co można zrobić i jak. Czy nie stała w tym miejscu, kiedy pośrednik głądził o potencjale, wartości rynkowej, stopach procentowych - i czy nie zdawała sobie sprawy, że tutaj zbuduje przyszłość? Widziała matowe ściany w odcieniu beżu, łuszczące się listwy, zakurzone okna, lecz wyobrażała sobie kolory, blask i rozmaite możliwości, gdyby tylko odważyła się zaryzykować.

Czy nie była to chwila prawdy?

Dom jeszcze bardziej zbliżył ją, Malory i Dane. Podobnie jak poszukiwania. Każda z nich była kluczem, zazębiającym się z innymi w udzielaniu odpowiedzi na pytania o wczoraj i jutro. Były w jednej drużynie.

Kane kusił i zastraszał przyjaciółki. Czy i ją zamierza kusić i straszyć? Nie mogła się uwolnić od lęku przed nim.

Stała u szczytu schodów, spoglądając ku drzwiom. Wystarczyłoby zejść na dół i minąć drzwi, by wkroczyć w dobrze znany świat, rozpoznawalny i do pewnego stopnia kontrolowany.

Ulicą sunęły auta, przechodnie mijali się na chodniku. Zwyczajne życie, toczące się w zwyczajny sposób.

Wewnątrz domu była sama, tak jak w lesie. Tak jak, każdej nocy, gdy gasiła lampkę przy łóżku i kładła głowę na poduszce. Sama dokonała wyboru, jak chce żyć, i nie powinna czuć lęku.

Odwróciła się plecami do schodów, pozostawiając za sobą zewnętrzny świat, i przemierzyła pusty hol budynku, który uważała za swoją własność.

Przeszył ją lodowaty dreszcz, gdy zbliżyła się do drzwi strychu. Po doświadczeniach Malory żadna z nich tam nie wchodziła. Nawet nie rozmawiały na ten temat. Stanowił część domu, która przestała dla nich istnieć. Dosłownie się jej zrzekły.

Czy nie nadszedł czas, by przywrócić normalność? Jeśli dom naprawdę miał należeć do nich, nie mogły udawać, że jakaś jego część nie istnieje.

Malory przeżyła tu decydującą chwilę - i wygrała. Natomiast one opuściły pole, jakby

poniosły porażkę.

Najwyższa pora, by to zmienić.

Zoe przekręciła gałkę i otworzyła drzwi. Pomogło jej naciśnięcie kontaktu i zapalenie światła - zwyczajny odruch. Czowała się pewniej przy świetle niż po ciemku, ludzka rzecz. Weszła na górę, starając się opanować strach, gdy stopnie zaskrzypiały pod nogami.

Kurz łaskotał w nozdrza, jego drobiny wirowały w promieniu światła rzucanym przez gołą żarówkę. Należało tam porządnie wysprzątać, a wśród rzeczy pozostawionych przez poprzednich lokatorów przeważały rupiecie, które mogły się okazać prawdziwymi skarbami.

Komoda, oczekująca, by ktoś ją oskrobał ze starej farby i pomalował, lampy bez kloszy, bujany fotel ze złamanym biegunem, zakurzone pudła, pleśniejące książki.

Zauważyła, że pająki bardzo się tu napracowały, a myszy najprawdopodobniej wymościły sobie przytulne gniazdko w niewykończonych ścianach. Należało wymieść pajęczyny i rozstawić pułapki. Marnowało się tu sporo porządnej powierzchni magazynowej.

Pamiętała, jak wyglądał strych wypełniony błękitną mgłą, a chłód przenikał do szpiku kości.

Lepiej skupić się na odniesionym zwycięstwie, powiedziała sobie w duchu. Podeszła do okna i otworzyła je, by rześkie wieczorne powietrze wyparło woń stęchlizny.

Uznała, że samotna wyprawa na górę stanowi poważny krok naprzód. Nie chodziło tylko o swego rodzaju odzyskanie własności lecz także udowodnienie, iż wyzbyła się lęku. Postanowiła, że następnym razem weźmie miotłę, ścierkę do kurzu i wiaderko. Na razie mogła przejrzeć pozostawione rzeczy i ustalić, co się jeszcze przyda, a co się nadaje do wyrzucenia.

Dostrzegła starą klatkę dla ptaków, którą można by odczyścić i pomalować. Znajdzie się dla niej jakieś zastosowanie. Podobnie jak dla metalowej lampy stojącej i asymetrycznego niskiego stolika. Książki najprawdopodobniej roily się od rybików, więc zanotowała w pamięci, żeby się im bliżej przyjrzeć, spakować te, których nie da się już uratować i wynieść osobiście, oszczędzając Danie przykrości.

Znalazła starą, gałgankową laleczkę z oderwaną ręką. Ktoś ją kiedyś kochał, pomyślała. Może porządne pranie i kilka ściągów sprawią, że znowu wzbudzi miłość? Wetknęła lalkę pod ramię, przepychając się między pudłami i zniszczonymi meblami.

Podłużne, owalne lustro o fasetowym szlifie uznała za prawdziwy skarb. Owszem, potrzebowało posrebrzenia, ale było w zupełnie niezłym stanie. Mogły je zawiesić na wstędze w głównym pomieszczeniu albo - tak chyba byłoby najlepiej - umieścić zamiast apteczki w toalecie na parterze.

Wciąż przytrzymując lalkę ramieniem, oparła lustro o ścianę i cofnęła się nieco, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądało po renowacji.

Zobaczyła swoje odbicie w poplamionej tafli: stała w ostrym, nieprzyjaznym świetle, kurz pokrywał jej włosy i policzki, ścisnęła w zgięciu ramienia szmacianą lalkę.

Podobnie jak lustro i lalka, Zoe nie prezentowała się w tej chwili najkorzystniej. Liczył się jednak potencjał. Miała lekko podkrążone oczy, ale wystarczy dziesięciominutowy odpoczynek i ogórkowe płatki kosmetyczne na powieki. Wiedziała, jak w szybkim tempie poprawić wygląd. To była zwykła rutyna plus kilka zawodowych sztuczek.

Wiedziała również, jak zachować równowagę wewnętrzną. Dopóki będzie pracowała nad sobą, nie przestanie się uczyć, rozwijać, stawać kimś lepszym.

Nie była smutną laleczką z gałganków, o którą należało się troszczyć szczególnie. Doskonale potrafiła dawać sobie radę sama i jeszcze opiekować się innymi.

Kyna mnie potrzebuje, pomyślała. Ona i siostry czekają na ostatni klucz, by móc opuścić więzienie. Zoe nie mogła i nie chciała rezygnować, dopóki nie uczyni wszystkiego, co w jej mocy.

- Cokolwiek mnie czeka - powiedziała głośno - ,nie wycofam się.

Lustro zaparowało, nikła iskierka zatańczyła na cętkowanej powierzchni. Zoe zobaczyła najpierw siebie, a w następnej chwili nie była to już ona, lecz wysoka, smukła, młoda kobieta w zielonej szacie, ze szczeniciem w zgięciu ramienia i mieczem u boku.

Zafascynowana, postąpiła krok naprzód i dotknęła lustrzanej tafli. Jej palce wniknęły w szkło. Cofnęła dłoń, wstrząśnięta, i przycisnęła pięść do bijącego gwałtownie serca.

Postać w lustrze stała, wpatrując się w nią wyczekująco.

Zoe zapragnęła uciec, poczuła, jak mięśnie nóg napinają się, gotowe ponieść ją w stronę drzwi i dalej. Czy jednak nie złożyła obietnicy? Cokolwiek miało nastąpić. Na chwilę zamknęła oczy, starając się uspokoić. To, co usłyszała od Malory, chociaż odnosiło się do Brada, pasowało właściwie do każdej dziedziny życia. Człowiek po prostu stawiał czoło temu, co nadchodziło.

Zebrała całą odwagę, mocniej przytuliła lalkę i weszła w lustro.

Stała razem z siostrami w pełnym słońcu, wdychając zapachy ogrodu. Ptaki wywodziły radosne trele, aż rosło serce. Trzymała w ramionach szczeniaka, który wiercił się, usiłując polizać jej twarz. Postawiła go na ziemi, żeby sobie pobaraszkował i zawtórowała siostrom śmiechem.

- Powinnyśmy go nauczyć tańczyć. - Venora przebiegła palcami po strunach harfy, podczas gdy psiak podskoczył niezgrabnie do przelatującego motyla.

- Będzie kopał dziury w ogrodzie. - Niniane schyliła się i pogłaskała szczeniaka po głowie. - I bez przerwy pakował się w tarapaty, czemu trudno się dziwić. Jak to dobrze, że go znalazłaś, Kyno.

- Chyba na mnie czekał. - Przykucnęła i połaskotała miękki, zaokrąglony brzusek. - Siedział na leśnej ścieżce, jak gdyby chcąc mi powiedzieć: „Najwyższy czas, żebyś zabrała mnie do domu”.

- Biedactwo. Ciekawe, jak się zgubił.

Kyna zerknęła na Venorę.

- Nie uważam, że się zgubił. Uważam, że się znalazł. - Podniosła psiaka i okręciła się z nim, on zaś popiskiwał i wiercił się z uciechy. - Zaopiekujemy się tobą, obronimy cię. Żebyś wyrósł na dużego, silnego psa.

- Wtedy to on będzie nas bronił - dodała Niniane i lekko pociągnęła zwierzątko za ogonek.

- Mamy już opiekunów. - Ocierając się policzkiem o łebek szczeniaka, Kyna skierowała spojrzenie ku dwóm postaciom splecionym w uścisku pod kwitnącym drzewem. - Rowena i Pitte nieustannie czuwają albo nad nami, albo nad sobą nawzajem.

- Nasz ojciec zanadto się martwi. - Niniane odłożyła gęsie pióro i uniosła twarz ku nieskazitelnie błękitnemu niebu. - Gdzie byłybyśmy bardziej bezpieczne niż tutaj, w samym sercu królestwa?

- Są tacy, którzy zadaliby cios prosto w serce, gdyby się ośmielili. - Kyna bezwiednie położyła dłoń na rękojeści miecza. - Którzy gotowi są skrzywdzić, poprzez nas, naszych rodziców, nasz lud, cały świat. A nawet inny świat.

- Nie rozumiem, skąd się bierze ta nienawiść, gdy wokół jest tyle piękna. I tyle miłości - dodała Venora.

- Dopóki istnieją tacy jak Kane i jego poplecznicy, walka dobra ze złem będzie trwała. Tak jest we wszystkich światach - powiedziała Kyna. - Wojownicy są równie potrzebni, jak artyści i pieśniarze, władcy i uczeni.

- Teraz już nie musisz nosić miecza. - Niniane dotknęła biodra Kyny.

- Ona zawsze musi nosić miecz - zaśmiała się Venora. - Ale spójrzcie tylko. Miłość jest niewątpliwie bronią potężną jak stal.

- Trąciła struny harfy, przyglądając się Rowenie i Pitte'owi. - Popatrzcie na nich. Zupełnie jakby nie potrzebowali do szczęścia niczego prócz siebie nawzajem. Pewnego dnia i my poznamy, jak to jest.

- Ale mężczyzna, którego pokocham, musi być równie przystojny jak Pitte -

zaznaczyła Niniane - i posiadać bystry umysł.

- Mój, oprócz tego wszystkiego, musi mieć jeszcze duszę poety.

- Trzepocząc rzęsami, Venora przycisnęła dłoń do piersi. - A twój, Kyno?

- No, cóż. - Kyna ponownie umieściła psiaka w zgięciu ramienia. - Oczywiście przystojny, o bystrym umyśle, z duszą poety... i sercem wojownika. A ponadto najzręczniejszy wśród kochanków.

Zachichotały chórem, jak to siostry, przysunęły się do siebie i nie zauważyły czarnych chmur, zbierających się na zachodzie. Venora nagle zadrżała.

- Robi się chłodno.

- Wiatr... - zaczęła Kyna i wtedy świat oszalał.

Odwrociła się gwałtownie, świsnął miecz wyciągnięty z pochwy, kiedy stanęła między siostrami a cieniem, który wyłonił się z lasu. Słyszała krzyki, przeraźliwe wycie wichru, nawoływania biegnących na pomoc. Dostrzegła węża prześlizgującego się ukradkiem po kafelkach i podpełzającą coraz bliżej błękitną mgłę.

Z cienia wyszedł Kane. Ciemne oczy w pięknie rzeźbionej twarzy płonęły mocą. Uniósł ramiona ku mrocznemu niebu, a jego głos zabrzmiał jak uderzenie gromu.

Runęła ku niemu, wznosząc wysoko miecz, lecz w tej samej chwili ostre szpony bólu wbiły się w jej serce, powalając na kolana.

Zanim została wyrwana z własnego ciała, zobaczyła uśmiech na twarzy Kane'a.

Zoe ponownie znalazła się na strychu, oświetlonym ostrym blaskiem gołej żarówki. Czowała w piersi lodowaty ból, po policzkach spływały łzy.

- Cierpiałam razem z nimi. - Splotła ręce, opierając się o kuchenny stół. - Czulałam to, co Kyna, ale byłam jakby osobno. Nie potrafię inaczej określić stanu, którego doświadczyłam.

- Coś w rodzaju odzwierciedlenia? - zasugerował Brad. Nalał w kieliszek wina i przesunął w jej stronę. Trzymała się, układając Simona do snu, lecz wyraz oczu zdradzał, co przeżyła.

Brad to wyczuwał i Simon chyba również, bo poszedł do łóżka bez protestu, nawet symbolicznego.

Teraz jednak była blada i z wysiłkiem powstrzymywała drżenie rąk.

- Tak - odparła z pewną ulgą. - Lustrzane odbicie. Weszłam w lustro, jak Alicja - stwierdziła z pewnym zdumieniem. - Ja je znałam, Bradley. Kochałam je. Siedziały w ogrodzie, bawiły się z psem, rozkoszowały blaskiem słońca, trochę rozbawione, trochę zazdrosne o sposób, w jaki Rowena i Pitte wyrażali wzajemne uczucia. Rozmawiały, jak to

dziewczęta, o mężczyznach, których kiedyś pokochają. A potem nagle zrobiło się ciemno, zimno i strasznie. Kyna próbowała walczyć.

Zoe otarła łzy, których nie zdołała powstrzymać.

- Usiłowała ochronić siostry. To była jej pierwsza i ostatnia myśl. A on... on napawał się ich cierpieniem. Radował się zwycięstwem. Widziałam wyraz twarzy Kane'a. Nie mogła zapobiec nie szczęściu. Ja także nie.

Sięgnęła po kieliszek, upiła łyk wina.

- Nie powinnaś była wchodzić na górę sama.

- Sądzę, że musiałam być sama. Rozumiem, o co ci chodzi, ale czuję, wiem, że nie powinnam była mieć nikogo przy sobie. Bradleyu - odsunęła kieliszek i ujęła dłoń Brada - on nie wiedział, że tam jestem. Kane o tym nie wiedział. Z całą pewnością. Co oznacza, że sprowadzono mnie tam bez jego wiedzy. Myślę, że ona nadal walczy, a raczej próbuje.

W zadumie odchylił się na oparcie krzesła.

- Być może otwarcie pierwszych dwóch zamków pozwoliło Córom przekazać ci część ich myśli, uczuć, nadziei. Niewykluczone, że to wystarczyło, zwłaszcza jeżeli ktoś im pomógł.

- Rowena i Pitte.

- Warto byłoby się dowiedzieć. Jeśli znajdziesz kogoś, kto posiedzi z Simonem, pojedziemy zadać im kilka pytań.

- Dochodzi dziesiąta. Nie uda nam się wrócić wcześniej niż około północy. Nie chcę nikogo fatygować o tej porze.

- Dobra, więc ja to załatwię. - Wstał, podniósł słuchawkę telefonu.

- Bradley... - zaczęła, ale jej przerwał.

- Czy masz zaufanie do Flynna?

- Oczywiście - odparła, gdy wybierał numer. - Nie powinnam jednak wyciągać go z domu, żeby pilnował mojego dziecka.

Brad uniósł tylko brew.

- Flynn, czy możesz przyjechać do Zoe i zostać z Simonem? Musimy się zobaczyć z Roweną i Pitte'em. Później ci wytłumaczę. Świetnie. Czekamy na was. - Odłożył słuchawkę. - Będą za dziesięć minut. Tak właśnie postępują przyjaciele, Zoe.

- Wiem. - Ze wzburzeniem przejechała ręką po włosach. - Po prostu nie lubię sprawiać ludziom kłopotu tylko dlatego, że nerwy mi puszczają.

- Kobiecie, która przechodzi na drugą stronę lustra, nie powinny puszczać nerwy z powodu przejażdżki na Wzgórzu Wojownika.

- Chyba nie.

Może to nie tyle zdenerwowanie, ile niecierpliwość, uznała, gdy mijali bramę. Wewnętrzny głos nakazywał jej pośpiech, po tym, jak w bardzo realny sposób znalazła się w skórze kobiety z portretu.

Dziewczyny, poprawiła się w myślach. Wyczuwała jej niewinność, nadzieję i odwagę - czystość młodości. Poprzez lustro poznała serce i duszę bogini.

Własne serce Zoe ścisnęło się boleśnie.

Zerknęła na księżyc, wysiadając z auta. To ich klepsydra, pomyślała. Czekają, a czas upływa nieubłaganie.

Pitte otworzył drzwi, zanim przemierzili portyk. Sprawiał wrażenie odprężonego, a zamiast wieczorowego stroju miał na sobie szary sweter.

- Przepraszam, że tak późno... - zaczęła.

- Późno? - Ujął jej dłoń i podniósł do ust, a Zoe się zarumieniła. - O każdej porze jesteś tu mile widziana.

- Och. - Zmieszana, zerknęła na Brada, który mierzył Pitte'a nieruchomym spojrzeniem. - Bardzo mi miło. Postaramy się nie siedzieć długo.

- Ile tylko zechcecie. - Przytrzymał jej rękę, pociągnął za sobą do środka. - Noce stają się coraz chłodniejsze. Rozpaliliśmy w kominku w salonie. Jak się miewa twój syn?

- Dobrze. - Czy kiedykolwiek rozmawiała z Pitte'em bezpośrednio? - Teraz śpi. Są przy nim Flynn i Malory. Bradley przywiózł mnie tutaj, ponieważ... mam kilka pytań dotyczących tego, co się wydarzyło.

- Została zaatakowana - oznajmił Brad beznamiętnym tonem, gdy przestąpili próg salonu.

Rowena wstała pośpiesznie.

- Jesteś ranna?

- Nie, nic mi nie jest. Bradleyu, nie można tak straszyć ludzi.

- Została zaatakowana - powtórzył. - I choć wykręciła się kilkoma zadrapaniami i siniakami, mogło być znacznie gorzej.

- Przemawia przez ciebie gniew - zauważył Pitte. - Ze mną byłoby tak samo, gdyby chodziło o moją kobietę. Nawet wojownik - zwrócił się do Zoe, zanim zdążyła otworzyć usta - winien docenić orędownika.

- Siadajcie, proszę. - Rowena wskazała sofę. - Przypuszczam, że napijecie się herbaty. Czegoś kojącego. Zadbam o to. - Najpierw jednak podeszła do Zoe, ujęła jej twarz w dłonie i ucałowała w oba policzki. - Jestem twoją dłużniczką - powiedziała cicho. - I nigdy ci się nie

wyplacę.

Zoe wciąż stała w miejscu, oszołomiona, gdy Rowena z gracją wysunęła się z pokoju.

Po chwili spojrzała na Pitte'a.

- To byłeś ty. Jeleń w lesie... to byłeś ty. Musnął opuszkami palców jej policzek.

- Dlaczego nie uciekałaś, mała mateczko?

- Nie mogłam. Byłeś ranny. - Nogi ugięły się pod nią, więc przysiadła na kanapie. -

Czułam lęk, ale i wściekłość. A ty byłeś ranny.

- Natarła na niego, używając gałęzi w charakterze maczugi - poinformował Brada

Pitte. - Była wspaniała. Szczęściarz z ciebie.

- Nie jest o tym tak głęboko przekonana jak ja. Jeszcze.

Speszona, Zoe przycisnęła palcami skronie.

- Byłeś w lesie, czuwałeś nade mną. Ale jeleń... ty nie masz zielonych oczu.

- Nie mam także rogów. W zasadzie. - Uśmiechnął się, gdy Rowena wróciła do salonu.

- Nie wiem, czybym się tam znalazł, gdyby Rowena nie suszyła mi głowy.

- Czy on chciał mnie zabić?

- Rozlał już ludzką krew. - Pitte usadowił się w fotelu. - Mógł przelać również twoją.

- A czy... mógł zabić ciebie? Pitte dumnie uniósł podbródek.

- Niechby spróbował.

- Nie byłoby skuteczniej zjawić się we własnej postaci i z bronią palną? - zasugerował

Brad.

- Nie mogę walczyć z nim w ludzkiej postaci, gdy on przybiera zwierzęcą.

- Ciężko cię zranił - przypomniała Zoe. - Miałeś poszarpany bok.

- Został opatrzony. Dziękuję za troskę.

- Oto i herbata. Gderał, kiedy go opatrywałam. - Rowena uniosła dzbanek, który służąca postawiła na stoliku. - A to dobry znak. Gdyby rany były naprawdę poważne, nie mówiłby nic.

- Miałam rację, że tam wróciłam. Ciągle czuję, że za mało się staram. Ale tym razem miałam rację.

- Sama wybierasz drogę. - Rowena podała Zoe filiżankę. - Twój mężczyzna niepokoi się o ciebie. Rozumiem to - zwróciła się do Brada, nalewając herbatę do drugiej filiżanki. - Obiecuję, że uczynimy, co w naszej mocy, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Otoczyliście ochroną Simona. Otoczcie również Zoe.

Na twarzy Roweny odmalowało się współczucie, gdy wręczała filiżankę Bradowi.

- Nie ma klucza bez ryzyka. Nie ma końca ryzyka bez klucza. Twoja wiara jest jej

potrzebna. Jest równie ważna jak tarcza i miecz.

- Wierzę w Zoe bez zastrzeżeń. I ani na jotę nie ufam Kane'owi.

- W obydwu kwestiach masz słuszość - przyznał Pitte. - Może on teraz liże rany, lecz jeszcze z wami nie skończył.

- Dotychczas jakoś się mną nie przejmował - zauważył Brad.

- Przebiegły wróg wybiera czas i pole. Im bardziej będzie jej na tobie zależało, tym silniejszy okaże się cios. Mimo wszystko najpewniejsza droga do duszy wiedzie przez serce.

Filizanka Zoe z brzękiem podskoczyła na spodku. Brad skinął głową w kierunku Pitte'a.

- Zajmijmy się na razie bieżącymi sprawami, a o ciąg dalszy zaczniemy się martwić, kiedy nastąpi. Jesteś strażniczką kluczy - zwrócił się do Roweny. - Reguły gry uległy zmianie, jak sama stwierdziłaś. Daj jej klucz i skończmy z tym.

- On negocjuje - Pitte z wyraźnym zadowoleniem wyprostował się w fotelu. - Została zawarta umowa.

- W której nie uwzględniono zagrożenia dla zdrowia i życia - odparował swobodnie Brad. - I którą unieważniają fizyczne ataki na osoby zaangażowane.

- Zrzekły się one rekompensaty za obrażenia powstałe z przyczyn od nas niezależnych.

- Nie otrzymały pełnych informacji.

Rowena westchnęła.

- Czy musisz go zachęcać? - spytała Brada. - Nie wątpię, że obydwaj z przyjemnością wdalibyście się w zażarty spór na temat umowy, warunków i tak dalej. Prawda jest taka, że zgadzam się na odstąpienie od kary polegającej na utracie roku życia, jeśli Zoe postanowi przerwać poszukiwania. Pitte również wyraża na to zgodę, choć najchętniej przedyskutowałby najpierw warunki. Dla zasady.

- I dla rozrywki - wtrącił Pitte.

- Nie mogę dać jej klucza - podjęła Rowena. - Z chwilą zaakceptowania i podjęcia poszukiwań znalazł się poza moim zasięgiem. Nie wolno mi dotknąć kluczy, dopóki nie zostaną odnalezione przez wybrane osoby lub dopóki nie upłynie wyznaczony czas. Tak się rzeczy mają.

- Więc powiedz jej, gdzie on jest.

- Nie mogę.

- Ponieważ nie ma go nigdzie, póki go nie odnajdę - odezwała się cicho Zoe, uświadamiając to sobie teraz wyraźnie. - Nie ma go - powtórzyła, patrząc na Rowenę - póki

nie znam miejsca.

- Moc spoczywa w twoich rękach. Musisz tylko pojąć, jak jej używać.

- Czy sama z siebie weszłam w lustro, czy ty to sprawiłaś?

- Nie rozumiem.

- Mówię o lustrze na strychu w „Pokusie”. Zobaczyłam w nim Kynę. Popatrzyliśmy sobie w oczy, a potem przeszłam na drugą stronę i znalazłam się w ogrodzie, tym z obrazu. Częściowo byłam nią.

Rowena zacisnęła dłoń na jej nadgarstku.

- Opowiedz mi wszystko. Po kolei.

Słuchała, nie odrywając oczu od twarzy Zoe, która czuła palce wbijające się w ciało tak mocno, że musiały pozostawić sińce. Gdy skończyła, uścisk zelżał.

- Jedną chwilę - poprosiła schrypniętym głosem Rowena. Wstała i podeszła do kominka.

- A ghra. - Pitte zbliżył się do niej, przytulił policzek do czubka jej głowy.

- Czy stało się coś złego? - Głęboko poruszona, Zoe poszukała dłoni Brada.

- Obawiałam się dla mego świata najgorszego. Że Kane wystąpi przeciw wszelkim prawom i nie uda się go powstrzymać. Ze rozleje krew śmiertelnych i nie poniesie kary. Och - Rowena odwróciła się, przywarła policzkiem do piersi Pitte'a. - Moje serce było zasnutę mrokiem i pełne lęku.

- Toczy się bitwa, co do tego nie ma wątpliwości. A ja ugrzęzłem tutaj. - W głosie Pitte'a brzmiały frustracja i gorycz.

- Jesteś tutaj potrzebny. - Rowena cofnęła się o krok. Policzki miała mokre od łez. - Tę bitwę również musimy wygrać. - Ponownie stanęła obok Zoe. - Budzi się we mnie nadzieja.

Zoe wyjęła z torebki jednorazową chusteczkę, podała Rowenie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Nie dostrzegłam tego i Kane także nie. Ani ja nie przewidziałam niczego podobnego, ani on. Jeżeli mogła ci pozwolić dotknąć swojej istoty, oznacza to, że zdołał do niej dotrzeć.

- Kto?

- Król. Nie tylko Kane wykorzystuje wojnę do własnych celów. Jeśli zwyciężymy w tym świecie, król zwycięży w tamtym. Otrzymałaś dar, Zoe. Przez kilka chwil byłaś boginią, królewską córką. - Twarz Roweny promieniała. - Nie tylko zobaczyłaś, czym są i co utraciły, lecz dotknęłaś tego. Kane nigdy nie zdoła rozerwać tej więzi.

- Próbowała walczyć, ale nie mogła. Dobyła miecza - Zoe jeszcze teraz poczuła, jak ostrze wyskakuje z pochwy - lecz została powalona, zanim zdążyła zadać cios.

- Bitwa wciąż trwa. - Rowena dotknęła jej ręki, delikatnie. - I w twoim świecie, i w moim.

- Rozpoznała go. Zrozumiała... zrozumiała wszystko i spojrzała mu prosto w oczy.

- Dotknęła cię, wcieliła się w ciebie na owych kilka chwil. Myślę, że wiedziała to, co wiesz ty. To był twój dar dla niej.

- Mam nadzieję, że również wie, iż nie zostawię jej tam.

Gdy Rowena odprowadzała Zoe do drzwi, Brad zwolnił kroku i przysunął się do Pitte'a.

- Jeżeli stanie jej się krzywda, dopadnę cię, jakkolwiek postać przybierzesz.

- Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Brad zerknął w stronę Zoe, ściszył głos.

- Powiedz, co mam zrobić, żeby uderzył we mnie.

- Uderzy, ponieważ łączy was więź. Wszystkich was łączy więzi. Spraw, by cię pokochała, a atak nastąpi wcześniej.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zoe doszła do wniosku, że sen nie będzie dla niej przez pewien czas sprawą priorytetową. Z jej planów wynikało, że nie zmieścił się nawet w pierwszej piątce. Wychowywała syna i ostatnio czuła, że nie poświęca mu tyle czasu i uwagi, ile powinna. Zamierzała uruchomić własne przedsiębiorstwo, które miało jej niebawem pochłaniać znaczną część doby.

Weszła w pierwszy poważny, dorosły związek z mężczyzną i jeszcze nie zdążyła dociec, jak to się stało, a co dopiero, jak się tym cieszyć.

Uczestniczyła w poszukiwaniach i zostały już niecałe dwa tygodnie, by dotrzeć do mety. Jeśli się jej nie powiedzie, wszystko przepadnie. To, co tkwiło uwięzione w szklanej szkatułce, przez jeden cudowny moment żyło wewnątrz niej. Gotowa była harować w pocie czoła, byle to ocalić.

Dlatego sen musiał zaczekać, aż uda jej się włączyć go do planu zajęć.

Spędziła dzień w „Pokusie”, przeprowadzając rozmowy kwalifikacyjne z przyszłymi pracownikami i zastanawiała się nad liczbą godzin oraz wysokością płac. Wieczór zaś poświęciła Simonowi, pomogła zaprojektować budkę dla ptaków do szkoły, przycięła mu włosy i po prostu cieszyła się jego towarzystwem.

Większą część nocy podzieliła między papierkową robotę a prace domowe, które zbyt długo zaniedbywała.

Roztrząsała liczby, żonglowała nimi. Rozciągała je i zagęszczała, lecz rezultat pozostawał ten sam. Koszty początkowe pochłonęły jej kapitał w piorunującym tempie. Głównie dlatego, musiała przyznać, że chciała zacząć w wielkim stylu. Ale niech ją diabli, jeśli pozwoli, by cokolwiek popsulo marzenie.

Wiele przemawiało za tym, że podejmuje niesłychane ryzyko. Uznała tak, studiując arkusz kalkulacyjny, który opracowała na komputerze. Nie po raz pierwszy ryzykowała. Gdyby im się udało otworzyć nazajutrz po Dniu Dziękczynienia i gdyby pojawiła się płacąca klientela, poniesione wydatki szybko zaczną się rekompensować. Krople mogły zmienić się w strumień, a strumień w rzekę. W okresie przed Bożym Narodzeniem wszędzie ogłaszano promocje, a tego właśnie potrzebowała „Pokusa”, by ruszyć z miejsca.

Jedno Zoe potrafiła na pewno - wykorzystać każdego dolara. Uda jej się. Samochód będzie tylko musiał wytrzymać dwa lata bez poważniejszych napraw, daj Boże.

Mogła zaoszczędzić, ograniczając nieco wydatki tak, by Simon tego nie odczuł. Za pół roku, najwyżej rok, „Pokusa” odmieni ich życie. Zapewni stabilizację, której Zoe tak

rozpaczliwie pragnęła dla syna. A także dumę i poszanowanie, których pragnęła dla siebie.

Do tego właśnie zmierzała, odkąd w wieku lat szesnastu zatrzasnęła za sobą drzwi przyczepy. Jedno z najważniejszych skrzyżowań w jej życiu. Jedna z dróg. Zoe odchyliła się w zadumie na oparcie krzesła. Co z innymi drogami?

Jeżeli „Pokusa” była skrzyżowaniem dróg, to samo dotyczyło domu, w którym Zoe mieszkała, na który oszczędzała i za który płaciła comiesięczną ratę ciężko zarobionymi pieniędzmi. Doszła do wniosku, że jeśli powrót do korzeni i badanie strychu w „Pokusie” pobudziły różne siły i moce, szorowanie własnej kuchennej podłogi może wywołać podobny efekt. Bo czemu nie?

Uporządkowała papiery, wyłączyła laptopa i wyciągnęła wiaderko.

Wybrała ten dom przede wszystkim dlatego, że było ją na niego stać. Z trudem, ale było. I wiedziała, tak samo jak wtedy, gdy przestąpiła próg przyszłej „Pokusy”, że tu jest jej miejsce. Dom, który stworzy Simonowi.

Wtedy wyglądał raczej nieszczególnie, pomyślała, zmywając na czworakach podłogę. Bure tynki i zachwaszczone podwórze nie prezentowały się zachęcająco. Wewnątrz zastała poprzecierane wykładziny, wątpliwej jakości instalację wodno - kanalizacyjną, ohydne linoleum w kuchni i ściany upstrzone dziurami po gwoździach.

Ale wymiary miał idealne, a cena wydawała się uczciwa.

Zoe skrobała, malowała, kopała, sadziła. Wyszukiwała różne rzeczy na wyprzedazach i pchlich targach, a nawet na miejskim wysypisku.

Wówczas także niewiele sypiała, przypominała sobie, przysiadając na piętach. Ale warto było poświęcić kilka godzin snu. Dowiedziała się bardzo wiele o sobie i swoich możliwościach.

Z uśmiechem przesunęła palcem po lśniącym winylowym kwadracie. Kładła tę podłogę własnoręcznie. Wypatrywała obniżek cen i w końcu wyszła w HomeMakers śnieżnobiałe płytki.

Uświadomiła sobie, że farbę do malowania wnętrz i powierzchni zewnętrznych również kupiła w HomeMakers. Podobnie jak armaturę i lampy do łazienki na górze.

Prawdę mówiąc, w każdym pokoju znalazłoby się coś z HomeMakers. To musiało mieć jakieś znaczenie.

Musiało mieć związek z Bradleyem.

Widziała go wszędzie, gdziekolwiek spojrzała. Nawet gdy o nim nie myślała, krążył po obrzeżach jej świadomości. Bliskie kontakty były emocjonujące i odrobinę przerażały. Ale zakochać się w nim... to było po prostu niemożliwe.

Co więcej, narażałoby go na niebezpieczeństwo. Słyszała, co powiedział Pitte. Im bardziej zależałoby jej na Bradleyu, tym dotkliwsza mogła mu się stać krzywda. Nie wątpiła w jego uczestnictwo w poszukiwaniach, a także - w pewnym stopniu - w jej życiu. Nie zamierzała jednak pozwolić, by fantazje na temat tego, co mogłoby się zdarzyć, gdyby sprawy ułożyły się trochę inaczej, postawiły Bradleya na ścieżce Kane'a.

Wystarczyło, że taki mężczyzna jak on darzy sympatią i ją, i Simona. Nie chciała być zachłanna i żądać więcej.

Skończywszy z podłogą, zerknęła na zegar. Dochodziła trzecia trzydzieści rano. Kuchnia lśniła czystością, w książeczce czekowej wszystko się zgadzało, lista usług i cennik były gotowe. Jeśli jednak Zoe zbliżyła się choć o krok do klucza, nie zauważyła tego.

Postanowiła trochę się przespać, a potem zacząć od nowa.

Bradley siedział przy dogasającym ognisku i popijał ciepławe piwo. Temperatura nie miała znaczenia. Dla szesnastolatka liczy się tylko piwo samo w sobie. Ojciec obdarłby go ze skóry, gdyby się dowiedział - a prawie zawsze się dowiadywał. Nic jednak nie mogło zmącić swobody tej gorącej letniej nocy.

Nie zamierzał spać. Zamierzał zapalić kolejnego papierosa, dopić piwo i po prostu posiedzieć.

To Jordan wpadł na pomysł spędzenia nocy pod gołym niebem, w lesie, w cieniu Wzgórza Wojownika. Niesamowita stara rezydencja zawsze działała na jego wyobraźnię i wymyślał różne historie o ludziach, którzy mogli tam niegdyś mieszkać.

Brad musiał przyznać, że budowla rzeczywiście jest fascynująca. Prowokuje do zastanawiania się, kto, u diabła, zbudował takie gigantyczne domisko na szczycie góry w Pensylwanii. Już na sam widok człowiek dostawał gęsiej skórki, ale było całkiem fajne.

Mimo wszystko wolał asymetryczny drewniany dom nad rzeką. Nawet gdy rozważał wyjazd po studiach do Nowego Jorku albo podróże po świecie, nie wyobrażał sobie, że mógłby mieszkać w innym domu niż ten.

Nie na stałe.

Ale studia, Nowy Jork i dalsze życie były odległe o całe wieki. O lata świetlne. W tej chwili chciał być właśnie tutaj, w lesie przy ognisku i czuć w głowie lekki szum wywołany piwem.

Przebywanie tak wysoko wśród wzgórz potęgowało jeszcze silne wrażenia, których dostarczyła wcześniej jazda samochodem z Jordanem i Flynnem oraz pokonanie wysokiego kamiennego muru, jakby byli członkami gangu włamującymi się do więzienia, zamiast z niego uciekać.

W poniedziałek musiał iść do pracy. Poczciwy stary B.C. nie tolerował ludzi wymigujących się od roboty. Vane'owie nigdy się nie obijali, nawet w wakacje, i to było w porządku. Brad miał jednak cały weekend dla siebie i mógł go spędzić z przyjaciółmi. Powłóczył się po lesie, deptać dzikie trawy ze świadomością, że nikt mu niczego nie może zabronić.

W pełni rozumiał, czym jest odpowiedzialność - za rodzinę, za firmę, za nazwisko Vane'ów. Pewnego dnia on także wyrobi sobie markę - jak jego dziadek, a potem ojciec. Ale czasami człowiek po prostu musiał się oderwać od tego wszystkiego, napić piwa, zjeść parę przypalonych hot dogów i spędzić noc przy ognisku z najlepszymi kumplami.

Nie miał pojęcia, gdzie się, do cholery, podziewali, lecz czuł się zbyt rozleniwiony, by ich szukać. Sącył piwo, ignorując cichy wewnętrzny głos, który szeptał, że w gruncie rzeczy nie bardzo mu odpowiada ten cierpki, przypominający drożdże smak. Palił papierosa i obserwował robaczki świętojańskie, prezentujące swoje świetlne widowisko.

Pohukiwanie sowy zabrzmiało wystarczająco niesamowicie, by wywołać dreszcz, a monotonne brzęczenie owadów stanowiło miłe tło dla jego rozmyślań o tym, jak prędko uda mu się zaciągnąć Patsy Hourback na tylne siedzenie samochodu. Jak dotąd surowo ograniczała ich aktywność we dwoje do głębokich pocałunków i sporadycznych, drażniących momentów, gdy obejmował dłonią jej pierś - przez bluzkę.

Bardzo chciał ściągnąć tę bluzkę z Patsy Hourback.

Problem polegał na tym, że Patsy czekała, aż on powie, że ją kocha, co było po prostu o wiele za poważnym wyznaniem. Lubił ją, naprawdę, i sama myśl o niej budziła w nim pożądanie, ale miłość? Jezu.

Była nieco przerażającą pieśnią odległej przyszłości. Nie kochał Patsy i nie wydawało mu się, by jego uczucia dryfowały w tym kierunku. Miłość miała przyjść... później, z całą pewnością. O wiele później, i z udziałem kogoś, kogo jeszcze nie potrafił sobie wyobrazić. Kogo nawet nie chciał sobie wyobrazić.

Miał przedtem mnóstwo rzeczy do zrobienia, mnóstwo miejsc, dokąd się wybierał.

Tymczasem jednak noszona „na wszelki wypadek” prezerwatywa wypalała dziurę w jego portfelu i naprawdę chciał przelecieć Patsy Hourback.

Dopił piwo i już zamierzał sięgnąć po drugą butelkę z sześciopaku. Ale doszedł do wniosku, że opróżnianie jej w samotności nie sprawiłoby mu frajdy.

Uśmiechnął się szeroko, słysząc szelest w zaroślach.

- To było chyba najdłuższe szczanie w historii, zwłaszcza jak na kogoś, kto operuje takim małym futkiem.

Czekał przez chwilę na jakąś grubiańską bądź obelżywą uwagę i zmarszczył brwi, gdy w lesie ponownie zaległa cisza.

- Bez jaj, chłopaki, słyszałem was. Jeśli nie przyjdziecie, sam obalę piwko.

Znowu usłyszał szmer, tym razem z przeciwnej strony. Poczuł zimny dreszcz, pełznący wzdłuż kręgosłupa, lecz zachował męską godność, sięgając po piwo.

- Rany, ale się boję. Jezu, to pewnie krwiożerczy Jason w masce hokeisty! Ratunku, pomocy. Obaj jesteście denni.

Prychnął, otworzył butelkę i pociągnął spory łyk dla kurażu. W ciemności rozległo się głucho warczenie. Brzmiało chrapliwie i wygłodniałe.

- Hawke, ty dupku, dałbyś sobie spokój. - Brad usłyszał swój piskliwy, słaby głos, wydobywający się z trudem ze ściśniętego gardła. Przesunął ręką po ziemi, szukając zaostzonego patyka, na którym przypiekał hot doga.

Ciszę rozdarł potworny wrzask, pełen strachu i bólu. Zerwał się na równe nogi, dzierżąc w dłoni patyk niczym miecz. Okręcił się wokół osi, wyteżając wzrok i poczuł, jak wzbiera w nim paraliżujący lęk.

Przez długą, bardzo długą chwilę nie słyszał nic prócz łomotu własnego serca.

Gdy rozległ się kolejny krzyk, rozpoznał w nim swoje imię.

Runął naprzód, rozgarniając na wszystkie strony skłębiony rój świetlików. To był krzyk Flynnna, rozpaczliwy, przesycony niepojętą zgrozą i udręką, której nikt nie potrafiłby ująć. Drugi krzyk brzmiał równie nagłaćco, dochodził z przeciwnej strony. Jordan wrzeszczał rozpaczliwie.

Brad zawrócił w miejscu, niepewny i przerażony. Z ciemności dobiegły go odgłosy uderzeń, zadawanych z nieludzką siłą. Nieoczekiwanie rozległy się zewsząd różne dźwięki. Wichura szarpała gałęzie drzew, konary spadały na ziemię, tonęły w poszyciu. Zewsząd rozlegały się krzyki. Letni upał przerodził się w gryzący mróz, a mgła sięgała kolan, wznosząc się niczym rzeka.

Ogarnął go paniczny strach - o siebie, o przyjaciół.

Wypadł pomiędzy drzew w wysokie trawy, rosnące pod Wzgórzem Wojownika.

Pełny, wezbrany księżyc żeglował po niebie. W jego świetle Brad zobaczył ciała przyjaciół. Rozdarte na strzępy. Rzucił się w ich stronę, powtarzając w myślach modlitwy i prośby.

Pośliznął się na rozlanej krwi, a nawet gorzej - znalazł się na czworakach w makabrycznej brei tuż obok ciała Flynnna. Żołądek podjechał mu do gardła, gdy ręce natrafiły na coś ciepłego i mokrego.

W blasku okrągłego, białego księżyca zobaczył krew ściekającą z palców.

- Nie. - Powiedział to cicho, drżącym głosem. Zamknął oczy i zebrał się w sobie, sięgając w głąb świadomości. - Nie - powtórzył zdecydowanym tonem, unosząc powieki i zmuszając się, by spojrzeć jeszcze raz. - Gówno prawda.

Podczas gdy usiłował stłumić żal i lęk, Flynn odwrócił głowę na rozszarpanej szyi i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cześć, dupku. Wiesz co? Ty będziesz następny.

Choć jego serce tłukło się jak oszalałe, Brad dźwignął się na nogi i wyprostował.

- Gówno prawda - powtórzył.

- I to naprawdę boli. - Flynn wstał, nie przestając się uśmiechać. Rozległ się paskudny, oślizły chichot, gdy to, co niegdyś było Jordanem, dołączyło do kolegi. Chwiejnym krokiem ruszyli w stronę Brada.

- Jesteśmy tylko miechem - oznajmił Jordan i mrugnął jedynym ocalałym okiem. - Niczym więcej.

Czuł ich zapach, odór śmierci, gdy zbliżali się do niego.

- Musisz wymyślić coś lepszego, Kane. O wiele lepszego, bo to jest gówno prawda.

Niespodziewany, dojmujący ból przeszył mu klatkę piersiową, promieniując do każdej komórki. Brad pokonał go, przełamał się i zmusił do uśmiechu, nie odrywając oczu od makabrycznych postaci z filmu grozy, w które zmienili się jego przyjaciele.

- Ktoś was ciężko poturbował, chłopcy. - Starając się nie zemdleć, wydał z siebie dźwięk, mogący od biedy uchodzić za śmiech.

I obudził się, dygocąc z zimna, we własnym łóżku. Rozcierając pierś, która wciąż pulsowała boleśnie, usiadł i wciągnął w płuca głęboki haust powietrza.

- Do cholery, najwyższy czas.

- Naprawdę wyglądaliśmy aż tak koszmarnie?

Flynn obdarzył Brada promiennym uśmiechem. Siedzieli wszyscy trzej przy kuchennym stole. Brad zadzwonił do nich dopiero rano, choć wizja nocnych przeżyć krążyła mu pod czaszką przez dwie bardzo długie godziny.

Powiedział im tylko, żeby jak najszybciej przyjechali. Co oczywiście uczynili.

Teraz, w świetle dnia, w kuchni pachnącej kawą i opiekаныmi bajglami, przygoda sprzed kilku godzin wydawała się czymś wydumanym i tandetnym. Zbyt wiele koszmarów naraz, by - zdaniem Brada - mogły stworzyć spójną całość.

- Niech pomyślę... Prawie nie miałeś szyi, a z klatki piersiowej też niewiele zostało. Co do ciebie - zwrócił się do Jordana - lewe oko spektakularnie zwiślało na cienkiej nitce z

oczodołu i brakowało ci sporej części twarzy.

- Co mogło jedynie poprawić twój wizerunek - skomentował Flynn.

- Chyba pośliznąłem się na odpryskach twojego mózgu - poinformował go Brad. -
Chociaż nie sądzę, żebyś odczuł jakąś stratę.

- Flynnowi jego własny mózg służy przeważnie do poślizgów - mruknął Jordan i
przyjrzał się Bradowi znad kubka. - Boli cię?

- Klatka piersiowa rwała mnie jak cholera przez jakąś godzinę i obudziłem się ze
skurczysyńskim bólem głowy, ale to by było tyle.

- Pytanie brzmi: jak ci się udało wydostać?

- Miałem więcej czasu, żeby się przygotować po tym, co spotkało was obu. Mogłem
przewidzieć, co mnie czeka i obmyślić jakąś metodę. Zakodowałem sobie w głowie tak zwane
kluczowe słowa, specjalnie po to, żeby w razie czego móc się wyrwać. I zadziałały.

Flynn wgryzł się w swojego bajgla.

- A jakie to słowa?

- „Gówno prawda”. Wulgarnie - ciągnął, gdy Flynn prychnął okruciami - ludzkie i
celne. Poza tym Kane spartaczył robotę. Nie twierdzą, że to nie było skuteczne, zwłaszcza na
początku. Czuję się tak, jakbym miał szesnaście lat. Cholera, siedziałem przy ognisku,
piłem ciepłe piwo i myślałem o kształtach Patsy Hourback.

- Faktycznie miała niezłe ciało - przypomniał sobie Jordan.

- W każdym razie tamtego lata miałem obsesję na punkcie Patsy. A właściwie na
punkcie seksu, ale Patsy odgrywała tu główną rolę. No więc znalazłem się w lesie pod
Wzgórzem Wojownika i nagle Flynn zaczął krzyczeć jak dziewczyna...

- Skąd wiesz, że to ja, a nie Jordan? - burknął z urazą Flynn znad swojego bajgla. -
Dlaczego właśnie ja miałbym krzyczeć jak dziewczyna?

- Zapytaj Kane'a - odparł Brad. - Ja w tamtej chwili byłem po prostu u kresu
wytrzymałości. Wrzeszczeliście obydwaj, wzywając mnie po imieniu. Ale coś zaczęło
nawalać. Wiatr, mgła, zimno. Zrobiło się tego wszystkiego za dużo i coś zaskoczyło mi w
głowie. Kiedy was zobaczyłem leżących, znowu się pogubiłem. Na chwilę. A potem
pośliznąłem się na mózgu Flynnna. Może to zresztą były jego wnętrzności.

- Usiłuję coś zjeść - upomniał go Flynn.

- To było za dużo naraz, wiecie? I nie trzymało się kupy. Nagle dotarło do mnie, że nie
mam już szesnastu lat. Wymknąłem mu się z rąk, tak chyba mogę określić. I wiedziałem, że
to jego robota. Wiedziałem, że to gówno prawda. - Wstał i sięgnął po dzbanek z kawą. -
Zastanawiałem się przez dwie godziny i w końcu zrozumiałem, do czego zmierzał.

- Chciał nas rozdzielić - wtrącił Jordan.

- Właśnie. Odseparował mnie. Siedziałem sam, gdy wy poszliście gdzieś razem. A potem znalazłem was rozszarpanych na strzępy, usłyszawszy wołanie o pomoc.

- A my zwróciliśmy się przeciw tobie - dodał Flynn. - Dwa żywe trupy. Napuścił nas na ciebie. Jak mógłbyś zaufać, nie mówiąc już o nawiązaniu współpracy, dwóm facetom, którzy chcą zeżreć ci mózg? Bo tak robią zombi - dodał. - Widziałem na filmie.

- Chciał, żebym się poczuł samotny, wyobcowany i przerażony.

- Chyba nie tylko - wtrącił Jordan. - Gdybyś sam nie wrócił do rzeczywistego świata, moglibyśmy wyrządzić ci krzywdę. Następnym razem Kane dobierze ci się bezpośrednio do skóry.

- Nie ma sprawy. - Brad sięgnął po kawę. - Ja jemu też.

- Przypuszczam, że potrzeba czegoś więcej niż ładnej buzi, żeby pokonać takiego czarnoksiężnika - zauważył Flynn.

Brad skinął głową i podniósł nóż, leżący obok nakrycia. Przeciągnął kciukiem wzdłuż ostrza.

- Nawet czarnoksiężnicy krwawią.

- Powiesz Zoe, co się stało? - spytał Jordan.

- Jasne. Łączy nas przecież wspólna sprawa. Chyba zajrzę rano do „Pokusy”.

- Ona tam przyjedzie dopiero po południu - oznajmił Flynn. - Malory wspomniała, że wchodzi w grę pewne domowe roboty.

- Tym lepiej.

Zaparkował swój samochód tuż za jej autem, skończył rozmowę przez telefon komórkowy. Myśląc o spotkaniu z architektem, planach rozbudowy i zmianach, które chciał wprowadzić do projektu, podszedł do frontowych drzwi i zapukał. Gdy Zoe otworzyła, wszystko uleciało mu z głowy.

Miała na sobie dzinsy z dziurami na kolanach i kusą bluzeczkę, odsłaniającą brzuch, a dzisiaj nosiła w pępku ćwiek. Mały, seksownie połyskujący, srebrny ćwieczek.

Zauważył też białe stopy, paznokcie pomalowane na różowo, i kołyszące się w uszach olbrzymie srebrne koła. W ręku trzymała ścierkę woniejącą na odległość cytrynowym zapachem.

- Sprzątałam - powiedziała szybko. - Właśnie skończyłam sypialnię. - Spostrzegła, że trzyma w ręku ścierkę i wepchnęła ją do tylnej kieszeni. - Musiałam się trochę zająć domem.

- Nie ma sprawy. - Wszedł i udało mu się oderwać od niej oczy, na tyle by rozejrzeć

się po salonie. Każdy centymetr drewna lśnił, szkło błyszczało. - Widzę, że się napracowałam.

- Sprzątanie pobudza mnie do myślenia, a myślałam o domu. O tym, że może dom jest częścią tego wszystkiego. I gdybym się poważnie zastanowiła, zwróciła uwagę na różne szczegóły, być może... O co chodzi? - Rumieniąc się lekko pod jego uporczywym spojrzeniem, potarła dłonią policzek. - Mam brudną twarz?

- Masz piękną twarz. Najpiękniejszą twarz, jaką w życiu widziałem.

- Miło mi to słyszeć po moim polowaniu na koty kurzu.

- Simon w szkole?

- Tak. - Z pewną konsternacją dostrzegła błysk w jego oku. - Na litość... jest prawie dziesiąta. Nie musisz być w pracy?

- Muszę. - Postąpił krok naprzód, podczas gdy Zoe się cofnęła. - Wstąpiłem, bo chciałem z tobą porozmawiać. Ale wygląda na to, że rozmowę odłożymy na później.

- Nie możemy tak po prostu... - Naprawdę nie mogli?

- Jasne, że możemy. Spróbujmy na przykład tak.

Porwał ją na ręce i ruszył w stronę sypialni. Żołądek Zoe wykonał powolne, rozkoszne salto.

- Rety. - Nie zdołała powstrzymać nerwowego chichotu. - Zupełnie jak w romansie. Tylko że w romansie miałabym na sobie coś bardziej seksownego niż stare dzinsy.

Pachniała emulsją do czyszczenia mebli i dojrzałymi śliwkami.

- Nie ma nic bardziej seksownego niż stare dzinsy, jeśli ty je nosisz.

- To dobrze. - Radośnie potarła nosem jego szyję. - To bardzo dobrze. - Skubnęła zębami płatek ucha. - Nie nadążam z praniem. Piętrzy się od kilku dni. Więc... pod dzinsami nie mam nic.

Obrócił głowę, spojrzał w jej roześmiane oczy.

- Aha. No więc rozmowę odkładamy na później.

Gdy kładł ją na łóżku, zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła do siebie.

- Z pewnością należy mi się nagroda za wypełnienie wszystkich domowych obowiązków - mruknęła.

- Odkąd się z tobą kochałem, ciągle myślę, żeby znowu się z tobą kochać.

Musnął ustami jej wargi, najpierw delikatnie, a potem wpił się w nie mocno i zachłannie.

To było jak własny prywatny cud, pomyślała, dając się porwać chwili. Dryfowała w ramionach mężczyzny, przy którym miała poczucie, że jest bezcennym klejnotem.

Całował tak, jakby tylko to pragnął robić do końca życia. Zadowalał się ciepłem, choć

wyczuwała pulsujące w nim pragnienie żaru. Cicha radość spowiła serce Zoe miękką, jedwabną wstążką.

Dotykał jej ciała, jak gdyby było ono wciąż na nowo odkrywanym skarbem. Każda pieszczota tych cudownych rąk kołysała, pobudzała i obiecywała więcej. Niezwykła słodycz wsączyła się w krew niczym wino.

W promieniach przedpołudniowego słońca czuła dłonie błędzące cierpliwie po niej powolnymi, prawie leniwymi ruchami. Wznosiła się i opadała pod ich dotykiem, podczas gdy świat zewnętrzny krzątał się wokół własnych spraw.

Świadomość kradzionego czasu otuliła ich wzajemną bliskość zwiewną mgiełką.

Brad rozkoszował się ciałem wyzierającym spod podartego materiału, przesuwał palcami wzdłuż linii bluzki. Gdy musnął srebrny ćwiek, Zoe mruknęła podniecona. Odwróciła głowę z głębokim westchnieniem, kiedy powędrował ustami wzdłuż jej szyi.

Wszystkie zmartwienia, całe zmęczenie zniknęło bez śladu.

Czuł jej uległość, słyszał przyspieszony oddech, choć sam odmierzał czas powoli. Czy ona wiedziała, ile dla niego znaczy ta bliskość, ten słoneczny blask wpadający przez okna cichego, pustego domu?

Czy wiedziała, jak bardzo jest mu potrzebna, skoro on dopiero zaczynał pojmować?

Dotąd nie wiedział, jak wiele ma do ofiarowania, jak wiele pragnie ofiarować. Kim jest, co posiada, co czuje, co sobie wyobraża. Namiętnym pocałunkiem przekazał wszystko.

Serce zatłukło się jej w piersi, pochwyciła go za koszulę. Poczowała coś więcej niż fizyczną przyjemność, coś więcej niż zapowiedź rozkoszy. Uległa, drżąc na całym ciele.

Tego właśnie potrzebował - całkowitego wzajemnego oddania. Żeby nie było nikogo i niczego prócz nich dwojga.

- Chcę patrzeć na ciebie. - Zdjął jej bluzkę przez głowę, zsunął dzinsy z bioder. - Po prostu patrzeć.

Gładka skóra, delikatne krągłości i smukłe nogi baletnicy. Senne oczy i kuszące usta. Fascynujące połączenie, pomyślał, kruchości i egzotyki.

Pieścił wargami brzuch i uda, powoli, czując, jak ciało kobiety przeszywa dreszcz. Drażnił językiem najczulsze miejsca.

- Leż. Nie ruszaj się i pozwól mi robić to, czego pragnę.

Nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby go powstrzymać. Obmywała ją wezbrana fala doznań i pragnień. Przy pierwszym uderzeniu gorąca zacisnęła palce na żelaznych prętach łóżka i pozwoliła się zabrać, dokąd tylko zechciał.

To wszystko było cudowne i zdumiewające. Dłonie, wyrafinowanie cierpliwe,

odkrywające każdą tajemnicę. Usta pochłaniające ją cal po calu. Wygięła się w łuk, poddała eksplozji orgazmu. Ale to jeszcze nie był koniec. .

Jedno doznanie ścigało drugie, odczucia nakładały się na siebie, aż wreszcie wydało jej się, że wszystkie zmysły, cała skóra jaśnieje światłem. Z rozkoszą powitała wzbierające napięcie.

Zagubił się w niej, nie zważając na nic prócz tego, co mu ofiarowała i czego nie potrafił odrzucić. Każde drgnienie ciała dawało więcej.

Uniósł się nad nią. Otoczyła go sobą. Wśliznął się w nią. Zagarnęła go.

Powoli, bardzo powoli chłonęli każdą kroplę rozkoszy. Wznoszenie się i opadanie ciała, szum krwi, przyspieszone tętno - cały świat poza tym rozslonecznionym pokojem przestał istnieć.

Gdzieś tam zegary odmierzały czas, auta mknęły ulicami, pies obszczekiwał wiewiórki na podwórzu - lecz Zoe widziała wyłącznie Brada. I słyszała, jak wymawia jej imię tonem bliskim modlitwy.

A potem swój ekstatyczny okrzyk, gdy skoczyła poza krawędź świata.

Doszła do wniosku, że nikt, nigdy i nigdzie nie czuł się lepiej niż ona tu i teraz. Żadna kobieta nie została w podobny sposób uwiedziona i zaspokojona.

Dryfując na fali zadowolenia, pogładziła włosy Brada, którego głowa spoczywała między jej piersiami. Nie przypominała sobie równie słodkiego doznania.

- Tak się cieszę, że wpadłeś - mruknęła sennie i uśmiechnęła się, poddając pieszczocie jego ust tuż przy piersi.

- A ja się cieszę, że zastałem cię w domu.

- To jest po prostu... olśniewające. Leżeć sobie nago, z pełną satysfakcją, o godzinie...

- odwróciła głowę i zerknęła na zegarek. - Za dziesięć jedenasta przed południem. To lepsze niż wygrana na loterii.

Uniósł się nieco i uśmiechnął.

- Bez porównania.

- Jesteś bardzo przystojny. Przypominasz mi tych czarujących facetów z moich fryzjerskich magazynów.

Brad skrzywił się lekko.

- Proszę, przestań.

- Naprawdę. Ale przydałoby ci się strzyżenie. - Rozgarnęła mu włosy. - Mogę się tym zająć.

- Hm... może kiedyś.

Leciutko pociągnęła kosmyk, który trzymała w palcach.

- Wiesz, jestem dobra w swoim fachu.

- Nie wątpię ani trochę. - By odwrócić uwagę, musnął ustami jej szyję, po czym odsunął się nieco. - Naprawdę chciałem z tobą porozmawiać.

- Możesz mówić, kiedy będę cię strzygła; Fryzjerki są jak barmanki. Potrafimy pracować i rozmawiać równocześnie.

- Wierzę. Ale to chyba nie jest najlepsza chwila. Powinniśmy się ubrać.

- Tchórz. - Usiadła, podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła ramionami.

- Niech ci będzie. - Wstał, żeby poszukać spodni. - Zoe, ubiegłej nocy... a dokładnie rzecz biorąc, nad ranem, coś mi się przydarzyło.

Uklękła na łóżku, zniknął żartobliwy nastrój.

- Jesteś ranny? Zranił cię?

- Nie. - Podniósł z podłogi bluzkę, podał ją Zoe. - Postaraj się zachować spokój, kiedy będę opowiadał.

Ubierając się, zdał relację.

Lęk, który poczuła w pierwszej chwili, ustąpił. Brad nie odniósł obrażeń, sama widziała. I był opanowany. Chyba nawet zbyt opanowany.

- Myślisz, że wykorzystał Jordana i Flynna przeciw tobie... a raczej chciał wywołać wrażenie, że są przeciw tobie.

- Tak mi się wydaje.

- On nie rozumie ludzi. Nie rozumie, czym jest miłość albo przyjaźń. I z pewnością nie rozumie ciebie, skoro założył, że poczujesz się wyobcowany lub cię to odstraszy. Przeciwnie, jesteś teraz jeszcze głębiej zaangażowany.

Uśmiechnął się lekko.

- Ty za to mnie rozumiesz.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Nie jestem całkiem pewna, ale wiem, co cię łączy z Jordanem i Flynnem. Dlaczego Kane wybrał właśnie tamtą noc? Ponieważ byliście młodzi? Ponieważ znaleźliście się pod samym Wzgórzem? Teraz wszystko ma znaczenie. Jesteśmy tak blisko, że wszystko ma znaczenie.

Kiwnął głową, zadowolony, że ich myśli biegną tym samym torem.

- Sądzę, że wybrał tamtą noc z obydwu powodów. Byliście młodzi, łatwiejsi do uformowania. Jeszcze nie znaliśmy ciebie ani Mai, a w Danie Jordan widział tylko siostrę Flynna. I tamtej nocy zobaczył Rowenę. - Umilkł, wygładził mankiety koszuli. - Miałem

wtedy szesnaście lat, Zoe. Tyle samo ile ty, kiedy opuściłaś dom.

- Daj spokój. - Otoczyła się ramionami, jakby nagle poczuła chłód. - Myślisz, że to coś znaczy?

- Nie możemy sobie pozwolić na pomijanie czegokolwiek jako zbiegu okoliczności. Owa noc była ważna dla mnie, Flynn'a i Jordana, choć wtedy nie wydawała się taka. Ot, po prostu jedna z beztrosko spędzonych letnich nocy. Ale staliśmy na progu oddzielającym dzieciństwo od wieku męskiego. Ty będąc w naszym wieku podjęłaś życiową decyzję.

- Ze mną było inaczej.

- Owszem. Gdyby jednak Kane'owi udało się wypaczyć, przynajmniej w mojej głowie, to, co się wydarzyło tamtej nocy, skrzywiłby jednocześnie mój obecny sposób myślenia. I to, co zrobiłem później. Wiąż między mną a Flynnem i Jordanem w znacznej mierze przyczyniła się do mojego powrotu i poznania ciebie.

- A zatem gdyby wbił między was klin, gdyby oni wyrządzili ci krzywdę... właściwie nie oni, tylko to coś, co ich przypominało... mógłby osłabić łączące nas wszystkich więzy. A nawet zniszczyć.

- Sądzę, że między innymi na tym polegał plan. Zaciśnęła usta, wyraźnie zaniepokojona.

- Nie wyszło mu, więc będzie zły.

- Będzie. Wydaje mi się, że w najbliższych dniach żadne z nas nie powinno zbyt długo przebywać samo. Chciałbym, abyście obydwójcie z Simonem przenieśli się do mnie.

- Nie mogę...

- Chwileczkę, Zoe. - Z góry przygotowany na sprzeciw i wymówki, zbliżył się o krok i położył dłonie na jej ramionach. - Cokolwiek ma się jeszcze wydarzyć, wspólnie w tym uczestniczymy. Musimy trzymać się razem. I przyznam się szczerze, że chcę cię mieć przy sobie. Ciebie i Simona.

- W tym właśnie problem. Jak mam mu wytłumaczyć, że zamieszkamy u ciebie?

- Wie dostatecznie dużo, by ów fakt zaakceptować. I chyba nie sądzisz, że zaprotestuje przeciw łatwemu dostępowi do pokoju gier?

- Nie, nie sądzę. - Wsunęła się spod jego rąk i wstała. - Po prostu nie chciałabym, żeby... Wiem, jak to odczuwają dzieci. Kiedy ojciec nas zostawił, bez przerwy pojawiali się jacyś nowi mężczyźni.

Twarz Brada zastygła w kamiennym wyrazie.

- To zupełnie co innego. O wiele ważniejszego na każdym możliwym poziomie. Zoe, ty i Simon nie jesteście w moim życiu chwilowym kaprysem.

Oddech uwiązał jej w gardle.

- Powinieneś trochę zwolnić tempo.

- A może to ty powinnaś przyspieszyć - rzucił ostrym, niecierpliwym tonem. - Nie życzysz sobie, żebym ci powiedział, ile dla mnie znaczysz i co do ciebie czuję?

A czy któreś z nas myśli o tym w miarę spójnie? - Szukając pola manewru, podeszła do okna i poprawiła zasłony. - Sam nie wiesz, ile będę znaczyła i co będziesz czuł, kiedy wszystko się skończy. Uwikłaliśmy się w coś, co... co działa jak szkło powiększające.

- Przyciągałaś mnie od pierwszej chwili.

- Nie mów tak. - Coraz trudniej jej było oddychać, jakaś obręcz zaciskała się wokół serca. - Nawet nie wiesz, jak mocno możesz mnie zranić.

- Chyba nie wiem. Powiedz mi.

- Jeszcze nie potrafię. - Wymyślając sobie w duchu od tchórzy, odwróciła się i pokręciła głową. - Ty też. Obydwoje musimy się pozbierać.

Uniósł jej podbródek i poszukał ust.

- Jeszcze o tym porozmawiamy, a temat jest obszerny. Na razie jednak zajmijmy się bieżącymi sprawami. Jeśli nie chcesz przenieść się do mnie, ja przeniosę się do ciebie. Ale chciałbym, żebyś się zastanowiła nad moją propozycją. Wpadnę po pracy i wtedy pogadamy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

O wpół do pierwszej Zoe już instalowała oświetlenie szynowe w księgarni Dany. Postanowiły skoncentrować się przez całe popołudnie na jednej części budynku i dopracować w niej wszystkie szczegóły. Zorganizowane naprędce zawody „nożyce, papier, kamień” wygrała Dana.

- Dla mnie to ma sens - zauważyła, układając kartki z życzeniami na stojaku. - U Brada jest więcej miejsca, a sprzątaniam zajmuje się wyspecjalizowana firma. Poza tym w razie konieczności Brad potrafi nawet przyrządzić jakiś posiłek. Mogłabyś się skupić na kluczu i salonie, a resztę sobie odpuścić do końca miesiąca.

Zoe musiała przyznać, że to brzmi logicznie. Nawet rozsądnie. Ale...

- Są jednak pewne minusy. Jak mam zbadać, czy mój dom odgrywa jakąś rolę w całej sprawie, jeśli nie będę w nim przebywała?

- Czy natrafiłaś na coś? - spytała Malory.

- Jeszcze nie, ale zastanawiam się dopiero od paru dni.

Odpowiedziało jej milczenie. Zoe opuściła ramiona i westchnęła.

- No dobra, wiem, że gdyby to było ważne, już bym coś poczuła. Ale nie mam stuprocentowej pewności.

- To mi wygląda na chowanie głowy w piasek - mruknęła Dana.

W ramach obrony Zoe posłała jej przeciągłe, twarde spojrzenie.

- Nie chowam głowy w piasek. Po prostu... jestem ostrożna. Fakt, że Jordan mieszka u ciebie, dopóki nie przeniesiecie się na Wzgórze albo że Malory wprowadziła się do Flynna, to zupełnie co innego. Jesteście zaręczeni. A ja muszę myśleć o Simonie.

- Brad przepada za Simonem - przypomniała Malory.

- Wiem. - Zoe uniosła elektryczny śrubokręt, by skończyć mocowanie szyny do sufitu.

- Co nie znaczy, że mamy się od razu pakować i przeprowadzać. Nie chcę, żeby Simon się pogubił w moich relacjach z Bradem co do seksu i w ogóle... i żeby się przyzwyczaił do tego wielkiego domu, wszystkich rzeczy i, no cóż, przebywania w towarzystwie Brada na co dzień.

Malory przerwała ustawianie książek.

- Czy chodzi ci wyłącznie o to, żeby Simon się nie pogubił?

- Nie - westchnęła Zoe, podając śrubokręt Danie. - Staram się żyć w zgodzie z własnymi uczuciami, utrzymać je w rozsądnych granicach. Mam po temu rozmaite powody.

- Nie wyglądasz na kobietę o ograniczonych możliwościach. Zoe wzięła od Malory lampkę i umieściła zręcznie w szynie.

- Uważasz, że powinnam się zgodzić.

- Uważam, że powinnaś robić to, co cię uszczęśliwi. A czasami to, co daje szczęście, bywa trudniejsze i bardziej przerażające niż to, co zapewnia bezpieczeństwo.

Choć daleko jej było do pewności, co może ją uszczęśliwić, a co najzwyczajniej w świecie przerazić, Zoe odstąpiła od ustalonego porządku i odebrała Simona ze szkoły.

- Myślałem, że mam iść do pani Hanson.

- Wiem. - Wypraktykowanym od niedawna ruchem cofnęła ramię gdy Moe powitał Simona, pchając łeb do przodu. - Dzwoniłam do niej. Chciałam z tobą porozmawiać.

- Będę miał kłopoty?

- Nie wiem. - Uniosła brwi. - A jest jakiś powód?

- Nie, przysięgam. Nic nie zrobiłem.

Zaparkowała samochód i pomachała panu Hansonowi, który grabił liście przed swoim domem.

- To dobrze. Chodź, przekąsimy coś i pogadamy.

- Moe - Simon wygramolił się z auta, gotów do jednej z ulubionych zabaw - ciasteczko! - krzyknął i skręcał się ze śmiechu, gdy pies pognał jak szalony ku frontowym drzwiom. - Mamo...

- Tak?

- Jak myślisz, czy kiedy Moe wróci do domu, Flynn pozwoli mu mnie odwiedzać?

- Na pewno. - Zatrzymała się przed drzwiami, podczas gdy Moe kręcił się niecierpliwie. - Simon, wiem, że chcesz mieć psa. Dlaczego nic mi nie mówiłeś?

- Bo może nas jeszcze nie stać.

- Aha. - Ze ściśniętym sercem otworzyła drzwi i pozwoliła, by Moe wpadł jak pocisk do kuchni.

- Taki szczeniak kosztuje. Nawet kiedy go bierzesz ze schroniska, musisz coś tam zapłacić. No i trzeba mu kupować jedzenie, zabawki, różne rzeczy. Zawieźć na zastrzyki do weterynarza. Ale odkładam pieniądze. Może uda nam się wziąć psa już w przyszłym roku.

Nie ufając własnemu głosowi, Zoe kiwnęła głową. Odwiesiła kurtki, wykorzystując tę chwilę, by się opanować. Kiedy wróciła do kuchni, Simon zdążył już cisnąć szkolną torbę na podłogę i wyciągnął z pudełka herbatnik dla zdesperowanego Moego.

Nalała mleka do szklanki, wyjęła jabłko, by je pokroić i zająć czymś ręce podczas rozmowy.

- Wiesz, że robię teraz coś ważnego. Próbuję znaleźć klucz.

- Dla ludzi od czarów.

- Właśnie. Naprawdę bardzo się staram i czasami myślę: „aha, dzisiaj go znajdę”. Ale są dni, kiedy w ogóle tak nie myślę. Podejrzewam, że będzie mi potrzebna pomoc.

- Chcesz, żebym ci pomógł?

- W pewnym sensie. - Położyła pokrojone jabłko na talerzyku, dorzuciła kiść winogron. - Bradley także chce mi pomóc. A ludzie od czarów powiedzieli, że jego wsparcie bardzo mi się przyda.

- Brad jest mądry.

- Lubisz go, prawda?

- Aha. - Sięgnął po część jabłka, gdy Zoe postawiła talerzyk. - Ty też, no nie?

- Ja też. Bradley uważa, że będzie mógł skuteczniej pomóc, jeśli na pewien czas zatrzymamy się w jego domu.

Simon obserwował matkę z nieodgadnionym wyrazem twarzy, gryząc jabłko.

- Mielibyśmy u niego zamieszkać?

- Zatrzymać się na pewien czas. Tak jakbyśmy przyjechali w gości.

- Moe także?

Na dźwięk swojego imienia Moe chwycił w zęby ulubioną piłkę tenisową i wetknął wielki łeb Simonowi pod pachę.

- Tak, na pewno.

- Świetnie. - Kopnął piłkę, by skłonić psa do pościgu i sięgnął po winogrono. - Podoba mi się tam. Można się fajnie pobawić.

- Będziemy gośćmi, więc obydwójce z Moem... - tym razem ona kopnęła piłkę - ...musicie się zachowywać bez zarzutu.

Simon kiwnął głową, podczas gdy Moe wpadł w poślizg, huknął w drzwi i złapał piłkę.

- Okay. Czy będziecie z Bradem spali w jednym łóżku i uprawiali seks?

- Co? - Jej głos zabrzmiał jak pisk.

- Chuck mówi, że jego rodzice robią coś takiego w łóżku w sąsiednim pokoju. I że jego mama wydaje dźwięki, jakby ją bolało.

- O mój Boże.

Pogryzając winogrona i wpatrując się badawczo w twarz matki, Simon posłał piłkę pod przeciwległą ścianę.

- Czy to boli?

- Nie - odparła słabo i odchrząknęła. - Nie, nie boli. Myślę, że powinniśmy zacząć się pakować, skoro...

- No to dlaczego ona krzyczy, hałasuje i tak dalej?

Zoe poczuła, że krew odpływa jej z policzków, a potem wraca piekącą falą.

- Hm, cóż... pewni ludzie czasami... - O Boże, proszę, pomóż mi przez to przebrnąć. - Wiesz, kiedy grasz w jakąś grę albo oglądasz mecz w telewizji i jesteś podekscytowany, zdarza ci się... krzyczeć albo wydawać różne dźwięki.

- Aha. Bo to frajda.

- No właśnie. Seks też może być frajdą dla dorosłych, którzy troszczą się o siebie nawzajem i chcą się tym z sobą dzielić.

- Mężczyźni powinni zakładać prezerwatywy, żeby nikt nie zachorował i żeby nie mieć dzieci, jak się nie chce ich mieć. - Kiwając głową z mądrą miną, Simon dojadł winogrona. - Tata Chucka trzyma kilka w szufladzie przy łóżku.

- Simonie McCourt, w żadnym wypadku nie powinienes zaglądać do szuflady pana Barristera.

- Chuck zajrzał. Wyciągnął jedną, żeby mi pokazać. Śmiesznie wyglądała. Ale jeśli Brad zamierza uprawiać z tobą seks, musi taką założyć, żebyś nie zachorowała.

- Simon... - Musiała na chwilę zamknąć oczy. - Simon - powtórzyła - nie dlatego przenosimy się na kilka dni do Brada, żebym mogła uprawiać z nim seks. Kiedy dwoje ludzi, dorosłych ludzi, decyduje się na tego rodzaju związek, jest to ich prywatna sprawa.

- Więc mama Chucka nie powinna zachowywać się tak głośno.

Zoe otworzyła usta, zamknęła je, po czym, położywszy głowę na stole, zaśmiewała się do łez.

Gdy zjawił się Brad, miała już spakowane dwie walizki, worek marynarski wypełniony rzeczami, które Simon uznał za niezbędne do życia oraz drugi worek z rzeczami niezbędnymi dla niej. Prócz tego załadowała podręczną chłodziarkę nietrwałymi artykułami spożywczymi z lodówki oraz ulubionymi przekąskami i płatkami śniadaniowymi Simona. Obok postawiła niemal pełną dwudziestopięcioletnią torbę psiej karmy i pudło z dobytkiem Moego.

- Wyjeżdżamy na safari? - spytał Brad, przyglądając się bagażowi.

- Sam się o to prosiłeś - przypomniała mu Zoe. Trącił chłodziarkę czubkiem buta.

- Wiesz, tak się składa, że mam w domu trochę jedzenia.

- Trzeba to zużyć, bo się zepsuje. A gdy mowa o psuciu, nie chcę, żebyś czuł się zmuszony dogadzać Simonowi czy mnie. Będą go obowiązywały identyczne reguły, jak tutaj. Jeśli zachowa się niewłaściwie, zawiadom mnie, a ja się tym zajmę.

- Coś jeszcze?

- Owszem. Chętnie podejmę się przygotowywania posiłków i podzielimy wydatki najedzenie.

- Jeżeli chcesz gotować, jestem jak najbardziej za, ale przecież nie będziesz płaciła za pół bochenka chleba.

- Nie protestuj. Albo płacę za siebie, albo nie jedziemy. - Chwyła płaszcz, wepchnęła ręce w rękawy. - Nie zamierzam po tobie sprzątać, ale będę sprzątać po sobie i Simonie. Gdybyś potrzebował spokoju i odosobnienia, nie krępuj się i mów od razu.

- Chyba powinienem wszystko sobie zapisać. - Poklepał się po kieszeniach, jak gdyby szukając notatnika. - Bo obawiam się, że nie zapamiętam.

- Może teraz cię to bawi, ale nigdy nie mieszkałeś pod jednym dachem z dziewięcioletnim chłopcem i psem. Niewykluczone, że przed końcem miesiąca będziesz potrzebował psychoterapii. A więc kiedy dojdiesz do wniosku, że masz dość, po prostu powiedz.

- To wszystko?

- Jeszcze jedna sprawa. Odbyłam rozmowę z Simonem i sądzę, że powinniśmy...

Urwała, gdy jej syn i Moe zbiegli po schodach.

- Mamo, o mało nie zapomniałem wziąć plującego smoka.

- Simon, to tylko kilka dni. Nie musisz zabierać wszystkiego, co posiadasz.

- Pokaż. - Brad wyciągnął rękę i wziął od chłopca figurkę smoka z twardego plastiku. Znalazł guzik, nacisnął go i przyjrzał się smużce bladezielonego śluzu, wypływającej z wyszczerzonej paszczy. - Odlotowe.

- Poddaję się. Simon, zacznijmy wreszcie ładować to wszystko do samochodu.

Ułożenie Simona do snu wymagało cierpliwości i dużej siły perswazji. Zoe nie mogła mieć mu za złe, że omal nie wyskoczył ze skóry z zachwytu i podniecenia. Pokój przeznaczony dla niego był dwa razy większy od tego, który miał w domu, i wyposażony w sprzęt audiowizualny, łącznie z telewizorem. Choć twardo określiła reguły, zamierzała nasłuchiwać, czy telewizor nie gra mimo pory spania.

Rozpakowała swoje rzeczy, układając ubrania w pachnących cedrem szufladach zabytkowej mahoniowej komody i ustawiła przybory toaletowe na szerokim jasnozielonym blacie w przyległej łazience.

Tylko się nie przyzwyczajaj, ostrzegła siebie w duchu, przesuwając palcami po delikatnej koroncy narzuty rozpostartej na łożu z baldachimem, w którym miała spać.

To kwestia zaledwie kilku dni. Jak rozdział baśniowej opowieści.

Popatrzyła na drewniany kasetonowy sufit o barwie miodu, zastanawiając się, jakie

będzie miała odczucia, budząc się rano w tym łóżku, w tym pokoju.

Gdy zasuwiała zamek pustej walizki, Brad zastukał w futrynę otwartych drzwi.

- Masz wszystko, czego ci potrzeba?

- Nawet więcej. Przepiękny pokój, zupełnie jakbym się znalazła wewnątrz ciepłego biszkopta. - Przykucnęła i wsunęła walizkę pod łóżko. - Korci mnie, żeby wziąć przykład z Simona i poskakać trochę na tym łóżku.

- Nie krępuj się.

Mimo uśmiechu jej oczy wyrażały niepokój. Gestem wskazała żółte róże na komodzie.

- Aż tak byłeś pewien, że postawisz na swoim?

- Nie wątpiłem w twój zdrowy rozsądek i wolę doprowadzenia poszukiwań do końca.

- Umiesz postępować z ludźmi. - Ponownie musnęła palcami narzutę. - Bardzo zręcznie.

- Ponadto chciałem zapewnić tobie i Simonowi maksimum bezpieczeństwa. Gdybym musiał wyrzucić na ciebie nacisk, nie zawahałbym się. Jestem ci wdzięczny, że oszczędziłaś tego nam obojgu.

- Gdybyś próbował wywierać na mnie nacisk, złość zagłuszyłaby zdrowy rozsądek. Tak czy inaczej rozsądniej jest trzymać się razem.

- Słusznie. Pozwolisz mi wśliznąć się tutaj w środku nocy?

Spróbowała zmierzyć go chłodnym spojrzeniem, lecz jej wargi zadrgały.

- Dom należy do ciebie.

- A wybór do ciebie.

Parsknęła śmiechem, pokręciła głową.

- Bardzo zręcznie. Musimy porozmawiać. Czy możemy zejść na dół?

- Jasne. - Wyciągnął rękę i choć dostrzegł wahanie Zoe, czekał cierpliwie, aż podejdzie i poda mu dłoń. - Co powiesz na kieliszek wina przy kominku?

- Byłoby cudownie. Wszystko tu jest cudowne. Panicznie się boję, że Simon coś stłucze.

- Daj spokój. Kiedy tylko wróciłem, odwiedził mnie Flynn z Moem. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił pies, był rajd po domu i rozbicie lampy. Nie nazwałbym tego narodową tragedią.

- Cała sytuacja sprawia, że czuję się trochę spięta.

- Wejdz i usiądź. Przyniosę wino.

Ogień na kominku już buzował. Bradley musiał o to zadbać, kiedy się rozpakowywała. Podobnie jak reszta domu, pokój był urządony ze smakiem. Wszystkie

przedmioty, drobiazgi, w większości zapewne pochodzenia zagranicznego, nawet sposób ich rozmieszczenia - świadczyły, że gospodarz wie, czego chce, i przywykł posiadać tylko to, co najlepsze.

Podeszła do obrazu przedstawiającego fragment paryskiej ulicy: kafejkę z kolorowymi parasolami, rzekę kwiatów, majestatyczny Łuk Tryumfalny w tle.

Zupełnie co innego niż jej pocztówki w ramkach.

I on siedział w jednej z tych gwarnych kafejek, popijając mocną czarną kawę z maleńkiej filiżanki - podczas gdy ona mogła o tym tylko marzyć.

Braci wszedł z butelką wina w jednej ręce i dwoma kieliszkami w drugiej.

- Kupiłem go dwa lata temu - odezwał się, stając obok Zoe. - Spodobał mi się ten ruch, ta zatłoczona ulica. Człowiek niemal słyszy trąbienie klaksonów. - Nappełnił jeden z kieliszków i zaczął czekać, aż Zoe go weźmie. - My, Vane'owie, nie potrafimy się powstrzymać przed kolekcjonowaniem dzieł sztuki.

- Może powinieneś pomyśleć o założeniu muzeum.

- Prawdę mówiąc, ojciec snuje pewne plany. To ma być hotel albo ośrodek wypoczynkowy. Umieściłby tam część swoich zbiorów i zyskał pretekst do dalszych zakupów.

- Zbuduje hotel tylko dlatego, żeby mieć gdzie pomieścić kolekcję dzieł sztuki?

- Nie tylko. Jest przedsiębiorczym człowiekiem. Sztuka, drewno i kapitalizm uchodzą za najważniejsze słowa w rodzinie Vane'ów. Rozgląda się za odpowiednim kawałkiem ziemi tu w górach, gdzie wszystko się zaczęło. - Ze swobodną pewnością siebie wzruszył ramionami. - Jeżeli nie znajdzie, poszuka gdzie indziej. Kiedy B.C. naprawdę wie, czego chce, nie przyjmuje do wiadomości przeczących odpowiedzi.

- Więc doszedł do tego uczciwą drogą?

- Potraktuję to jako komplement. Mój ojciec jest przyzwoitym człowiekiem. Trochę onieśmielającym, ale dobrym. Zawsze był dobrym mężem, ojcem i doskonałym biznesmenem. Spodobałabyś mu się.

- Nie wyobrażam sobie - odparła słabo.

- Podziwiałby cię za to, jak pokierowałaś swoim życiem, czego dokonałaś. Czego nadal dokonujesz. Uznałby, że masz charakter, a to właśnie ceni najbardziej.

Zoe przypuszczała, że człowiek pokroju B.C. Vane'a usmażyłby ją na wolnym ogniu, gdyby wiedział, że związała się z jego synem.

- Kochasz ich? Swoich rodziców?

- Bardzo.

- Nie wiem, czy kocham moją matkę - wyrwało się jej, zanim zdążyła pomyśleć. - To okropne, że tak mówię. Chciałabym, ale nie wiem, czyją kocham. - Wstrząśnięta własnymi słowami, przysiadła na poręczu fotela. - A mojego taty nie widziałam od wielu lat. Nawet go nie znam, więc jak mogłabym go kochać? Opuścił nas. Zostawił żonę z czworgiem dzieci i nigdy nie wrócił.

- To musiało być ciężkie przeżycie. I dla ciebie, i dla twojej matki.

- Dla nas wszystkich - przyznała Zoe. - Ale przede wszystkim dla mamy. Nie tylko złamało serce, ale wysuszyło je tak, że stało się chropowate i szorstkie, i nic już nie pozostało dla nas. Kiedy odszedł, wyruszyła za nim. Myślałam, że nie wróci.

- Zostawiła was samych? - W głosie Brada zadrgało oburzenie.

- Zostawiła czwórkę dzieci samych?

- Za wszelką cenę chciała go odzyskać. Nie było jej tylko kilka dni, ale... Boże, strasznie się bałam. Co bym zrobiła, gdyby nie wróciła?

- Nie miałaś do kogo zadzwonić, zwrócić się o pomoc?

- Była siostra mamy, ale ciągle się kłóciły, więc nie chciałam do niej dzwonić. Nie wiedziałam, czy w zaistniałej sytuacji wypada kontaktować się z rodziną taty. W gruncie rzeczy nie miałam zielonego pojęcia, co robić, więc nic nie zrobiłam. Pilnowałam tylko dzieciaków i czekałam na jej powrót.

Nie potrafił tego pojąć.

- Ile miałaś lat?

- Dwanaście. Junior był zaledwie o rok młodszy i w ogóle mnie nie słuchał. Joleen miała, zdaje się, osiem i przez cały czas płakała. Nigdy przedtem ani potem nie widziałam, żeby ktoś tak płakał - westchnęła Zoe. - Mazie, najmłodsza, była pięcioletnim dzieckiem i nie bardzo rozumiała, co się dzieje, wiedziała tylko, że coś jest nie tak. Nie mogłam jej spuścić z oczu. Myślałam z przerażeniem, co będzie, kiedy zabraknie nam jedzenia i pieniędzy.

Przesunęła się, usiadła w fotelu i opuściła dłoń z kieliszkiem między kolana.

- Ale mama wróciła. Pamiętam, jaka wydawała mi się zmęczona i surowa. Potem miała wyglądać jeszcze gorzej, jeszcze surowiej. Robiła dla nas, co mogła. Dokładała wszelkich starań, ale nie sądzę, by nas kochała. Chyba już nie potrafiła. - Zoe spojrzała Bradowi w oczy. - Z takiej rodziny pochodzę. Chciałam, żebyś wiedział.

- Czy myślisz, że to, co mówisz, zmieni moje uczucia dla ciebie? Że jeśli uznam twoich rodziców za nieodpowiedzialnych egoistów, przestanę cię kochać?

Jej ręka drgnęła, wino przelało się przez krawędź kieliszka.

- Nie mów tak. Nie mów o miłości, skoro nawet mnie nie znasz.

- Znam cię, Zoe. Chcesz, żebym ci powiedział, co o tobie wiem? Co widzę, co czuję?

Pokręciła głową.

- Boże, nie mam pojęcia, jak postąpić. Jak ci wytłumaczyć, co się ze mną dzieje? Boję się, że jeśli znowu dam się ponieść uczuciom, ja także zapłacę za to wewnętrzną pustką.

- Tak jak w wypadku Jamesa Marshalla?

Westchnęła.

- Kochałam go, Bradleyu. Bardzo go kochałam. Zupełnie jakbym się znalazła w kryształowej kuli, w której wszystko jest świetliste i jasne. To nie była zwykła lekkomyślność i nierozwaga.

Usiadł obok niej.

- Opowiedz mi. Pragnę wiedzieć - dodał, zauważywszy jej wahanie. - A jeśli to za słaby argument, pomyśl, że cofnięcie się razem ze mną w przeszłość może się okazać krokiem w stronę klucza.

- Nie wstydzę się - powiedziała cicho. - To nie kwestia wstydu, tylko po prostu... pewne wydarzenia, pewne uczucia zawsze zachowywałam wyłącznie dla siebie. Ale zasłużyłeś na to, by o nich usłyszeć.

Dotknął przelotnie grzbietu jej dłoni.

- Jak go poznałeś?

- Chyba można powiedzieć, że za pośrednictwem naszych matek. Moja cesała panią Marshall. Jeździła do niej do domu przed jakimś przyjęciem albo gdy pani Marshall dokądś się wybierała. Czasami towarzyszyłam mamie, robiłam pani Marshall manikiur albo myłam jej głowę. Była dla mnie miła. Zawsze życzliwa, nie zadzierała nosa. W każdym razie nie bardzo - poprawiła się. - Rozmawiała ze mną, odpowiadała na moje pytania dotyczące obrazów na ścianach i kwiatów na komodzie. Pytała o szkołę, o chłopców. I za każdym razem wsuwała mi do ręki pięć dolarów napiwku, kiedy mama nie patrzyła. James przebywał w szkole. Widywałam go od czasu do czasu, lecz on w ogóle mnie nie dostrzegał. Oglądałam jego zdjęcia na biurku pani Marshall. Był taki przystojny, zupełnie jak rycerz albo księżę z bajki. Może już wtedy trochę się zakochałam. Dziewczynom się to zdarza.

- Chłopcom także - wtrącił Brad.

- Możliwe. Często wydawali przyjęcia w tym dużym domu. Pani Marshall przepadała za przyjęciami. Zatrudniła mnie kilka razy do pomocy i nawet kupiła mi porządną czarną spódnicę i białą bluzkę, żebym ładnie wyglądała. Jedno z tych przyjęć wydali wiosną, kiedy James przyjechał ze szkoły. I zauważył mnie.

Popatrzyła na swój kieliszek, jak gdyby zapomniała, że go trzyma. Zbierając myśli,

upiła łyk wina.

- Wszedł za mną do kuchni, nawiązał rozmowę, trochę flirtował. Byłam nieśmiała, czułam się przy nim niezręcznie. Ale on zachowywał się bardzo miło. Po przyjęciu i sprzątaniu odwiózł mnie do domu. - Wzruszyła ramionami. - Właściwie nie powinnam była mu pozwolić. Wiedziałam, że jego mamie by się to nie podobało. A moja? Obdarłaby mnie ze skóry. Ale nie mogłam się oprzeć. Podobnie jak nie mogłam się oprzeć, żeby go znowu nie zobaczyć. Wymykałam się ukradkiem na spotkania, ponieważ jego rodzice i moja mama na pewno by nam zabronili. Dzięki temu wszystko wydawało się jeszcze bardziej ekscytujące i cudowne. Jak Romeo i Julia. Obydwoje byliśmy wystarczająco młodzi, by myśleć w ten sposób. By od razu wyobrazić sobie wielką miłość, nie zastanawiając się nad niczym innym.

Spojrzała na Brada i bez trudu odczytała jego myśli.

- Sądysz, że mnie skrzywdził i wykorzystał, ale się mylisz. Może nie kochał tak jak ja, może wydawało mu się, że mnie kocha. Miał dopiero dziewiętnaście lat i też dał się porwać romantyzmowi sytuacji.

- Zoe, dziewiętnastolatek z takiego środowiska, prowadzący taki tryb życia musiał wiedzieć znacznie więcej o... różnych sprawach.

- Może. Zwłaszcza że ja w ogóle niewiele wiedziałam. Ale on mnie nie ponaglał, Bradleyu. Nie chcę, żebyś tak myślał. Niczego nie żądał, nie nalegał i nie ponosi większej winy niż ja. Po prostu stało się.

- A gdy mu powiedziałaś, że jesteś w ciąży?

Nabrała tchu, powoli i głęboko.

- Minęły dwa miesiące, zanim się dowiedziałam. Niezbyt dobrze się orientowałam w tych sprawach. Zyskałam pewność dopiero we wrześniu, a on już wyjechał do college'u. Powiedziałam mu, kiedy przyjechał na weekend do domu. Był zły i przestraszony. Domyślałam się, patrząc z dzisiejszej perspektywy, że jego uczucia zdążyły już przygasnąć. Studiuje w college'u, jest pochłonięty swoimi sprawami i nagle się okazuje, że jakaś dziewczyna, która właściwie przestała go interesować, zaszła w ciążę.

- Tak, miał chłopak pecha.

Nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu.

- Strasznie jesteś dla niego surowy.

- Dopiero byłbym, gdyby trafiła mi się okazja. - Zirytowany, wstał i nalał pół kieliszka wina. - Chyba jestem trochę zazdrosny. Ale głównie chodzi o to, że zostawił cię ze wszystkim samą.

- Powiedział, że zrobimy, co należy, że będzie ze mną. Sądzę, iż tak myślał naprawdę,

choć był zły i przestraszony. Wierzył w to, co mówi.

- Słowa nic nie kosztują.

- Racja. - Powoli pokiwała głową, gdy Brad okrążył pokój. - Ktoś taki jak ty dotrzywałby obietnicy. Nie każdy jest ulepiony z tej samej gliny. I czasami to, co słuszne, okazuje się czymś innym, niż ci się wydawało. Znalazłam się w tym miejscu, ponieważ James nie dotrzymał słowa, więc właśnie to okazało się słuszne. Dla mnie i dla Simona.

- W porządku. Co było dalej?

- Miał zawiadomić swoich rodziców, ja moją mamę, a potem zamierzaliśmy zrobić, co należy.

- Ale nie zawiadomił.

- Powiedział rodzicom, ja też wyznałam mamie. Była wściekła, lecz jednocześnie w jakiś sposób zadowolona. Wyczytałam to z jej twarzy. Myślała zapewne, że dobrze mi tak, bo czułam się lepsza od innych, a teraz wreszcie zobaczę, gdzie moje miejsce. Jednak kiedy przyszła pani Marshall, mama stanęła w mojej obronie.

Zoe dumnym ruchem uniosła podbródek.

- Pani Marshall oświadczyła, że jestem kłamczucha i oszustką, ulicznicą, która podstępem nakłoniła jej syna do potajemnych spotkań. Nie pozwoli, żebym wciągnęła chłopca do rynsztoka, a fakt, że zaszłam w ciążę, nie dowodzi, że dziecko jest jego. Tak czy inaczej nie będzie przez całe życie płacił rachunków za zadawanie się ze mną. Dodała jeszcze parę słów, jak to wpuściła mnie do swego domu, obdarzyła zaufaniem, a ja okazałam się złodziejką i dziwką. Rzuciła na stół czek na pięć tysięcy dolarów i powiedziała, że nic więcej mi się nie należy. Mogę zrobić skrobankę czy cokolwiek, ale nie dostanę ani centa więcej, a gdybym próbowała wyciągnąć coś jeszcze albo spotkać się z Jamesem, już ona się postara, żeby moja rodzina za to zapłaciła.

- Nosłaś w sobie jej wnuka.

- Ona nie patrzyła na to w ten sposób. Nie potrafiła. I mogła skrzywdzić moją rodzinę. Miała pieniądze i wpływy, a ja nie miałam jak się bronić. James wyjechał, nie wiedziałam dokąd. Jeszcze we wrześniu napisałam do niego na adres college'u. Zapytałam, co mam robić, czego ode mnie oczekuje. Nie odpisał, i to była dla mnie wystarczająca odpowiedź. Wzięłam pieniądze, także swoje oszczędności, i wyjechałam. Nie zamierzałam wychowywać dziecka w przyczepie. Ani w pobliżu Marshallów. Kiedy Simon się urodził, wysłałam do Jamesa drugi list ze zdjęciem dziecka. List wrócił nieotwarty. Więc dałam sobie spokój i przyrzekłam, że sama zatroszczę się o nas oboje. Nie zamierzałam szukać nikogo, kto by poprawił albo odmienił nasz los, albo wskazał mi, co mam robić. Nikogo, kto by mi mówił, że mnie kocha i

postąpi jak należy.

Brad usiadł z powrotem, wyjął z palców Zoe kieliszek z zapomnianym winem i odstawił go na bok.

- Już dowiedziałś, że potrafisz doskonale zadbać o siebie i Simona. Bez niczyjej pomocy. Czy musisz to nadal udowadniać?

- Jeżeli dopuszczę do czegoś takiego między nami, a potem odejdiesz... Nie jestem dość odważna, by podjąć takie ryzyko. Może bym była, gdyby chodziło tylko o mnie. Ale sprawy przedstawiają się inaczej.

- Nie wierzysz, że jestem w tobie zakochany.

- Wierzę, że tak ci się wydaje, i wiem, że nikt by cię nie powstrzymał przed zrobieniem tego, co uważasz za słuszne. Nawet gdyby to nie było dobre dla ciebie. Dlatego proszę, żebyś zaczekał do końca miesiąca, aż wszystko przestanie być tak romantyczne i ekscytujące. A potem zobaczmy, jak nam się ułoży.

Patrzy w lustro, pomyślał, widząc w nim odbicie tego, co ją łączyło z Jamesem i porównuje z obecną sytuacją. Z wysiłkiem stłumił urazę, szukając w sobie zrozumienia.

- Chcę ci zadać jedno pytanie. Tylko jedno. Kochasz mnie?

- Nie mogę cię nie kochać. Ale mogę zdecydować, co z tym zrobić.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zoe nabrała pewności, że poszła niewłaściwym tropem. Była w „Pokusie”, przeszukała samotnie wszystkie piętra i strych, wpatrywała się w lustro. Ale nie natrafiła na żadną wskazówkę. Nie pojawił się żaden błysk olśnienia ani natchnienia.

Ani śladu klucza.

Wróciła do swojego domu i przesiedziała godzinę w salonie. Choć czuła się trochę głupio, zaciągnęła zasłony, zapaliła świece i spróbowała wprowadzić się w stan pogłębionej wiedzy lub „wyostrzonej percepcji”.

Omal nie zasnęła.

Była zmęczona, zniechęcona i rozdrażniona; najprawdopodobniej nie potrafiła się otworzyć na głos intuicji.

Postanowiła cofnąć się do początku, podjąć jeszcze jedną próbę.

Załatwiła opiekę dla Simona, zanim zwróciła się do Bradleya.

Zachowywał się uprzejmie, odkąd zamieszkali w gościnnych pokojach. Trochę chłodno, pomyślała Zoe, maszerując w stronę jego gabinetu. Ale nie miała mu tego za złe.

Zapukała i gdy zawołał, żeby wejść, pchnęła drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale... Och. - Jej uwagę przyciągnęły olbrzymie światłokopie rozpięte na tablicy. - To są twoje plany rozbudowy.

- Tak. Naniesiemy kilka zmian, ale to już końcówka. Zaczynamy w marcu, gdy tylko pogoda pozwoli.

- I to wszystko dodatek do działu ogrodniczego?

- Rozszerzam go o drugie tyle. Właściciele domów życzą sobie drzew, krzewów, kwiatów i warzyw oraz rozmaitych narzędzi ogrodniczych. - Uderzał palcami po udzie, obserwując Zoe, która przyglądała się projektom. - Dochodzi jeszcze urządzenie ogrodu. A ten dział, o tutaj, będzie obejmował nowy asortyment mebli ogrodowych.

- Bardzo ambitne plany.

- Zamierzam je zrealizować. Jeżeli ci na czymś zależy, nie szczędzisz wysiłków, żeby to urzeczywistnić.

- Wiem, że jesteś na mnie zły.

- Trochę. Przede wszystkim jestem sfrustrowany. Jedziesz do miasta?

- Nie. Nie dzisiaj. Rozmawiałam z Flynnem. Zgodził się przez kilka godzin zaopiekować Simonem. Brak mu Moego, a Simon nie ma nic przeciwko spędzeniu części soboty na zabawie z Flynnem i psem. Bo ja... Chciałabym jeszcze raz pojechać do Zachodniej

Wirginii, do lasu. Sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyłam. Mówię ci o swoich planach, ponieważ nie chcę, żebyś się martwił i denerwował.

- Zawiozę cię tam.

- Dobrze. - Ucisk w żołądku zelżał. - Nawet niezły pomysł. W drodze powrotnej muszę się zatrzymać w pewnym miejscu, ale o tym jeszcze porozmawiamy. Byłabym wdzięczna, gdybyśmy wyruszyli w miarę szybko.

- Daj mi pięć minut.

- Dzięki. Pójdę doprowadzić Simona i Moego do porządku.

Kiedy wyszła, Brad wyjął z zamykanej na klucz szuflady myśliwski nóż i palcem sprawdził ostrze.

Zoe starała się zachowywać swobodnie, gdy wyjeżdżali z Valley.

- Hm... Jedną ze spraw, o których chciałam z tobą porozmawiać, jest Święto Dziękczynienia. Malory wspomniała, że zamierzasz je spędzić tutaj.

- To niezbyt dobra pora na wyjazd.

- Nie. - Święto wypadło w przeddzień jej ostatecznego terminu. Za niecały tydzień przesypanie się cały piasek w klepsydrze. - Zastanawiałam się, czyby ci odpowiadało, gdybyśmy wszyscy siedmioro urządzili je u ciebie. Jadalnia Malory nie jest jeszcze gotowa, a twoja i tak jest większa. Mogłabym wziąć na siebie przyrządzenie kolacji i...

- Tak. - Dotknął jej dłoni. - Bardzo mi to odpowiada. Jeśli zajmiesz się gotowaniem, ja zrobię zakupy. Przygotuj listę.

- To uprości sprawę. Mamy niewiele czasu. Spojrzał na nią uważnie.

- Czasu nam wystarczy.

- Liczę na to. Jest jeszcze coś, w czym mógłbyś mi pomóc. Chcę zajrzeć do schroniska i wybrać szczeniaka dla Simona. Po Święcie Dziękczynienia, gdy... to wszystko się skończy, pojedę po niego. Powiedzieli, że zatrzymają go dla mnie przez tydzień.

- Dlaczego nie weźmiesz go od razu?

- Istotnie, świetny pomysł: chłopiec, wielkie psisko i mały szczeniak uganiający się po twoim domu. Szczeniak, który siusiałby ci na dywany i obgryzał wszystko, co się da. Zaczekamy, aż wrócimy do siebie.

- Logiczne - skwitował Brad i nie drażył tematu.

Pokazała mu, w którym miejscu należy skręcić z głównej drogi w boczną, a potem poprosiła, by zatrzymał się na skraju pola, tak jak ona poprzednim razem.

- Piękna okolica.

- Piękna. - Zoe wysiadła z auta, a rześkie powietrze natychmiast zaróżowiło jej

policzki. - Kocham wzgórze. Nigdy nie chciałam mieszkać gdzieś, gdzie nie byłoby wzgórz. I drzew.

Prześliznęła się między drutami ogrodzenia.

- Bawiłam się w tym lesie, kiedy byłam mała i chodziłam tam pomarzyć, kiedy byłam starsza.

- O czym marzyłaś?

- Och, o miejscach, które odwiedzę, rzeczach, które zobaczę, ludziach, których poznam.

- O chłopakach?

- Rzadko. I chyba później niż większość dziewczyn. Myślałam sobie, że za nic w świecie nie ugrzęznę w domu z mężem i gromadką dzieci, nie robiąc i nie przeżywając niczego wyjątkowego. Może satysfakcja mamy była uzasadniona.

- Nie była.

- Miałam po dziurki w nosie opiekowania się siostrami i bratem, pomagania w domu. Zamartwiania się o rachunki i o to, czy wystarczy jedzenia dla wszystkich. Zanim skończyłam dwanaście lat, ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam, byli chłopcy, śluby i dzieci. Nawet nie bawiłam się lalkami.

Wziął ją za rękę, gdy zbliżyli się do drzew.

- A czym się bawiłaś?

- Narzędziami i farbami. Lubiłam majsterkować. Oddałam swoje lalki Joleen i Mazie. Nie było sensu opiekować się kimś na niby, skoro robiłam to naprawdę. Boże, pragnęłam się stąd wyrwać. Tak bardzo pragnęłam, Bradleyu, a potem pojawił się James. Nie oczekiwałam ciąży, ale... nie jestem pewna, czy nie zaświtało mi w głowie, że mimo wszystko mężczyzna i dzieci to jedyny sposób, żeby stąd uciec i osiągnąć więcej.

- A jeśli nawet, co z tego? - Przystanął, gdy znaleźli się na skraju lasu. - Co z tego, Zoe? Miałaś szesnaście lat.

- Nie zajmujemy się przeszłością, chcę, abyś wiedział, że nie patrzę na ciebie, tak to mogę określić, jak na sposób, by osiągnąć więcej. - Chwyliła obie jego dłonie, ścisnęła mocno. - Chcę, żebyś o tym wiedział, zanim wejdziemy do lasu.

- Wcale tak nie myślałem. Cholera, nawet siłą nie potrafię cię zmusić, żebyś przyjęła coś więcej. - By uspokoić Zoe i siebie, uniósł jej dłoń i przytulił do ust. - Aleja przyjąłbym więcej od ciebie. Pragnę czegoś więcej.

- Gdybym mogła ofiarować komukolwiek więcej, tym kimś byłbyś ty. - Otoczyła go ramionami, przywarła do niego. - Jesteś najlepszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam i

to mnie najbardziej przeraża.

- Najwyższy czas, żebyś mi pozwoliła samemu martwić się o siebie.

- Jeszcze tylko kilka dni - mruknęła, oderwała się od Brada, wzięła go za rękę i wkroczyła w las. - Wtedy zobaczyłam tu białego jelenia - powiedziała - i tylko jego. Dobrze się tu czułam. Spokojnie. Tutaj poczęłam Simona. To dla mnie dobre, ważne miejsce.

- Więc dla mnie również.

- Ruszyła ścieżką, którą szła poprzednio, lecz teraz nie pojawił się biały jeleni ani nie miała poczucia, że dzieje się coś ważnego. Gdy wyszli spomiędzy drzew na wysypany żwirem plac, Zoe ponownie przystanęła.

- Teraz zajrzę do mamy. Nie musisz iść ze mną.

- Nie chcesz, żebym ją poznał?

Spoglądając na przyczepy, wypuściła powietrze z płuc.

- Właściwie czemu nie. Sobota to dla niej pracowity dzień. Prawdopodobnie będzie miała klientki, więc nie zabawimy długo.

Jakieś dzieci kołysały się na zardzewiałej huśtawce, a mieszaniec dobermana, uwiązany na grubym łańcuchu, ujadł groźnie, jak gdyby zdążył już zakosztować krwi. Z przyczepy po lewej dobiegały odgłosy zażartej kłótni, a po prawej na rozchwianym schodku przysiadła dziewczynka, śpiewając lalce kołysankę. Uniosła oczy i obdarzyła Bradleya powolnym, uroczym uśmiechem.

- Usypiam Cissy - poinformowała szeptem. Przykucnął i przechylił głowę, przyglądając się lalce.

- Jest bardzo ładna.

- To moje słodkie maleństwo.

Za plecami dziewczynki otworzyły się drzwi i wyszła młoda kobieta ze ścierką do naczyń w ręku. Jej oczy spoglądały nieufnie.

- Mogę w czymś pomóc? - Położyła dłoń na ramieniu dziecka.

- Właśnie podziwialiśmy Cissy - odparł Brad.

- Jestem Zoe, córka Crystal McCourt. - Rozumiejąc ostrożność matki, Zoe stanęła obok Brada, dotknęła jego barku. - Wpadliśmy ją odwiedzić.

- Och. - Kobieta wyraźnie się odprężyła. - Miło mi państwa poznać. Trochę się przestraszyłam. Chloe wie, że nie wolno jej rozmawiać z nieznajomymi, ale nie potrafi się powstrzymać. Ufa każdemu. Proszę pozdrowić panią McCourt i podziękować jej ode mnie, że tak ładnie podcięła Chloe włosy.

- Dobrze.

Odchodząc, Zoe usłyszała za sobą głos kobiety:

- Chodź z mamą do domu, moje słodkie maleństwo.

- Niektórzy ludzie nie najgorzej układają sobie tutaj życie - powiedziała cicho. - Zakładają miniaturowe ogródki w skrzynkach i w lecie urządzają pikniki.

- A inni mieszkają w pałacach i nie potrafią ułożyć sobie życia. Nie chodzi o to, gdzie, tylko jak. I kim się jest.

Być może, pomyślała Zoe, warto o tym zawsze pamiętać.

- Ta jest nasza. To znaczy jej. To znaczy nasza. - Opuściła rękę, którą wskazywała dużą, obskurnie wyglądającą, zieloną przyczepę. - Wstyd mi, że się jej wstydzę. I gardzę sobą za tę niechęć, z jaką ci ją pokazuję. Mama ciągle powtarzała, że jestem zbyt dumna. Chyba miała rację.

- Więc mimo wszystko nie jesteś doskonała. Wydaje mi się, że jednak cię nie kocham.

Próbowała się zaśmiać, lecz ścisnęło jej się gardło.

- Przedstawisz mnie swojej matce, Zoe, czy mam po prostu podejść i zapukać do drzwi?

- Nie spodobasz jej się.

- Nie bierzesz pod uwagę mojego niepospolitego wdzięku. Słyszac jego rozbawiony, pewny siebie ton, Zoe uniosła oczy.

- Między innymi to właśnie jej się nie spodoba.

Zrezygnowana, ruszyła przed siebie. Dotarwszy do drzwi, usłyszała dobiegającą zza nich paplaninę. Młode głosy, co najmniej dwa.

Po sobotnim przedpołudniu nadchodzi sobotni wieczór, pomyślała. Wieczór randek. Dziewczyny przyszły zrobić się na bóstwa. Zapukała w metalowe obramowanie siatki, otworzyła ją ze skrzypnięciem i mocno pchnęła ramieniem drzwi.

Dziewczyn było trzy. Jedna miała na włosach utleniającą substancję - postanowiła zostać blondynką. Krótka fryzura drugiej zdążyła już wyschnąć, a trzecia czekała na swoją kolej i pokazywała koleżankom wzór uczesania w magazynie mody.

Podekscytowany świergot umilkł, a potem rozległy się prychnięcia i chichoty, gdy za plecami Zoe stanął Brad.

W powietrzu unosił się zapach rozjaśniacza i farby do włosów, dymu i kolacji z poprzedniego wieczoru.

Crystal skończyła ustawianie minutnika i odwróciła się od blatu. Uniosła wysoko brwi.

- Przywiało cię tu już drugi raz w tym miesiącu, a przecież nawet nie mam urodzin. -

Jej pytające spojrzenie zatrzymało się na Bradzie.

- Byłam w okolicy. Chciałam ci przedstawić mojego przyjaciela Bradleya.

- Bradley. Szykowne imię.

- Miło mi panią poznać, pani McCourt.

- Za duży tu tłok. - Zgarnęła papierosy i jaskraworóżową zapalniczkę Bic. - Wyjdźmy na zewnątrz.

- Zegnam panie - zwrócił się Brad do dziewcząt, wywołując kolejną falę chichotów.

- Widzę, że jesteś zajęta - zaczęła Zoe.

- Sobotni ruch w interesie. - Gdy zamknęły się za nią drzwi, Crystal pstryknęła zapalniczką, wydmuchnęła smugę dymu. - Jacobsonówna życzy sobie zostać blondynką. Jak Britney Spears. Miała całkiem ładne kasztanowate włosy, ale co mnie to w końcu obchodzi, że chce je zmarnować.

- Czy to jest Haley Jacobson? Kiedy ją ostatnio widziałam, była małym brzdącem.

- Ma szesnaście lat. Tyle co ty, gdy zwiłaś. Jeśli dalej będzie tak kręciła tyłkiem, narobi sobie kłopotów, takich samych jak ty.

- Już od bardzo dawna nie uważam tego za kłopot. - Zoe zdawała wała sobie sprawę, że dziewczęta nadstawiają uszu, a ponieważ matka nie zadała sobie trudu ściszenia głosu, słyszą każde słowo. - Simon to najlepsze, co mnie w życiu spotkało.

- Mówiłaś, że nie jesteś w odmiennym stanie. - Crystal ponownie obrzuciła Brada badawczym spojrzeniem, a zmarszczka między brwiami zarysowała się wyraźniej. - Przyjechałaś mi powiedzieć, że jednak jesteś?

- Nie. Bradley... on...

- Zoe i Simon są dla mnie ważni - wtrącił gładko Brad. - Pragnąłem panią poznać. Zoe mówiła, że wychowała pani czworo dzieci właściwie bez niczyjej pomocy. Zapewne stąd czerpie swoją odwagę.

Wytworne imię, wytworny wygląd, wytworna gadka, pomyślała Crystal, wypuszczając nosem dym.

- Nie trzeba odwagi, żeby wychować dzieciaki. Trzeba mieć mocny grzbiet.

- Przypuszczam, że jedno i drugie. Ma pani piękną i niezwykłą córkę, pani McCourt. Musi pani być z niej bardzo dumna.

- Bradley. Szykowne imię i salonowe maniery. Chce pan ją brać, pańska sprawa. - Wzruszyła chudym ramieniem, jakby było jej wszystko jedno. - Jest pracowita i zdrowa. Mało kwęka.

- Będę to miał na uwadze - powiedział spokojnie Brad, rozśmieszając Crystal wbrew

jej woli.

- Może gust jej się poprawił. Nie wygląda pan na kompletnego dupka.

- Dziękuję.

- Nigdy nie wymigiwałaś się od pracy - zwróciła się do córki z nutką sympatii w głosie. - Muszę ci to przyznać. - Pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę, dotknęła włosów Zoe. - Niezła fryzura. .. stylowa. No i nigdy nie byłaś głupia. Wygląda mi na to, że masz szansę wejść w wielki świat, więc ją wykorzystaj i już. Kobieta powinna brać, co jej się nadarza.

- Mamo.

- Mówię, co myślę. Zawsze taka byłam i będę. - Crystal rzuciła niedopałek na ziemię, przydeptała go. - Muszę wracać. Postaraj się tym razem o obrączkę - poleciła córce i uniosła podbródek, spoglądając na Brada. - Mógł pan trafić gorzej.

Odciągnęła siatkę, weszła do środka. I zamknęła za sobą drzwi.

- Nigdy mi się z nią nie udaje. Po prostu nigdy. - Zoe zamrużyła gwałtownie, gdy poczuła pod powiekami łzy. - Czas na nas.

Niemal biegiem ruszyła w stronę lasu i nie podniosła głowy, kiedy Brad wziął ją pod rękę.

- Ona cię nie rozumie.

- Zawsze tak było.

- Nie rozumie twojego wewnętrznego świata. Ani tego, że nie bierzesz, co ci się nadarza, tylko pragniesz czegoś dokonać. Nie rozumie cię, więc nie potrafi kochać.

- Nie wiem, co na to poradzić.

- Jeśli będziesz dalej próbować, zapłacisz za wszystko bólem. Jeśli przestaniesz próbować, również zapłacisz bólem. - Uspokajająco przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion. - Rozumiem cię, Zoe, więc wiem, co wybierzesz.

Obejrzała się w stronę przyczepy.

- Wrócę tu na Boże Narodzenie i może... po prostu może. - Uznała, że obydwójce tego potrzebują, więc zmusiła się do uśmiechu. - Mówiłam, że jej się nie spodobaś.

- Właśnie, że się spodobałem. Wpadła w moje sidła. - Pochylił głowę i lekko pocałował Zoe w usta. - Tak samo jak jej córka.

- Sądzisz, że ze mną poszło ci jak z płatka?

- Dlaczego właściwie mówi się „jak z płatka”? Co ma płatek do rzeczy?

- Powinieneś zapytać Dane. Wyszukałaby to gdzieś, nie mam pojęcia gdzie, i usłyszałbyś obszerny wykład na interesujący temat. Nie znam drugiej osoby, która by miała

taką smykałkę do słów. Dla mnie zawsze najważniejsze były liczby. A teraz przyjaźnię się z Daną, która wie wszystko o książkach, i z Malory, która zna się na sztuce. Przez ostatnie dwa miesiące wiele się od nich nauczyłam. Czasami wszystko wydaje mi się snem. - Zawiesiła głos, rozglądając się wokół. - Rano otworzę oczy i okaże się, że nic się nie zmieniło. Że wciąż pracuję u tej jędzy Carly i nie poznałam Dany ani Mai. Przeczytam w gazecie artykuł Flynna, nie znając autora. Albo zobaczę nową książkę Jordana i zacznę się zastanawiać, jak on może wyglądać. - Spojrzała na Brada, dotknęła jego policzka. - I nie będę znała ciebie. Kupię coś w Home - Makers i nawet nie pomyślę o tobie, ponieważ to wszystko się nie zdarzyło.

- Jest prawdziwe. - Mocno zacisnął palce na nadgarstku Zoe, żeby poczuła dotyk, żeby on sam wyczuł jej tętno. - To jest rzeczywiste.

- Gdyby nie było, gdybym się obudziła po długim i zawiłym śnie, chyba serce by mi pękło. - Obejrzała się na przyczepę, w której mieszkała matka. - Albo jeszcze gorzej. Cokolwiek się stanie, jakkolwiek się skończy, nie zniosłabym tego, gdybym cię nie spotkała. Pocałuj mnie. - Wspięła się na palce i pochyliła ku niemu. - Zechcesz?

Przyciągnął ją do siebie i delikatnie całował usta, pozwalając tej chwili trwać. Zoe westchnęła, zarzuciła mu ramiona na szyję i to było piękniejsze niż wszelkie senne marzenia.

Przeszył ją dreszcz słodkiego bólu, w oczach zapiekły łzy. Powietrze było chłodne, a jego wargi rozkosznie ciepłe. Nigdy nie przypuszczała, że miłość może być taka.

Pieszczotliwie gładził długie włosy Zoe. Pragnęła go całą sobą. Czowała, jak jej ciało wibruje.

Cofnęła się, spojrzała w roziskrzone niebieskie oczy. Nie otarła łzy, spływającej po policzku.

- James - powiedziała miękko, ujmując w dłonie jego twarz.

- Kocham cię, Zoe. - Głos Jamesa, żarliwy, nieco zdyszany, dochodził do niej. - Jesteśmy stworzeni dla siebie. Nikt inny nie wzbudzi w tobie takich uczuć.

- To prawda. - Porwana falą miłości, wzbierającą w szesnastoletnim sercu, przytuliła jego dłoń do ust, do policzka, przytrzymała. - Dla żadnego z nas nic już nie będzie takie samo.

- Wyjedziemy razem. Nigdy się nie rozstaniemy.

Rozchyliła usta w uśmiechu. Bardzo łagodnym uśmiechu.

- Nie. - Pocałowała go bez cienia żalu i odstępowała o krok. - Żegnaj, James.

Brad podtrzymał ją, gdy zaczęła się osuwać na ziemię. Nie przestawał nią potrząsać i wzywać po imieniu, odkąd poczuł, że mu się wymyka. Oczy zaszyły mgłą, policzki zbieleły.

Nazwała go „Jamesem”.

- Spójrz na mnie. Cholera jasna, spójrz na mnie.

- Patrzę. - Głowa Zoe opadła w tył, z trudem odzyskiwała zdolność widzenia. - Patrzę na ciebie, Bradleyu.

- Wynośmy się stąd. - Chciał ją wziąć na ręce, lecz powstrzymała go gestem dłoni.

- Nie. Wszystko w porządku. Daj mi chwilę, żebym doszła do siebie. - Przysiadła na ziemi, podciągnęła kolana i oparła o nie czoło. - Trochę kręci mi się w głowie. Muszę się pozbierać.

Brad sięgnął pod kurtkę, wy dobył nóż z pochwy i obrzucił las długim, uważnym spojrzeniem. Potem przykucnął obok Zoe.

- Wyłączyłaś się, zupełnie jakby ktoś nacisnął w tobie jakiś guzik. Mówiłaś do mnie „James”.

- Wiem.

- Oddaliłaś się. Nie byłaś ze mną, byłaś z nim. Patrzyłaś na niego. - Z miłością, pomyślał. - Powiedziałaś, że nic już nie będzie takie samo.

- Wiem, co powiedziałam. Zabrał mnie w przeszłość. Kane zabrał mnie w przeszłość, ale zdawałam sobie z tego sprawę. - Nieco uspokojona, podniosła głowę. - Prawie od początku. Czulałam... Nie, nie wstydzę się tego, co czulałam, i nie żałuję. Gdyby było odwrotnie, znaczyłoby, że wstydzę się i żałuję, iż mam Simona. Przykro mi tylko, że Kane wykorzystał w ten sposób ciebie.

- Płakałaś. - Brad wyciągnął rękę, startł czubkiem palca łzę z policzka Zoe.

- Tak, płakałam nad Jamesem. I nad tym, co mogłoby być, gdyby okazał się silniejszy. A potem go pożegnałam. - Dotknęła dłoni Brada, oplotła ją palcami. - Kane chciał wywołać we mnie uczucia, którymi kiedyś darzyłam Jamesa. Chciał popsuć to, co jest między nami. Popsuł?

- Wkurzyłem się. I zabolało. - Popatrzył na ich złączone dłonie i po chwili obrócił swoją, tak że splótł palce z palcami Zoe. - Ale nie, niczego nie popsuł.

- Bradley... - Pochyliła się, by go pocałować, i zobaczyła nóż. Szeroko otworzyła oczy. - O Boże.

- Można go zranić - oznajmił Brad. - Jeśli nadarzy się sposobność, zamierzam wyrządzić mu krzywdę. - Wstał, chowając nóż, i wyciągnął rękę.

Zoe zwilżyła usta.

- Uważaj z tym narzędziem.

- Tak jest, proszę mamy.

- Wciąż czujesz się trochę wkurzony, prawda? Wiem, kim jesteś, Bradleyu. I wiem, kim ja jestem. Próbował mnie zmusić, żebym zapomniała, ale nie zdołał. To musi coś

znaczyć. Czulałam się zupełnie tak jak wtedy, gdy miałam szesnaście lat i byłam z Jamesem. Ciało, serce, umysł. Przesuwał dłoń wzdłuż moich włosów. Nosiłam wtedy długie włosy i często je gładził, kiedy mnie całował. To jest we mnie, w jednej z przegródek pamięci. Kane potrafi do nich sięgnąć.

Najwyższym wysiłkiem woli Brad zmusił się do myślenia o kluczu, odsuwając na bok sprawy osobiste.

- Co mówił? Co James ci powiedział?

- Że mnie kocha, że nikt inny nie wzbudzi we mnie takich uczuć. I to prawda. Ale... Bradley, ja wiedziałam. - Obróciła się energicznie. Jej twarz jaśniała. - Gdy tak stałam z włosami do pasa, trzymając w dłoniach jego twarz, wiedziałam, że owa chwila nie jest rzeczywista. Przemyślna sztuczka. I wykorzystałam tę wiedzę.

Złożyła ręce, przybliżyła je do ust i okręciła się wokół osi.

- Musiałam wrócić w to miejsce. Co więcej, musiałam wrócić z tobą. Ale klucza tutaj nie znajdę. - Opuściła ręce. - Nie ma go.

- Przykro mi.

- Nie. - Pokręciła głową i znowu zawirowała z promiennym uśmiechem. - Wiem, że go nie ma, czuję to. Nie muszę się zastanawiać, nie muszę więcej przyjeżdżać i niczego wypatrywać, ponieważ załatwiłam, co miałam do załatwienia. A raczej załatwiliśmy obydwójce.

Rzuciła się w ramiona Brada z takim impetem, że omal nie stracił równowagi. Śmiejąc się, objęła go w pasie i obdarzyła głośnym całusem.

- Nie wiem jeszcze, co to wszystko oznacza, ale się dowiem. Po raz pierwszy zaczynam wierzyć, że rozgryzę sprawę. Otworzę szkatułę, Bradley. - Przytuliła policzek do jego twarzy. - Otworzę, i one będą mogły wrócić do domu.

Gdy podjechali pod dom Flynna, Zoe zmierzyła Brada surowym spojrzeniem.

- Chcę wyraźnie podkreślić, że odpowiedzialność spada na ciebie.

- Już podkreśliłaś. Chyba ze sześć razy.

- Nie zamierzam się litować ani nad tobą, ani nad twoim mieniem.

- Tak, tak. Ple, ple.

Stłumiła śmiech i zachowała kamienną twarz, maszerując za nim w stronę domu.

- Po prostu pamiętaj, kto tu starał się myśleć praktycznie.

- Jasne. - Pchnął drzwi, posyłając jej szeroki uśmiech. - Ledwo spojrziałaś w te wielkie brązowe ślepie, już było po tobie.

- Mogłabym tydzień zaczekać.

- Akurat.

Tym razem ona się zaśmiała i postawiła szczeniaka na podłodze. Co sil w łapkach popędził korytarzem.

- To powinno być interesujące.

Moe wybiegł z kuchni i stanął jak wryty. Wybałuszył oczy, napiął mięśnie. A kulka szarobrazowego futra z radosnym piskiem podskoczyła, by pacnąć go w nos.

Zoe ruszyła ku nim, lecz Brad przytrzymał ją za ramię.

- A jeśli...

- Okaż trochę zaufania - zasugerował.

Moe wstrząsnął się i obwąchał psiaka, który fiknął koziółka. Następnie opadł na podłogę, przetoczył się na grzbiet i zastygł w błogiej pozie, podczas gdy szczeniak wgramolił się na niego i zaczął obgryzać mu uszy.

- Ty mięczaku - mruknęła Zoe. Uśmiechnęła się ciepło, zobaczywszy wychodzącego z kuchni Simona.

- Cześć, mamó! Podgrzaliśmy sobie z Flynnem lunch i... - Urwał, a jego oczy się zaokrągliły, gdy psiak runął ku niemu, porzuciwszy Moego. - Hej! Skąd tu się wziął szczeniak? - zapytał już z poziomu podłogi, zaśmiewając się, kiedy mały języczek lizał go po twarzy, a Moe usiłował się przyłączyć. - Wygląda zupełnie jak niedźwiadek czy coś. - Przygnieciony psami, Simon przekręcił głowę, by spojrzeć na Brada. - Jest twój? Kiedy go dostałeś? Jak ma na imię?

- Nie mój. Zjawił się dzisiaj. I nie ma imienia.

- Więc czyj... - Simon zastygł w bezruchu, wpatrując się w twarz matki.

- Należy do ciebie, kochanie.

W tym momencie wiedziała, że choćby szczeniak przegryzł się przez jej dom niczym kolonia termitów, nigdy nie będzie żałowała swojej decyzji. Nigdy nie zapomni wyrazu radosnego zdumienia na twarzy syna.

- Na zawsze? - Simon dźwignął się na klęczki. Jego głos drżał. - Mogę go zatrzymać na zawsze?

- On chyba właśnie na to liczy. - Podeszła, przyklękła obok i zmierzwiła miękką sierść pieska. - Musisz być bardzo odpowiedzialny, karmić go, szkolić i kochać. Przy takim szczeniaku jest mnóstwo pracy. Będzie od ciebie zależny.

- Mamó. - Zbyt przejęty, by krępowało go spojrzenie Brada, Simon zarzucił matce ręce na szyję i ukrył twarz na jej ramieniu. - Zaopiekuję się nim. Przyrzekam. Dzięki. Kocham cię najbardziej na świecie.

- A ja kocham ciebie najbardziej na świecie. - Odwzajemniła jego żarliwy uścisk i zaśmiała się przez łzy, kiedy obydwaj zwierzaki zaczęły się wpychać między nich. - Sądzę, że Moe będzie zadowolony z nowego przyjaciela.

- Zupełnie jak jedna wielka rodzina. - Simon uniósł wysoko szczeniaka.

Mały przybysz dał wyraz swojej radości, siusając mu na kolana.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zoe wtarła krem złuszczący w łydkę Dany i uśmiechnęła się, gdy przyjaciółka jęknęła przeciągle.

- Jestem wam naprawdę wdzięczna, że poświęcacie niedzielne popołudnie, żeby być moimi królikami doświadczalnymi.

Tym razem Dana tylko coś mruknęła. Malory siedziała na stołku w pokoju zabiegowym i wodziła palcami po świeżo oczyszczonej skórze.

- Nie do wiary, jakie to przyjemne uczucie.

- Nie martwiłam się o rezultat. Kosmetyki są doskonałe. Ale chcę mieć pewność, że dobrze działają kompleksowo.

- Mnie służą - dobiegł niewyraźny, stłumiony głos Dany.

Zoe rozejrzała się, lustrując półki z preparatami, migoczące świece, schludny stosik jasnozielonych ręczników na blacie, przejrzysty kryształ, który zawiesiła pod sufitem.

Jest tak, jak powinno być, pomyślała.

- Oczywiście gdy będziemy to robić na serio, nie ma mowy o żadnej paplaninie. Chcesz, żebyśmy były cicho, Dano?

- Nawet nie istniejecie w moim małym światku. W zapachu to jest równie przyjemne jak w dotyku.

- Dobrze, że podejmujemy taką próbę. - Malory wypiła łyk schłodzonej wody z cytryną, przygotowanej przez Zoe w pękatym szklanym dzbanku. - Jeżeli mamy otworzyć w piątek, warto opracować rozmaite warianty, oczywiście we wszystkich trzech dziedzinach. - Przełknęła głośno, przycisnęła rękę do brzucha. - Boże, otwieramy w piątek. To się naprawdę dzieje, nawet jeśli jest tylko czymś w rodzaju próby generalnej przed pierwszym grudnia.

- Ważny dzień, pod każdym względem - przyznała Zoe.

- Odnajdziesz klucz. - Malory położyła rękę na jej ramieniu. - Jestem pewna.

Fizyczne połączenie - dotyk palców Malory, jej własna dłoń na nodze Dany - dodało Zoe otuchy.

- Między innymi dlatego chciałam dzisiaj przyjechać. Żebyśmy spędziły parę godzin tylko we trzy. - Ponownie zerknęła na kryształ. W ciągu ostatnich miesięcy niewątpliwie nabrała pewnej skłonności do mistycyzmu. - To mi pomoże naładować akumulatory. Spotęgować kobiecą moc.

- Hip hip hurra! - mruknęła zachęcająco Dana, rozśmieszając Zoe.

- Po tym, co zaszło wczoraj, czuję się bardziej pewna siebie, ale ciągle słyszę gdzieś w

środku cichy głos, który pyta, jak mogę w ogóle przypuszczać, że mi się uda.

- Czy to głos Zoe - zapytała Dana - czy Kane'a?

- Zoe, co mnie dodatkowo irytuje. Wczoraj poczułam falę podniecenia, energii, kiedy sobie uświadomiłam, że wiem, co się dzieje, i potrafię nad tym zapanować. Muszę jednak posunąć się naprzód.

- Przeżyłaś raz jeszcze początek i koniec. - Malory przyjrzała się z zaciekawieniem buteleczkom i tubkom ustawionym w schludnych rzędkach na półkach. - A teraz wszystkie trzy wracamy do spraw zasadniczych. I Dana, i ja miewałyśmy w trakcie naszych poszukiwań fazy zniechęcenia i niepewności.

- Owszem - przyświadczyła Dana. - I zdarzało nam się za - brnąć w ślepy zaułek. A przynajmniej takie odnosiłyśmy wrażenie.

- Tak wyglądało. - Malory odwróciła się do niej, skinęła głową. - Ale zastanawiam się, czy nie mając owych doświadczeń, trafiłybyśmy na właściwy trop? Nie sądzę. Dużo o tym myślałam - dodała, opierając się o szafkę. - Poszukiwania nie mają charakteru linearnego, nie podążasz prostą ścieżką do celu. Ścieżek jest więcej, zataczają koła, nakładają się na siebie. Każdy krok, każdy odcinek ma jednak swoje znaczenie. Rozważmy twoje posunięcia.

- Dana musi się opłukać.

- Więc zaczekajcie na mnie. - Owinięta prześcieradłem kąpielowym, Dana ruszyła do łazienki.

- Coś ci przyszło do głowy. - Zoe zaczęła myć ręce. - Zauważyłam.

- Istotnie. Może łatwiej mi dostrzec, że się tak wyrażę, las spoza drzew, ponieważ w przeciwieństwie do ciebie nie jestem zaangażowana bezpośrednio. To, czego doświadczyłam tutaj na strychu, było podobne do twojego wczorajszego przeżycia. Ja również wiedziałam, co się dzieje, i potrafiłam zachować kontrolę. Ale cząstka mnie, drobna cząstka, pragnęła pozostać w tej iluzji i odpuścić sobie resztę.

Zoe obejrzała się, zobaczyła na twarzy Malory współczucie i zrozumienie. Rozluźniła napięte mięśnie ramion.

- Coś takiego chciałam usłyszeć. Bardzo. Nie zależało mi na Jamesie, Mai, nie tak naprawdę, ale cząstka mnie pamiętała, że kiedyś zależało mi na nim ogromnie.

- Wiem. Wiem doskonale.

Ona rozumie, pomyślała Zoe. Malory i Dana były jedynymi osobami, które rozumiały.

- Cząstka mnie pragnęła zatrzymać czas, czułam tę samą tęsknotę. Tak łatwo byłoby cofnąć się w przeszłość i uwierzyć, że sprawy przybiorą inny obrót.

- Ale się nie cofnęłaś.

- Nie. - Zoe zdjęła przykrycie z leżanki, poprawiła poduszki, wygładziła materiał. - Cała reszta mnie wiedziała, że nie chcę, by sprawy przybrały inny obrót. Naprawdę nie chciałam chłopaka, który nie potrafił wytrwać przy mnie ani przy własnym dziecku. Musiałam jednak przypomnieć go sobie i moje uczucia dla niego. By móc się pożegnać.

- A czy chcesz być z mężczyzną, który jest gotów trwać przy tobie i twoim dziecku?

- Chcę. - Jej serce zabiło mocniej. - Ale nie do końca wierzę, że nam obojgu się uda. Połóż się na plecach - poleciła przyjaciółce, wybrawszy odpowiedni balsam. - To jednak nie wszystko. - Zręcznym ruchem poprawiła ręcznik okrywający ciało Dany od piersi do podbrzusza, ogrzała balsam w dłoniach. - Na jak wielkie niebezpieczeństwo go narażę, jeśli uczynię ostateczny krok? Na tym polega dylemat. Gdy się kogoś kocha, pragnie się go chronić. Jeżeli mam go ochronić, nie wolno mi go kochać. Nie w pełni.

- Jeśli go kochasz, powinnaś go szanować na tyle, by wiedzieć, że sam potrafi się obronić.

Zoe wlepiała oczy w Dane.

- Ależ ja go szanuję.

- Nie wydaję mi się. Wciąż się zastanawiasz, czy i kiedy zawiedzie ciebie i Simona. Kiedy odejdzie w siną dal. Wiem, o czym mówię. Uważasz, że nie powinnaś mu oddawać całej siebie, bo musisz mieć coś w zapasie, gdy cię zostawi na lodzie. Nie dziwię się. Masz swoje powody.

- A co jest najważniejszym powodem? Osobistym - uściśliła Malory. - Czymś, czego absolutnie nie narazisz na ryzyko?

- Simon.

- No właśnie.

- Wiem, że Bradley go nie skrzywdzi. - Zoe zaczęła wcierać balsam w skórę Dany. - Ale im częściej Simon oczekuje od niego rzeczy, których zazwyczaj chłopiec oczekuje od ojca, tym gorszy przeżyje wstrząs, jeśli między nami się nie ułoży. Musiał się pogodzić z tym, że nie miał ojca. Nigdy. Nie z faktem w rodzaju rozwodu czy nawet śmierci, ale z brakiem ojca w ogóle, od samego początku. Choć starałam się mu to wynagrodzić, choć wie, że bardzo go kocham i może na mnie polegać, zawsze zdawał sobie sprawę, że był ktoś, kto go nie kochał i na kogo nie mógł liczyć. Nie chcę, by kiedykolwiek znowu poczuł się odepchnięty.

- I żeby temu zapobiec, gotowa jesteś się poświęcić. Walczyć - dodała Malory. - Podjąć walkę bez względu na cenę, którą zapłacisz. Ponieważ Simon jest najważniejszym wyborem, jakiego dokonałaś. Jest twoim kluczem.

- Simon? - powtórzyła Zoe i zreflektowała się, gdy Dana usiadła. - Och, przepraszam.

Położ się na brzuchu. Mam zamęt w głowie.

- Mai wpadła na niezły pomysł. - Dana obróciła się i wsparła podbródek na pięści. - My wszystkie jesteśmy kluczami. Powtarzano nam to wielokrotnie. Ale z nas trzech tylko Zoe, jeśli można tak rzec, zreprodukowała się w dziecku. Simon jest jej częścią. A ponieważ Zoe jest kluczem, więc Simon również jest kluczem.

- Kane nie ma prawa go tknąć. - Lęk ścisnął ją za gardło. - Rowena powiedziała, że go ochroni.

- Możesz na to liczyć. - Dana spojrzała na nią przez ramię. - Gdyby mógł coś zrobić Simonowi, już by to zrobił.

- Myślę, że chroni go nie tylko Rowena - wtrąciła Malory. - Druga strona też robi co może. Czyimś dzieciom wyrządzono krzywdę. I oni nie dopuszczają, by to się powtórzyło. Nie pozwolą skrzywdzić Simona. Ani oni, ani my.

- Gdybym pomyślała, że może być inaczej, od razu bym się wycofała. - Zoe zawiesiła głos, gdy Malory skinęła głową. - Kane na pewno o tym wie, więc chętnie uczyniłby, co w jego mocy, by zagrozić mojemu synowi. Nie zrobił nic, co oznacza, że zapewne nie może. No dobrze. - Odetchnęła głęboko. - Dobrze, zacznijmy od tego. Jeżeli Simon jest kluczem bądź jego częścią, tak jak jest częścią mnie, czy nie sprowadza się to do wyborów, jakich dokonałam w związku z nim? Urodzenie go było wyborem, wychowanie go także, najlepszym, jakiego dokonałam. Ale choć powrót w przeszłość był ważny, nadal nie mam klucza.

- Dokonywałaś innych wyborów - przypomniała Dana. - Szukałaś innych dróg.

- Niejeden raz. W pewnym sensie odbyłam podróż - ciągnęła Zoe, wklepując balsam w skórę Dany. - Te wszystkie myśli, wspomnienia w sumie wyszły mi na dobre, bo uzasadniły moje decyzje i potwierdziły, że nie popełniłam aż tak przerażających błędów. Chcesz się obrócić? Przyniosę ci szlafrok.

- Sprowadziłaś się do Valley - zaczęła Dana. - Znalazłaś pracę, kupiłaś dom. Co jeszcze?

Malory uniosła rękę, gdy Zoe podawała Danie szlafrok.

- Nie mówię, że to nie jest ważne, a kto wie, czy któryś szczegół nie okaże się jedną z odpowiedzi. Ale popatrzmy pod innym kątem. Co będzie, jeśli odpowiedź kryje się w wyborze Simona?

- To tylko dzieciak - zauważyła Dana, gładząc się z lubością po przedramieniu. - Jego wybory polegają głównie na tym, w jaką grę wideo zagrać.

- O, nie. - Zoe w zamyśleniu pokręciła głową. - Dzieci dokonują poważnych wyborów.

Słusznych i niesłusznych. Część owych wyborów wpływa na ich dalsze życie. Na przykład, z kim się zaprzyjaźnią. Mogą przeczytać książkę o pilocie myśliwca i nagle zapragną latać. W tej chwili na tysiące różnych sposobów Simon decyduje, kim będzie w przyszłości.

- Więc może powinnaś się bliżej przyjrzeć jego decyzjom - poradziła Malory.

Decyzja, z której Simon był w owej chwili najbardziej zadowolony, dotyczyła imienia dla szczeniaka. Brzmiało ono Homer. To imię łączyło w sobie ulubione rozrywki Simona - baseball i komiksy - a ponadto pasowało do psa. Patrząc, jak Moe goni za piłką, a Homer pędzi za Moem, Simon doszedł do wniosku, że życie jest piękne i chyba piękniejsze już być nie może.

W dodatku wkrótce mieli przyjść jego nowi kumple, żeby pooglądać mecz, podczas gdy mama i jej przyjaciółki zajmą się swoimi babskimi sprawami. Mógł się objadać chipsami po dziurki w nosie.

Podniósł piłkę, którą Moe upuścił u jego stóp i wykonał długi, skomplikowany taniec, zanim ją rzucił, doprowadzając oba psy do szału.

Zamierzał opowiedzieć o Homerze wszystkim chłopakom w szkole. Może nawet namówić Brada, żeby zrobił zdjęcie, jeśli to nie okaże się idiotycznym żądaniem, rzecz jasna.

Kiedy psy turlały się radośnie, spojrział w stronę rzeki. Fajnie było tutaj. Owszem, lubił swój dom, podwórko i w ogóle. Lubił sąsiadów, państwa Hanson. Ale tutaj naprawdę mu się podobało. Las i rzeka zaledwie o krok. Gdyby zatrzymali się na dłużej, chętnie by zaprosił kolegów. Rany, chyba by oszaleli na widok pokoju gier. Mogliby zbudować fort w lesie, a latem popływać w rzece. Jeśli mama nie dostałaby świra na samą myśl.

Może by się dało to zorganizować, nawet po powrocie do domu. Poprosiłby Brada, a on z pewnością pomógłby mu zmiękczyć mamę. To też było fajne - mieć drugiego faceta po swojej stronie. Trochę tak, jakby się miało ojca. Nie żeby mu na tym specjalnie zależało, ale to było coś takiego.

W każdym razie Święto Dziękczynienia zapowiadało się odlotowo, z tymi wszystkimi ludźmi, dyskusjami o meczu i plackiem z dynią. Mama piekła świetny placek z dynią i zawsze dawała mu kawałki ciasta, z których lepił ludziki. Zastanowił się, czy Brad nie uzna tego za obciach.

Obejrzał się, zobaczył Brada i pobiegł w stronę domu.

- Hej! Nie porzucałbyś trochę piłką? Moe uczy Homera aportować.

- Jasne. - Brad wcisnął Simonowi na głowę wełnianą czapkę, którą wziął z domu. - Robi się zimno.

- Może spadnie śnieg. Może napada na dwa metry i nie będzie trzeba chodzić do

szkoły.

- Każdemu wolno pomarzyć. - Brad podniósł piłkę i zakręcił nią w sposób, który wzbudził szczery podziw Simona.

- Gdyby napadały dwa metry śniegu, nie musiałbyś jechać do pracy?

- Gdyby napadały dwa metry śniegu, na pewno zostałbym w domu.

- I moglibyśmy pić gorącą czekoladę i zagrać w milion różnych gier wideo.

- Masz to jak w banku.

- Czy zakładasz prezerwatywę, kiedy uprawiasz seks z moją mamą?

Cała krew odpłynęła Bradowi z głowy prosto do stóp.

- Czy co robię?

- Bo jeśli nie zakładasz, to z tego może być dziecko. Czy ożeniłbyś się z nią, gdybyś jej zrobił dziecko?

- Matko najświętsza.

Simon poczuł nerwowe łaskotanie w gardle. Nie potrafił jednak powstrzymać fali słów, które musiały zostać wypowiedziane.

- Facet, który mnie zrobił, nie chciał się z nią ożenić i to chyba zraniło jej uczucia. Teraz ja się mamą opiekuję, więc jeśli nie zamierzasz się z nią ożenić, gdybyście zrobili dziecko, to nie możesz uprawiać seksu. - Ponieważ jego żołądek podskakiwał jak na huśtawce, Simon spuścił oczy i mocno kopnął piłkę. - Mówię ci, żeby wszystko było jasne.

- Okay. Rany. Okay, ale naprawdę muszę usiąść. - Zanim nie tylko kolana, ale całe nogi zamienia się w galaretę. - Może byśmy weszli do domu i tego... i usiedli?

- No bo w końcu jestem mężczyzną - zaznaczył Simon cichym głosem.

- Jesteś prawdziwym mężczyzną. - Gestem, który miał im obu dodać otuchy, położył rękę na ramieniu chłopca. - Chodźmy do domu i pogadajmy o tym.

Gdy zdejmowali kurtki, Brad modlił się o roztropność i przytomność umysłu. Uznał, że najlepiej będzie porozmawiać w kuchni, gdzie mogą zająć się jedzeniem albo piciem, czymkolwiek, co uczyni tę wymianę zdań mniej straszną.

Miał wielką ochotę na piwo, ale nalał Simonowi i sobie po szklance coli.

- Jeśli chodzi o seks... - zaczął.

- Już wiem, jak to jest z seksem. Mama powiedziała, że wcale nie boli, ale ludzie czasami krzyczą i w ogóle, bo sprawia im frajdę.

- No właśnie - bąknął po chwili Brad. Niemal słyszał, jak obumierają jego szare komórki. - Twoja mama i ja... eee... Hm, dorośli ludzie, zdrowi, wolnego stanu często wchodzą w związki, które... ech, do diabła z tym. Spójrz na mnie.

Zaczekał, aż Simon podniesie głowę. Wątpliwości, sprzeciw, determinacja odbijały się wyraźnie na jego twarzy. Ma to po matce, pomyślał Brad.

- Jestem zakochany w twojej mamie. Kocham się z nią, bo jest piękna i pragnę jej w ten sposób. Chcę z nią być, ponieważ zakochałem się w niej.

- A czy ona też się w tobie zakochała?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że tak.

- Czy dlatego ze mną trzymasz? Żeby cię pokochała?

- No wiesz, to dla mnie duże poświęcenie, biorąc pod uwagę, jaki jesteś paskudny i jak brzydko pachniesz. Poza tym wkurza mnie twój niski wzrost. Ale robię, co mogę.

Usta Simona zadrgały w tłumionym uśmiechu.

- Ty jesteś jeszcze brzydszy.

- Tylko dlatego, że jestem starszy. - Brad dotknął ręki chłopca. - I z niewiadomych względów, pomimo twoich rozlicznych wad ciebie także kocham.

Simon poczuł, że ściska mu się gardło, a na policzki wypełza zdradziecki rumieniec.

- Przedziwna sprawa.

- Mnie to mówisz? Nigdy w życiu nie zależało mi na niczym tak bardzo, jak na was obojgu.

- Żeby stworzyć rodzinę?

- Właśnie.

Simon wpatrywał się w stół. Miał dużo do powiedzenia, miał wiele pytań, lecz chciał je właściwie sformułować.

- Czy się z nią ożenisz, nawet jeśli nie zrobicie dziecka?

To jednak nie takie straszne, pomyślał Brad.

- Skoro już o tym mowa, chciałbym mieć z nią dziecko. Ale... Zaczekaj chwilę, coś ci pokażę. Zaraz wracam.

Simon mocno przetarł oczy. Nie chciał się popłakać, jak dziewczyna. Człowiek nie powinien płakać podczas prawdziwej męskiej rozmowy, jak to nazywał ojciec Chucka.

Pociągnął łyk coli, który jednak nie uspokoił jego żołądka. Wszystko mu w środku podskakiwało. Kiedy usłyszał kroki Brada, dołożył wszelkich starań, żeby się uspokoić i na wszelki wypadek jeszcze raz otarł twarz.

Brad wrócił do kuchni i usiadł.

- To jest sprawa między nami dwoma. Między tobą a mną, Simonie. Obiecuj mi.

- Coś jak tajemnica?

- Tak. To ważne.

- Dobra. Nikomu nie powiem. - Uroczyście napluł na dłoń i wyciągnął ją do Brada.

Brad zastygł na chwilę w bezruchu. Pewne rzeczy, pomyślał, dziwnie podniesiony na duchu, nigdy się nie zmieniają. Powtórzył gest Simona i podali sobie ręce.

W milczeniu położył na stole małe pudełeczko. Otworzył je i pokazał Simonowi spoczywający wewnątrz pierścionek.

- Należał do mojej babci. Podarowała mi go, kiedy obchodzili z dziadkiem pięćdziesiątą rocznicę ślubu.

- O rety. Muszą być okropnie starzy.

Wargi Brada zadrgały, lecz jego głos nadal brzmiał spokojnie.

- Owszem. To był jej pierścionek zaręczynowy, a na pięćdziesięciolecie dostała od dziadka drugi. Pierwszy przeznaczyła dla kobiety, z którą się ożeniła. Mówi, że on przynosi szczęście.

Simon ściągnął usta i popchnął pudełeczko palcem.

- Naprawdę błyszczący.

Brad przyjrzał się ponownie staroświeckiemu pierścionkowi z brylancikami ułożonymi w kształt drobnego kwiatka.

- Myślę, że spodoba się Zoe. Jest delikatny, oryginalny i już się sprawdził. Zamierzam go wręczyć twojej mamie w sobotę.

- Po co tyle czekać? Możesz go jej dać, kiedy wróci do domu.

- Nie jest jeszcze gotowa. Potrzebuje trochę więcej czasu. - Popatrzył na chłopca. - Do piątku musi znaleźć klucz. Nie chcę jej ponaglać ani rozpraszać.

- A jeśli go nie znajdzie, to co?

- Nie wiem. Miejmy nadzieję, że znajdzie. Tak czy inaczej zamierzam go dać w sobotę i poprosić, żeby za mnie wyszła. Mówię ci o tym nie tylko dlatego, że jesteś mężczyzną i zasługujesz, by poznać moje intencje, lecz także dlatego, że ty i Zoe stanowicie tandem. Masz prawo do wyrażenia własnej opinii.

- Będziesz się o nią troszczył? Och, ty wspaniały dzieciaku.

- Najlepiej jak potrafię.

- Musisz jej od czasu do czasu przynosić prezenty. Możesz sam robić, tak jak ja, bylebyś tylko nie zapomniał. Zwłaszcza na urodziny.

- Nie zapomnę. Obiecuję.

Simon przesuwiał szklankę kolistymi ruchami po stole.

- Jeśli powie „tak” i się pobierzecie, czy będzie się nazywała tak samo jak ty?

- Mam nadzieję, że tego zechce. Vaneowie są naprawdę dumni ze swojego nazwiska.

Gdyby je przyjęła, miałyby to dla mnie duże znaczenie.

Chłopiec obrócił szklankę, wpatrując się w nią z napięciem.

- A czy ja będę się nazywał tak jak ty?

Uczucie rozplomieniło Brada od wewnątrz niczym jedna wielka świeca.

- Mam nadzieję, że również wyrazisz zgodę, bo w ten sposób każdy się dowie, że należysz do mnie. Simonie, jeśli twoja mama powie „tak” i się pobierzemy, czy będziesz do mnie mówił „tato”?

Serce Simona waliło tak mocno, że aż słyszał dzwonięcie w uszach. Podniósł oczy, uśmiechnął się.

- Dobra.

Kiedy Brad wyciągnął ramiona, chłopcu nie pozostało nic innego, tylko się w nie wtulić.

Miała tak wiele spraw do przemyślenia i wszystkie zdawały się kłębić w jej głowie, gdy jechała wzdłuż rzeki. Dzień dobiegł końca - pozostało ich tylko pięć. Pięć dni, by znaleźć klucz i otworzyć ostatni zamek. Pięć dni, by przeszukać swój umysł, serce, życie.

Nic nie było takie jak przedtem. A gdy ten tydzień minie, wszystko znowu się zmieni. Tyle nowych kierunków, pomyślała, tyle dróg zamiast tej jednej, prostej, którą kroczyła dawniej.

Zarobić na życie, utrzymać dom. Stworzyć taki dom, w którym jej syn mógłby wieść szczęśliwe, zdrowe, normalne życie. Jakkolwiek bywało trudno, komplikacje zdarzały się stosunkowo rzadko. Wstawała rano i krok po kroku robiła to, co miała do zrobienia. Powtarzała wszystkie czynności, z drobnymi wariacjami, nazajutrz.

System się sprawdzał i to całkiem nieźle.

Ale tak naprawdę - przyznała, zwalnając przed zakrętem - tak naprawdę zawsze pragnęła czegoś więcej. Ładnych rzeczy, drobiazgów, które oglądała w magazynach. Nieczęsto mogła sobie na nie pozwolić, ale znalazła sposób: nauczyła się je robić. Miłe dla oka zasłony, ustawienie stołu, ogródek uprawiany od wiosny do pierwszych mrozów na pewno uprzyjemniały otoczenie.

I poważniejszych rzeczy. Takich jak fundusz przeznaczony na studia Simona, który powiększał się co miesiąc o pewną sumę. I jak salon, który otwierała.

Choć zatem podążała prostą drogą, zawsze wypatrywała na niej jakiegoś zakrętu.

I znalazła go.

Podjechawszy pod dom Brada, dostrzegła samochody Flynnna i Jordana. Uśmiechnęła się na ten widok. Dzięki zakrętowi na swej życiowej drodze spotkała nie tylko dwie kobiety,

które pokochała, lecz także trzech interesujących mężczyzn. W ciągu niecałych trzech miesięcy ci ludzie stali jej się bliźsi niż własna rodzina.

Zaparkowała auto. Wydawało jej się, że skoro wysnuła taki wniosek, odczucie winy. Odchyliła się w zadumie na oparcie fotela. Nie, wcale nie czuła się winna. Uświadomiła sobie, że stworzyła dla siebie nową rodzinę. Niezwykłym zrzędzeniem losu ci ludzie rozumieli ją lepiej niż najbliżsi krewni. Nigdy nie spotkała się z tak głębokim zrozumieniem.

Może i kochała matkę, siostry, brata, łączyło ją z nimi wiele wspomnień, wiele wspólnych chwil, dobrych i złych. Ale nie czuła, nie mogła czuć takiej samej więzi, takiej samej bliskości, jak z tą nową rodziną, którą sobie stworzyła.

Byli dla niej kimś więcej.

Nic nie mogło jej odebrać tego, co zbudowali w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Cokolwiek miało się jeszcze wydarzyć, zachowa swoje „coś więcej” na zawsze.

Od tych doznań zakręciło jej się w głowie. Wysiadła z auta i ruszyła w stronę domu. Przyjemnie się maszerowało tą ścieżką, swobodnie zmierzała do frontowych drzwi, choć nie bardzo wiedziała, co za nimi zastanie.

Szalejące psy, trzech mężczyzn i chłopca pogrążonych w futbolowym stuporze, kataklizm w kuchni. Nieważne, co zastanie, ponieważ sama była tego częścią.

Przystanęła, zaskoczona. Między nią a tym, co działo się w domu, istniał ścisły związek. Podobnie jak między nią a mężczyzną, do którego dom należał. Zawróciła powoli w stronę rzeki, zatrzymała się i obejrzała.

Pamiętała dzień, gdy zobaczyła dom po raz pierwszy. Siedziała w samochodzie i po prostu patrzyła zachwycona. Nie знаła Brada, nikogo z nich jeszcze tak naprawdę nie znała. Ale dom ją oczarował.

Zastanawiała się wtedy, jak by to było, gdyby mogła zamieszkać w tak wspaniale zaprojektowanym budynku. Odnaleźć własne miejsce w otoczeniu wody i lasów. A kiedy znalazła się w środku, zdumienie mieszało się z zachwytem. Ciepło i przestrzeń pociągnęły ją dalej. Stała przy oknie w dużym pokoju, myśląc, jak fantastycznie byłoby wyglądać przez to okno, ilekroć miałyby ochotę.

Teraz nic nie stało na przeszkodzie.

Poszukiwanie klucza doprowadziło ją i Simona do tego domu i do mężczyzny, który był jego właścicielem. Do mężczyzny, który ją kochał.

On ją kochał.

Z zapartym tchem Zoe przycisnęła dłonie do ust. Czy to tylko skrzyżowanie dróg,

zadala sobie pytanie, czy cel podróży?

Pragnąc jak najszybciej się przekonać, podbiegła do drzwi. Otworzyła je mocnym szarpnięciem i zastygła w bezruchu, próbując zinterpretować własne odczucia.

Spokój i ulga. Ekscytacja i wyczekiwanie. Zadziwiająca mieszanka ukojenia i pobudzenia. To tutaj, pomyślała. Tak, coś tu było. Coś, co mogło należeć do niej.

Parsknęła śmiechem, gdy w ramach powitania Moe oparł łapy na jej ramionach.

- Nigdy nie zmądrzejesz.

Poczochnęła mu sierść, zepchnęła z siebie i dźwignęła z podłogi szczeniaka, który deptał jej po nogach.

- Poszukajmy naszych mężczyzn. - Oparła sobie Homera o ramię jak niemowlę i poklepując go po grzbiecie, ruszyła w stronę pokoju gier, z którego dobiegały hałaśliwe dźwięki.

Tak jak przypuszczała, zastała wewnątrz scenkę rodzajową przesiąkniętą atmosferą niedzielnego popołudnia spędzanego w męskim gronie. Mecz futbolowy już się skończył, lecz trwały zawody innego rodzaju - Flynn grał z jej synem w coś, co wyglądało jak zażarta runda Mortal Kombat.

Jordan rozpierał się w fotelu z butelką piwa w opuszczonej ręce, wyciągnąwszy długie nogi. Dywan był zaśmiecony okruchami chipsów, stronami niedzielnej gazety i kłakami psiej sierści.

Brad zajął sofę, umieściwszy sobie na brzuchu miskę z pikantnymi chipsami, i sprawiał wrażenie pogrążonego w drzemce, pomimo donośnych odgłosów walki docierających z ekranu i z podłogi.

Przepełniona miłością do nich wszystkich, Zoe skierowała się najpierw w stronę Jordana. Uśmiechnął się leniwie i uniósł brew, gdy wplotła palce w jego włosy i obdarzyła go długim, gorącym pocałunkiem.

- Cześć, przystojniaku.

- Cześć, ślicznotko.

Śmiejąc się z jego skonsternowanej miny, zawróciła w miejscu i podeszła do Flynnna. Przykucnęła, otoczyła ramieniem jego szyję, odgięła mu głowę w tył i ucałowała z zapalem w usta, podczas gdy Simon wybałuszał na nią oczy.

- O rany, mamó.

- Zaczekaj na swoją kolej. Cześć, złotko - powitała Flynnna.

- Cześć. Czy Mai piła to samo co ty?

Zoe przyciągnęła do siebie Simona, który udawał, że się broni. Obsypała pocałunkami

jego policzki i zakończyła głośnym cmoknięciem w usta.

- Witaj, najdroższy synu.

- Piłaś coś mocnego, mamó?

- Nie. - Połaskotała go w żebra i wstała.

Brad nie ruszył się z miejsca, lecz oczy miał już otwarte i patrzył na nią. Z uśmiechem przemierzyła pokój, podwijając rękawy.

- Zastanawiałem się, czy do mnie podejdziesz.

- Zostawiłam sobie ciebie na koniec.

Miskę, którą trzymał na brzuchu przeniosła na stolik. Potem usiadła obok Brada, chwyciła w garść przód jego sportowej bluzy i pociągnęła.

- Wstawaj, chcę mieć bliżej twoje seksowne usta.

Simon przetoczył się po podłodze, wydając odgłosy imitujące mdłości. Moe skoczył na niego.

Na zakończenie pocałunku Zoe delikatnie skubnęła zębami dolną wargę Brada.

- Ciąg dalszy nastąpi później - szepnęła i lekkim pchnięciem położyła go z powrotem na łopatki. - No dobrze. - Wstała i otrzepała ręce, jak po wykonanym zadaniu. - Nie zapomnijcie tu później posprzątać. Ja mam coś do załatwienia na górze.

Wyszła z pokoju tanecznym krokiem, czując się jak królowa.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Brad nie wiedział, co w nią wstąpiło, lecz jednego był pewien: to mu się podobało. Cokolwiek sprawiło, że twarz Zoe stała się promienna, spojrzenie nabrało uwodzicielskiego wyrazu, a głos brzmiał radośniej, bardziej melodyjnie, nie mogło być złe.

Zastanawiał się, jakie to osobliwe i egzotyczne kobiece rytuały odprawiała z przyjaciółkami, kiedy on oglądał mecz.

Zastanawiał się również, czy będą odprawiane co tydzień.

Przy pierwszej sposobności zamierzał przyprzeć ją do muru i sprawdzić, czy zechce dotrzymać obietnicy dokończenia tego, co zaczęła długim, gorącym pocałunkiem.

Wszystko jednak wskazywało, iż musiał się uzbroić w cierpliwość.

Po wyjściu Flynna i Jordana Simon oznajmił, że umiera z głodu. Nie miało znaczenia, że objadał się przez cały dzień. Był głodny jak wilk i psy też były głodne jak wilki. Jeżeli zaraz nie dostaną czegoś do jedzenia, po prostu padną. Żeby się od nich opędzić, Brad wpełznął Simonowi do rąk napoczętą torbę kukurydzianych chipsów i wyprosił całą trójkę na dwór.

Zoe jednak nie pokazywała się od ponad godziny, kiedy to wkroczyła do pokoju, pobudziła zmysły Brada i odeszła, pozostawiając mu smak swoich ust.

Nie tylko Simon był głodny jak wilk.

Dalsze oczekiwanie przekraczało granice jego cierpliwości. Brad wszedł na górę i zapukał do zamkniętych drzwi pokoju Zoe.

- Wejdz.

Otworzywszy drzwi, zobaczył ją siedzącą na łóżku, obłożoną stertami kartek i notatników oraz książek z biblioteki. Na kolanach trzymała pożyczonego laptopa. Wyglądała pociągająco - nie wyobrażał sobie zresztą, by mogła wyglądać inaczej - i wydawała się bardzo skupiona.

- Co się dzieje? - zagadnął.

- Przeniosłam się na łóżko, bo biurko okazało się za małe. - Jeden ołówek miała za uchem, drugi obgryzała w roztargnieniu. - Przeglądam to jeszcze raz, od początku. Nagle wstąpiła we mnie jakaś energia i mam mnóstwo pomysłów. - Wstrząsnęła się, jakby owe pomysły rozsadyły ją od wewnątrz. - Próbuję je jakoś uporządkować, ale jeden prześciga drugi.

Nie spuszczał z niej oczu, podszedł do łóżka i przysiadł na krawędzi.

- Widzę, że jesteś podekscytowana.

- Jestem. Kiedy wracałam, przyszło mi do głowy, że jeśli prześlę jeszcze raz wszystkie wskazówki, wszystkie poszukiwania, wszystkie... Gdzie Simon?

- Bawi się z psami na dworze.

- Nie zauważyłam, że już tak późno. Lepiej zabiorę się do kolacji i ściągnę go do domu, bo niedługo powinien iść spać.

- Zaczekaj chwilę. Powiedz mi, dokąd właściwie zmierzasz.

- Nad tym muszę się jeszcze zastanowić. Dokąd zmierzam? Powiem ci, gdy będę przygotowywała kolację.

- Nie musisz robić kolacji - zapewnił, gdy Zoe, omijając papiery, gramoliła się z łóżka. Wyciągnął ołówek, który miała za uchem, i odrzucił na bok. - Na dole zostały jeszcze jakieś resztki.

- Lepiej mi się myśli, kiedy mam zajęte ręce, a resztki nie wchodzą w zakres umowy. Poza tym lubię się rządzić w twojej kuchni - dodała, ruszając ku drzwiom. - Między innymi o tym chciałam z tobą porozmawiać.

- Chcesz ze mną porozmawiać o kuchni?

- Nie tylko. Chodzi mi o całość. - Zachichotała, gdy przybrał cierpiętniczy wyraz twarzy. - Nie bój się, nie wytnę ci takiego numeru jak Malory Flynnowi. Twoja kuchnia bardzo mi się podoba. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałam równie pięknego domu. - Przesunęła palcami po poręczy balustrady przy schodach. - Wszystko jest tutaj takie, jak powinno być. Choć kocham mój własny dom. Wiele dla mnie znaczy. Czasami, gdy budzę się rano, sama sobie gratuluję, że go zdobyłam.

Weszła do kuchni. I westchnęła przeciągle.

- My... przekąśliśmy coś niecoś wcześniej.

- Widzę. - Na blatach i stole piętrzyły się talerze, szklanki, butelki po napojach gazowanych i piwie, torebki z resztkami chipsów oraz inne pozostałości niedzielnego popołudnia w męskim gronie. - No cóż - powiedziała tylko i zakasała rękawy.

- Zaczekaj chwilę. - Przytrzymał ją za ramię, zakłopotany, że dopuścił do takiego bałaganu. - Jeśli już powołujemy się na umowy, miałaś po mnie nie sprzątać.

- Nie sprzątam po tobie. - Odepchnęła go, zgarnęła otwartą torebkę chipsów i zawinęła jej brzeg. - Sprzątam po was wszystkich, co równoważy fakt, że Simon przez cały dzień pętał ci się pod nogami, kiedy ja załatwiałam swoje sprawy. Czy masz klamerki do bielizny?

- Klamerki? - Przez chwilę nie mógł pojąć, o co chodzi. - Będziesz wieszać pranie?

- Nie. Chipsy dłużej zachowają świeżość, jeśli je szczelnie zamkniesz. Można kupić specjalne plastikowe zaciski, ale klamerki nadają się równie dobrze.

Rozbawiony, wsunął ręce w kieszenie.

- Obawiam się, że aktualnie nie posiadam tego towaru na składzie. Ale w każdej chwili możemy go zamówić.

- Mam własne. Podrzucę ci przy okazji. - Szybkimi, zręcznymi ruchami zwinęła i schowała część torebek, wyrzucając resztę do śmieci. Następnie zabrała się do mycia naczyń.

- Ktoś, kto ma taki piękny dom, nie powinien dopuszczać, żeby panował w nim tak potworny bałagan. Założę się, że pokój gier przypomina pobojuwisko.

Brad nieco się spieszył.

- Niewykluczone. Sprzątaczkę przychodzą... - Urwał, gdy rzuciła mu przez ramię stalowe spojrzenie. - Będę musiał odkurzać?

- Nie. Zrobi to Simon, żeby ci się odwdzińczyć za wspólnie spędzony dzień. Na razie wrócimy do kwestii domów. Flynn ma piękny dom. Przypuszczam, że go kupił, bo drgnęła w nim jakaś struna. Poczul się swojsko. Niewiele tam działał, dopóki nie pojawiła się Malory, ale coś mu powiedziało, że to właśnie jest jego miejsce.

- Na razie rozumiem.

Złożywszy talerze, Zoe zmoczyła ściereczkę, żeby przetrzeć blaty.

- Z kolei Wzgórze Wojownika jest fantastycznym domem. Ma w sobie magię. Jordan wyczuł w nim coś szczególnego już jako nastolatek. Coś, do czego dążył. Razem z Daną stworzą tam coś własnego.

Wylała resztki ciepłego piwa do zlewu, wrzuciła butelki do kosza. Obserwując ją, Brad nabrał pewności, że nigdy nie widział, by jakieś pomieszczenie zostało tak szybko doprowadzone do porządku.

- Ja nie mogłabym zamieszkać w takim domu - podjęła. - Jest zbyt okazały, zbyt efektowny, pod każdym względem zbyt. Ale rozumiem, dlaczego im odpowiada.

Wyjęła garnek, nalała do niego wody i postawiła na kuchennej płycie. Nie przestając mówić, sięgnęła po warzywa i wołowinę, którą zamarynowała rano.

- No i na koniec „Pokusa”. Gdy tylko zobaczyłam ten dom, wiedziałam, że takiego właśnie szukam. Że tutaj czegoś dokonam. Wspólnie z Mai i Daną. Gdyby się poważnie zastanowić, pomysł naprawdę był szalony.

Pokroiła paprykę i marchewki z wprawą, jak wydawało się Bradowi, doświadczonego szefa kuchni.

- Dlaczego?

- Wszystko pod jednym dachem i minimalny kapitał wyjściowy. No i zakup nieruchomości zamiast wynajęcia. Ale chciałam nabyć ten dom, mieć go na własność, gdy

tylko go zobaczyłam.

- Czyżbyś twierdziła, że szalonym pomysłem było wspólne przedsięwzięcie, zaplanowane tak szybko? Albo ten nawal pracy, który wzięłyście na siebie?

- Co innego miałam na myśli. - Posiekała cebulę, zmiażdżyła ząbek czosnku. - Nigdy się nie wahałam, jeśli chodzi o Malory i Dane. A praca to normalna sprawa, każdy pracuje. Myślałam o miejscu, Bradleyu. Oczarowało mnie tak samo, jak przedtem mój dom. Dlatego przez chwilę naprawdę myślałam, że znajdę tam klucz.

- Ale już tak nie myślisz.

- Nie, nie myślę.

Przechodziła od jednej czynności do następnej w płynnym rytmie, odmierzając porcje ryżu, krojąc pomidory i wołowinę. Brad miał wrażenie, że obserwuje coś w rodzaju tworzenia dzieła poetyckiego.

- Klucz Malory znajdował się w tym domu. W obrazie, owszem, lecz namalowała go właśnie tam. Dana znalazła swój na Wzgórzu Wojownika, a właściwie w książce, w „Wieży Widm”, której podstawą było Wzgórze. Kiedy przyjrzeć się bliżej ich wskazówkom, widać, że do tego prowadziły. Przez związek z miejscem, przez ich związki z Flynnem i Jordanem. - Wlała na patelnię trochę oliwy.

- Obraz dla Malory. Książka dla Dany. Ale potrzebowały także miejsca.

- Co dla ciebie?

- Dla mnie to nie musi być przedmiot. Raczej podróż i wiele różnych dróg. Tych, które wybrałam i których nie wybrałam, z różnych powodów. A także walka, zmaganie. - Wrzuciła cebulę i czosnek na skwierczącą oliwę. - Może powinnam zrozumieć, że to, co utracone, jest na swój sposób równie ważne jak to, co zachowane. I że człowiek nie potrafi zobaczyć wyraźnie, dokąd zmierza, jeśli nie widzi, skąd przybył. I co nim kierowało.

Owładnęło nim nagle pragnienie choć przez moment czuć jej ciało. Musnął palcami włosy i powiódł wzdłuż pięknej linii szyi. W odpowiedzi doczekał się roztargnionego uśmiechu zajętej kobiety.

- Dokąd ty zmierzasz, Zoe?

- Jeszcze nie wiem, nie na pewno. Ale wiem, gdzie teraz jestem. W tym domu. W domu, który budzi we mnie głębokie emocje od pierwszej chwili. Szykuję kolację w kuchni, a Simon na dworze bawi się z psami. Jestem związana z tym miejscem. I z tobą.

- Dostatecznie mocno, by tu zostać na zawsze?

Ręka jej znieruchomiała i kawałki mięsa, które zsuwała na patelnię, plusnęły w oliwę.

- Niezły sposób, żeby mnie rozproszyć. - Sięgnęła po następny plasterzek wołowiny i

skoncentrowała całą uwagę na wykonywanej czynności. - Bradleyu, ja... po prostu nie mogę zejść z mojej ścieżki. Gdy Simon się urodził, złożyłam pewne obietnice. Sobie i jemu.

- A ja chciałbym złożyć obietnice tobie.

- Muszę się ze swoim zadaniem uporać do piątku - rzuciła pospiesznie. - Zostało mi zaledwie kilka dni. Czuję, że jeśli to mi się nie uda, już nigdy w życiu nic mi się nie uda. - Popatrzyła na niego błagalnie. - Widzę jej twarz we śnie. Widzę wszystkie trzy siostry, które oczekują na moje decydujące posunięcie.

- Nie toczysz walki sama, Zoe. Ja ugrzązłem w tym równie głęboko. I niech mnie diabli, jeśli wiem, czy miłość do ciebie jest mieczem, czy kłutwą.

- Może ci się tylko wydaje, że mnie kochasz, bo ujrzałeś moją twarz na obrazie. Zastanawiałeś się nad tym?

Zawahał się, ale odpowiedział szczerze. - Tak.

- Ja też. Wiem jedno: nie chcę cię stracić. Nie zaryzykuję utraty tego, co zdobyliśmy dotychczas, składając lub przyjmując obietnice, których później, być może, nie zechcemy dotrzymać.

- Przez cały czas oczekujesz, że sprawię ci zawód. Zapewniam, że długo sobie poczekaasz.

Odwróciła się, zaskoczona.

- Mylisz się. Ja nie... - Urwała, gdy kuchennymi drzwiami wpadł jak burza Simon.

- Umieram z głodu!

- Kolacja będzie za dziesięć minut. - Poglądziła syna po głowie. - Idź się umyć. - Gdy wybiegł w asyście szalejących psów, spojrzała na Brada. - Zmierzałam okrężnymi drogami do tego, by cię zapytać, czy mogę zwiedzić twój dom.

Nie ukrywał irytacji.

- Zaczynam tracić cierpliwość, Zoe.

- Wcale się nie dziwię - odparła spokojnie, zabierając się do przysmażania mięsa. - I nie miałabym ci za złe, gdybyś porządnie kopnął mnie w tyłek. Ale nie chcę upuścić żadnej z tych piłek, którymi teraz zongluję.

Przypomniał sobie promienny wyraz jej twarzy, gdy wróciła. Czy miał zgasić ten blask tylko dlatego, że odczuwał frustrację, a nawet gniew, ponieważ nie rzuciła mu się w ramiona, oferując natychmiast wszystko, czego pragnął?

- Zastrzegam sobie prawo do skopania twojego tyłka. Dlaczego chcesz mnie pytać, czy możesz zwiedzić dom, w którym mieszkasz... w którym przebywasz?

- Powinnaś rozejrzeć się tutaj tak samo, jak we własnym domu i w „Pokusie”. Ód

strychu po parter, co wiąże się z wścibianiem nosa w prywatne zakamarki. - Wyjęła półmisek, nałożyła nań solidną porcję ryżu. - Myślę, że klucz znajduje się w twoim domu. Nie, nie myślę, ja wiem. Czuję to.

Wprawnie wylała zawartość patelni na wzgórek ryżu.

- Wiem, bo coś się dzisiaj we mnie otworzyło, kiedy tu podjechałam. Nie mam pojęcia, skąd owa pewność, ale po prostu wiem.

Brad spojrział na nią, a potem na półmisek. Obliczył, że w ciągu niecałych trzydziestu minut zdążyła omówić kolejną fazę poszukiwań, zirytować go, rozbawić, zbyć jego propozycję i przyrzadzić smakowicie wyglądający posiłek.

Czy można się było dziwić, że ta kobieta go fascynowała?

- Kiedy chcesz zacząć?

Zaczęli od parteru, dwie godziny po ułożeniu Simona do snu. Zoe przeszukała duży pokój centymetr po centymetrze, przesuwając meble, podwijając dywany, zaglądając do szuflad i szafek. Zbadała z latarką każdy kamień kominka, obmacała dokładnie obramowanie.

W jadalni przystanęła na chwilę i nieco zażenowana spytała:

- Nie obraziłbyś się, gdybym zrobiła to sama? Może tak właśnie powinno być.

- A może za dużo chcesz robić sama? Ale dobrze, będę na górze.

Omali nie wypuściła ważnej piłki, pomyślała, gdy wyszedł. Może trochę nadużywała cierpliwości Brada. Nie wiedziała jednak, co innego mogłaby przedsięwziąć.

Na razie jej i jego zachcianki nie mogły zostać spełnione, dopóki nie zakończy poszukiwań, a ci, których kocha, nie będą bezpieczni.

Podeszła do kredensu, przeciągnęła palcami po drewnianej powierzchni. Czereśnia, pomyślała. Ciepłe, nasycone drewno i lekkie, zaokrąglone linie, połączone z migotliwym lustrem w tylnej ścianie.

Stało tam kilka przedmiotów - misa z grubego mlecznozielonego szkła, kolorowa taca, pochodząca zapewne z Francji lub Włoch, dwa pękate świeczniki oraz mosiężne naczynie z pokrywką, na której była wyrzeźbiona kobieca twarz. Ładne rzeczy, oceniła Zoe, artystyczne. Coś takiego mogłaby sprzedawać Malory w swojej galerii.

Uniosła pokrywkę i wewnątrz naczynia dostrzegła garść monet. Zagranicznych monet, uświadomiła sobie. Funty irlandzkie, franki, liry, jeny. Jakie to cudowne, pomyślała, wrzucać do garnka pamiątki z niezwykłych miejsc.

Jeszcze bardziej zdumiewające wydawało się to, że dla Brada coś takiego zapewne nie miało żadnego znaczenia.

Położyła pokrywkę i odrzuciła od siebie niejasne poczucie winy, że wtyka nos w

czyjeś osobiste sprawy. Wysunęła pierwszą szufladę.

Leżały w niej, na ciemnoczerwonej aksamitnej wyściółce, srebra stołowe. Wyjęła łyżkę, obejrzała ją pod światło. Była z pewnością stara, dziedziczona przez kolejne pokolenia, lecz wyczyszczona i gotowa do użycia.

Idealna na Święto Dziękczynienia, uznała Zoe i zanotowała to w pamięci, po czym obejrzała dokładnie każdy zakamarek mebla.

W dolnej części kredensu znalazła porcelanę, wytworny biały serwis. Przeglądając zawartość kredensu, nakrywała w myślach świąteczny stół i ustawiała głębokie i płytkie talerze, półmiski i kieliszki, które wypatrzyła w szufladach i schowkach. Westchnęła na widok adamszkowych obrusów i zestawu kółek do serwetek w kolorze kości słoniowej. Ale nie natrafiła na klucz.

Gdy przetrząsała książki w bibliotece, zegar na kominku wybił pierwszą. Wystarczy, powiedziała sobie. Dość jak na jeden wieczór. Na pewno nie ostatni.

Gasząc lampy, zdała sobie sprawę, że nie czuje się w najmniejszym stopniu zniechęcona. Przeciwnie, nie opuszczało jej dziwne przeświadczenie, że stoi u progu odkrycia. Jak gdyby przebyła zakręt lub wspięła się na szczyt wzgórza. Na tym jeszcze nie koniec, pomyślała, wchodząc po schodach. Teraz jednak wyraźnie dostrzegała cel.

Zajrzała do Simona, odruchowo otuliła go kołdrą. Moe, rozciągnięty w nogach łóżka, uniósł łeb, zwęszył ją i niemrawo poruszył ogonem, po czym znowu zapadł w sen.

Szczeniak drzemał smacznie z łebkiem na poduszce, tuż obok głowy Simona. Zapewne należało traktować takie praktyki z dezaprobatą, ale naprawdę nie widziała powodu.

Wyglądali tak pogodnie. Niewinnie i beztrosko. Jeżeli Simon był częścią tego wszystkiego, jak przypuszczała Malory, być może klucz znajdował się tutaj, w pokoju, w którym spał.

Przez chwilę siedziała na skraju łóżka, bezwiednie gładząc plecy syna.

Światło księżyca w ostatniej kwadrze sączyło się przez okno, oblewając twarz Simona bladą poświatą. Póki jest światło, powiedziała sobie w duchu Zoe, poty jest nadzieja. Tego zamierzała się trzymać.

Wstała i cicho wymknęła się z pokoju.

Zerknęła na drzwi sypialni Brada. Resztę nocy postanowiła poświęcić jemu.

Wstąpiła najpierw do siebie, by wybrać perfumy i balsam do ciała, przygotować się dla niego. Może nie potrafiła jeszcze dać mu wszystkiego, czego pragnął - lub wydawało się, że pragnie - lecz to jedno mogła mu ofiarować.

Mogli obdarzyć się nawzajem.

Z przyjemnością wmasowała w skórę pachnącą emulsją, wyobrażając sobie dotyk jego dłoni i ust. Przyjemnie było poczuć się znowu w pełni kobietą. Nie tylko ludzką istotą, nie tylko matką, lecz kobietą, która obdarowuje mężczyznę i czerpie od niego.

Nie uświadamiała sobie tego jako dziewczyna. Nikt nie budził w niej tak silnego pragnienia, przy nikim nie czuła się tak pewna siebie.

Wyszła na korytarz w samym szlafroku, niosąc białą świecę, która roztaczała w powietrzu zapach jaśminu.

Bez pukania wsunęła się cicho do ciemnej sypialni, przekraczając wąską, srebrzystą smugę księżycowego światła, wpadającego przez okno.

Znalazła się w tym pokoju po raz pierwszy - i zastanawiała się, czy Brad będzie wiedział, tak jak wiedziała ona, że zrobiła kolejny krok. Dostrzegła błysk wypolerowanego, rzeźbionego drewna u wezłowia, czuła bosymi stopami puszystość dywanu.

Rozwiązała szlafrok, który zsunął się na podłogę, a po ciele Zoe przebiegł rozkoszny dreszcz. Ostrożnie postawiła świecę na nocnym stoliku, uniosła przykrycie i wśliznęła się do łóżka.

Uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie widziała go śpiącego, i zaczęła, aż oczy oswoją się z grą cieni, by mogła mu się przyjrzeć. Musiała przyznać, że we śnie nie tracił nic ze swej męskiej urody.

Tym razem to nie królową, lecz księcia z bajki miał obudzić pocałunek.

Interesujące, skonstatowała, przeciągając lekko palcem po jego barku. Jeszcze nigdy nie uwodziła uśpionego mężczyzny. Myśl owa uderzała do głowy jak wino, ale dawała też, przynajmniej chwilowo, poczucie całkowitej kontroli nad sytuacją.

Czy miało to być doznanie szybkie, namiętne, gwałtowne? A może powolne, marzycielskie i romantyczne? Łagodne czy drapieżne? Decyzja należała do niej. To był jej twórczy akt. I jej dar.

Zsunawszy koce w dół, uniosła się nad nim i przez chwilę upajała sekretną erotyczną dominacją, zanim zrobiła użytek ze swoich ust. I ze swoich dłoni.

Powoli, pomyślała, wywabić go powoli z otchłani snu, przedłużając to fascynujące interludium. Skórę miał ciepłą, gładką, ciało twarde i jędrne. Mogła się nim sycić do woli.

Śnił o niej, wyłaniającej się z leśnego cienia, smukłej i nieskrępowanej. Słyszał cichy śmiech, gdy zbliżyła się do niego, musnęła palcami policzek i zawróciła, wabiąc go w stronę lasu, gdzie plamki światła tańczyły na kwietnym kobiercu.

Leżała otoczona morzem kwiatów. Uniesione ramiona połyskiwały złociście w blasku księżycy. Zbliżyła usta i cofnęła, pozostawiając na wargach mężczyzny ulotny, kuszący smak.

Budził się stopniowo, łaknąc więcej. I znalazł ją.

Znowu poczuł dotyk ust, oddychali w jednym rytmie, gdy wyszeptała jego imię. Jęknął cicho, zatracając się w zniewalającym zapachu tej kobiety.

- Mam cię - mruknęła i lekko ugryzła go w podbródek. - Już od dobrej chwili znęcam się nad tobą.

- Daję ci dziesięć lat, żebyś przestała. Potem wzywam gliny.

Przecięgnęła lekko paznokciami po jego brzuchu i stłumiła chichot, gdy zaciskał zęby, by nie zakłócić.

- Cśśś. Zachowujmy się ciszej. Nie chcę, by Simon nas usłyszał.

- Słusznie. Lepiej, żeby nie wiedział, jaką mamy frajdę. Nawiasem mówiąc, wspomniał mi o tym.

- O Boże. - Przykryła dłonią usta, by nie parsknąć śmiechem. - O mój Boże.

- Cśśś - przypomniał Brad i przewrócił się na łóżku, przyciskając ją do materaca. - Na czym stanęliśmy?

- Zakradłam się do twojego łóżka w środku nocy i wyrwałam cię ze snu.

- Ach tak, to mi się naprawdę podobało. - Uśmiechnął się przelotnie. - Już się obudziłem - dodał i zsunął się niżej, obejmując ustami jej pierś.

Ognista kula eksplodowała w brzuchu Zoe.

- Trudno nie zauważyć. - Wygięła się łuk, poddając fali doznań, a potem obróciła się na bok. - Ale chyba jeszcze z tobą nie skończyłam.

Złączyli się w uścisku, zaplątali w koce. Oddychając urywanie, tłumili śmiech, drażnili się i pobudzali wzajemnie. Dawali sobie rozkosz - aż wreszcie ich wilgotne, rozedrgane ciała nie mogły dłużej znieść napięcia.

Kiedy uklękli w skłębionej pościeli, zdyszana, odchyliła się w tył i objęła go mocno udami.

W skąpym świetle ubywającego księżyca połączyli się i dopełnili. Płynnym ruchem uniosła się ku niemu, przywarli do siebie, ich usta ponownie się odnalazły. Bliskość przyniosła ulgę.

- Nie odchodź. - Wtuliła twarz w ramię mężczyzny. - Jeszcze przez chwilę.

- Nigdy nie odejdę. - Rozgorączkowany całował jej włosy, policzki.

- Kocham cię, Zoe. Przecież wiesz. Ty też mnie kochasz. Nie zaprzeczysz. Dlaczego nie chcesz tego przyznać?

- Bradleyu... - Właściwie czemu nie miałyby tego powiedzieć? Do diabła z konsekwencjami. Dlaczego nie miałyby spełnić swego najgorętszego pragnienia? Odwróciła

głowę, ocierając się policzkiem o jego bark.

I w nikłym świetle księżycy dostrzegła obraz nad kominkiem.

„Zakłęcie”. Tak brzmiał tytuł, przypomniała sobie. Szklane Córy, spoczywające w przezroczystych trumnach.

Nie były martwe. Spotkało je coś gorszego, pomyślała i wstrząsnął nią dreszcz.

Dlaczego nie miała tego powiedzieć? Córy były jednym z powodów, na pewno. Ale nie najważniejszym. Kane nie potrafił dostrzec tego, co kryła w sobie - głęboko w sobie. Ani dostrzec, ani zrozumieć.

Postanowiła zatem nadal skrywać uczucie głęboko i chronić Bradleya, jak tylko potrafiła - jeszcze przez kilka dni.

- Przeniosłeś tu ich portret.

- Cholera jasna, Zoe. - Odsunął ją od siebie i stłumił przekleństwo. - Tak, powiesiłem go tutaj.

Dotknęła jego barku.

- Zdaję sobie sprawę, że wiele od ciebie wymagam.

- Poddajesz mnie cholernej próbie.

- Być może. Nie wiem. - Rozgarnęła palcami włosy. - To wszystko stało się tak szybko. Czasami mam wrażenie, że nie nadążam za własnymi uczuciami. Ale wiem na pewno, że nie chcę cię zranić. Nie chcę z tobą walczyć. Muszę działać zgodnie z własnym rytmem, a to jest częściowo związane z nimi. - Wskazała obraz, wstała z łóżka i sięgnęła po szlafrok. - Nic nie poradzę, że tak się rzeczy mają.

- Sądzisz, że się od ciebie odwrócę jak James, ponieważ obaj pochodzimy z podobnych środowisk?

- Tak. - Zawiązała pasek szlafroka i spojrzała Bradowi w oczy. - I pomyślałam też, że może właśnie to podobieństwo przyciąga mnie do ciebie. Ale teraz wiem lepiej. Mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia, Bradleyu. Proszę cię, abyś zaczekał, dopóki się z nimi nie uporam.

Po chwili milczenia nacisnął kontakt. Światło zalało obraz.

- Kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy, poczułem się tak, jakby ktoś złapał mnie za gardło. Miłość, może pożądanie, nie wiem, ale widząc tę twarz, doznałem wstrząsu. Twoją twarz, Zoe. Gdy pierwszy raz zobaczyłem ciebie, nastąpiła dokładnie ta sama reakcja. Ale jeszcze cię nie znałem. Nie wiedziałem, jaka jesteś. Nie wiedziałem, co myślisz i czujesz, co cię śmieszy, co drażni. Nie wiedziałem, że lubisz żółte róże i posługujesz się pistoletem do wstrzeliwania gwoździ nie gorzej niż ja. Nie znałem rozmaitych szczegółów dotyczących

ciebie, które znam teraz. Uczucia, jakie budziła we mnie tamta twarz, nie dadzą się nawet porównać z tym, co czuję do kobiety, która ją posiada.

Zoe obawiała się przez chwilę, że nie zdoła wydobyć z siebie głosu.

- Kobieta, która ją posiada, nigdy nie знаła kogoś takiego jak ty. Nigdy nie przypuszczała nawet, iż może poznać.

- Załatw swoje sprawy, Zoe. Bo jeśli tego nie zrobisz, załatwię je za ciebie.

Zaśmiała się cicho.

- Nie, naprawdę nie spotkałam nikogo takiego. Ten tydzień będzie dla mnie bardzo ważny i gdy tylko... - Urwała, spoglądając ponownie na portret. Serce zaczęło walić jak młotem. - O Boże, czyżby sprawa była aż tak prosta? Czy to możliwe, żeby klucz się znajdował właśnie tutaj?

Z drżeniem podeszła do kominka, wpatrzona w trzy klucze, które namalowała Rowena, leżące na ziemi obok szklanych trumien. Wspięła się na palce, wstrzymała oddech i sięgnęła w górę.

Dotknęła ręką płótna.

Spróbowała jeszcze raz, z zamkniętymi oczyma, wyobrażając sobie, że jej dłoń sięga w głąb obrazu i zaciska się na kluczu, tak jak przedtem dłoń Malory.

Ale płótno nie ustąpiło, klucze pozostały dwuwymiarowymi kształtami.

- Pomyślałam... - Cofnęła się, zniechęcona. - Przez chwilę wydawało mi się, że może... To naprawdę głupie.

- Nie. Sam próbowałem. - Podeszedł do niej, objął w pól. - Kilkakrotnie.

- Próbowalesz? Przecież nie ty masz go odnaleźć.

- Kto wie? Może tym razem jest inaczej.

Zoe nie odrywała oczu od portretu.

- Nie chodzi o żaden z nich. Rowena namalowała klucze wiele lat temu. I są... są chyba symbolem rozpacz, nie sądzisz? Rozpacz i straty, a nie nadziei i spełnienia. Spoczywają w miejscu niedostępnym dla śmiertelnych, a żaden z bogów nie może ich użyć.

Nie rozpacz, lecz przewyciężenie rozpacz jest drogą do mojego klucza. Teraz rozumiem.

Ale jeszcze tej samej nocy przyśniło jej się, że weszła w portret i stanęła tuż obok szklanych trumien, w których spoczywały powłoki cielesne trzech Cór. Podniosła klucze i zbliżyła się do Szkatuły Dusz, wpatrzona w krążące powoli błękitne światelka.

Wsuwała klucze kolejno w zamki, lecz żaden się nie obrócił.

Poczuła rozpacz, gdy ogniki zgasły, a szklane ściany ich więzienia ściemniały do

czerni.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nazajutrz rano Malory wbiegła do „Pokusy”, wymachując egzemplarzem „Dispatcha”.

- Nasz artykuł! Ukazał się w porannym wydaniu!

Spojrzała w prawo, w lewo, w górę schodów i sapnęła z irytacją, gdy nikt się nie pojawił. Artykuł Flynna o „Pokusie” i jej „nowatorskich właścicielkach” - och, wprost uwielbiała ten kawałek - ukazał się na pierwszej stronie, a ona nie mogła się dowołać swoich współpracowników?

Łopocząc połamami płaszcz, wmaszerowała do księgarni Dany. Kolor ścian, książki, stoliki, wszystkie urocze drobiazgi pobudziły, jak zwykle, jej energię. Tanecznym krokiem przemknęła do sąsiedniego pomieszczenia i uśmiechnęła się szeroko na widok Dany, która tkwiła za kontuarem ze słuchawką przy uchu.

Kołysząc biodrami, Malory pomachała gazetą, na co Dana skinęła głową, nie przerywając rozmowy.

- Tak, zgadza się. Tak, mam to na składzie. Bardzo chętnie. Mogłabym... tak... no, nie wiem... - Jej twarz wyraziła zdumienie, zachwyt, a następnie satysfakcję, podczas gdy Malory podsuwała jej pod nos gazetę. - Zaraz połączę panią z salonem. - Nabrała tchu, przyjrzała się nowemu systemowi telefonicznemu. - Proszę, niech to będzie zrobione prawidłowo, żebym tylko nie przerwała połączenia. - Nacisnęła guziki, skrzyżowała palce i odłożyła słuchawkę.

Po chwili z góry dobiegł stłumiony dzwonek telefonu.

- Dzięki ci, Jezu. Mai, nie uwierzysz, co się dzieje.

- Nieważne, popatrz na to. Spójrz tylko! - wskazała palcem artykuł.

- Aha, to. - Dana wyciągnęła spod lady plik egzemplarzy „Dispatcha”, wprawiając Malory w osłupienie. - Kupiłam pięć sztuk. Przeczytałam artykuł dwa razy. Przeczytałabym go jeszcze raz, gdyby nie te telefony. Mai... o Boże, to chyba twój.

- Co?

- Twój telefon. - Dana obróciła się, złapała Malory za ramię i pociągnęła na drugą stronę domu. - Przyszłam dziesięć minut temu, a telefony już dzwoniły. Zoe powiedziała... nieważne zresztą. Odbierz wreszcie, to przecież do ciebie.

- Mój telefon dzwoni - wyszeptwała Malory, wpatrując się w aparat, jakby takie urządzenie widziała pierwszy raz w życiu.

- Uwaga. - Dana odchrząknęła i podniosła słuchawkę. - Dzień dobry, tu „Pokusa”, galeria sztuki. Tak, zaraz poproszę pannę Price. - Nacisnęła guzik. - Panno Price, telefon do

pani.

- Telefon do mnie. Aha. Dobrze. - Malory wytarła spocone dłonie o płaszcz. - Odbiorę. Robiłam to przez lata w cudzym imieniu, mogę zrobić we własnym. - Włączyła się na linię. - Dzień dobry, tu Malory Price.

Trzy minuty później obydwie z Daną tańczyły polkę po całym pokoju, aż wreszcie wypadły na korytarz.

- Zrobiłyśmy furorę! - wykrzyknęła Dana. - Zrobiłyśmy furorę, zanim jeszcze otworzyłyśmy podwoje. Chodźmy na górę i zawołajmy Zoe.

- Zostawimy telefony?

- Niech zadzwonią później. - Zanosząc się szaleńczym śmiechem, Dana pociągnęła Malory na górę.

Zoe siedziała w jednym ze swoich fryzjerskich foteli, wyraźnie zszokowana. Na fali uniesienia Dana rzuciła się ku niej i gwałtownym ruchem okręciła fotel wokół osi.

- Idziemy jak burza!

- Mam umówione klientki - oznajmiła Zoe głosem pozbawionym wyrazu. - Prawie cała sobota jest już zarezerwowana, a na piątek zapisałam na manikiur, pedikiur, strzyżenie z farbowaniem i dwa masaże. Pewna matka z córką przyjdą na oczyszczanie twarzy w przyszłym tygodniu. W przyszłym tygodniu!

- Musimy to uczcić - zdecydowała Malory. - Dlaczego nie mamy szampana? Mogłybyśmy sobie przyrządzić mimozy, gdybyśmy miały szampana i sok pomarańczowy.

- Kiedy weszłam, telefon już dzwonił - podjęła Zoe, wciąż oszołomiona. - Dzwonił, choć nie było jeszcze dziewiątej. Wszyscy mówili, że przeczytali artykuł w gazecie. „Chcę wyjść za mąż za Flynna i rodzić mu dzieci”. Wybacz, Malory, ale nie mogę się powstrzymać.

- Ustaw się w kolejce. - Malory sięgnęła po gazetę leżącą na szafce. - Popatrzcie tylko. Czy nie wyglądamy super? - Zaprezentowała przyjaciółkom stronę ze zdjęciem, na którym stały w holu, obejmując się nawzajem w pól. - Price, McCourt i Steele - przeczytała - czyli piękno i intelekt tworzące „Pokusę”.

- Muszę przyznać, że naprawdę się przyłożył do tego artykułu. - Dana zajrzała Malory przez ramię. - Wyszłyśmy świetnie, jakżeby inaczej. Ale on jeszcze uchwycił pewną istotną cechę. Element zabawy. Do tego dochodzi kwestia ożywienia miejscowej gospodarki, inicjatywa trzech kobiet z Valley, przywrócenie blasku niszczonej posiadłości i tak dalej, ple ple. To wzbudza zainteresowanie.

- I naprawdę wyglądamy nieźle - wtrąciła Zoe. - Mała rzecz, a cieszy. Przeczytałam artykuł jeszcze przed śniadaniem, a po drodze musiałam się zatrzymać, żeby przeczytać drugi

raz.

- Oprawię go w ramki - oznajmiła Malory. - Powiesimy jeden egzemplarz w kuchni. - Wyjęła z torebki notes, żeby to zapisać. - Aha, tak przy okazji, trzeba będzie sprawdzić, czy wszystko w porządku z poczęstunkiem, który planujemy na piątkowe otwarcie. Ja biorę na siebie wypieki. Dano, ty zajmiesz się napojami, a Zoe owocami i serami.

- Mój telefon znowu dzwoni - powiedziała Zoe i ku zaskoczeniu przyjaciółek wybuchnęła płaczem.

- Oho. Zajmij się nią - poleciła Malory Danie. - Ja odbiorę.

Ruszyła pospiesznie w stronę recepcji, podczas gdy Dana wyszarpnęła z pudełka garść chusteczek jednorazowych i wepchnęła je Zoe do rąk.

- Przepraszam. Przepraszam. Dlaczego ja ciągle beczę?

- Nie przejmuj się tak. Wyrzuć to z siebie.

Zoe nie mogła się uspokoić i na widok powracającej Malory skinęła tylko ręką, usiłując stłumić szloch.

- Zejdźmy do kuchni i napijmy się herbaty. - Malory dziarsko poderwała Zoe na nogi, objęła i wyprowadziła z salonu.

- Dobry pomysł. Boże, jaka ze mnie idiotka - Zoe hałaśliwie wydmuchała nos. - Sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Otwierasz salon kosmetyczny, zbliża się termin zakończenia twoich poszukiwań, związałaś się z mężczyzną. Połączenie tych czynników może być nieco stresujące, nie uważasz? Chodź, złotko, dajmy sobie trochę luzu.

- Czuję się strasznie głupio. - Zoe, pociągając nosem, pozwoliła Malory usadzić się na kuchennym krześle. - Nie mam żadnych powodów do płaczu. Wszystko idzie świetnie, naprawdę jest wspaniale. - Łzy ponownie napłynęły jej do oczu i rozpląkała się, kładąc głowę na stole. - Potwornie się boję.

- Masz prawo. - Malory stanęła za nią i masowała jej ramiona, podczas gdy Dana nastawiła wodę na herbatę. - Masz pełne prawo się bać, skarbie.

- Nie mogę tracić na to czasu! Otwieram własny salon. Marzyłam o nim od dziesięciu lat i teraz mój sen się ziścił. Ludzie dzwonią. Jestem naprawdę szczęśliwa, więc dlaczego się załamuję?

- Ja też się boję.

Zoe uniosła głowę, spojrzała na Malory, zamrugła ze zdumieniem.

- Boisz się?

- Panicznie. Gdy czytałam artykuł Flynna, zaczęło mi dzwonić w uszach i poczułam

na podniebieniu ten taki, wiesz, metaliczny smak. Nie posiadałam się ze szczęścia, a jednocześnie dzwoniło mi w uszach coraz głośniejsze i musiałam bez przerwy przetykać ślinę, żeby się pozbyć tego smaku.

- A ja ciągle się budzę w środku nocy. - Dana odwróciła się od kuchenki. - Myślę sobie: otwieram księgarnię i wtedy czuję, że mam duszę na ramieniu.

- Och, dzięki Bogu. - Zoe poczuła ulgę, słuchając przyjaciółek. - Dzięki Bogu. Jest w porządku, kiedy się czymś zajmuję albo myślę, co jeszcze zostało mi do zrobienia. Ale czasami to wszystko nagle do mnie dociera i mam ochotę zamknąć się w przytulnej ciemnej szafie i skomleć jak pies. A jednocześnie chce mi się fikać koziołki. Chyba dostaję świra.

- Wszystkie płyniemy tą samą łodzią - skostatowała Dana - a imię jej brzmi: „Neuroza”.

Zoe zdobyła się na łzawy uśmiech, gdy Dana ustawiała na stole kolorowe filiżanki.

- Naprawdę się cieszę, że wy też jesteście stuknięte. Czulałam się jak kompletna kretyńka. I jeszcze jedno. Chyba wiem, gdzie jest klucz. Nie znam dokładnego miejsca - zastrzegła pospiesznie, czując, jak dłonie Malory drgnęły na jej ramionach. - Ale wiem, że znajduje się w domu Bradleya. Ten dom ma w sobie coś i gdy wczoraj o tym myślałam, nagle mnie olśniło. Czuję, że jestem na dobrej drodze, a właściwie o krok od klucza i z wrażenia aż mnie skręca.

- Bo jesteś bliska znalezienia klucza? - spytała Malory. - Czy dlatego, że chodzi o Brada?

- Jedno i drugie. - Zoe uniosła filiżankę i przytrzymała ją oburącz. - To wszystko zaczyna osiągać punkt krytyczny. Poszukiwania, nasze przedsięwzięcie. Od września skoncentrowałam się na tych dwóch sprawach i teraz, gdy są już prawie załatwione, muszę spojrzeć w przyszłość. Nie widzę jej. Poczucie celu... no cóż, pchało mnie naprzód. A teraz muszę się zmierzyć z konsekwencjami.

- Nie musisz mierzyć się z nimi sama - przypomniała Malory.

- Wiem. O tym też myślałam. Przywykłam do rozwiązywania problemów na własną rękę. Nigdy w życiu nie byłam z nikim tak blisko, jak z wami, no, może oprócz Simona. To jakiś niesamowity dar niebios, w stylu: te dwie wspaniałe kobiety są twoimi przyjaciółkami. Twoją rodziną.

- O rany, Zoe. - Dana sięgnęła po zmiętą chusteczkę. - Zaraz się rozryczę.

- Chodziło mi o to, że jeszcze nie do końca zdaję sobie sprawę z waszej obecności. Z tego, że w razie potrzeby mogę do was zadzwonić albo przyjechać. Choćby tutaj. Mogę wam powiedzieć, że się boję, że jestem szczęśliwa albo potrzebuję pomocy, czegokolwiek, i mogę

na was liczyć. - Zwilżyła podrażnione gardło herbatą i odstawiła filiżankę. - No i są jeszcze faceci. Nigdy przedtem nie przyjaźniłam się z mężczyznami. Z Flynnem i Jordanem potrafię rozmawiać... przebywać, flirtować ze świadomością, że łączy nas tylko przyjaźń. Simon zyskuje przy nich męskie wsparcie. To prawdziwy dar.

- Nic nie mówisz o Bradzie - zauważyła Malory.

- Zaraz powiem. Denerwuje mnie i pobudza perspektywa znalezienia klucza. Pewność, że go znajdę i że to ma jakiś związek z Bradleyem. A jednocześnie przeraża mnie świadomość takiej zależności.

- Czy wzięłaś pod uwagę, że lęk może blokować w tobie chęć znalezienia klucza?

Zoe kiwnęła głową w stronę Dany.

- Tak, ale nie potrafię go przełamać. Bradley myśli, że jest we mnie zakochany.

- Po co robisz zastrzeżenia? - spytała Malory. - Dlaczego nie powiesz po prostu, że on cię kocha?

- Może za bardzo tego pragnę. Nie tylko dla siebie, lecz także dla Simona. Wiem, że wszystko się zająbia. Bradley świetnie się z nim dogaduje, ale dla nich obu, no cóż, to nowe doświadczenie. Prawda wygląda tak, że Simon ma prawie dziesięć lat i jest synem innego mężczyzny.

Dana bez słowa podeszła do kredensu i wyjęła pudełko czekoladek, przechowywane specjalnie do takich celów. Postawiła je na stole przed Zoe.

- Dzięki. - Zoe z westchnieniem sięgnęła po czekoladkę, wybierając na chybił trafił. - Jeżeli Bradley mnie kocha, przyjmie Simona. Będzie dla niego dobry, życzliwy, wiem o tym. Ale czy nie zabraknie tego czegoś, tej nierozzerwalnej więzi?

- Nie wiem. - Malory przeczesła palcami włosy. - Moim zdaniem wszystko zależy od nich.

- Tak, ale Simon przywykł do naszego życia we dwoje, do tego, że poświęcam mu całą uwagę, do wykonywania moich poleceń albo wymigiwania się od nich. Jeżeli między nami się ułoży, będzie potrzebował czasu, by zobaczyć w Bradleyu kogoś więcej niż kumpla, który ma świetny pokój gier. By się pogodzić z faktem, że ktoś oprócz mnie ma nad nim władzę. A Bradley musi się oswoić z faktem, że ma dziecko, w dodatku już nieźle podrośnięte. Jeżeli wkroczę w tę sytuację bez zastanowienia, pociągnę ich obu za sobą, może zanim jeszcze będą gotowi.

- Mówisz rozsądnie. - Malory poddała się i wzięła czekoladkę. - Logicznie. Czasami jednak pewne sprawy wymykają się logicznej ocenie.

Zoe odetchnęła głęboko.

- Jest jeszcze coś. Rowena i Pitte powiedzieli, że im bardziej będzie mi zależało na Bradleyu, tym mocniej Kane zechce go skrzywdzić.

- Więc się powstrzymujesz, żeby go ochronić. - Dana uniosła brwi. - To by go wkurzyło. Ale wiem, że gdyby chodziło o Jordana, pewnie zachowywałabym się tak samo, bo kocham drania.

- Myślę o tym bez przerwy. Rozpatruję pod różnymi kątami. Co się stanie, jeśli postąpię tak albo tak. - Zoe ze znużeniem wzruszyła ramionami. - Zbyt wiele mam do stracenia. Prawdę mówiąc, wszystko do stracenia, więc nie mogę tak po prostu rzucić się na coś, co błyszczyci ładnie wygląda. Nie bez zastanowienia się nad konsekwencjami.

- Może powinnaś wziąć pod uwagę jeszcze jeden czynnik. - Malory przykryła dłonią rękę Zoe. - Czy nie cofasz się przed tym czymś błyszczącym, ponieważ w zamian musiałabyś z czegoś innego zrezygnować?

- Z czego?

- Z domu, który sama stworzyłaś, z dotychczasowego życia. Z rodziny, którą ustanowiliście we dwoje z Simonem. Wszystko ulegnie nieodwracalnej zmianie, jeżeli sięgniesz po coś nowego. Przerazająca perspektywa. Jeśli nie wyciągniesz ręki, możesz go stracić. Jeśli wyciągniesz, wymknie ci się coś innego. Sama musisz zdecydować, co jest dla ciebie cenniejsze.

- Nie chodzi tylko o mnie. A nawet nie o mnie w połączeniu z Simonem i Bradleyem. - Zoe wstała, odniosła filiżankę do zlewu. - Mój klucz wiąże się w jakiś sposób z odwagą. Ale czy to ma być odwaga polegająca na sięgnięciu po coś czy rezygnacji z czegoś? Czytałyśmy trochę o bogach i wiemy, że nie zawsze są sympatyczni. Nie zawsze sprawiedliwi. I żądają zapłaty. - Odwróciła się do przyjaciółek. - Karą za niepowodzenie, teraz już skreśloną, miała być utrata roku życia. Nie wiadomo nawet którego. Może tego, które właśnie przeżywamy. Wyrafinowane okrucieństwo. Mai, tobie ofiarowano coś, czego pragnęłaś przez całe życie. Mogłaś dotknąć, poczuć, zakosztować. Ale żeby odnaleźć klucz, musiałaś się tego wyrzec. Nie obyło się bez bólu.

- Tak, to bolało.

- A ty, Dano, omal nie przypłaciłaś życiem swoich poszukiwań. Reguły gry uległy zmianie i niewiele brakowało, żebyś zginęła.

- Ale przeżyłam.

- Mogłaś nie przeżyć. I czy myślisz, że bogowie uroniliby nad tobą choć jedną łzę?

- Rowena i Pitte... - zaczęła Malory.

- Z nimi jest inaczej. Żyją wśród nas od tysiącleci i w pewnym sensie są takimi

samymi pionkami jak my. Ale ci zza Zasłony, ci, którzy przez nią spoglądają... Ich nie obchodzi, czy będziemy żyły długo i szczęśliwie. - Usiadła. Fakty mówią same za siebie. - W jakich okolicznościach spotkałyśmy się, my trzy? Dlaczego zdecydowałyśmy się na szukanie kluczy? Straciłyśmy pracę. Ja potrzebowałam pracy, każda z was kochała swoją. Odebrali ją nam, byśmy były bardziej użyteczne, a potem pomachali forszą przed nosem, co okazało się skuteczne, bo złożyłyśmy podpisy w wyznaczonym miejscu. Kierowały nimi zapewne szlachetne i bezinteresowne motywy, ale manipulowali nami.

- Masz rację - przyznała Dana. - Nie da się ukryć.

- Uzyskałyśmy ten dom - ciągnęła Zoe. - Ale zdobyłyśmy go same. Podjęłyśmy ryzyko, wykonałyśmy pracę. Jeśli owo miejsce jest cudem, to nasz cud.

Malory kiwnęła głową, odchylając się na oparcie, krzesła.

- Mów dalej.

- No więc weźmy ciebie i Flynna. Poznałaś go w tym miejscu i czasie, ponieważ był związany z naszą sprawą. Zakochałaś się w nim, a on w tobie. Lecz nawet gdybyście się nie pokochali, dokonałabyś wtedy na strychu takiego samego wyboru. Nie przyjęłabyś iluzji, choćby najbardziej upragnionej, poświęcając ich dusze. Wiem, bo cię znam. Gdybyś patrzyła na Flynna tak jak ja, jak na przyjaciela, kogoś w rodzaju brata, postąpiłabyś identycznie.

- Mam nadzieję - odparła Malory. - Chciałabym w to wierzyć.

- Ja jestem pewna. Mogło was również połączyć przelotne uczucie, które by zbladło wraz z końcem twoich poszukiwań, zamiast się pogłębić. Dla nich nie miało znaczenia, czy jesteś szczęśliwa. Liczył się tylko twój sukces lub porażka.

- Być może. Lecz moje doświadczenia i wybory, jakich dokonałam w ciągu owego miesiąca, przyczyniły się do tego, co zaistniało między mną a Flynnem.

- Sama to stworzyłaś - orzekła Zoe. - A Jordan wrócił do Valley właśnie wtedy, ponieważ był związany z całą sprawą. Stanowił jeden z elementów układanki. Ty, Dano, musiałaś przeanalizować swoje uczucia do niego, to było podstawową kwestią. Mogłaś jednak zdefiniować je inaczej, z tym samym skutkiem. Mogłaś mu przebaczyć. Mogłaś dojść do wniosku, że go nie kochasz, ale wasze wspólne doświadczenia są dla ciebie cenne. Że łączy was w większym stopniu przyjaźń niż namiętność. Mogłaś odrzucić to, co było między wami, i mimo wszystko znaleźć klucz. Nie myślisz o kwieciu pomarańczy, ponieważ bogowie uśmiechnęły się do ciebie.

- Z tym kwieciem pomarańczy trochę przesadzasz, ale rozumiem, o co ci chodzi. - Dana w roztargnieniu sięgnęła po czekoladkę. - Odwracając tok myślenia, poinformowano nas o tym na samym początku. Każda z nas jest kluczem. A więc, koniec końców, same

decydujemy o naszych zyskach i stratach.

- Ale oni nami manipulują - podkreśliła Zoe. - Połączyli nas, wykorzystali okoliczności. Bradley mógł tak czy inaczej wrócić do Valley, to jego rodzinna miejscowość i ma w związku z nią pewne plany. Ja jednak bez tego wszystkiego nie miałabym szans, by go spotkać. Malory mogła poznać Flynną niezależnie od tej sytuacji, lecz nie jest prawdopodobne, abym ją poznała Bradleya Charlesa Vane'a IV A co go do mnie przyciągnęło? Portret. Manipulowanie jego uczuciami.

Sama myśl o tym wzbudziła w niej wściekłość. Wbiła zęby w czekoladkę.

- Wiem, że teraz już nie chodzi o portret. Lecz zmiana, która zaszła w Bradleyu, ma dla nich marginalne znaczenie. Należało nas zetknąć, żebyśmy się zbliżyła do klucza lub oddaliła od niego, zależy, z której strony patrzeć. Czy znajdę klucz, czy nie, moja przydatność, podobnie jak Bradleya, już się wyczerpuje. Sądzicie, że cierpienie i strata, które są z tym związane, mają dla nich jakieś znaczenie? - W jej głosie zadźwięczała nuta hamowanej złości. - Guzik ich obchodzi czyjeś złamane serce. Może właśnie na tym etapie poszukiwań trzeba złamać komuś serce? W mojej wskazówce jest mowa o rozpacz i stracie. I o krwi - ciągnęła. - Ale to nie będzie jego krew. Nie narażę go na to, nawet dla ocalenia trzech dusz.

- Zoe - zaczęła ostrożnie Malory - jeżeli się już pokochaliście, czy nie osiągnęliście własnego celu?

- Kto wie? Może chodzi o moje złudzenia i o to, co będę musiała poświęcić? Wskazówka wspomina jeszcze o bogini, mam spojrzeć na nią i zrozumieć, kiedy dobyć miecza, a kiedy go odłożyć. Czy walczę o coś, czego sama pragnę, czy poświęcam się dla ogólnego dobra?

- To są rozsądne i logiczne przypuszczenia, rozsądne i logiczne pytania. - Dana uniosła rękę, zanim Malory zdążyła wyrazić sprzeciw. - Nikt nam nie każe lubić bogów, ale powinniśmy ich obdarzyć pewnym kredytem zaufania. Nie obiecywano nam, że będziemy stąpać po płatkach róż. Obiecano natomiast górę pieniędzy.

- Mam gdzieś ich pieniądze - oznajmiła Malory.

- Niestety, nie mogę ci powiedzieć, żebyś ugryzła się w język, ponieważ czuję to samo. Ale - podkreśliła Dana, wysuwając swoje rozsądne i logiczne przypuszczenia - Zoe pominęła wzmianki o nadziei, radości i spełnieniu. Krzyżujące się ścieżki, które prowadzą od jednego do drugiego.

- Radość, nadzieja i spełnienie są tutaj i dzielę je z wami. - Zoe rozpostarła ramiona, obejmując tym gestem kuchnię i cały dom, który stworzyły niemal od podstaw. - Niczego nie

pomijam, ale muszę być realistką. Muszę, bo nade wszystko pragnę uwierzyć, że kiedy to się skończy, kiedy odnajdę cholerny klucz, pojawi się przede mną szansa na... na coś lepszego.

- No więc, co dalej? - spytała Dana.

- Potrzebne mi są wasze pomysły. Każda z was trzymała w ręku klucz. Dano, ty, Jordan i Flynn znacie dom Bradleya prawie tak dobrze, jak on sam. Przyjmę każdą możliwą pomoc. - Wstała.

- Ale na razie zacznijmy znowu odbierać telefony.

Z księżycyca pozostał jedynie skrawek, wąski sierp, dryfujący po czarnym niebie. Zoe życzyła sobie gorąco, by nadciągnęła burza i zasłoniła go zwałami posępnych chmur, lecz nie potrafiła oderwać oczu od jego skąpego światła.

Szukała wszędzie. Chwilami była przekonana, że dostrzega błysk złota, muskała palcami kształt. Ale nie zdołała zobaczyć ani dotknąć niczego konkretnego.

Zostało czterdzieści osiem godzin. Jeśli jej się nie powiedzie, wszystko, przez co przeszły i czego dokonały Malory i Dana, pójdzie na marne. Szklane Córy na zawsze pozostaną w kryształowych trumnach.

Otuliła się kurtką i usiadła na tyłach domu, starając się nie tracić resztek nadziei.

Klucz gdzieś tu jest. Wiem o tym. Co przeoczyłam? Czego nie zrobiłam, choć powinnam?

- Śmiertelni - odezwał się zza jej pleców Kane - spoglądają ku czemuś zwanemu przez nich niebiosami i pytają, co robić i co myśleć.

Zamarła, on zaś przeciągnął czubkiem palca wzdłuż jej szyi. Poczowała lodowaty dreszcz.

- Bawi mnie to.

Stąpając miękko i bezgłośnie, zatoczył koło i oparł się niedbale o balustradę tarasu.

Jest zniewalająco przystojny, pomyślała. Pasuje do niego ciemność. Bezksiężycowe noce i burze.

- Przegrałaś - oznajmił rzeczowym tonem.

- Nie. - Chłód przenikał ją do szpiku kości, z trudem powstrzymywała dygot. - Mam jeszcze czas.

- Ubywa go z minuty na minutę. A gdy ostatni skrawek księżycyca utonie w mroku, dostanę wszystko. Ty zaś nie dostaniesz nic.

- Nie powinieneś chełpić się przedwcześnie. - Chciała wstać, wyprostować się zuchwale, lecz nogi miała jak z gumy. - To przynosi pecha.

- Szczęście i pech są wymysłem śmiertelnych, jedna z waszych myślowych podpórek.

Twój gatunek ich potrzebuje. - Przesunął w palcach srebrny łańcuszek amuletu, wprawił go w powolny wahadłowy ruch.

- Dlaczego nas nienawidzisz?

- Nienawiść oznacza uczucie. Czy ty czujesz coś do robaka, którego rozgniatasz butem? Tym właśnie dla mnie jesteście.

- Nie wdaję się jednak z robakami w rozmowy. W przeciwieństwie, jak widać, do ciebie.

Twarz wykrzywił mu grymas irytacji, co sprawiło Zoe pewną ulgę.

- Tak jak wspomniałem, bawicie mnie. Zwłaszcza ty, z całej trójki wysłanej przez Rowenę i Pitte'a na poszukiwania skazane z góry na klęskę. Pierwsza z was miała pewien styl i przenikliwy umysł. Druga wewnętrzny żar i inteligencję.

- Pokonały cię.

- Czyżby? - Zaśmiał się cicho, szyderczo kołysząc amuletem. - Nie bierzesz pod uwagę, że po tak długim czasie mogłem zapragnąć rozrywki? Szybkie zakończenie pozbawiłoby mnie zabawy, jaką jest obserwowanie was snujących plany i składających sobie wzajemnie gratulacje. Pozbawiłoby mnie przyjemności przypatrywania się twojej udręce, tak jak w tej chwili. Zainteresowałaś mnie po prostu dlatego, że brakuje ci bystrości i stylu twoich towarzyszek. Słabo wykształcona, z ubogiej rodziny.

Zmienił pozycję, unosząc wisior o cal wyżej.

- Powiedz mi, gdzie byś teraz była, gdyby nie zaproszenie na Wzgórze Wojownika? Z pewnością nie w tym domu, z tym mężczyzną. Mężczyzną, który, gdy blask wspólnego celu przygaśnie, zobaczy cię taką, jaką naprawdę jesteś. I porzuci, tak jak poprzedni. Ale ty już o tym wiesz.

Od powolnych, miarowych ruchów srebrnego amuletu mąciło jej się w głowie.

- Nie znasz nas.

- Wiem, że jesteś niewiele warta. A gdy poniesiesz klęskę w poszukiwaniach, inni również się o tym dowiedzą. Rowena i Pitte postąpili okrutnie, wplątując cię w tę historię i tak wiele od ciebie oczekując. Dołączyli cię do grona ludzi - ciągnął, podczas gdy zwiewne pasma błękitnej mgły zaczęły osnuwać werandę - którzy mają do zaoferowania znacznie więcej. To okrutne pozwolić ci zakosztować lepszego życia, abyś tęskniła za nim do końca swoich dni.

- Moi przyjaciele...

- Przyjaźń? Jeszcze jedno ziemskie złudzenie, równie fałszywe jak szczęście czy pech. Opuszczą cię, gdy poniesiesz klęskę, a poniesiesz ją na pewno. Dłoni kogoś takiego jak ty

nigdy nie było pisane przekręcenie klucza.

Przemawiał teraz kojącym głosem, prostując się i podchodząc bliżej, a jego amulet kołysał się, kołysał niczym migotliwe wahadło.

- Budzisz we mnie coś w rodzaju współczucia. Tak dalece, bym ci zaproponował pewną rekompensatę. Którą z rzeczy, tak lekkomyślnie ci podsuniętych przez Rowenę i Pitte'a, pragnęłabyś zatrzymać? Firmę, ten dom, mężczyznę? Wybierz jedną, a ja ci podaruję.

Hipnotyzował ją. Czowała, że zapada w trans, czowała mgłę pełznącą po skórze. Zimną, tak strasznie zimną. Jakże łatwo byłoby ulec kuszącym obietnicom, przyjąć, co jej oferowano. Dłonie miała sztywne, zlodowaciałe i bezwładne, ale zwinęła je w pięści, wbijając paznokcie w skórę.

Ogromnym wysiłkiem woli oderwała oczy od amuletu i spojrzała w twarz Kane'owi.

- Jesteś kłamcą. - Oddychała z trudem, spazmatycznie chwytając powietrze, gdy chwiejnie dźwigała się na nogi. - Kłamcą i oszustem.

Odrzucił ją w tył. Poczowała niewidoczny cios, który był jak smagnięcie lodowym biczem. Bez namysłu, w przypiływie wściekłości, skoczyła naprzód i przeorała paznokciami policzki Kane'a.

Dostrzegła w jego oczach przelotny błysk kompletnego zaskoczenia. Zobaczyła wyraźne krwawe pręgi na skórze.

W następnej chwili uderzyła plecami o ścianę domu, ciśnięta gwałtownym porywem wichru, tak zimnego, że widziała w nim wirujące kryształki lodu, czarnego jak onyks.

Kane stał naprzeciw niej z zakrwawioną twarzą, potężny w swych falujących czarnych szatach.

- Mógłbym cię zabić jedną myślą.

Nie, nie może. Nie może. Gdyby mógł, już by to zrobił. Jest kłamcą, powtórzyła sobie gorączkowo. I tyranem. Ale mógł wyrządzić jej krzywdę, Boże, poważną krzywdę. Czowała ból, ostry, rozdzierający ból w klatce piersiowej.

- Wracaj do piekła! - krzyknęła. - Nic tu po tobie!

- Niebawem wszystko się skończy, stracisz wszystko. A ja dołączę twoją duszę do moich zdobyczy.

Wiatr ucichł, jakby ktoś przekręcił wyłącznik. Zoe upadła na ziemię, z trudem łapiąc oddech, dygocząc w szoku.

Oszołomiona, wpatrywała się w deski werandy i usiłowała odzyskać jasność myślenia. Uniósłszy głowę, zauważyła, że noc przeszła w łagodny, mglisty poranek. W oparach świtu na skraju lasu stał jelen, mający sierść, która zdawała się lśnić złotem. Wysadzana klejnotami

obroza na jego szyi miotala iskry, błękitne oczy płonęły.

Poranna mgielka zgęstniała, tworząc zasłonę, a gdy się uniosła, jeleń zniknął.

- Jeszcze nie dałam za wygraną - przemówiła głośno Zoe, by dodać sobie otuchy. Kane podstępem pozbawił ją kilku godzin cennego czasu, ale nie zdołał pozbawić ducha walki.

Dźwignęła się na nogi, popatrzyła na swoje dłonie i dostrzegła krew.

- Zraniłam go. Zraniłam sukinsyna.

Potyając się, ruszyła do domu. Łzy spływały jej po policzkach, mąciły wzrok. Wydało jej się, że słyszy czyjś krzyk, groźne warczenie, trzask. Kształty i dźwięki zlały się i wtopiły w ciemną próżnię.

Opary, które snuły się po werandzie, podpełzły do łóżka Brada. Uwięziły go w lodowatym potrzasku. Obrócił się przez sen, wyciągając ramiona w poszukiwaniu ciepła i ukojenia. W poszukiwaniu Zoe.

Był jednak sam.

Sam w ciemnościach. W lesie, przesiąkniętym wilgocią rozkładu i targanym podmuchami mroźnego wiatru. Nie widział ścieżki, jedynie monstrualne sylwetki powykręcanych, sękatych drzew. Kolczaste pnącza zagradzały mu drogę, rozdzierały skórę, wbijały się w dłonie niczym kły wygłodzonego zwierzęcia.

Wyczuwał zapach własnej krwi, własnego panicznego strachu. I ostrą, obcą woń.

Coś go tropiło.

Coś czaiło się w zaroślach, wśród cieni. Nie tylko polowało, pomyślał, przedzierając się przez kolczaste krzewy. Naigrawało się z niego. Cokolwiek to było, syciło się jego lękiem i pragnęło zabić.

Musiał się wydostać, uciec, zanim temu czemuś znudzi się zabawa. Bo wtedy rzuci się na niego i rozedrze na strzępy.

„Ocal życie - zabrzmiał w jego głowie cichy, kojący szept, gdy dobrnął chwiejnym krokiem do leśnej polany. - Ta sprawa nie dotyczy ciebie. Wracaj do domu”.

Oczywiście. W tym właśnie rzecz. Powinien wrócić do domu. Oszołomiony, zdezorientowany, ruszył niepewnie w stronę nikłego światła. Przyspieszył gwałtownie, słysząc za plecami ryk drapieznika.

Światło wydobywało się zza drzwi i Brad rzucił się ku nim z drżącym westchnieniem ulgi. Zdąży. Musi zdążyć. Szarpnięciem otworzył drzwi, czując na karku gorący oddech.

Blask rozproszył mrok, niosąc z sobą kolor i ruch. Brad stał w progu swego nowojorskiego biura, dysząc ciężko z wysiłku. Krew z jego poranionych rąk kapiała na

wypolerowany dębowy parkiet. Przez szerokie potrójne okna widział panoramę miasta, połyskujące wieżowce na tle porannego nieba.

Minęła go młoda blondynka w eleganckim czarnym kostiumie. Posłała mu promienny uśmiech.

- Miło pana znowu widzieć, panie Vane.

- Dziękuję. - Poczuł, że sztywniej mu wargi. - Dlaczego tu jest tak zimno?

Michael, jego asystent, pospieszył na spotkanie. Nosił czerwone szelki, które odcinały się od niebieskiej koszuli. Pod pachą dzierzył gruby terminarz.

- Przedstawię panu plan dnia, panie Vane. Kawę ma pan na biurku. Zabierzmy się do pracy.

- Powinienem... - Czuł zapach kawy i płynu po goleniu Michaela. Słyszał dzwonek telefonu. Zdezorientowany, uniósł rękę i przyjrzał się zranionej dłoni. - Krwawię.

- Och, zajmijmy się tym. Musi pan tylko wejść. Wejść do pokoju.

- Nie. - Zachwiał się na nogach. Fala mdłości wezbrała w żołądku, pot spływał mu po twarzy. - Nie wejdę. - Przytrzymał się futryny, by zachować równowagę, i spojrzał przez ramię w ciemność. - To nie jest rzeczywiste. To znów gów...

W tym momencie usłyszał krzyk Zoe. Gwałtownym ruchem odwrócił się od drzwi.

- Zginiesz! - krzyknął za nim Michael, a kilka sekund później drzwi się zatrzasnęły. Strzał w plecy na pożegnanie.

Brad runął w mrok, wzywając Zoe. Nic nie widział, przedzierając się desperacko przez cierniste zarośla. Wszystko spowiła nieprzenikniona zasłona czerni.

Nie mógł odnaleźć Zoe, nie potrafił. Nigdy już nie odnajdzie. A to, co czało się w ciemnościach, zabije ich oboje, ponieważ nie wytrzymał przy jej boku.

„Ona chce tylko twoich pieniędzy. Bogatego ojca dla swojego bękarta”.

Co za bzdura. Opadł na kolana, wyczerpany i chory. Omal nie dał się wciągnąć w ohydne kłamstwo.

Musiał położyć temu kres. Odchylił głowę w tył, zacisnął pięści.

- To nie jest rzeczywiste. To się nie dzieje naprawdę. Do diabła, przecież jestem w domu. I ona także.

Obudził się, dysząc ciężko. Ostatnie pasma mgły rozpląwały się w powietrzu, a Moe stał w nogach łóżka i warczał jak wilk.

- Spokojnie, mały. O Chryste. - Wciąż jeszcze roztrzęsiony, wyciągnął rękę do psa i poczuł przeszywający ból. Spojrzał na dłoń i zobaczył krew, wzbierającą wciąż na nowo w licznych zadrapaniach. - No cóż, było w tym coś prawdziwego.

Westchnął głęboko i przecesał włosy zakrwawionymi palcami. W następnej chwili wyskoczył z łóżka. Zoe! Jeżeli krew była prawdziwa, krzyki, które słyszał, także mogły być rzeczywiste.

Pobiegł do jej pokoju, otworzył drzwi. W szarym świetle poranka zauważył, że nie spała w swoim łóżku. Ogarnięty paniką, runął ku drzwiom pokoju Simona i aż zadrżał z ulgi na widok chłopca przytulonego do szczeniaka.

- Zostań z nim - nakazał Moemu, wpychając go do sypialni. - Zostań - powtórzył i zbiegł na dół.

Wykrzykując jej imię, wpadł do salonu i zobaczył Zoe w drzwiach prowadzących na werandę.

Otworzywszy oczy, ujrzała Brada, pobladłego, z potarganymi włosami.

- Powinieneś się ostrzyć - wymamrotała.

- Jezu Chryste, Zoe. - Złapał jej dłoń tak mocno, że kość niemal otarła się o kość. - Co ty, na miłość boską, robiłaś na zewnątrz? Co się stało? Chwileczkę. - Powściągnął przypływ przemożnego lęku. - Połóż się. Przyniosę ci wody.

Pospieszył do kuchni, napełnił szklankę i oparł się o blat, usiłując uspokoić tętno.

Nakazał sobie oddychać wolno i głęboko, po czym zmył krew z rąk. Wziął szklankę z wodą i wrócił do Zoe.

Siedziała już, a jej policzki poróżwiały.

- Spokojnie - polecił. - Pij małymi łykami.

Skinęła głową, choć nie było jej łatwo usłuchać. Gardło płonęło żywym ogniem.

- Nic mi nie jest.

- A owszem, jak cholera. - Nie krzyczał, ale wyczuła karcący ton. - Zemdlałaś. Masz siniaki na twarzy i krew na rękach. Jak cholera nic ci nie jest.

Zdumiewające, pomyślała. Nie podnosi głosu, a jednocześnie ściera cię na proch.

- To nie moja krew. - Świadomość własnej odwagi dodała Zoe otuchy. - Podrapałam jego cholerną gębę. Mam długie, mocne paznokcie, nieźle pokiereszowałam draniowi twarz. Z wielką przyjemnością.

Oddała Bradowi pustą szklankę i pocałowała go w policzek, uznając, że i jej, i jemu jest to potrzebne.

- Przepraszam, że cię przestraszyłam. Byłam... och! - Chwyciła go za rękę. - Masz podrapaną i pociętą skórę!

- Przydarzyła mi się drobna przygoda w lesie, kiedy ty... robiłaś to, co robiłaś.

- Jednak zabrał się za nas - powiedziała cicho Zoe. - Ale jesteśmy tutaj, jesteśmy

razem, prawda? - Pocałowała jego zakrwawioną rękę. - Zaraz obmyjemy skaleczenia i opowiesz mi, co się stało. Ja także ci opowiem, co się działo ze mną, ale najpierw dowiedz się jednego. - Ujęła w dłonie jego twarz, spojrzała mu w oczy. - Wszystko będzie dobrze. Chodźmy do kuchni. Chciałabym umyć ręce, opatrzyć cię i zaparzyć kawę.

Odetchnęła głęboko, wstając. Pomyślała nie bez dumy, że trzyma się pewnie na nogach. Wie też dokładnie, co robić dalej.

- Zajmę się robotą i porozmawiamy.

- Robotą?

- Muszę przygotować nadzienie do indyka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wie pojmuję, jakim cudem potrafisz zachować taki spokój. - Malory płukała świeże żurawiny nad kuchennym zlewem.

- Och, nie pierwszy raz w życiu piekę indyka. - Zoe rzuciła przez ramię promienny uśmiech, nie odrywając się od batatów, które przygotowywała jako dodatek.

- A ja nie pojmuję, jakim cudem ona potrafi jeszcze wygłaszać takie przemądrzałe komentarze - zauważyła Dana, obrzucając zasepionym spojrzeniem górę ziemniaków do obrania. - Ktoś mógłby pomyśleć, że drobna utarczka z bogiem - czarnoksiężnikiem, omdlenie, a następnie przyrządzenie posiłku dla wygłodzonego oddziału wojska popsuje jej nastrój. Ale nie, nasza Zoe jest dzisiaj w szczytowej formie.

- Mamy Święto Dziękczynienia.

- W związku z czym zmuszona jestem zadać jedno pytanie. - Dana przyjrzała się ponuro obierakowi, który trzymała w ręku. - Dlaczego my odwalamy całą robotę, a mężczyźni po prostu się byczą?

- Chciałam, żebyśmy na chwilę zostały same - wyjaśniła Zoe. - To był najprostszy sposób.

Dana wrzuciła obranego ziemniaka do miski.

- Tak ci się wydaje.

- Denerwuję się, kiedy Bradley wbija we mnie to swoje jastrzębie spojrzenie.

- Ma prawo. Bądź co bądź, padłaś zemdlna w jego objęcia - podkreśliła Malory.

- Nie winię go za to. Swoją drogą ciekawe, że akurat tam się znalazł i porwał mnie w ramiona. Nie sądzicie? Romantyczne, owszem ale też interesujące. On śpi na górze, a ja tkwię na zewnątrz przez... sama nie wiem, ile czasu. Chyba kilka godzin. To były godziny, choć wydawało mi się, iż upłynęło zaledwie parę minut. - Zoe zerknęła w stronę drzwi, by upewnić się, że nikt nie podsłuchuje. - A Bradley wcale nie spał, bo Kane wciągnął go w ciemność. Pokaleczył sobie ręce, krążąc po ciemku w lesie. Kane próbował go przenieść do Nowego Jorku, gdzie panuje porządek i wszystko jest w normie.

- Ale on się wyrwał. - Malory umieściła w zlewie sitko z żurawinami. - Stał w progu i dokonał wyboru.

- I on, i ja, kiedy poszarpałam Kane'owi twarz. To były słuszne decyzje, tak w dalszym ciągu uważamy.

- Szkoda, że cię nie widziałam. - Dana ponownie zabrała się do ziemniaków. - Tego jednego żałuję.

- Wspaniałe uczucie - zapewniła Zoe. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam w sobie taką moc. Aż tu nagle Bradley zbiegł po schodach i złapał mnie, zanim padłam jak długa. - Z głuchym szczęściem upuściła nóż. - Kane próbował oddalić go ode mnie, uwięzić w iluzji.

- Nie chciał, żeby jakiś facet wtrącał się w jego poczynania - rzuciła kwaśno Malory - kiedy on sam dręczy małą dziewczynkę.

- Nie. I chyba wolał, żebyśmy nie byli razem, kiedy próbował mi wmówić, że się do niczego nie nadaję.

- Z tego, co słyszę, nie uwierzyłaś mu.

- Naciskał odpowiednie guziki, muszę mu to przyznać. Ale nie on pierwszy je naciskał, a ja wiem, jak reagować. Naciskał je, bo się boi. Bo jestem bliska odkrycia. Bo wie, że potrafię go pokonać. Dlatego grał na moich uczuciach, podsycił wątpliwości, a potem próbował mnie przekupić. Trochę się wkurzył, kiedy mu się nie udało.

- Trochę? - Malory podeszła do Zoe i delikatnie musnęła palcami jej policzek. - Skarbie, on ci nieźle przyłożył.

- Możliwe, ale zaręczam, że Kane wygląda znacznie gorzej. - Odrzuciła dumnie głowę. - Gdybym myślała jaśniej, posunęłabym się dalej. Kopnęłabym go porządnie w jaja. Jeśli je ma. Zraniłam go, a Bradley z nim wygrał. Nastraszyliśmy go. To naprawdę duża przyjemność.

Dostrzegła isierki w oczach Malory i westchnęła.

- Wiem. Wiem, że nie zostało mi wiele czasu. Coś we mnie wyrywa się jak szalone, by biegać po domu i szukać klucza. To jednak na pewno nie przyniesie rozwiązania. Dlatego mam zamiar przyrządzić najpierw kolację, pyszną świąteczną kolację. Ponieważ tu jest moje miejsce. Tutaj, między wami, za co jestem wdzięczna. Dana odłożyła obierak.

- A jednak dał ci do myślenia.

- Może trochę - przyznała Zoe. - Trafił w czułe miejsce. Biedna mała Zoe McCourt, wpadła z pierwszym chłopakiem, który się do niej uśmiechnął. Zrezygnowała ze szkoły i ciułała wyproszone centy, żeby kupić pieluchy dla dziecka wychowywanego bez ojca. I jej się wydaje, że potrafi dokonać czegoś ważnego? - Zsunęła ba - taty łyżką do żaroodpornego naczynia. - Właśnie, że potrafię. Napijmy się wina.

- To rozumiem. - Dana wymieniła spojrzenie z Malory za plecami Zoe, wyciągnęła butelkę Pinot Grigio.

- Mam dzisiaj to i owo do zrobienia - podjęła Zoe, wyjmując kieliszki z szafki. - Oprócz przyrządzenia posiłku i zjedzenia go z wami. To i owo do zrobienia, to i owo do powiedzenia. Ale muszę się najpierw poważnie zastanowić.

Postawiwszy kieliszki, wyjrzała przez okno. Dostrzegła Brada i Simona krocących ścieżką, prowadzącą w stronę lasu, która wiła się między ogrodowymi krzewami.

- Co oni właściwie robią?

Dana nalala wina i położyła dłoń na ramieniu Zoe.

- Mogę ci powiedzieć, czego nie robią. Nie obierają ziemniaków.

- Co on niesie? - W roztargnieniu sięgnęła po kieliszek i przesunęła się, żeby lepiej widzieć. Jej syn tańczył wokół Brada, a psy goniły tam i z powrotem, licząc na zabawę. - To jest chyba... no nie, na litość boską.

Patrzyła w osłupieniu, jak Brad wiesza na gałęzi karmnik dla ptaków, który wyglądał dość osobliwie na tle wypielęgowanych ozdobnych krzewów, po czym podnosi jej syna, żeby nasypał ziarna.

- Na litość boską - powtórzyła i jak we śnie odstawiła kieliszek, ruszając ku drzwiom. Za chwilę była już na zewnątrz.

- O co tu, do diabła, chodzi? - spytała Dana.

- Wiem tyle, co i ty. - Malory uśmiechnęła się, niemal przyklejając nos do szyby. - Co to może być? Dlaczego oni wieszają but na drzewie?

Zoe nie pomyślała o włożeniu kurtki, ale nie przeszkadzały jej ostre podmuchy wiatru. Usłyszała śmiech Simona, który bawił się z psami. Żaden chłód nie mógł rozproszyc ciepłą, jakie czuła w sercu.

Brad stał na ścieżce z rękami w kieszeniach i szerokim uśmiechem na twarzy. Odwrócił się, słysząc jej kroki.

- I co ty na to?

Pomagała Simonowi, udzielając mu wskazówek, jak przerobić jaskrawoczerwony kowbojski but na karmnik dla ptaków. Prowadziła jego rękę, kiedy wycinał otwór w skórze, obserwowała, jak odmierza listewki z drewnianych odpadów, by wykonać z nich spadzisty daszek.

Pamiętała, jaki był dumny ze swego dzieła, jaki zadowolony, że nikt w klasie nie przedstawi podobnej pracy domowej. zaproponował powieszenie karmnika na podwórzu za ich domem, gdy produkt już zostanie oceniony i oddany.

Za ich domem, pomyślała.

- Simon ci go podarował? - spytała ostrożnie.

- Tak. Dostał za niego szóstkę, wiesz.

- Wiem.

- Doszliśmy do wniosku, że... Do diabła, czemu wyszłaś bez płaszcza? - Sapnął ze

zniecierpliwieniem i ściągnął kurtkę. Zoe w milczeniu pozwoliła, by wsunął jej ramiona w miękkie skórzane rękawy.

- Zobaczyłam cię z kuchni. Widziałam, jak to wieszasz w swoim pięknym ogrodzie, za swoim pięknym domem.

- Aha. - Wyraźnie zdziwiony, wzruszył ramionami. - No i co?

- Simon dał ci swój karmnik, a ty go zawiesiłeś. - Łzy łaskotały ją w gardle. - Bradleyu, z pewnością nigdy nie widziałeś drugiego tak głupio wyglądającego przedmiotu. To stary but z wyciętą dziurą. Będziesz musiał go oglądać za każdym razem, gdy wyjrzysz przez okno. I wszyscy inni też.

- O to właśnie chodzi. - Cofnął się i uśmiechnął promiennie. - Jest fantastyczny.

- Chcę cię o coś zapytać. Zastanawiałam się rano, po tym, co się wydarzyło... zastanawiałam się, jak zadać to pytanie. Ale pomyślałam, że powinnam najpierw porozmawiać z Simonem, wytłumaczyć mu i przekonać się, co on... - Obejrzała się z uśmiechem na karmnik. - Widzę jednak, że nie muszę mu niczego tłumaczyć. On już dokonał wyboru.

- O co chcesz zapytać? - Brad wyciągnął rękę i lekko popchnął but, patrząc z przyjemnością, jak się kołysze.

- Zamierzam cię poprosić, żebyś się ze mną ożenił. - Poczula, że jej odwaga słabnie, gdy opuścił ramię i szeroko otworzył oczy, lecz wzięła się mocno w garść. - Wydawało mi się, że powinnam poczekać, aż to wszystko się skończy, odbyć długą rozmowę z Simonem i... i w ogóle. Chciałam poczekać, aż mi trochę przejdzie strach przed tym, co się stanie, kiedy cię już poproszę. Teraz myślę, że niesłusznie zwlekałam i powinnam była wcześniej ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham. Tak bardzo, że bałam się zaufać i samej sobie, i tobie. A nawet Simonowi. Boże, chciałabym, żebyś się wreszcie odezwał i zamknął mi usta.

- No cóż, trochę mnie zaskoczyłaś. Zaczekaj chwilę.

Spodziewała się różnych reakcji, od pozytywnych po negatywne, ale nie tego, że Bradley odmaszeruje, nawołując głośno Simona. Rumieniec uderzył jej na policzki, a w żołądku poczuła jakby bryłę lodu. Nie była pewna, czy to objawy zażenowania, urazy czy gniewu. Otuliła się ciasniej kurtką, podczas gdy Brad pochylił się nad Simonem.

Nie słyszała, co mówił, lecz jej syn z zapalem pokiwał głową, wydał krótki bojowy okrzyk i puścił się pędem w stronę domu.

Z kciukami zahaczonymi za kieszenie na piersi, Brad wrócił do Zoe. Jego twarz przybrała miły, uprzejmy wyraz.

- A więc, na czym to stanęliśmy? Prosisz mnie, żebym się z tobą ożenił, ponieważ

powiesiłem w ogrodzie karmnik, który dostałem od Simona.

- Tak. Nie. Cholera jasna, nie musisz dawać mi do zrozumienia, że wygaduję głupstwa. Jedynymi prócz mnie osobami, którym Simon kiedykolwiek podarował coś, co sam zrobił, są Hansonowie, a to dlatego, że traktuje ich jak swoich dziadków. Dał ci ten karmnik, bo cię kocha, i myślałam, że... Powiesiłeś go.

- Spodobał mi się. - Nie mogąc powstrzymać szerokiego uśmiechu, postukał palcem but z czerwonej skóry. - Odnoszę jednak wrażenie, że nie dostrzegasz artystycznej ekstrawagancji projektu. Tak czy inaczej...

- Nie opowiadaj mi tu o artystycznych ekstrawagancjach. Pozwól, że ci coś powiem, Bradleyu Charlesie Vanie IV Jeżeli nie jesteś gotów poprzeć działaniem swoich miłosnych deklaracji, to nie wiesz, z kim masz do czynienia.

Spojrzał na nią wciąż z tym samym uśmiechem.

- Czyżby?

- Małżeństwo nie jest dla mnie przedmiotem żartów, jest czymś, czego oczekuję od mężczyzny, którego kocham i który twierdzi, że kocha mnie również. Mój syn zasługuje na ojca, a nie na kogoś, kto szuka tylko przygodnych związków. Żadne z nas się tym nie zadowoli. Brad kiwnął głową.

- Chyba zrozumiałem.

- Mam! Mam! - Simon wypadł z domu jak strzała. - Pudełko było dokładnie tam, gdzie... - Umilkł, gdy Brad rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, lecz choć patrzył w ziemię, jego plecy trzęsły się ze śmiechu.

- Chciałabym wiedzieć, co was tak bawi.

- Mamy z Simonem swoją małą męską tajemnicę - poinformował ją Brad i zręcznym ruchem ukrył w dłoni pudełeczko przyniesione przez chłopca. - Widzisz, tak się składa, że niedawno przedyskutowaliśmy pewną kwestię i...

- Mówiłeś, że musisz poczekać, aż... - Kuląc się pod ciężkim spojrzeniem Brada, Simon szurnął nogą po ścieżce. - No dobra, ale się pośpiesz.

- Doszliśmy do porozumienia - podjął Brad - a ponieważ wątpliwości po obu stronach zostały rozwiane, uznałem, że najlepiej będzie, jeśli pokażę mu to, aby go upewnić co do moich intencji.

Uniósł pudełko i otworzył wieczko.

- Należał do jego babci i... kurczę, zupełnie nic nie mogę powiedzieć? - poskarżył się Simon, gdy Brad znowu go uciszył.

- Przekonajmy się najpierw, co ma do powiedzenia twoja mama.

Spoglądając na pierścionek, czuła się tak, jakby patrzyła w gwiazdy. Był delikatny, świetlisty i piękny. Zdobyła się jedynie na bezradne potrząśnięcie głową.

- Przed chwilą usta ci się na zamykały - wytknął Brad. - Usłyszałem coś o popieraniu słów czynem i o twoich oczekiwaniach. Ale może powinienem odpowiedzieć na twoje pierwsze pytanie. Tak - wyjął pierścionek z pudełeczka. - Zdecydowanie tak. Zostanę twoim mężem i będę cię kochał do końca moich dni.

- Włóż jej go na palec - zażądał Simon. - Musisz jej go włożyć na palec, a potem ją pocałować.

- Znam reguły.

- Wy dwaj... już o tym rozmawialiście? - wykrztusiła Zoe.

- Owszem. Kiedy człowiek bierze sobie ojca, musi się dowiedzieć pewnych rzeczy. - Wymienili z Simonem spojrzenie, które roznieciło w sercu Zoe iskry dorównujące blaskiem pierścionkowi. - A gdy mężczyzna zostaje obdarzony synem, musi pewne rzeczy powiedzieć.

- To są męskie sprawy - oświadczył Simon. - I tak byś nie zrozumiała.

- Aha. - Bąbelki śmiechu zaczęły wzbierać jej w gardle, przebijając się przez łyżę. - Niech wam będzie.

- Zoe? Daj mi rękę.

Spojrzała mu najpierw w oczy.

- On jest dla mnie czymś najcenniejszym na świecie. - Położyła prawą dłoń na ramieniu syna, lewą podała Bradowi. - Teraz oboje należymy do ciebie.

- Należymy do siebie nawzajem.

Poczuła ciepło, rozkoszny ciepły dreszcz, gdy pierścionek objął kręgiem palec.

- Pasuje. Jest taki piękny. Nigdy nie widziałam czegoś piękniejszego.

- A ja tak. - Pocałował ją, wciąż patrząc w oczy.

- Czy mogę cię teraz nazywać tatą? - Simon pociągnął Brada za rękaw. - Mogę, czy mam z tym zaczekać?

Brad dźwignął Simona w górę i serce Zoe stopniało całkowicie, ogarnięte falą czułości.

- Nie musisz czekać. I my także nie. - Wolną ręką przygarnął Zoe do siebie i trzy ogniwa łańcucha połączyły się w jedno. - Na nic nie musimy czekać.

Od strony domu dobiegły radosne okrzyki. Zoe obejrzała się przez ramię. Wszyscy stali na werandzie i wiwatowali.

- Ja im tak jakby powiedziałem - wyznał Simon. - Kiedy poszedłem po pierścionek.

- Wracajcie! - zawołała Dana z dłońmi przy ustach. - Musimy się napić szampana i to

zaraz!

- Chcę zobaczyć, jak strzela korek. - Simon wywinął się z objęć Brada i popędził do domu.

Wszystko wydawało się Zoe skąpane w złocistym blasku. Ściskając rękę Brada, zrobiła pierwszy krok na ścieżce wiodącej ku domowi.

Simon dał susa na werandę. Szczeniak przegapił stopień i fiknął koziółka, a Moe biegał szaleńczo wokół niego. Zobaczyła, jak Flynn daje Jordanowi przyjacielskiego kuksańca w ramię. I jak Malory obejmuje Dane w talii.

Czuła ciepłe palce Brada w swojej dłoni. I już wiedziała.

- Och! Oczywiście. Jakie to proste. - Świadomość wypełniła ją niczym światło, piękne złociste światło. Zoe okręciła się w miejscu, oparła całym ciałem o Brada i wybuchnęła śmiechem, w którym dzwięczała czysta radość. - Jakie cudownie proste. Pospieszmy się.

Pobiegła ścieżką, ciągnąc go za sobą. Ścieżką, którą wybrała i którą wybrał jej syn. Która zmieniała wszystko i prowadziła do domu.

- Klucz. - Choć łyzy błyszcząły na rzęsach, śmiała się, wstępując na werandę. Tu był mężczyzna, którego pokochała, jej dziecko, jej rodzina. - Wiem, gdzie on jest.

Nie puszczać ręki Brada, skierowała się w stronę drzwi.

Kuchenne drzwi, pomyślała. Dla rodziny, przyjaciół, mieszkańców domu. Zwyczajne drzwi, które nigdy nie zamkną się przed nią.

Przykucnęła i uniosła róg wycieraczki. Leżący pod nią klucz błysnął złotem na tle drewna.

- Witaj w domu - powiedziała cicho i sięgnęła po niego. - To teraz mój dom, widzisz? - Z kluczem w dłoni odwróciła się do Brada. - Musiałam w to uwierzyć, przygotować się, zaakceptować to. Wszystko. Zmierzyłam się z Kane'em ubiegłej nocy, kiedy byłam tak bardzo przygnębiona, przerażona, zmęczona. Ale zmierzyłam się z nim i nie potrafił mnie zmusić, żebym się poddała. Znalazłam klucz, bo walczyłam o niego. A także o ciebie i o siebie. - Zacisnęła palce na złotym przedmiocie. - Pokonaliśmy go.

Wicher zerwał się nagle, z przeciągłym wyciem. Jego siła odrzuciła Zoe w tył, powaliła na ziemię. Usłyszała krzyki, brzęk tłuczonego szkła.

Obróciła się, dostrzegła przyjaciół rozproszonych po werandzie i Brada, który własnym ciałem osłaniał Simona przed fruwającymi odłamkami. I zobaczyła błękitną mgłę pełznącą w ich stronę.

Klucz pulsował w jej dłoni niczym oszalałe serce.

Wiedziała, że Kane jest gotów zabijać. Unicestwić ich wszystkich, byle to serce

przestało bić. Czołgając się na brzuchu, dotarła do Brada i Simona.

- Jest ranny? Skarbie, jesteś ranny?

- Mamo!

- Nic mu się nie stało! - krzyknął Brad. - Wejdz do środka. Wejdz do domu.

Jej dom, przypomniała sobie z determinacją. Ten drań nie wejdzie do jej domu, nigdy, przenigdy nie tknie tego, co należało do niej. Wsunęła klucz w dłoń Brada.

- Ochroń ich. Wezwijcie Rowenę. Niech Dana i Malory wezwą Rowenę.

Jeśli dam im szansę, pomyślała, zebrała siły i sturlała się z werandy. Zaciskała pięść, jak gdyby trzymała w niej coś cennego. Nie zważając na krzyki za plecami, dźwignęła się na nogi. Zgięta wpół pod naporem wiatru, ruszyła chwiejnie w stronę lasu.

Zacznie ją ścigać, a dzięki temu zyskają na czasie. Przekonany, że ona ma klucz, skoncentruje się na niej. Inni nic dla niego teraz nie znaczą. Robaki, przypomniała sobie i przytrzymała się pnia drzewa, by utrzymać równowagę. Nie będzie w tej chwili tracił czasu na deptanie robaków.

Wojna się nie skończy, dopóki klucz nie znajdzie się w zamku, więc ona podejmie walkę.

Pasma mgły owinęły się wokół kostek, zdawały się szczypać i szarpać. Wierzgnęła z krzykiem, upadła na kolana. Wstrętny odór wypełnił jej gardło i płuca. Krztusząc się, wstała i pobięła.

Wiatr nie dał już z tak przerażającą siłą, lecz ziąb - och, przejmujący ziąb wgryzał się w skórzaną kurtkę Brada, w sweter, w ciało Zoe. Z ciemnego nieba padały brudne płatki śniegu.

Kane przywoływał w jej pamięci tamtą pierwszą iluzję. Przycisnęła rękę do brzucha, jakby dźwigała w nim dziecko. Ale wyczuła tylko drżenie napiętych mięśni.

Bawił się nią, to oczywiste. Folgował swojemu ego. Nie odmawiał sobie rozrywki, pewien, że może w każdej chwili zadać cios, odebrać klucz i zwyciężyć.

Zdezorientowana brnęła przez śnieg, modląc się, by nie zawędrować z powrotem w pobliże domu. Potrzebowali czasu. Odnalazła klucz. Jeśli zdołają z nim dotrzeć do Szkatuły Dusz, Simon może otworzyć zamek. Musiało tak być. Stanowił przecież część Zoe. Jej ciała, jej krwi. Jej duszy.

Kiedy Szkatuła zostanie otwarta, wszyscy będą bezpieczni. Byle tylko odwrócić uwagę Kane'a od innych, dopóki to nie nastąpi.

Czarna błyskawica wystrzeliła z nieba, osmaliła ziemię pod nogami Zoe. Krzyknęła i odskoczyła, skulona, dławiąc się cuchnącym dymem.

Gdy się wyprostowała, stał przed nią, odziany w czarną szatę, która falowała kilka cali nad warstwą brudnego śniegu.

- A jednak tchórzysz. - Na jego policzku wciąż widoczne były ślady paznokci Zoe. - Zostawiasz dziecko, przyjaciół, kochanka i czmychasz jak królik, żeby się ratować.

Pozwoliła łzom popłynąć, by je zobaczył i pomyślał, że chce błagać o litość. Schowała zaciśniętą dłoń za plecami, jakby wciąż coś w niej trzymała.

- Nie rób mi krzywdy.

- Zaledwie kilka godzin temu ofiarowałem ci spełnienie najgorętszych pragnień. I jak mi się odwdzięczyłaś?

- Przeraziłeś mnie. - Nie odrywała od niego oczu, choć miała świadomość, iż warto by się za czymś rozejrzeć, przydałaby się jej bowiem jakaś broń.

- Powinnaś czuć lęk. Powinnaś błagać. Niewykluczone, że cię wówczas oszczędzę.

- Zrobię, co zechcesz, bylebyś zostawił mnie w spokoju.

- Oddaj mi klucz z własnej woli. Podejdz i włóż mi go do ręki.

Z własnej woli, pomyślała. Więc tak się rzeczy miały. Nie mógł sam odebrać jej klucza, nawet teraz.

- Jeśli ci go oddam, zabijesz mnie.

- A jeśli nie oddasz... - Zawiesił głos, nie dopowiadając groźby do końca. - Przekaż mi go, z ręki do ręki, a oszczędzę twoją duszę. Czy wiesz, jak to jest żyć bez duszy? Kiedy leżysz nieruchoma i pusta w środku przez całe tysiąclecia, a twoja... jaźń tkwi bezradnie w pułapce? Narazisz się na taki los dla czegoś, co nie ma z tobą nic wspólnego?

Postąpiła krok naprzód.

- Rowena i Pitte mówili, że nie możesz rozlać naszej krwi, ale zrobiłeś to.

- Moja potęga wyrasta ponad nich. Ponad wszystkich. - W jego źrenicach zatańczyły barwne iskry, gdy Zoe zbliżyła się jeszcze o krok. - Król jest słaby i głupi, smutek i ból zniżają go niemal do poziomu śmiertelnika. Wojna dobiega końca. Dzisiaj odniosę zwycięstwo. Wszyscy, którzy walczyli po przeciwnej stronie i usiłovali mnie powstrzymać, drogo za to zapłacą. Mój świat zjednoczy się na nowo.

- Czerpiesz swoją moc z cierpienia. I ze smutku. Czy to one tworzą twoją duszę?

- Bystre rozumowanie, jak na kobietę śmiertelną - przyznał. - Mrok zawsze pochłonie światło. Dlatego mój wybór pada na potęgę ciemności i korzystam z niej, podczas gdy ci, którzy chronią światło, zajmują się walką, polityką, dyplomacją i regułami gry.

Jestem więc tutaj, by zakończyć to wszystko, jak sobie życzę. Cokolwiek czynicie, ty lub inni, by mnie powstrzymać, jest tylko żalostną grą na zwłokę. A teraz daj mi klucz.

- Nie dostaniesz go.

Rozwścieczony, uniósł ramię do ciosu. Zoe udało się zrobić unik.

Nieoczekiwanie zza zasłony śniegu wyskoczył Brad. Zauważyła błysk noża, ale nie widziała, w co uderzył. Runęła naprzód, lecz w tej samej chwili zachwiała się pod ciężarem Brada, odepchniętego z nadludzką siłą.

- Co za śmiałość.

Dostrzegła krew, intensywną purpurę na tle czerni. Potem Brad popchnął ją w tył i zasłonił sobą.

- A ty? - odparował. - Ośmielisz się stawić czoło mężczyźnie, czy wojujesz tylko z kobietami? - Zważył nóż w dłoni.

- Albo śmiertelnymi - przemówił Pitte, torując sobie drogę przez śnieg. - Czy staniesz do walki z kimś z własnego świata, Kane? Moc przeciw mocy, bóg przeciw bogu?

- Z przyjemnością.

- Cofnij się, kobieto - warknął Pitte, gdy Rowena stanęła u jego boku.

- O, tak. - Kane uniósł ramię. - Cofnij się.

Powietrze zawibrowało od uderzenia. Zoe poleciała bezwładnie w tył i wylądowała ciężko na plecach tuż nad brzegiem rzeki. Obolała, z trudem przewróciła się na brzuch.. Kilka metrów dalej Brad z zakrwawionymi ustami czołgał się w stronę noża, który wypadł mu z ręki.

Masując obolałe ramię, dźwignęła się na kolana i zobaczyła Rowenę leżącą nieruchomo na brudnym śniegu. Może już nie żyła? To w nią, uświadomiła sobie Zoe, Kane uderzył swoją mocą.

Pitte krwawił, lecz wciąż trzymał się na nogach i walczył. Moc iskrzyła i dymiała w powietrzu, w błyskach światła i smugach mroku, przy wtórze potwornych, rozdzierających dźwięków.

- Schyl się - nakazał Brad, splunął krwią i mocniej chwycił nóż.

Ściana mgły i śniegu odgrodziła go od Kane'a.

- Jedź na Wzgórze! - krzyknął do Zoe. - Zakończ to!

- Nie wystarczy mi czasu.

Ciemność pochłania światło, pomyślała, pełznąc w stronę Roweny. Czują przytłaczającą, zwycięską ciemność. Drżącymi palcami ujęła dłoń leżącej. Była lodowato zimna, Jęcz wyczuła słabe tętno.

Bogowie mogą oddychać, pomyślała Zoe. I mogą umrzeć.

Rozejrzała się i zobaczyła Pitte'a, który zawirował w przykłęku i uniknął o włos

morderczego ciosu.

- Pomóż mi - poprosiła z naciskiem. - Pomóż mi go powstrzymać.

Uniosła głowę Roweny znad śniegu, potrząsnęła nią, podczas gdy Brad usiłował przebić się przez ścianę.

Gdyby jej się udało ocucić Rowenę i wesprzeć dzięki temu moc Pitte'a, mogliby zwyciężyć. Nie chcąc dotykać śniegu stworzonego przez Kane'a, Zoe podpełzła do rzeki i zanurzyła dłonie, by nabrać wody.

Zobaczyła odbicie młodej bogini, wojowniczkę o twarzy takiej samej jak jej własna.

- Pomóż mi - powtórzyła Zoe, zanurzając rękę w wodzie.

I wydobyła miecz.

Połykiwał srebrzyście w przyćmionym świetle i śpiewał w podmuchach wiatru. Opływała go moc, czysta jak woda.

Wstała, oburącz dzierżąc rękojeść. I natarła z uniesionym mieczem. Bojowy okrzyk wydobył się z gardła Zoe - niezupełnie jej własny okrzyk - na co Kane odwrócił się raptownie.

Poczuła wstrząs, coś w rodzaju wyładowania elektrycznego, gdy przedarła się przez ścianę. Światło rozbłysło w tysiące iskier. Huczało jej w głowie, osmalona skóra piekła żywym ogniem. Gdy Kane uniósł ramiona do uderzenia, wbiła mu ostrze prosto w serce.

Ziemia zakolysała się pod jej stopami, a ciało przeszyły dreszcze od nagłego podmuchu zimna. Jego twarz zaczęła się zmieniać - wściekłość, nawet lęk zniknęły, a oczy nabrały czerwonego zabarwienia. Wystająca szczeka i zapadnięte policzki położyły kres iluzji urody.

Posiwałe włosy zmieniły się w cienkie kosmyki, a wargi odsłoniły zęby, ostre jak sztylety.

Choć chwiała się na nogach z wysiłku, dzierżyła miecz mocno. Dysząc ciężko, stanęła nad Kane'em i patrzyła na śmierć boga.

Wtopił się w mgłę - lub odwrotnie - aż pozostał tylko cień na śniegu. A potem śnieg stopniał i pozostał jedynie czubek miecza, wbity w ziemię.

- Dzielnie walczyłaś, mała mateczko - wyrzekł Pitte głosem zdławionym z bólu. Przyklęknął przed Zoe i ucałował jej dłoń. - Zawdzięczam ci więcej niż życie.

- Rowena... jest ranna.

- Zaopiekuję się nią. - Dźwignął się z wysiłkiem na nogi i uśmiechnął na widok miecza, który Zoe wyciągnęła ku niemu. - Teraz należy do ciebie - oznajmił, podszedł do swojej kobiety i wziął ją na ręce.

- Zoe. - Brad, z twarzą umazaną krwią i sadzą, dotknął jej włosów i policzka, a potem, ze stłumionym westchnieniem, otoczył mocno ramionami. - Zoe.

- Nic mi się nie stało. Ale ty chyba jesteś ranny. A Simon?

Zacieśnił uścisk, gdy próbowała mu się wyrwać.

- Bezpieczny. Daję słowo. Upewniłem się, że jest bezpieczny, zanim pobiegłem za tobą. Uwierz mi.

Upuściła miecz i zarzuciła Bradowi ręce na szyję.

- Wierzę ci z całego serca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nie tak zamierzała spędzić jedno z największych amerykańskich świąt, lecz udanie się tego dnia na Wzgórze Wojownika wydawało się teraz czymś najstosowniejszym.

Szczegóły związane z transportem i przygotowaniem, podziały na nią uspokajająco. Przypuszczała, że klucz będzie miał pierwszeństwo nad wszystkim, lecz Rowena była innego zdania.

- To ważny rytuał dla ciebie i twoich przyjaciół - powiedziała, ustawiając w przestronnej jadalni talerze na stole. - Należy go dopełnić.

- Głównie obżarstwo - sprecyzowała Zoe i nie mogąc się powstrzymać, pogładziła włosy Roweny. - Nie musisz się niczym zajmować. Wciąż wyglądasz trochę blado. Mamy przecież mnóstwo rąk do pomocy. Może byś się na chwilę położyła?

- Chcę w tym uczestniczyć. - Rowena w zamyśleniu przesunęła palcem wokół brzegu talerza. - Potrzebuję czasu, żeby odzyskać spokój, i muszę się czymś zająć, dopóki moje myśli nie przestaną tak szaleńczo wirować. Z pewnością to rozumiesz.

- Tak, rozumiem. - Zaskoczona i wzruszona Zoe przysunęła się do Roweny i pogłaskała ją po ramieniu.

- Przez chwilę myślałam, że już wszystko stracone. Wydawał się tak potężny, pełen nienawiści i furii. Nie byłam na to przygotowana. Może nie mogłam być. Robiłam, co mogłam, a jednak... nie potrafiłam go powstrzymać. Nawet Pitte był bliski porażki.

- Nie. Nie ponieśliśmy porażki.

- To prawda. A ja odebrałam lekcję pokory.

- Roweno, ona dała mi miecz. Jak to się mogło stać?

- Tak jak ja nie doceniłam potęgi Kane'a, on nie docenił mocy króla. A także jego cierpliwości i determinacji. To król przekazał ci miecz Kyny, poprzez jej wizerunek. - Rowena powróciła do nakrywania stołu. - Pozwolono mi teraz ujrzeć pewne rzeczy. I widzę, że wojna w moim świecie, o mój świat, wcale się nie skończyła. Kane rósł w siłę, gdy my tutaj poszukiwaliśmy wybranki. Zawarł pakt z najmroczniejszą spośród potęg, żądza władzy skłoniła go do zaprzędania własnej duszy. A tymczasem jego poplecznicy za pomocą intryg i sabotażu odwracali uwagę króla, zmuszając go do nieustannych starań o utrzymanie równowagi w świecie za Zasłoną.

Rowena przeszła na drugą stronę stołu. Wciąż jeszcze poruszała się z trudnością.

- Król poniósł wiele strat, odkąd zesłano nas tutaj. Ale nie poddał się nigdy. Obawiałam się klęski - dodała, spoglądając na Zoe. - Być może ten lęk nadwątlił moje siły,

gdy wreszcie stanęłam do walki z Kane'em. Lecz mój król nie jest słaby. Kane mylnie uznał jego zdolność kochania, dobroć i szlachetność serca za przejawy słabości, zapominając o mądrości i potężnej mocy.

- Widziałam go - odezwała się Zoe cichym głosem. - Dzisiaj rano. Widziałam złocistego jelenia z obrożą wysadzaną klejnotami. Stał na skraju lasu i obserwował mnie.

- Obserwował nas wszystkich, baczniej, niż mogłam przypuszczać. Przez trzy tysiące lat żył w smutku, walczył, snuł plany i czekał na trzy kobiety, które uwolnią jego córki. Jedynie wy mogłyście tego dokonać, o czym dowiedziałam się dopiero teraz. Wszystkie lata niepowodzeń i przygotowań prowadziły do was. - Delikatnie wygładziła serwetkę. - Gdyby któraś z was się wycofała, nie byłoby następnych. Nie jestem... nie jestem pewna, czy potrafiłabym znieść tę świadomość. Dlatego nie było mi dane wiedzieć o tym wcześniej.

Czując, że miękną jej kolana, Zoe przytrzymała się oparcia krzesła.

- Sporo ryzykowaliście, stawiając na trzy zwyczajne dziewczyny z Pensylwanii.

Rowena zdobyła się na lekki uśmiech, który jednak nie zmienił wyrazu jej oczu.

- Rzekłabym, iż bogowie dokonali najlepszego wyboru.

- Ten miecz... Przecież odnalazłam klucz. Wykonałam swoje zadanie. Rozumiem, że Kane próbował nas powstrzymać przed otwarciem zamka, że pozwalała mu na to moc, którą uzyskał i której postanowił użyć. Ale gdy już znalazłam klucz, dalsza rozgrywka toczyła się tak naprawdę między bogami, czyż nie?

- Uczyniłaś to, do czego zostałaś wybrana - przyznała Rowena.

- Więc dlaczego ja otrzymałam miecz? Dlaczego nie dał go tobie lub Pitte'owi? Albo sam nie zniszczył Kane'a?

- To nie jest jego pole bitwy, by miał tutaj stawać do walki z wrogiem. Do takich spraw wybiera się orędownika.

- A zatem to powinien być Pitte. Albo ty. - Nie.

- Dlaczego?

Łzy zalsniły w oczach Roweny i obeschły natychmiast. Gdy przemówiła, jej głos brzmiał pewnie.

- Ponieważ nie uzyskaliśmy przebaczenia.

Postawiła na stole ostatni talerz, cofnęła się i krytycznie przyjrzała całości.

- Nie czas teraz na żale. Mamy za co być wdzięczni. Powiedz mi... dotychczas bardzo rzadko zajmowałam się kuchnią... więc powiedz mi, co mogłabym teraz zrobić?

Musimy coś przedsięwziąć, pomyślała Zoe. Uśmiechnęła się, wiedząc, że Rowena tego oczekuje.

- Robiłaś kiedykolwiek puree ziemniaczane? - Nie.

- No to chodź. Nauczę cię.

Zebrali się wokół stołu w blasku świec, przy ogniu buzującym na kominku. Rowena ukryła głęboko swój smutek, maskując go śmiechem i rozmową. Szampan perlił się w kieliszkach, napełnianych wciąż na nowo. Trwał nieustanny korowód półmisków i salatek przechodzących z rąk do rąk.

- Nałóż sobie dużą porcję - doradziła Zoe, podsuwając Pitte'owi puree z ziemniaków. - Rowena je przyrzędziła.

Uniósł brwi. - Jak?

- Tak, jak to robią kobiety od wielu lat.

Rowena przechyliła głowę.

- Pitte bije się teraz z myślami, czy spróbować dania. Mój mężny wojownik obawia się, że jedząc coś niesmacznego, będzie musiał udawać, że to ambrozja.

Dając wyraz swojemu męstwu, czy może miłości, Pitte nabrał na talerz wielką górę puree.

- Nosisz pierścionek Brada. - Popatrzył na Zoe i wskazał ruchem głowy jej dłoń.

- Tak. - Dla czystej przyjemności poruszyła palcami, obserwując grę światła w brylantowych płatkach.

- Szczęściarz z ciebie - zwrócił się do Brada.

- Owszem. Muszę wziąć razem z nią tego małego brzydala - mrugnął do Simona - ale myślę, że warto się poświęcić.

- Każdy ślub ma swoje prawa - oświadczyła Rowena. - Ustaliliście już daty?

- Byliśmy trochę zajęci... - zaczął Flynn. Malory zatrzepotała rękami.

- Ale już nie jesteśmy. Zbladł lekko.

- No, chyba faktycznie. Cóż, nie wiem... eee... - Speszył się, gdy wszyscy obecni skupili na nim uwagę. - Dlaczego to ja mam mówić? Przecież jedziemy we trzech na jednym wózku.

- Wydaje mi się, że jednak ty powozisz, synu - mruknął Jordan, nie odrywając się od indyka.

- A niech to. Zbliża się Boże Narodzenie. Może by je wykorzystać?

- Za wcześnie. - Malory pokręciła głową. - Będziemy musiały, mam nadzieję, uporać się ze świątecznym ruchem w „Pokusie”. I jeszcze nie zdecydowałam się na suknię. Trzeba też zastanowić się nad wyborem kwiatów, miejsca ceremonii, melodii przewodniej...

- Co potrwa, jeśli się nie mylę, trzy do czterech lat. Pyszne ziemniaki - zwrócił się

Flynn do Roweny.

- Dziękuję.

- Z całą pewnością przygotowania nie zajmą mi czterech lat. Jestem zdyscyplinowaną kobietą, która twardo dąży do celu. To, że chcę mieć huczne wesele i żeby wypadło jak najlepiej, nie oznacza, że nie potrafię wszystkiego zorganizować w rozsądnym czasie. Oszczędź sobie gry na zwłokę, Hennessy.

- Dzień Świętego Walentego.

- Co?

Wyraz konsternacji, który pojawił się w jej wielkich niebieskich oczach, sprawił Flynnowi nieopisaną przyjemność.

- Czternastego lutego. - Pod wpływem natchnienia pochwycił i ucałował jej dłoń. - Wyjdź za mnie, Malory. Bądź moją walentynką.

- Chyba mnie zemdli - mruknął Jordan pod nosem i zarobił od Dany mocnego szturchańca łokciem w żebra.

- Walentynki. - Serce Malory rozplynęło się ze wzruszenia. - Och, co za doskonały pomysł! Coś pięknego. Tak! - Obróciła się na krzesło i zarzuciła Flynnowi ręce na szyję. - Dzięki temu nigdy nie zapomnisz o rocznicy ślubu.

- We wszystkim tkwi jakiś haczyk.

- No dobra, wielkoludzie. - Dana ponownie użyła łokcia. - Kolej na ciebie.

- Flynn zaproponował niezły termin. Jeśli pominąć ckliwe wstawki.

- Tak! - wykrzyknęła Malory z rozpromienioną twarzą. - Zróbmy to razem. Potrójne wesele w dzień Świętego Walentego. To dobry dzień. Wręcz... idealny.

- Mnie to odpowiada. - Brad zerknął na Zoe. - A tobie?

- Powiem, że krąg w cudowny sposób się zamyka.

- Czy będę musiał włożyć garnitur? - chciał wiedzieć Simon.

- Tak - odparła stanowczo jego matka.

- No jasne. - Burczał pod nosem, gdy omawiano przy stole weselne plany.

Po posiłku zebrali się w pokoju Szklanych Cór. Żłotoczerwone płomienie buzowały w kominku. Wokół paliły się dziesiątki świec.

- Mam tremę - szepnęła Zoe i poszukała ręki Brada. - Trochę głupio mieć teraz tremę.

Uniósł jej dłoń do ust.

- Załatwisz to śpiewająco.

Parsknęła śmiechem, lecz jej żołądek wykonał szybkie salto, gdy Pitte wziął w ręce Szkatułę Dusz.

- Artystka, uczona, wojownicza. - Postawił na postumencie Szkatułę, w której pulsowały błękitne światełka. - Wnętrze i zewnątrz, zwierciadło i echo. Dzięki sercu, umysłowi i odwadze ostatni zamek może zostać otwarty.

Stanął z boku jak wartownik, podczas gdy Rowena zajęła miejsce po drugiej stronie.

- Proszę - wyrzekła, patrząc na Zoe - odeślij je do domu.

Serce Zoe biło normalnie, gdy przemierzała pokój. Spoglądając na ostatni zamek, czuła w dłoni kształt i ciepło klucza. Światełka trzepotały za szkłem niczym skrzydła.

Nabrała tchu, zatrzymała powietrze głęboko w płucach, po czym wsunęła klucz w zamek i przekręciła.

Ciepło popłynęło wzdłuż jej palców. Rozbłysło białe, czyste, jaskrawe światło. Z podziwem wpatrywała się w szklane wieko Szkatuły, które eksplodowało bezgłośnie, wysyłając w powietrze wirujące kryształki.

Trzy błękitne iskiereki poruszały się coraz swobodniej, tworząc krąg połączony mgiełką, przywodzącą na myśl ogon komety. Powietrze połyskiwało bielą i błękitem.

W oszołomieniu usłyszała okrzyk Simona: „Hej, super!”, i zafascynowana wyciągnęła rękę, by dotknąć jednego z wirujących światełek.

Na chwilę spoczęło w jej dłoni. Piękno i płynąca z niego radość niemal ją obezwładniły, tak wielkie było ich natężenie i bliskość.

Wpatrywała się bez słowa w Malory i Dane, które stały tak jak ona, z wyciągniętymi ramionami, i trzymały w stulonych dłoniach pulsujące błękitne światełka.

Dotknęłyśmy dusz, uświadomiła sobie.

Światełka zaczęły przeskakiwać energicznie i radośnie z rąk do rąk, okrążyły kokieteryjnie mężczyzn, zawirowały wokół roześmianego Simona i nad łbami psów, po czym zawisły przed Roweną i Pitte'em, którzy przyklękli z szacunkiem.

- Wspaniale. - Malory pochwyciła dłoń Zoe, poszukała ręki Dany. - Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego.

Trzy światełka raz jeszcze zatoczyły krąg, rozdzieliły się i skierowały ku portretowi. Po czym wniknęły w niego.

Obraz zafalował, a jego nasycone barwy wydały się jeszcze bardziej intensywne. Zoe mogłaby przysiąc, że przez chwilę słyszała trzy serca, które na nowo zaczęły bić.

A potem wszystko ucichło.

- Są wolne. - Głos Roweny drżał ze wzruszenia. - Wrócili do domu.

Podeszła do przyjaciółek.

- Nigdy nie spłacimy naszego długu. To, co wam ofiarujemy, jest zaledwie symbolem.

- Ucałowała każdą po kolei w policzek. - Usiądźcie, proszę. Wiem, że macie mnóstwo pracy przed jutrzejszym dniem, ale musimy omówić kilka spraw.

- Nie wiem, czy potrafię w tej chwili sensownie rozmawiać. - Zoe przycisnęła dłoń do ust, nie odrywając oczu od portretu. - Czy kiedykolwiek będę w stanie.

- Szampan. - Rowena ze śmiechem odrzuciła głowę. - Napijmy się szampana, trzeba uczcić naprawdę wielki „dzień. Naszą radość i wasze szczęście. - Odwróciła się, by rozdać kieliszki, które Pitte właśnie napełniał. - Dziękczynienie. Jej twarz promieniała. - Ach, to doprawdy wymarzony dzień. Życie nieustannie się odradza, czyż nie? A wy odnalazłyście swoją drogę.

- Załatwmy od razu sprawy finansowe - zaczął Pitte. - Fundusze zostaną niezwłocznie przekazane na wasze konta, zgodnie z umową.

- Nie. - Dana usiadła, wypła łyk szampana i kątem oka dostrzegła znaczący uśmiech Zoe, gdy Pitte zamrugnął zaskoczony.

- Słucham?

- Chcecie więcej? - Rowena uniosła dłoń w geście przyzwolenia. - Nie mów mi, że umowa jest umową - zwróciła się do Pitte'a, nie dopuszczając go do głosu. - Jeżeli zażądamy wyższej sumy, niż została uzgodniona, otrzymają ją.

- Nie - powtórzyła Dana. - Nie chcemy więcej. Nie chcemy nic.

- Wycelowała palec w Brada. - Panie dyrektorze?

- Strony zrzekają się finansowego wynagrodzenia - zaczął Brad. Bawił się pysznie i przepadał za tymi trzema kobietami. - Po przedyskutowaniu warunków umowy ustalono jednomyślnie, by nie przyjmować rekompensaty pieniężnej.

Wyjął dokument, który wcześniej sporządził w pośpiechu na życzenie przyjaciółek i który podpisały. A on, Flynn, Jordan i Simon poświadczyli.

- Oświadczenie, choć nieoficjalne, jest przejrzyste i prawomocne.

- Wyciągnął papier, czekając, aż Pitte podejdzie i weźmie go do rąk.

- Ustalono wysokość zapłaty... - zaczął Pitte.

- To było przedtem. - Malory spojrzała na portret. - Zanim poznałyśmy was i je. Kiedy to wszystko wydawało się prowokacyjną grą. Teraz jednak nie możemy przyjąć pieniędzy.

- Wzięłyśmy zaliczkę - wtrąciła Dana. - Nie zwracamy jej, ponieważ... no cóż, rozeszła się. - Niefrasobliwie wzruszyła ramionami. - Ale nie zamierzamy się bogacić na ich duszach.

- Pieniądze nie mają dla nas żadnego znaczenia - zaczęła Rowena.

- Dla was nie - kiwnęła głową Zoe. - Natomiast dla nas tak, i właśnie dlatego nie

możemy ich przyjąć. Cokolwiek będzie dalej, jeżeli do czegoś dojdziemy, dokonamy tego wspólnie i na własną rękę. Tak postanowiłyśmy i... spodziewamy się, że uszanujecie naszą decyzję. To kwestia honoru.

- Honor - rzekł Pitte, ważąc słowa - nie ma ceny. Chylę przed wami czoło.

- A zatem wypijmy. - Dana z uśmiechem wzniosła kieliszek. - Pierwszy raz w życiu piję za odrzucony milion dolarów.

Rowena stanęła u boku Zoe.

- Czy mogę pomówić z tobą na osobności?

Zoe oczekiwała tej chwili. Wstała, lecz nie odeszła od stołu.

- Jeśli się nie mylę, zamierzasz zaproponować mi nagrodę, jak Malory i Danie, kiedy odnalazły klucze.

Rowena uniosła brwi.

- Mam to zrobić tutaj?

- Tak, proszę.

- Dobrze. Jesteśmy twoimi dłużnikami. Ponieważ byłeś ostatnią z poszukujących, najlepiej zdajesz sobie sprawę, jak ogromny to dług i jak trudny do spłacenia. Uczynię, co w mojej mocy, by spełnić twoje życzenie.

- Malory i Dana nie prosiły o nic. - Nie. Ale...

- Ja jednak mam zamiar o coś poprosić.

- Ach. - Rowena z zadowoleniem ujęła jej dłoń. - O co?

- Wydaje mi się, że skoro otworzyłyśmy Szkatułę, nawet jeśli poproszę o coś, co wykracza poza twoje możliwości...

- Zakres moich możliwości jest dość duży - oznajmiła z uśmiechem Rowena. - Mogę cię zapewnić.

- Jeśli jednak okażą się niewystarczające, w tych okolicznościach inni, którzy wiedzą, co się tutaj wydarzyło i co zrobiłam, będą mogli spełnić moją prośbę.

- Intrygujesz mnie. Przypuszczam, że otrzymasz wszystko, czego zażadasz. Tak jak powiedziałam, król kocha swoje córki i z pewnością odwdzięczy ci się za to, czego dokonałaś. A zatem, Zoe, czego sobie życzysz?

- Pragnę, by tobie i Pitte'owi pozwolono wrócić do domu. Palce Roweny rozluźniły uścisk, zsunęły się z dłoni Zoe.

- Nie pojmuje cię.

- Takie jest moje życzenie. Zamierzałam poprosić, zanim jeszcze zrozumiałam, że one również tego pragną. - Wskazała portret.

- Dotknęły nas i na krótką chwilę stałyśmy się jednością. Zatem życzenia są wspólne.

Pitte stanął obok Roweny, położył dłoń na jej ramieniu.

- Sami jesteśmy winni naszego uwięzienia.

- Nie wy - przerwała Dana - tylko Kane. Mam nadzieję, że smaży się w piekle. Ponieśliście karę i odpokutowaliście za wszystko. Córy to rozumieją.

- Powiedziałas mi, że nie uzyskaliście przebaczenia - podjęła Zoe. - Ale te, którym stała się największa krzywda, nigdy was nie obwinały. Dotrzy maliście słowa, honorowo wypełnialiście warunki umowy przez trzy tysiące lat. Złamaliście reguły tylko dla ratowania naszego życia, gdy Kane przekroczył granicę. Proszę, abyście nie ponosili za to kary.

- To nie jest... - Rowena pokręciła głową, spoglądając bezradnie na Pitte'a.

- Osobiście wolałbym się z nią nie spierać. - Brad zmierzwił Simonowi włosy i posłał Zoe ciepłe spojrzenie. - Ta kobieta naprawdę wie, czego chce.

- I jest wspaniałomyślna. - Rowena, głęboko poruszona, przycisnęła dłoń do piersi. - Ale spełnienie jej prośby nie leży w naszej mocy.

- Leży jednak w mocy króla. Czy on mi odmówi? Czy odmówi własnym córkom? - Zoe stanowczym gestem wskazała portret. - Jeśli odmówi, to może i jest bogiem, ale guzik wie o sprawiedliwości.

- Uważaj. - Pitte niepewnie uniósł ramię w ostrzegawczym geście. - Nawet wojowniczką tak zasłużoną w boju winna zachować umiar, gdy mówi o królu.

Są chwile, gdy należy odłożyć miecz, przypomniała sobie Zoe. I są chwile, gdy należy podjąć walkę. Wyprostowała się dumnie.

- Przekazał mi miecz, a ja go użyłam. Walczyłam o królewskie córki i pomogłam w ich ocaleniu. - Obróciła się powoli, wpatrzona w twarze przyjaciół, którzy stali się dla niej rodziną. - Wszyscy dokładaliśmy wszelkich starań i ponosiliśmy ryzyko, by stały się wolne i wróciły do domu. Dlatego mówię, czego chcę w zamian. Tak wyobrażam sobie moją rekompensatę. Jeśli on naprawdę jest królem i ojcem, da mi to, o co proszę.

Uderzenie gromu rozległo się nie tylko na zewnątrz, lecz także w samym domu. Ściany zadrżały w posadach, polana w kominku buchnęła jaśniejszym płomieniem.

- O kurczę. - Dana głośno przełknęła ślinę i poszukała ręki Jordana. - Mam nadzieję, że to oznacza zgodę.

Ze stłumionym okrzykiem Rowena przytuliła się do Pitte'a. Wyrzuciła z siebie słowa w obcym języku, nasycone emocją - i podobnie zabrzmiała odpowiedź Pitte'a. Na twarzy mężczyzny, zanim wtulił ją we włosy Roweny, zagościł całkowity spokój.

- Przypuszczam, że zgoda została uzyskana - stwierdził Jordan. - Faktycznie, Zoe,

jesteś kobietą o silnych przekonaniach.

- No cóż. - Sięgnęła po kieliszek i zauważyła z pewnym rozbawieniem, że jej ręka drży. Odetchnęła głęboko.

- Przez wszystkie lata przebywania tutaj - przemówił cicho Pitte - przez nieskończone godziny i dni tęsknoty za domem nie przypuszczałem, że będzie mi brakowało czegokolwiek z tego świata. Ale was będzie mi brakowało. - Przytulił mocno Rowenę i pochylił się, by ucałować Zoe. - Będzie mi brakowało was wszystkich.

- Pozostaniecie dla nas niezapomniani. - Rowena cofnęła się o krok, schyliła w niskim ukłonie i zachichotała, gdy Moe przejechał jęzorem po jej twarzy. - I za wieloma rzeczami będę tęskniła. Pilnuj ich, mój dzielny wojowniku. - Pocałowała Moego prosto w nos. - Pilnujcie się nawzajem. Bogowie nie zapomną o długu wdzięczności.

Wyprostowała się z promiennym uśmiechem.

- Siostry, bracia, przyjaciele. Przyjmijcie słowa podziękowań i nasze błogosławieństwo.

Wyciągnęła rękę Pitte'a. Za ledwie połączyli dłonie, zniknęli.

Nazajutrz, o szóstej czterdzieści pięć po południu, Dana zamknęła na klucz drzwi „Pokusy”. Odwróciła się i uśmiechnęła szeroko do przyjaciółek, po czym opadła bezwładnie na podłogę.

- Na pewno wszyscy wyszli? Na pewno zostaliśmy tylko my? - spytała z naciskiem Zoe.

- Oczywiście - zapewniła Malory.

- Jezu przenajświętszy! - wykrzyknęła Zoe i aż podskoczyła. - Odniosliśmy sukces!

- Olbrzymi i dający się przeliczyć na gotówkę - uzupełniła Dana. - Jestem zmęczona jak nigdy w życiu. Mogę tu przespać całą noc i otworzyć rano.

- Jesteśmy przebojem sezonu. Widziałyście, jak idealnie wszystko działa? - spytała Malory drżącym głosem i obróciła się na pięcie. - Tak, jak sobie wymarzyłyśmy. Jedną z pań, która robiła u ciebie manikiur, kupiła moją kompotierkę ze szkła artystycznego.

- A dwie twoje klientki zamówiły kompleksowy zabieg kosmetyczny.

- Sprzedałam książki całemu światu - oznajmiła Dana, składając głowę na rękach.

- Mnóstwo osób przechodziło przez moją galerię w drodze do salonu Zoe. I bardzo im się podobało. Ile razy usłyszałaś, że wszystko jest przepiękne, dostarcza radości i że nic lepszego nie mogło się temu miastu przytrafić?

- Straciłam rachubę. - Dana uniosła głowę. - Muszę zatrudnić drugą sprzedawczynię. Joannę i ja nie damy sobie rady.

- Trzeba zamówić kosmetyki. - Zoe zerknęła w stronę schodów. - Powinnam chyba

pójść na górę i zrobić inwentaryzację.

- Do diabła z inwentaryzacją. - Malory złapała ją za ramię. - Mamy święto. W kuchni stoi szampan.

- Przez całe życie nie wypilałam tyle szampana, ile w ciągu ostatnich trzech miesięcy. - Dana westchnęła głęboko. - Ale co tam, w końcu coś mi się należy od życia. Kto mnie odniesie?

Zoe ujęła ją za jedno ramię, Malory za drugie i razem dźwignęły przyjaciółkę na nogi.

- Dzięki Bogu, nie musimy dzisiaj gotować kolacji - westchnęła Zoe. - Zostało dość resztek z wczoraj. Nie mogę się doczekać, by opowiedzieć Bradleyowi i Simonowi, co się dzisiaj działo. Nie ma porównania z tym, co widzieli rano.

- Mam nadzieję, że nakłonię Jordana, by przez godzinę albo dłużej masował mi stopy. - Dana, już w kuchni, wsunęła głowę do lodówki w poszukiwaniu szampana.

- Nie zapominaj, że musimy w niedzielę zacząć planować śluby. Luty zbliża się szybkimi krokami.

- Pogromczyni niewolników. - Dana wyjęła butelkę. - Co tak oglądasz, Zoe?

- To leżało na blacie. - Trzymała pudełko w srebrnym papierze, opasane złotą wstążką. W kokardę wpleciono trzy złote klucze. - Nie używasz takiego papieru, prawda, Malory?

- Nie. Jest przepiękny i warto poznać producenta. Ale nie zostawił go żaden z moich klientów.

- Może to pomysł któregoś z naszych chłopaków. - Dana lekko trąciła paczkę i sięgnęła po kieliszek. - To by było miłe.

- Więc sprawdźmy. - Zoe skubnęła ostrożnie brzeg papieru. - Nie chcę rozedrzeć, jest zbyt ładny.

- Spokojnie. Zaczekajmy na to, co najlepsze. - Malory oparła się o blat, podczas gdy Dana otwierała butelkę. - O Boże, jestem zmęczona, ale w przyjemny sposób. Jakbym się z kimś kochała i czerpała z tego naprawdę wielką satysfakcję. - Spojrzała na Zoe, która otworzyła pudełko. - I co mamy?

- W środku są trzy mniejsze pudełka. I list.

Zoe wyjęła paczuszki.

- Są dla nas. Na każdej jest wypisane imię. Do licha, te pudełka wyglądają, jakby były ze złota.

Dana sięgnęła po swoje i wydała cichy okrzyk, gdy Malory trzepnęła ją po ręce.

- Nie otwieraj. Najpierw przeczytamy list.

- Rany, ale jesteś zasadnicza. Co to za list, Zoe?

- Och! To od Roweny. - Uniosła kartkę, żeby wszystkie mogły przeczytać.

- „Najdroższe Przyjaciółki”.

wiem, że mój list zastanie Was w dobrym zdrowiu, i sprawia mi to wielką radość. Obydwoje z Pitte'em przesyłamy wyrazy miłości i wdzięczności. W naszym świecie jest nadal dużo do zrobienia, lecz równowaga stopniowo powraca. Uroczystości już się rozpoczęły. Choć nie można do końca rozproszyć cienia, dzięki niemu światło jaśniej i mocniej.

Piszę ten list, siedząc w ogrodzie, słyszę głosy, które od tak dawna milczały. Radość, która w nich rozbrzmiewa, budzi echo w moim sercu.

Te trzy dary pochodzą od Cór, które pragną przekazać Wam symbol więzi, jaka między Wami zaistniała. Symbol, który podtrzyma i uhonoruje tę więź. .

Wiedźcie, że po tej stronie Zasłony uczymy dzień Waszego ślubu i bogowie błogosławią Wam wszystkim.

Pozdrawiam Was, Waszych mężczyzn i wszystkich, których ceni Rowena”.

- To brzmi... pocieszająco - westchnęła Malory. - Dobrze, że znalazła spokój.

Zoe odłożyła list, pogładziła go palcami.

- Powinnyśmy razem otworzyć pudełko.

Uniosły je jednocześnie, skinęły głowami i odchyliły wieczka.

- Nie do wiary! - Zoe wyjęła złoty łańcuszek z wisiosem, przyjaciółki również. - Takie ozdoby nosiły dziewczęta z obrazu. Rowena mówiła, że dostały je od ojca. - Ostrożnie dotknęła półkolistego, ciemnozielonego szmaragdu.

- Są przepiękne. - Malory wpatrywała się oszołomiona w połyskliwy szafir. - Po prostu doskonale.

- I pasują do osoby - podsumowała Dana, unosząc swój rubin. - Jak rodzinne dziedzictwo. Wiecie, że pannie młodej zaleca się, na szczęście, by w stroju znalazło się „coś nowego, coś starego”, a to niewątpliwie jest stare. Sądzę, że powinnyśmy wszystkie trzy założyć je na ślub.

- Wspaniały pomysł. Zoe?

- Doskonały pomysł. - Założyła łańcuszek na szyję, lekko pogładziła kamień. - Chyba należałoby wnieść toast. Niech któraś coś wymyśli.

- Za piękno - Malory wzniosła kieliszek. - Za prawdę i odwagę.

- Za Szklane Córy - dodała Dana.

- I, niech to diabli, za nas - dokończyła Zoe.

Gdy trącały się kieliszkami, srebrzysta mgiełka Zasłony Snów opadła łagodnie. Na razie.